

KRRWAWY POWROTY



TONI L.P. KELNER JIMI BUTCHER
CHARLAINE HARRIS
MINI

ANTOLOGIA

KRWAWE POWROTY



Many Bloody Returns - Collection

Przełożyła: Magdalena Grochowalska



2009

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Wprowadzenie

Charlaine Harris

Noc Draculi

Christopher Golden

Smutna pieśń sów

Bill Crider

Jak zostałem nastoletnim wampirem

Kelley Armstrong

Zmierzch

Jim Butcher

Zemsta Drulindy

P. N. Elrod

Fałszywe medium

Rachel Caine

Pierwszy dzień reszty mojego życia

Jeanne C. Stein

Czarownica i wampir

Tanya Huff

Czerwony kalosz

Carolyn Haines

Życzenie

Tate Hallaway

Pechowe urodziny

Elaine Viets

Pora wampirów

Toni L P. Kelner

Jak Stella odzyskała swój grób

Przypisy

*Książka ta dedykowana jest Jossowi Whedonowi,
który prawdopodobnie nigdy jej nie przeczyta,
oraz jego największym fanom, znanym jako
Buffybuds, którzy na pewno to zrobią.*

*Dziękujemy Marty i Johnowi z Tekno Books za
inspirację, zachętę i pełne wsparcie, które ułatwiło pracę,
naszym agentom – Joshui Bilmes (Charlaine) i Joan
Brandt (Toni), a także Ginger Buchanan z Ace, która
utwierdziła nas w przekonaniu, że wydanie antologii
mogłoby być dobrym pomysłem. Chciałybyśmy również
podziękować autorom, którzy ofiarowali swoje opowiadania
do tej antologii pomimo świadomości, że edytorki są
nowicjuszkami. Dziękujemy za pełne zaufanie do nas.*

Wprowadzenie,

czyli kilka słów wstępu

Kiedy pierwszy raz zaproponowano mi edytowanie antologii, nie zdawałam sobie sprawy z ogromu pracy, jaki będę musiała w nią włożyć. Wiedziałam, że dobrze będzie podzielić się pracą i że moja dobra przyjaciółka Toni L.P. Kelner będzie jedną z najlepszych współredaktorek.

Razem z Toni odbyłyśmy kilka interesujących spotkań, w czasie których planowałyśmy temat tej antologii. Zdecydowałyśmy się wybrać dwa pozornie niezwiązane ze sobą tematy: wampiry i dzień urodzin, aby zobaczyć, jak utalentowani pisarze je połączą.

Po wspaniałej zabawie w planowanie i tworzenie wymarzonej listy twórców musiałyśmy zejść na ziemię i zabrać się do normalnej pracy, co do której obawiałyśmy się, że przyniesie nam wielkie rozczarowanie. Na szczęście tak się nie stało, ponieważ każdego dnia dostawałyśmy nowe opowiadania, a każde z nich było czymś w rodzaju „objawienia”.

Niesamowite jest to, co kreatywne umysły potrafią zrobić z tym samym tematem. Żadne z opowiadań nie było podobne do innych. Część z nich jest zabawna, część tragiczna, ale niewątpliwie wszystkie są fascynujące. Czytajcie je i cieszcie się nimi.

Charlaine Harris Toni L.P. Kelner

Charlaine Harris

Zajmuje mocną pozycję na liście najbardziej poczytnych pisarzy według „New York Timesa”. Jest autorką serii książek o Sookie Stackhouse oraz o Harper Connelly, która po porażeniu piorunem trudni się odnajdywaniem zwłok. Harris jest laureatką nagród Anthony, Sapphire i dwóch nagród czytelników magazynu „Romantic Times”. Mieszka w małym miasteczku w Arkansas razem z mężem, kaczką, trzema psami i trójką dzieci. Jej strona internetowa to po prostu www.charlaineharris.com i naprawdę stara się ją uaktualniać.

W październiku 2008 r. nakładem Fabryki Słów ukazała się jej książka *Grobowy zmysł*.

Noc Draculi



Zaproszenie znalazłam w skrzynce na listy. Jadąc do pracy, przypominałam sobie, że nie zaglądałam do niej od kilku dni. Zatrzymałam więc samochód i wychyliłam się mocno z okna wozu. Poczta, którą otrzymywałam, zazwyczaj nie była interesująca. Przeważnie dostawałam reklamówki z Dollar General lub Wal-Martu albo złowieszcze listy dotyczące wykupienia zawczasu kwatery na cmentarzu.

Kiedy zobaczyłam rachunki za prąd i kablówkę, załamalam się, ale po chwil otrzymałam małą nagrodę – ładną, ciężką, złocistą kopertę, która niewątpliwie zawierała jakieś zaproszenie. Została zaadresowana przez kogoś, kto był piekielnie dobry w kaligrafii.

Wyjęłam mały nożyk z samochodowego schowka i ostrożnie rozcięłam kopertę. Rzadko dostaję tego typu korespondencję, a jeśli już się to zdarzy, to zwykle tylko przypomina zaproszenia. Ale ta była inna. Czułam, że należy do tych z górnej półki. Otwierałam ją z namaszczaniem. Ostrożnie wyjęłam

złożoną we dwoje ciężką pergaminową kartkę. Kiedy ją rozkładałam, coś z niej wypadło wprost na moje kolana – był to prostokątny kawałek jedwabiu. Wzięłam go w dłonie i bez czytania przejechałam palcami po wytłoczonych literach. Zaczyna się nieźle, pomyślałam.

Ociągałam się z przeczytaniem treści zaproszenia jak mogłam najdłużej. W końcu pochyliłam się nad nim, żeby zobaczyć, co ukrywa.

Eric Northman

oraz członkowie Fangtasia

*Proszą o zaszczylenie swoją osobą
corocznego przyjęcia Fangtasii
z okazji urodzin Pana Ciemności*

Księcia Draculi

Dnia 8 lutego o godzinie 22. 00

Oprawa muzyczna – Księżę Śmierci

Strój wieczorowy

Prosimy o potwierdzenie przybycia

Przeczytałam zaproszenie dwukrotnie. Po chwili raz jeszcze.

Do pracy jechałam tak zamyślona, że chyba tylko brak korków na Hummingbird Road umożliwił mi dotarcie na miejsce cało i zdrowo. Skręciłam w lewo, żeby dostać się do biura, i prawie minęłam wjazd na parking. W ostatnim momencie zahamowałam i skręciłam za barem na postój zarezerwowany dla pracowników.

Mój szef, Sam Merlotte, siedział za biurkiem, kiedy wślizgnęłam się do pokoju, żeby zostawić torebkę w szufladzie jego biurka. Przed chwilą musiał się czesać, bo plątanina złotoczerwonych włosów na jego głowie była potargana bardziej niż zwykle. Spojrzał znad swojego zeznania podatkowego i uśmiechnął się do mnie.

– Sookie – powiedział – jak się miewasz?

– Nieźle. Sezon podatkowy, co?

Upewniłam się, że strój służbowy leży na mnie nienagannie, strzepnęłam jeden z moich długich blond włosów ze spodni. Zawsze kiedy się czeszę, pochylałam się. Robię to po to, aby mój kucyk był idealnie upięty.

– Nie rozliczasz się w tym roku u księgowej?

– Stwierdziłem, że jeżeli zabiorę się do tego wystarczająco wcześnie, sam to załatwię.

Mówił tak każdego roku, ale zawsze kończyło się na jego wizycie w biurze rachunkowym, które w wyniku tego musiało występować do urzędu podatkowego z wnioskiem o przedłużenie terminu składania zeznania.

– Dostałeś może coś takiego?

Odłożył długopis z wyraźną ulgą i wziął kartę do ręki. Rzucił okiem na tekst i powiedział: – Nie. I tak nie zapraszają zbyt wielu zmiennokształtnych. Ewentualnie jakiegoś miejscowego wodza wilkołaków albo gościa z nadprzyrodzonymi zdolnościami, który oddał im wyjątkową przysługę... Jak ty.

– Nie mam nadprzyrodzonych zdolności – powiedziałam zdziwiona. – Ja mam tylko... problem.

– Telepatia to coś więcej niż problem – odrzekł Sam. – Trądzik jest problemem. Nieśmiałość jest problemem. Czytanie w umysłach innych ludzi jest darem.

– Albo przekleństwem – powiedziałam.

Podeszłam do szuflady, żeby wrzucić torebkę, i w tym momencie Sam wstał. Jest ode mnie wyższy o jakieś trzy cale (mam 5,6 stopy wzrostu), ale nie oznacza to wcale, że jest jakimś wyjątkowo wielkim facetem. Wyróżnia go jedynie to, że jest potężniej zbudowany niż normalny człowiek jego wzrostu.

– Wybierzesz się tam? – zapytał. – Halloween i urodziny Draculi są jedynymi świętami obchodzonymi przez wampiry. Doszły mnie słuchy, że to zarąbiste imprezy.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – odpowiedziałam. – Jak będę miała przerwę, to zadzwonię do Pam.

Pam była zastępcą Erica oraz kimś w rodzaju mojej najbliższej przyjaciółki, jedynej, jaką miałam wśród wampirów. Udało mi się ją dorwać w Fangtasii tuż po zachodzie słońca.

– Czy hrabia Dracula naprawdę istniał? – zapytałam przez telefon. – Zawsze wydawało mi się, że był tworem Brama Stokera i Hollywood – dodałam zaraz po tym, jak już poinformowałam ją o otrzymaniu zaproszenia.

– Tak, naprawdę istniał – powiedziała Pam. – Vlad Tepes, zwany Palownikiem. Wydaje mi się, że był władcą Księstwa Wołoskiego, którego stolica znajdowała się w Targoviste. Był bardziej dziki i żądny krwi niż jakikolwiek inny wampir. Ogromną przyjemność sprawiało mu skazywanie ludzi na śmierć na palu. Podobno mógł patrzeć na to godzinami. A musisz wiedzieć, że miało to miejsce wtedy, kiedy jeszcze był żywym człowiekiem.

Przeszył mnie dreszcz. Obrzydlistwo.

– Ludzie bali się go jak diabli, za to miejscowe wampiry tak bardzo go podziwiały, że naznaczyły go, kiedy umierał. I to był początek Nowej Ery. Trzeciej nocy po pogrzebie Dracula powrócił do świata żywych jako wampir. Jak by to powiedzieć? Stał się pierwszym nowoczesnym wampirem. Wcześniej wampiry były, no... dość odrażające. Żyły w zupełnej konspiracji, mieszkając w norach na cmentarzach niczym zwierzęta. Ale Vlad Dracula był władcą i nie zamierzał nosić łachmanów i żyć w jakichś jamach – w głosie Pam zabrzmiała duma.

Próbowałam wyobrazić sobie Erica mieszkającego w norze i noszącego łachmany, ale nie wyszło.

– Więc Stoker nie wymyślił sobie tego wszystkiego, opierając się tylko na podaniach ludowych?

– Częściowo tak. Oczywiście nie wiedział zbyt wiele o Draculi, jak go sam nazwał, bo niby skąd? Jedno spotkanie nie czyni wiosny, ale był tak podekscytowany możliwością poznania księcia, że zmyślił kilka detali, które

według niego miały historii dodać odrobinę pikanterii. Dracula nie był z tego zbyt zadowolony, ale w sumie ucieszył się, bo jego imię stało się znane. Podobna sytuacja miała miejsce z Ann Rice, która również podkoloryzowała wywiad z Louisem.

– Ale jego faktycznie tam nie będzie, prawda? Chyba na całym świecie wampiry będą świętować, co nie?

Pam odpowiedziała bardzo ostrożnie: – Niektórzy wierzą, że każdego roku zawsze gdzieś się niespodziewanie pojawia, ale szansa jest tak nikła, jak wygranie w lotto. Ale i tak część w to wierzy.

Usłyszałam głos Erica w tle: – Pam, z kim rozmawiasz?

– Okej – powiedziała Pam. Słowo to zabrzmiało bardzo amerykańsko przy jej brytyjskim akcencie. – Muszę lecieć, Sookie. Do zobaczenia.

Kiedy wkładałam telefon do torebki, odezwał się Sam: – Sookie, jeśli pójdziesz na to przyjęcie, to miej oczy dookoła głowy. Wampiry czasem zapominają się w Noc Draculi i za bardzo je ponosi.

– Dzięki, Sam – powiedziałam. – Będę uważać.

Nie musiał mi tego mówić. Nieważne, ile wampirów to twoi znajomi, i tak musisz się mieć na baczności. Wprawdzie od kiedy Japończycy wymyślili syntetyczną krew, jeden z problemów współistnienia został rozwiązany, ale ostrożności nigdy za wiele. Syntetyk pozwolił nieumarłym wyjść z ukrycia i zająć należne im miejsce w amerykańskim społeczeństwie. Brytyjskie i wschodnioeuropejskie też radzą sobie całkiem dobrze od Wielkiego Wyjścia – czyli dnia, w którym przez starannie wyselekcjonowanych przedstawicieli ogłosiły światu swą obecność. Jednakże te z Południowej Ameryki, jak i krajów muzułmańskich, chociaż jest ich obecnie niewiele, żałowały tej decyzji. Mieszkające w niegościnnych dla nich zakątkach świata, próbowały emigrować do krajów bardziej przyjaznych. Z tego powodu Kongres uchwalił kilka ustaw, próbując ograniczyć możliwość ubiegania się o azyl polityczny. To z kolei spowodowało wzrost liczby wampirów, które próbowały przedostać się przez zieloną granicę. Większość z nich szukała

szczęścia w Luizjanie, która była najbardziej tolerancyjna.

Wolałam myśleć o wampirach, niż słuchać myśli współobywateli. Oczywiście chodziłam od stolika do stolika i wykonywałam swoją pracę ze szczerym uśmiechem, bo lubiłam duże napiwki. Ale dziś nie byłam w stanie włożyć w nią zbyt wiele serca. Był ciepły lutowy dzień, około dziesięciu stopni, i myśli ludzi krążyły już wokół wiosny.

Staram się nie słuchać, ale jestem jak odbiornik radiowy, który odbiera wiele sygnałów. Niekiedy jestem w stanie dość dobrze kontrolować swój dar, ale nie zawsze. Dziś wyłapywałam zaledwie fragmenty myśli. Hoyt Fortenberry, najlepszy kumpel mojego brata, myślał o planach swojej matki, która chciała dosadzić jeszcze dziesięć krzaków róż w już i tak zarośniętym ogrodzie. Siedząc z posępną miną, zastanawiał się, ile czasu mu to zajmie. Arlene, moja przyjaciółka i zarazem druga kelnerka, rozważała, czy jest w stanie sprawić, aby jej najnowszy chłopak się oświadczył. Ten problem pojawiał się za każdym razem, kiedy poznawała kogoś nowego.

Podczas gdy mechanicznie wycierałam plamy po rozlanych napojach i roznosiłam udka kurczaków (była pora kolacji, więc i tłok spory), moje myśli krążyły wokół tego, jak zdobyć kreację na przyjęcie. Miałam jeszcze moją starą suknię ze studniówki (ręczna robota ciotki Lindy), ale, niestety, była już strasznie niemodna. Mam dwadzieścia sześć lat i do tej pory nie byłam niczyją druhną, więc nie dorobiłam się odpowiedniego stroju, który mógłby teraz się przydać. Nikt z moich przyjaciół nie brał jeszcze ślubu, z wyjątkiem Arlene, która wychodziła za mąż tak wiele razy, że nigdy nie pomyślała o posiadaniu świadków. Zaś te ciuchy, które kupowałam specjalnie na różnego rodzaju wampirze imprezy, zazwyczaj ulegały zniszczeniu, niekiedy w bardzo nieprzyjemny sposób.

Zwykle zaopatrywałam się w kreacje w sklepie mojej przyjaciółki Tary, ale ona zamykała przed osiemnastą. Tak więc po pracy pojechałam do centrum handlowego Pecanland w Monero. Poszczyło mi się. U Dillarda znalazłam suknię, która tak mi się podobała, że kupiłabym ją nawet wtedy,

gdyby nie była przeceniona. A ponieważ cenę obniżono ze stu pięćdziesięciu dolarów na dwadzieścia pięć, zakup uznałam za ogromny sukces. Kiecka była wściekle różowa, z cekinami na górze i szyfonem na dole. Bez żadnych pasków. Zwyczajnie prosta. Dobrałam do niej srebrne szpilki, również z wyprzedaży, i uznałam, że jeśli rozpuszczę włosy i ozdobię uszy perłowymi kolczykami po babci, będę wyglądać szalowo. Najważniejsza rzecz była załatwiona. Wysłałam jeszcze uprzejme potwierdzenie przybycia i byłam gotowa.

Trzy noce później, z suknią w pokrowcu, zastukałam do tylnych drzwi Fangtasii.

– Nie wyglądasz zbyt sztywnie – stwierdziła Pam, wpuszczając mnie do środka.

– Nie chciałam pognieść sukni – wyjaśniłam, idąc w stronę łazienki.

W drzwiach nie było zamka, więc Pam stała na zewnątrz, pilnując, aby nikt nie wszedł. Uśmiechnęła się z aprobatą, kiedy wyszłam.

– Nieźle, Sookie – oceniła.

Sama ubrana była w smoking uszyty ze srebrnej lamy. Wyglądała zjawiskowo.

– Eric będzie zachwycony – powiedziała.

Zaczerwieniłam się. Erica i mnie kiedyś coś łączyło, ale po przebytej amnezji nie jest tego świadomy.

– Jakby mnie obchodziło, co on sądzi – rzuciłam.

Pam uśmiechnęła się złośliwie.

– Oczywiście – powiedziała. – Jesteście sobie zupełnie obojętni.

Starałam się wyglądać po prostu tak, jakbym przyjęła jej słowa za dobrą monetę, nie zauważając nutki sarkazmu. Ku mojemu zdziwieniu Pam cmoknęła mnie w policzek.

– Dzięki, że przysłaś – dodała. – Może go trochę ożywisz. Jest nie do zniesienia od kilku dni.

– Dlaczego? – zapytałam, chociaż tak naprawdę to nie chciałam wiedzieć.

– Czy kiedykolwiek widziałaś *It's a Great Pumpkin, Charlie Brown*?
Zamurowało mnie.

– Jasne – powiedziałam. – A ty?

– O, tak – odrzekła Pam spokojnie. – Wiele razy. – Dała mi chwilę, żeby ta odpowiedź do mnie dotarła. – Przed Nocą Draculi zawsze się to powtarza ^[1]. Eric każdego roku wyobraża sobie, że to właśnie na jego przyjęciu zjawi się Książę. Denerwuje się i dokładnie wszystko planuje. Zamawia nawet dwukrotnie zaproszenia w drukarni, żeby mieć pewność, że będą na czas. Teraz, kiedy ten wieczór już nadszedł, jest właśnie w takim stanie jak Linus.

– Aha, przypadek wielkiego fana, któremu odbija?

– Zawsze znajdziesz odpowiednie słowa – powiedziała Pam z podziwem.

Stałyśmy przed biurem Erica i obydwie słyszałyśmy, jak w środku darł się na kogoś.

– Nie jest zadowolony z barmana. Poza tym wydaje mu się, że jest za mało butelek krwi, którą, według wywiadu w „American Vampire”, Książę lubi najbardziej.

Próbowałam usilnie wyobrazić sobie Władę Palownika podczas pogawędki z reporterem. Raczej nie chciałabym być tą osobą, która trzyma notatnik i ołówek.

– A jaki to gatunek? – zapytałam, próbując podtrzymać rozmowę.

– Mówi się, że Książę Ciemności preferuje szlachetną krew.

– Hmm... Czemu nie jestem zdziwiona?

Szlachetna krew była niezmiernie rzadkim gatunkiem. Do tej pory myślałam, że jej istnienie jest tylko legendą. Składa się po części z syntetyku i krwi prawdziwej, i to błękitnej. Jeżeli wyobrażacie sobie wampiry rządzące zasadzkę na księcia Williama, to się mylicie. Jest wielu przedstawicieli uboższej szlachty, którzy są szczęśliwi, mogąc oddać nieco płynów ustrojowych za astronomiczną sumę.

– Po długich korowodach udało nam się załatwić dwie butelki – Pam była

przygnębiona. – Kosztowały nas o wiele więcej, niż mogliśmy zapłacić. Nigdy nie sądziłam, że mój stwórca jest tak nierozsądny. Ale w tym roku posunął się stanowczo za daleko. Zamówiony przez niego gatunek psuje się szybko ze względu na proporcje. A do tego Eric martwi się teraz o to, że dwie butelki nie wystarczą. Jest tyle legend dotyczących Draculi. Ponoć on będzie pił tylko szlachetną krew albo... prawdziwą.

– Prawdziwą? Ale to jest wbrew prawu! Chyba że dawca wyrazi zgodę.

Każdy wampir, który napił się ludzkiej krwi wbrew woli człowieka, podlegał karze śmierci. W takiej sytuacji miał do wyboru dwie opcje pożegnania się ze światem: wbicie kołka w serce lub wystawienie na światło słoneczne. Egzekucję zwykle wykonuje inny nieumarły, który jest opłacany przez państwo. Zawsze uważałam, że ten, kto posuwa się do zdobycia siłą ludzkiej krwi, zasługuje na śmierć. Poza tym było wystarczająco dużo szaleńców, którzy dobrowolnie stawali się dawcami.

– I żadne dziecię nocy nie może podnieść ręki na Draculę – powiedziała nagle Pam, jakby czytała moje myśli. – Oczywiście, że nie zamierzamy atakować naszego Księcia – dodała gorliwie.

Jasne, pomyślałam.

– Jest otaczany taką czcią, że każdy wampir, który spróbowałby go zaatakować, musiałby skończyć na słońcu. Mamy również obowiązek wspomagać Pana finansowo.

Zastanawiałam się chwilę, czy muszą mu również czyścić kły.

Drzwi od biura otworzyły się tak gwałtownie, że odbiły się od ściany i zamknęły z hukiem. Ponownie zostały pchnięte, ale tym razem łagodniej, i wyszedł przez nie Eric.

Nie mogłam się na niego nie gapić. Wyglądał tak apetycznie, że miałam ochotę go zjeść. Był wysoki i dobrze zbudowany. Jego szyty na miarę smoking leżał na nim równie dobrze jak na Jamesie Bondzie. Czarny materiał bez ani jednego pyłku, śnieżnobiała koszula i ręcznie zawiązana muszka były szczytem elegancji. Obrazu idealnego mężczyzny dopełniały kaskady

pięknych blond włosów, które opadały mu na plecy.

– James Bond – wyszeptalam.

Oczy Erica płonęły pełne podniecenia. Bez słowa złapał mnie i odchylił do tyłu, tak jakbyśmy właśnie tańczyli, po czym złożył na moich ustach namiętny pocałunek. O rany, o rany, o rany! Kiedy zaczęłam drżeć, przywrócił mnie do pionu. Jego zabójczy uśmiech odsłonił połyskujące kły. Eric był wyraźnie z siebie zadowolony.

– Tobie też cześć – powiedziałam zgryźliwie, kiedy byłam już pewna, że znowu oddycham.

– Moja smakowita przyjaciółka – wymruczał i ukłonił się.

Nie jestem pewna, czy mogłabym zostać nazwana przyjaciółką, i musiałam uwierzyć mu na słowo, że byłam smaczna.

– Jaki jest program na dzisiejszy wieczór? – zapytałam, mając nadzieję, że mój gospodarz szybko się uspokoi.

– Będziemy tańczyć, pić krew, oglądać występy i czekać na przybycie Księcia – powiedział. – Tak się cieszę, że jesteś tu dziś wieczór. Mamy wielu specjalnych gości, ale ty będziesz jedyną telepatką.

– Okej – powiedziałam słabo.

– Wyglądasz wyjątkowo ślicznie tego wieczoru – orzekł Lyle, który stał tuż obok. Nawet go nie zauważyłam. Nie miał nabytej przez tysiące lat prezencji Erica.

Był drobny i miał włosy jak szczotka. No i był gościem z Aleksandrii, odwiedzającym słynną Fangtasię. Miał zamiar otworzyć u siebie podobny bar dla wampirów. Lyle niósł małą chłodziarkę, uważając, aby jej nie przechylić.

– Szlachetna krew? – powiedziała Pam neutralnym głosem.

– Mogę zobaczyć? – zapytałam.

Eric podniósł wieko i pokazał mi zawartość – dwie niebieskie butelki (założyłam, że to od błękitnej krwi) ozdobione rysunkiem tiary i dwoma słowami *Szlachetna Krew* napisanymi gotykiem.

– Bardzo ładne – powiedziałam od niechcienia, jakby nie robiło to na mnie

żadnego wrażenia.

– Będzie bardzo zadowolony – oznajmił Eric.

Nigdy nie słyszałam w jego głosie tyle szczęścia.

– Mówisz tak, jakbyś wiedział, że on, to znaczy Dracula, się pojawi – powiedziałam.

Ponieważ hall zaczął zapełniać się gośćmi, przerwaliśmy na moment rozmowę i przeszliśmy do otwartej dla wszystkich części klubu.

– Udało mi się odbyć biznesową rozmowę z doradcą finansowym księcia – odpowiedział po chwili Eric. – Udało mi się nader mocno wyrazić, jak bardzo obecność Pana będzie zaszczytem dla mnie i dla mojego lokalu.

Pam przewróciła oczami.

Przekupiłeś go. Stąd to podniecenie i zakup szlachetnej krwi.

Nigdy nie podejrzewałam, że Eric może otaczać wręcz kultem kogoś innego niż samego siebie. Nie przypuszczałam również, że wydałby kiedykolwiek tyle pieniędzy na coś takiego. Był szarmancki i przedsiębiorczy, dbał o swoich pracowników, ale pierwsze miejsce na liście osób podziwianych przez Erica zajmował on sam. Własne powodzenie było dla niego najważniejsze.

– Droga Sookie, wyglądasz na niespecjalnie podekscytowaną – powiedziała Pam z sarkazmem, szczerząc się do mnie.

Uwielbiała dogryzać, a dziś trafiła na podatny grunt. Stała z miną niewiniątka, podczas gdy Eric spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Nie wierzysz, że tak się stanie, Sookie? – zapytał.

Stojący za nim Lyle przewrócił oczami. Wyraźnie miał dość fantazji gospodarza. I pomyśleć, że chciałam tylko przyjść na przyjęcie w ładnej sukni i dobrze się bawić, a stałam się uczestnikiem jakiejś poważnej dyskusji.

– Przecież niedługo się dowiemy, nieprawdaż? – powiedziałam pogodnie i Eric wydał się tym usatysfakcjonowany. – Klub wygląda świetnie.

Fangtasia była najbardziej typowym lokalem, jaki moglibyście sobie wyobrazić. Betonowe podłogi, krzesła i stoły wykonane z metalu, a na

ścianie wielki szaro-czerwony neon. Nie mogłam uwierzyć, że klub aż tak bardzo się zmienił. Z sufitu zwisały białe sztandary z godłem przedstawiającym czerwonego niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach i z przednią uniesioną, jakby gotową do uderzenia.

– To jest replika osobistej flagi hrabiego – powiedziała Pam, zauważając moje pytające spojrzenie. – Eric zapłacił historykowi w LSU, aby ją odszukał. – Wyraz jej twarzy mówił, że ktoś tu nieźle zarobił.

W centralnym punkcie parkietu stał tron na małym podeście. Po dokładniejszych oględzinach stwierdziłam, że wypożyczono go z teatru. Został wprawdzie pokryty nowym czerwonym suknem dla wygody księżęcego tyłka i stał dokładnie pośrodku ciemnoczerwonego dywanu, ale z bliska nie prezentował się już tak okazale. Wszystkie stoły, nakryte białymi lub ciemnoczerwonymi obrusami, ozdobione zostały skomplikowanymi kompozycjami kwiatowymi. Kiedy uważnie przyjrzałam się bukietom, wybuchnęłam śmiechem. Pośród płataniną goździków i liści umieszczono miniaturowe trumny oraz sporej wielkości paliki. Ten rodzaj poczucia humoru wyraźnie wskazywał na Erica.

Zamiast WDED-u, wampirzej stacji radiowej, z głośników dobiegała bardzo emocjonalna muzyka smyczkowa, która była zarówno skoczna, jak i płaczliwa.

– Muzyka z Transylwanii – powiedział Lyle. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. – Później DJ Księżę Śmierci zabierze nas w muzyczną podróż. – Lyle wyglądał tak, jakby wolał zjeść ślimaki.

Przy jednej ze ścian wypatrzyłam mały bufet z zakąskami dla tych, którzy posilali się bardziej stałym pokarmem, i fontannę krwi dla tych, którzy woleli coś płynnego. W fontannie krew spływała kaskadami do wielkiej misy z mlecznobiałego szkła. Dookoła ustawione były kryształowe czary. Musiało to sporo kosztować.

– Czadowo – powiedziałam cicho, gdy Eric i Lyle podeszli do baru.

Pam przytaknęła.

– Trochę wydaliśmy – dodała.

Pomieszczenie było oczywiście pełne wampirów. Rozpoznałam kilkoro z nich: Indira, Clancy, Maxwell Lee i Bill Compton, mój były. No i jeszcze przynajmniej z dwudziestu innych, mieszkających w Piątym Obszarze, którego zwierzchnikiem był Eric. Spotkałam ich może raz czy dwa razy w życiu. Reszta, na czele z barmanem, była mi nieznana, ale rotacja barmanów w Fangtasii była dość duża, więc nie widziałam w tym nic dziwnego.

Było również kilku przedstawicieli luizjańskiej społeczności istot nadnaturalnych, którzy nie zaliczali się ani do ludzi, ani do wampirów, między innymi pułkownik Flood, przywódca stada wilkołaków z Shreveport oraz Calvin Morris, szef panterołaków, zamieszkujących okolice Hot Shot. Pułkownik Flood, emerytowany pilot, siedział sztywno w fotelu, odziany w równie sztywny garnitur, podczas gdy Calvin, ubrany w strój wieczorowy własnego pomysłu – kraciatą koszulę, jeansy, buty z cholewami i czarny kowbojski kapelusz – czuł się najwyraźniej swobodniej. Gdy mnie zauważył, kiwnął głową z podziwem. Skinięcie głowy pułkownika Flooda było nieco chłodniejsze, ale i tak miłe.

Eric zaprosił również niskiego, barczystego mężczyznę, który bardzo przypominał mi jednego goblina, którego kiedyś znałam. Byłam pewna, że ten gość jest jednym z członków tej rasy. Gobliny są drażliwe i strasznie silne, a kiedy są wściekłe, ich dotyk parzy. Postanowiłam więc trzymać się od niego z daleka. Był pochłonięty rozmową z jakąś kobietą, ubraną w zbieraninę liści i winorośli, której obecnością nie chciałam zawracać sobie głowy.

Żadnych wrózek oczywiście nie było, gdyż są one tak toksyczne dla wampirów jak „woda z cukrem dla kolibrów”.

Za barem stał najnowszy nabytek ekipy Fangtasii, niski, krzepki mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami. Miał rzucający się w oczy nos i ogromne oczy. Ponadto, przygotowując zamówione drinki, co chwila wybuchał gromkim śmiechem.

– Kto to jest? – spytałam Pam, wskazując na bar. – I co to za towarzystwo przy kontuarze? Czy rewir Erica się rozszerzył?

– Jak nakazuje protokół, jeśli podróżujesz w Noc Draculi, powinieneś się zgłosić do biura najbliższego szeryfa i razem z nim świętować. Dlatego są tu wampiry, których wcześniej nie znałaś. Natomiast nowy barman to Milos Griesniki, świeżo przybyły imigrant ze Starych Krajów. Jest obrzydliwy – odpowiedziała.

Spojrzałam na Pam.

– Jak to? – zapytałam.

– Typ donosiciela, który dodatkowo za bardzo lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

Nigdy nie słyszałam, żeby Pam wyrażała tak zdecydowaną opinię o kimkolwiek, więc zaczęłam mu się przyglądać z zaciekawieniem.

– Stara się wywęszyć, ile pieniędzy ma Eric, ile zarabia na barze i ile płaci naszym ludzkim kelnerkom.

– A propos. Gdzie one są?

Obsługa lokalu i reszta wampiromaniaków była zawsze widoczna, zwłaszcza że ubierali się na czarno i bielili twarze. Wyglądali prawie tak, jak prawdziwe wampiry.

– Jest dla nich dziś zbyt niebezpiecznie – powiedziała Pam. – Indira i Clancy obsługują gości.

Indira miała na sobie przepiękne sari. Zwykle nosiła jakieś jeansy i T-shirty, więc teraz naprawdę była wystrojona. Czerwonowłosy i niebieskooki Clancy także wyglądał wyjątkowo. Ubrany był w garnitur, a zamiast krawata miał apaszkę zawiązaną w nonszalancki węzeł. Kiedy zauważył mój wzrok, zaprezentował się w całej okazałości, domagając się wyrażenia podziwu. Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową z aprobatą, choć wolałam Clancy'ego w zwykłych ciuchach i tych jego glanach.

Eric krążył pomiędzy stolikami, witając się z gośćmi. Część przytulał, części się kłaniał, a z resztą rozmawiał, zachowując się raczej jak starszy brat

niż gospodarz. Nie wiedziałam, czy uznać to za coś słodkiego, czy irytującego. Stwierdziłam, że jedno i drugie równocześnie. Wreszcie odkryłam jakąś słabą stronę Erica!

Porozmawiałam kilka minut z pułkownikiem Floodem i Calvinem. Pułkownik był jak zwykle miły i na dystans. Niezbyt przejmował się niewilkołakami, zwłaszcza odkąd przeszedł na emeryturę i prawie w ogóle nie miał styczności z ludźmi. Calvin natomiast pochwalił się, że sam położył dach w swoim domu, oraz zaprosił mnie na ryby, kiedy będzie cieplej. Uśmiechnęłam się do niego, ale do niczego się nie zobowiązałam. Propozycja mogłaby być interesująca dla mojej babci, która namiętnie wędkowała. Nie podzielałam tej pasji, znam inne zajęcia, przy których wolę się nudzić.

Postanowiłam zobaczyć, jak Pam wypełniała obowiązki zastępcy. Upewniała się, czy wszystkie przyjezdne wampiry były zadowolone, i ostro strofowała nowego barmana, kiedy pomylił zamówienie. Milos Griesniki w odpowiedzi zawył, co sprawiło, że ciarki przeszły mi po plecach. Ale Pam doskonale radziła sobie sama, więc nie było powodu do obaw.

Clancy, który zarządzał klubem w ostatnim miesiącu, sprawdzał, czy na stolikach nie było brudnych szklanek i czy popielniczki są opróżniane. Kiedy DJ Księżę Śmierci przejął pałeczkę, muzyka zmieniła się na bardziej skoczną i część wampirów udała się na parkiet, oddając się płąsom z taką namiętnością, jaką tylko nieumarli potrafili okazać.

Calvin zatańczył ze mną kilka razy, ale nasze umiejętności miały się nijak do popisów wampirzych tancerzy. Eric poprosił mnie do typowej pościelówki, ale jego myśli wyraźnie krążyły wokół tego, co mogła przynieść noc.

– Cóż za noc – wyszeptał. – Nie będzie nic innego, tylko ja i ty.

Kiedy piosenka się skończyła, podeszłam do stolika, aby ochłodzić się drinkiem z dużą ilością lodu.

Przed północą wampiry zaczęły się zbierać w okolicach fontanny z krwią, napełniając kryształowe puchary. Reszta gości również się podniosła, a kiedy

i ja wybrałam sobie odpowiedni punkt obserwacyjny, gospodarz przyjęcia pojawił się z gongiem i zaczął weń uderzać. Gdyby był człowiekiem, powiedziałabym, że jest rozpalony do czerwoności z podniecenia, ale ponieważ był wampirem, to tylko jego oczy płonęły. Wyglądał zarówno pięknie, jak i strasznie.

Kiedy rozbrzmiał ostatni gong, Eric podniósł swój puchar i rzekł: – W tym pamiętnym dniu stoimy pełni szacunku i mamy nadzieję, że Księżę Ciemności zaszczyci nas swoją obecnością. O Księżę! Ukaż się nam!

– Mój wierny synu, objawię się!

Milos Griesniki wykuśtykał zza baru, zdejmując smoking, pod którym miał obcisły trykot zrobiony z jakiegoś czarnego materiału. Czegoś takiego spodziewałabym się ewentualnie na dziewczynie, która wybiera się na studniówkę i nie ma pieniędzy, a próbuje wyglądać nietypowo i zarazem seksownie. Jednak barman, ze względu na kręłą sylwetkę, ciemne włosy i wąsy, wyglądał raczej jak jakiś akrobata z podrzędnego cyrku.

Wszędzie było słycać ciche szmery. Calvin powiedział: – O kurwa!

Pułkownik Flood przytaknął.

Barman skłonił się dystyngowanie przed Erikiem, który odpowiedział nieco mniej zręcznym ukłonem, jako że obiekt jego hołdu był znacznie niższy.

– Panie – powiedział Eric – jestem uradowany, że zaszczyciłeś nas... Że tutaj jesteś... W ten dzień, w te wszystkie dni... Nie posiadam się z rado...

– Cholerny pozer – mruknęła Pam do mojego ucha.

Nawet nie zauważyłam, że pojawiła się obok podczas tego całego gwaru, jaki wypełnił salę po nieoczekiwanym entree barmana.

– Tak sądzisz?

Oglądałam spektakl w wykonaniu dystyngowanego i pewnego siebie Erica, który właśnie zaczynał klękać.

Dracula uciszył Erica w pół słowa skinieniem dłoni. Reszta wampirów też zamilkła.

– Jako że jestem tu incognito od tygodnia – powiedział twardym, lecz niedrażniającym uszu akcentem – i spodobało mi się to miejsce, postanowiłem zostać tu przez rok. Przyjmę twoją daninę, lecz kiedy będę tutaj mieszkał, pragnę żyć na takim poziomie, do jakiego przywykłem. Szlachetna krew jest dobra jako namiastka, ale ja, Dracula, nie uznaję tego nowoczesnego nawyku picia erzaców. Będę potrzebował jednej kobiety dziennie. Ta będzie dobra na początek.

Wskazał na mnie. Pułkownik Flood i Calvin od razu przysunęli się bliżej. Byłam im wdzięczna za ten gest. Wampiry wydawały się zakłopotane, co dziwnie wyglądało na ich nie całkiem żywych obliczach. Bill zbladł jak wyssana dziewczyna.

Eric podążył oczami za palcem Vlada Tepesa, wiedząc już, na kogo ten wskazuje, a potem jego wzrok powrócił do Księcia. Nie byłam w stanie nic wyczytać z twarzy gospodarza i poczułam strach. Co by zrobił Charlie Brown, gdyby wiedział, że Wielka Dynia chciała zjeść małą rudą dziewczynkę?

– Jeśli chodzi o moje potrzeby finansowe, to nakładam dziesięć na twój klub. Domagam się też domu o wysokim standardzie oraz służby. Twoja zastępczyni albo manager klubu będą odpowiedni.

Pam warknęła, sprawiając, że włosy zjeżyły mi się na karku. Clancy wyglądał natomiast tak, jakby ktoś skopał jednego z jego psów.

Zastępczyni Erica, schowana za moimi plecami, zaczęła grzebać w wiązance, która znajdowała się na stole. Po chwili poczułam, że wpycha coś do mojej dłoni. Spojrzałam w dół.

– Ty jesteś tym człowiekiem – wyszeptała.

– Chodź, dziewczyno – powiedział Dracula, kiwając na mnie palcem. – Jestem głodny. Podejdź do mnie i dostaj zaszczytu przed wszystkimi zgromadzonymi.

Pomimo że zarówno pułkownik Flood, jak i Calvin jednocześnie złapali mnie za ręce, uwolniłam się z ich uścisku i powiedziałam, patrząc na nich: –

To nie jest warte waszego życia. Zabiją was, jeśli będziecie próbowali walczyć. Nie martwcie się.

Chciałam, by zabrzmiało to pewnie. Nie wiem, co dokładnie zrozumieli, ale chyba uznali, że mam jakiś plan.

Starłam się iść w stronę barmana tak, jakbym była zahipnotyzowana. Dracula nie wiedział, że hipnoza na mnie nie działa, najwyraźniej nie dopuszczał do siebie nawet cienia takiej możliwości.

– Panie, jak uciekłeś ze swojego grobowca w Targoviste? – zapytałam, starając się mówić tak, jakbym była pod jego wpływem. Trzymałam rękę wzdłuż ciała w taki sposób, że różowy szyfon zasłaniał moje dłonie.

– Wielu zadawało mi już to pytanie – powiedział Pan Ciemności, pochylając swoją głowę z gracją.

Eric wyprostował się gwałtownie, marszcząc równocześnie czoło.

– Ale ta historia musi poczekać, moja piękna. Cieszę się, że pozostawiłaś swoją szyję odsłoniętą dziś wieczór. Podejdź bliżej... ARGH...!

– To za nieciekawą konwersację – powiedziałam drżącym głosem, próbując wbić palik głębiej.

– A to za moje zażenowanie – powiedział Eric, wieńcząc dzieło uderzeniem pięści.

Książę gapił się na nas z trwogą, gdy kołek zniknął w jego klatce piersiowej.

– Jak śmiałeś... Jak śmiałeś – wycharczał niski wampir. – Zostaniesz stracony.

– Nie wydaje mi się – powiedziałam.

Hrabia zbladł, a jego oczy zrobiły się puste. Płatki skóry zaczęły odpadać z jego kurczącego się ciała.

Samozwańczy Dracula upadł na podłogę, a ja rozejrzałam się niepewnie dookoła. Tylko obecność Erica i jego współudział powstrzymały zgromadzone wampiry przed rzuceniem się na mnie. Najbardziej niebezpieczne były te przyjezdne. Te, które mnie znały, zawahałyby się.

– On nie był Draculą! – powiedziałam najgłośniejszym i najwyraźniej jak potrafiłam. – On był oszustem!

– Zabić ją! – powiedziała chuda wampirzyca z krótkimi brązowymi włosami. – Zabić morderczynię – powtórzyła z ostrym akcentem, który zabrzmiał jak rosyjski.

Byłam już zmęczona tą nową grupą wampirów. Też coś, morderczynię! Przyganiał kocioł garnkowi, pomyślałam.

– Czy rzeczywiście sądzicie, że ten wsiok był Księciem Ciemności? – mówiąc to, wskazywałam równocześnie na skurczone ciało, które trzymało się tylko dzięki trykotowi.

– On nie żyje. Kto zabije Draculę, musi umrzeć – powiedziała cicho Indira. Ale w jej głosie nie było chęci ataku.

– Wampir, który zabije Draculę, musi umrzeć – poprawiła ją Pam.

– Sookie nie jest wampirem, a to nie był Dracula.

– Ona zabiła kogoś, kto podszywał się pod naszego stwórcę – powiedział Eric tak głośno, żeby słyszał go cały klub. – Milos nie był prawdziwym Draculą. Sam bym go zadźgał, gdybym był przy zdrowych zmysłach.

Obejmowałam Erica ramieniem i czułam, że się trzęsie.

– Skąd to wiesz? Jak człowiek, przebywając kilka chwil w jego obecności, mógł stwierdzić, czy jest to prawdziwy Dracula, czy nie? Sprawiał wrażenie prawdziwego – te słowa padły z ust barczystego wampira mówiącego z francuskim akcentem.

– Vlad Tepes był pochowany w klasztorze w Snagov – powiedziała spokojnie Pam i wszyscy na nią skierowali swoją uwagę. – Sookie zapytała go, jak uciekł ze swojego grobowca z Targoviste.

To ich uciszyło, przynajmniej na chwilę. Zaświtała mi nadzieja, że jednak przeżyję dzisiejszą noc.

– Rekompensata musi zostać uczyniona jego stwórcy – zauważył wysoki wampir. Uspokoił się w ostatnich kilku minutach.

– Jeżeli będziemy w stanie zidentyfikować jego stwórcę, to oczywiście –

powiedział Eric.

– Poszukam w mojej bazie danych – zaproponował Bill.

Stał przez cały wieczór w cieniu, skąd przyglądał się przyjęciu.

Teraz wyszedł z cienia, a jego ciemne oczy odszukały mnie tak, jak reflektor z policyjnego helikoptera szukający zbiegów.

Wszystkie wampiry rozglądały się dookoła. Nikt nie podszedł bliżej, aby domagać się rekompensaty za zniszczenie Milosa.

– Nie zapominajmy – powiedział gładko Eric – że to wydarzenie powinno pozostać tajemnicą, dopóki nie będziemy znali więcej szczegółów.

Uśmiechnął się delikatnie, pokazując cały zestaw kłów.

– Co się dzieje w Shreveport, zostaje w Shreveport – dodał.

Dało się słyszeć pomruk aprobaty.

– Co wy na to, drodzy goście? – Eric zapytał gości, którzy nie byli wampirami.

Pułkownik Flood odpowiedział: – Sprawy wampirów nie są sprawami stada. Nie obchodzi nas, czy zabijacie się nawzajem. Nie wtykamy nosa w wasze sprawy.

Calvin rzucił: – Panterołaków też to nie obchodzi.

– Ja już nic nie pamiętam – powiedział goblin, a towarzysząca mu nadal kobieta ubrana w zbieraninę liści i winorośli przytaknęła i wybuchnęła śmiechem. Inne niewampiry również zgodziły się z goblinem.

Nikt nie nagabywał mnie o odpowiedź. Wszyscy uznali moje milczenie za aprobatę.

Pam odciągnęła mnie na bok i otarła się o moją nogę. Spojrzałam w dół i zobaczyłam dużą plamę świeżej krwi na sukni. Szlag! Nie będę mogła jej już założyć.

– Szkoda, wyglądasz tak dobrze w różowym – powiedziała Pam.

Już chciałam ofiarować jej tę suknię, ale stwierdziłam, że tego nie zrobię. Pomyślałam, że zaniosę ją do domu i spalę. Wampirza krew na mojej sukni? Nie była to pamiątka, którą chciałabym powiesić w swojej szafie. Jeśli życie

mnie czegoś nauczyło, to tego, żeby pozbywać się wszystkiego, co miało kontakt z krwią nieumarłych.

– To, co zrobiłaś, było bardzo odważne – powiedziała Pam.

– On zamierzał mnie ugryźć – odparłam. – Na śmierć.

– Jednakże...

Nie podobało mi się wyrachowanie w jej wzroku.

– Dziękuję, że pomogłaś Ericowi wtedy, kiedy ja nie mogłam – dodała Pam. – Mój stwórca jest bardzo naiwny, jeśli chodzi o Księcia.

– Zrobiłam to, bo on chciał wyssać moją krew – odpowiedziałam.

– Szukałaś trochę na temat Vlada Tepesa?

– Tak. Poszłam do biblioteki, po tym jak mi powiedziałaś o prawdziwym Draculi, i poszukałam w Google.

Oczy Pam błysnęły.

– Legenda mówi, że prawdziwemu Vladowi III odcięto głowę przed pochowaniem go.

– To jest jedna z teorii – powiedziałam.

– Ale ty wiesz, że żaden wampir nie przeżyje odcięcia głowy.

– Nie sądzę, że mógłby.

– Czyli wiesz, że to wszystko może być jedną wielką bzdurą?

– Pam – powiedziałam trochę zszokowana – mogłoby być. Ale również mogłoby nie być. Przecież Eric mówił, że rozmawiał z kimś, kto był przedstawicielem biznesowym prawdziwego Draculi.

– A ty wiedziałaś, że Milos nie był prawdziwym Draculą od momentu, kiedy się ukazał.

Wzruszyłam ramionami. Pam pokiwała głową.

– Jesteś zbyt miękka, Sookie Stackhouse. Pewnego dnia cię to zgubi.

– Nie wydaje mi się – powiedziałam.

Patrzyłam na Erica, na jego opadające złote włosy, gdy nachylał się nad znikającymi resztkami samozwańczego Księcia Ciemności. Przez chwilę czułam tysiące lat przygniatające go do ziemi. Nagle zobaczyłam w jego

oczach taką nadzieję, jaką mają dzieci na Gwiazdkę.
– Może w przyszłym roku? – powiedział.



Christopher Golden

Jest autorem takich książek, jak: *Łowcy mitów (Myth Hunters)*, *Wildwood Road*, *O świętych i cieniach (Of Saint and Shadows)*, oraz cyklu thrillerów dla młodzieży *Dowód ciała (Body of Evidence)*. Razem z Thomasem E. Sniegoskim współtworzył cykl *Menażeria (Menagerie)*, serię *Wygnaniec (Out Cast)* – fantasy dla młodszych czytelników, oraz miniserię komiksów pt. *Talent (Talent)*. Golden urodził się, wychował i nadal mieszka wraz z rodziną w stanie Massachusetts. Obecnie współpracuje z Mikiem Mignolą, twórcą *Hellboya*, nad kolejną częścią powieści. Odwiedźcie go na www.christophergolden.com

Smutna pieśń sów



W ciepły letni wieczór Donika Ristani siedziała na dachu przed otwartym oknem swojego pokoju. W rękach trzymała gitarę akustyczną i szukała dźwięków, które tchnęłyby życie w muzykę, jaką w sobie czuła. Dachówki były jeszcze ciepłe od słońca, które zaszło godzinę temu. W powietrzu nadal unosiła się typowo letnia woń żywicy, wymieszana z zapachem świeżo skoszonej trawy. Ta mieszanka doznań powstrzymywała umysł dziewczyny przed odpłynięciem w krainę fantazji. W pokoju grało radio, konkurując z wabiącą między drzewa muzyką lasów rozpościerających się dookoła domu. Szarpanie strun tworzyło kolejną, trzecią melodię, która wprowadzała równowagę pomiędzy dźwiękami radia i lasu.

Joe Jackson śpiewał *Czy ona naprawdę się z nim spotyka*. Donika nawet

lubiła tę piosenkę, ale jej nie słuchała, myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się nad tym, kim jest wewnątrz i na zewnątrz. Nad tym, kim była za sprawą matki, i nad tym, co mówiły jej instynkty. Bezwiednie zaczęła grać *Taxi Harry'ego Chapina* i śpiewać dziwny fragment ze środka piosenki:

*Pozwalałem, żeby moje wnętrze zalewał,
dopóki mój czas się nie skończy.*

Rzeczywistość frustrowała dziewczynę do tego stopnia, że przestała grać. Przebiegła wzrokiem wzdłuż podjazdu do zakrytej ciemną kurtyną Blackberry Lane, wypatrując świateł samochodowych oznaczających powrót matki. Nie widząc żadnego migotania na drodze, spojrzała w stronę ścieżki prowadzącej do domu Josha Ortona. Wiedziała, że czeka już na nią, i mogła sobie wyobrazić obejmujące ją ramiona.

Wydała z siebie coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem. Czasami sama nie była w stanie dostrzec różnicy.

Didżej zapowiedział chłodnym głosem kolejny utwór. Donika uśmiechnęła się i zaczęła grać pierwsze takty, zanim dobiegły z radia. To była *Rock and Roll Fantasy* Bad Company. Pomimo że na ścianach jej pokoju wisiały plakaty Pink Floyd, Black Sabbath czy Led Zeppelin, tak naprawdę Donika lubiła słuchać po trochu wszystkiego. Pewnie jej najlepsze przyjaciółki śmiałyby się z kawałków, jakie śpiewała razem z radiem. A może i nie. Zresztą nieważne. Większość z nich i tak uważała, że Donna Summer jest szczytem osiągnięć muzycznych.

Teraz żałowała, że nie słuchała uważniej piosenki Joego Jacksona. Być może będzie musiała podebrać trochę kasy, którą zarobiła jako opiekunka do dzieci, żeby kupić ten album.

Palce, jakby bez udziału woli, sunęły po gryfie, samodzielnie znajdowały właściwe chwyt, kiedy tak po raz pierwszy grała ze słuchu piosenkę Bad Company. Było to równie łatwe jak śpiewanie z wokalistą. Świerszcze usiłowały zagłuszyć dźwięki gitary, ale nie zwracała na to uwagi. Radio

zaczęło trochę trzeszczeć. Jakieś zakłócenia związane pewnie z pogodą albo przelatującym samolotem. Nie rozumiała tych rzeczy za dobrze. Włącz pudełko, a z pudełka popłynie muzyka. Cóż więcej trzeba wiedzieć?

Upał dnia nadal tkwił w ciele tak jak w dachówkach. Nie było już tej strasznej wilgoci w powietrzu, więc przynajmniej to zmieniło się na lepsze. Choć dziewczyna miała na sobie podkoszulek bez rękawów i ucięte jeansy, było jej tak ciepło, jakby słońce zamiast za linię horyzontu zaszło pod jej skórę i miało tam pozostać do rana.

Z lasu dobiegało pohukiwanie sów i Donika, próbując odnaleźć je pomiędzy drzewami, od razu zgubiła rytm piosenki, którą grała. Ludzie uważali sowy za śmieszne ptaki, ale ona zawsze czuła, że w ich pohukiwaniu jest coś jeszcze – straszna samotność, która i jej nie była obca lub która i jej była bliska.

Obserwowała światła samochodu sunące powoli po Blackberry Lane i wstrzymała oddech na kolejną myśl o Joshu. Kiedy znikły w oddali, westchnęła i położyła się, dotykając plecami ciepłych, szorstkich dachówek. Przycisnęła do siebie gitarę i zastanawiała się, czy Josh siedział przed domem, czekając na nią, czy leżał na łóżku w swoim pokoju, słuchając muzyki. Obydwie wizje miały swój urok.

Jakoś umknął jej dźwięk podjeżdżającego auta, zauważyła je dopiero kiedy usłyszała odgłos opon na podjeździe. Donika wysunęła głowę poza krawędź dachu i obserwowała, jak stary dodge dart matki zatrzymał się pod domem. Samochód wydał z siebie kilka kaszlnięć i otworzyły się drzwi.

– Nika, zejdz z dachu!

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Ta kobieta miała sokoli wzrok, nawet w ciemności.

Odłożyła gitarę i wślizgnęła się przez okno do pokoju. Zeszła na dół i zastała matkę w kuchni, przeglądającą pocztę.

Qendressa Ristani miała kruczoczarne, choć przyprószone już siwizną, mocno ściągnięte do tyłu włosy. Pomimo że nie skończyła jeszcze

pięćdziesiątki, sposób, w jaki się czesała i ubierała, był bardziej odpowiedni dla babci. Wprawdzie przestała chodzić w czerni jakieś dziesięć lat temu, jednak nadal uważała się za wdowę. Była ładniejsza niż większość kobiet w jej wieku, ale nie zachęcała mężczyzn, żeby z nią flirtowali. Owdowiała dość wcześnie i nie miała najmniejszej chęci zastąpić jedyne go mężczyzny, którego kiedykolwiek kochała, innym.

Jej życiem była pracownia krawiecka w centrum miasta oraz dom, który urządziła dla siebie i swojej córki dziesięć lat temu, po przyjeździe do Ameryki. Choć dość szybko zaaklimatyzowała się w nowych warunkach, wychowanie, jakie odebrała w Starym Świecie, nadal dawało o sobie znać. Używała na przykład rozmaitych ziół i olejków jako domowych leków na różnego rodzaju choroby, zarówno fizyczne, jak i duchowe.

– Jak ci minął dzień, mamó?

– Jak zwykle – padła znana odpowiedź.

Donika zaczęła zakładać sandały i kiedy już miała je na stopach, zorientowała się, że matka upuściła pocztę na stół i przygląda jej się z napięciem.

– Gdzie idziesz?

– Do Josha. Sue i Carrie oraz kilku przyjaciół Josha już u niego są i czekają na mnie. Idziemy do miasta na pizzę.

– Idziesz na spotkanie z chłopakami tak ubrana?

Donika poczerwieniała ze złości i wstała raptownie z krzesła.

– Posłuchaj, mamó. Musisz się pozbyć tych rzeczy ze swojej głowy. Mamy teraz rok siedemdziesiąty dziewięty, a nie pięćdziesiąty i jesteśmy w Massachusetts, a nie w Albanii. Chcesz, żebym była w domu, jak wracasz z pracy, żebyś się nie martwiła? To jestem. Choć tego nie lubię, jakoś to rozumiem. Rozejrzyj się dookoła. Nie ubieram się inaczej niż inne dziewczyny. Włącz telewizor raz na jakiś czas, to...

– Telewizja – wymamrotała Qendressa głosem pełnym obrzydzenia i z pogardą widoczną w oczach.

– Jutro będę miała szesnaście lat – zaprotestowała Donika.

Qendressa Ristani westchnęła.

– To ma mnie uspokoić, tak? To właśnie dlatego się martwię!

– To się nie martw! Nic mi nie jest. Pozwól mi się tym cieszyć, dobra?

Kobieta zawahała się przez chwilę. Wzięła głęboki oddech, wolno pokiwała głową i machnięciem ręki odprawiła córkę.

– Idź już i bądź dobrą dziewczynką, Nika. Nie przynieś mi wstydu.

– A czy kiedykolwiek to zrobiłam?

Twarz matki złagodniała.

– Nie, nigdy.

Uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Jutro świętujemy. Zgadza się? Tylko my dwie, a na obiad będą wszystkie potrawy, które uwielbiasz. Możesz zaprosić swoich znajomych na piątek na tort. Ale jutro będzie nasz dzień.

– Tylko my dwie – uśmiechnęła się Donika.



Ścieżka wiodąca przez las kończyła się na tyłach domu starszego małżeństwa, które zwykle krzyczeć na intruzów ze swojej werandy. Nigdy jednak nie krzyczeli na Donikę. Zastanawiała się nieraz, czy przyczyną nie było przekonanie, że dziewczyna zwykle powoduje mniej kłopotów niż chłopak. A może po prostu jej nie widzieli.

Kiedy opuściła wszechobecną ciszę lasu i przeszła przez ogródek wzdłuż domu, pomyślała, że może starsi państwo obserwują ją przez okno. Nie zauważyła jednak żadnego poruszenia za firankami, więc uznała, że pewnie już śpią. Przez głowę przebiegła jej myśl, że starość musi być smutna.

Josh siedział na granitowym krawężniku i palił papierosa. Na dźwięk jej kroków wyrzucił go, wstał na powitanie, unosząc kącik ust w skąpym uśmiechu. To sprawiło, że jej serce zaczęło łomotać. Wyglądał znakomicie w spranych jeansach i koszulce z Jimmim Hendriksem.

– Cześć – powiedział.

Donika uśmiechnęła się nieśmiało.

– Cześć.

Josh odrzucił z twarzy kosmyk blond włosów.

– Musiałaś czekać na mamę?

– Przepraszam. Czasami wydaje mi się, że celowo zostaje dłużej w pracy. Może wydaje jej się, że jeśli będę na nią wystarczająco długo czekać, to nie będzie mi się chciało nigdzie pójść.

– Nasz plan, niestety, diabli wzięli.

– Cieszę się, że ty nie zrezygnowałaś – powiedziała.

Stali od siebie oddaleni o kilka stóp i czuli, jak narasta pomiędzy nimi napięcie. Josh podniósł rękę i dotknął twarzy dziewczyny.

– To się nigdy nie stanie.

Wystarczyło, że tak stał i patrzył, aby po jej ciele przebiegł dreszcz, a kiedy chłopak nachylił się do pocałunku, Donika odchyliła głowę. Zamknęła oczy, starając się zapamiętać każdy szczegół tej chwili – jego bliskość, miękkość ust i gorzki smak nikotyny na języku.

Gdy oderwali się od siebie, zdała sobie sprawę, że światła w kilku domach na Rolling Lane były zapalone i teoretycznie każdy mógł ich obserwować. Mimo to poczuła przyjemny szum w głowie, jakby wypiała wcześniej kilka piw.

– Nie powinniśmy tego tutaj robić. Powiedziałam mamie, że będzie z nami Sue, Carrie i kilku innych chłopaków i że pójdziemy na pizzę. Gdyby ktokolwiek nas zobaczył i powiedział jej o tym, wpadłaby w szal.

– Czy ona sądzi, że my nigdy się nie całowaliśmy?

– Nie wiem i nie mam zamiaru o to pytać – odparła. – Ona myśli, że

jestem puszczalska, bo noszę koszulki bez rękawów i spotykam się z chłopakami.

Josh uniósł brwi i wyjął kolejnego papierosa.

– Chłopcy? Są jacyś inni?

Walnęła go.

– Oj, wiesz, co mam na myśli.

– Twoja mama jest nie z tego świata.

Donika przewróciła oczami.

– Żebyś wiedział. Pali świece w mojej intencji, kładzie pęki ziół i innych świństw przepasanych wstążeczką pod moim łóżkiem. Jestem prawie pewna, że to ma odstraszać chłopaków.

– Działa?

Donika tylko się uśmiechnęła. Pocałował ją w czoło.

– Masz ochotę na pizzę?

– Tylko jeśli jesteś głodny.

Josh zaśmiał się delikatnie i zapalił papierosa. Jego niebieskie oczy były prawie szare w ciemności.

– Ja mogę jeść. Ja zawsze mogę jeść. Ale nie jestem głodny. Możemy się po prostu powłóczyć albo pójść do miasta na lody.

– Albo możemy pospacerować w lesie. Lubię chadzać tymi ścieżkami, zwłaszcza w nocy.

– Nie boisz się? – Porządnie się zaciągnął i spojrzał na nią.

– A dlaczego miałabym się bać? Przecież jesteś ze mną.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na drugą stronę ulicy, w kierunku ogródka wojowniczych staruszków. Papieros Josha był pomarańczowym punktem w ciemności. Księżyc i gwiazdy jasno świeciły. Gdy weszli do lasu, sklepienie drzew stało się tak zwarte, że ciemność zgęstniała. Tylko niewielkie ilości światła przeciskały się między konarami.

– Niech piekło pochłonie te cholerne dzieciaki – powiedział skrzekliwy głos z werandy. – Spalicie kiedyś ten las tymi papierosami.

Donika spojrzała z niepokojem w stronę budynku. Josh zakrył ręką usta, starając się nie śmiać. Spowodował tylko, że Donika zaczęła chichotać. Głos starca był lekko komiczny, jakby pochodził z jakiejś kreskówki czy filmu. Na ganku w ciemności widać było tylko pomarańczowy punkt. Starszy pan też palił.

Trzymając się za ręce, podążyli ścieżką lekko skręcającą w głąb lasu. Rozmawiali o swoich rodzinach, przyjaciółach i muzyce.

– Uwielbiam rozmawiać z tobą o muzyce – powiedział Josh. – Sposób, w jaki błyszczą wtedy twoje oczy... Nie wiem. Tak jakbyś dzięki temu, że grasz na gitarze, sama była muzyką.

Donika zadrżała, słysząc to. Nikt tego nie rozumiał tak jak Josh. On też lubił te smutne piosenki. Ich rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, ale jej to nie przeszkadzało. Chciała tylko być w jego towarzystwie. Zwykle po prostu spacerowali.

Ścieżki sprawiały wrażenie, jakby były w lesie od zawsze. Niskie murki zbudowane wieki temu ciągnęły się milami. Stare dróżki krzyżowały się ze współczesnymi alejkami. Zwierzęta szeleściły w zaroślach po jednej i po drugiej stronie. Dotarli do skrzyżowania i skręcili w prawo. Gdyby poszli w lewo, wyszliby koło jej domu, a to było ostatnie miejsce, do którego chciała teraz dojść.

– Wydajesz się być daleko stąd – powiedział Josh, kiedy przechodzili przez małą polankę, na której ludzie zazwyczaj palili ognisko. Osmolone kamienie otaczały niewielki dołek, w którym leżało zwęglone drewno.

Donika ścisnęła jego dłoń.

– Nie. Jestem tylko szczęśliwa. Uwielbiam lasy. Będąc tu... Tu jest tak spokojnie. Tak daleko od innych ludzi. Chadzam tędy codziennie, ale z tobą jest jeszcze lepiej.

Josh zatrzymał się i spojrzał na nią. Polankę oświetlał księżyc i gwiazdy, i mogła dostrzec isierki w jego oczach.

– Jak lepiej? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu lepiej.

Ponownie ją pocałował, a ona słyszała muzykę w swojej głowie. A może to było w sercu? Jego ręce ześlizgnęły się po jej plecach i przyciągnął ją bliżej, tak że ich ciała się stykały. Przez jeansy czuła, jak jego męskość twardnieje, i bardzo jej się to podobało. Wiedza, że ma na niego taki wpływ, sprawiała, że zaparło Donice dech.

Ręce chłopaka błędziły po jej ramionach, w pewnym momencie cofnął się trochę, żeby móc dotknąć przez bluzkę jej piersi.

– Josh – powiedziała trochę chrapliwym głosem. Za bardzo jej się to podobało.

– Co?

Donika wzięła jego dłonie w swoje i pocałowała go szybko.

– Wydaje mi się, że chyba mam ochotę na lody.

– Ale tutaj jest tak pięknie.

Uśmiechnął się, pochylając głowę. Pocałowali się jeszcze raz. Ich palce nadal były splecione, ale zachowywali dystans, choć jej ciało tęskniło do jego ciężaru i ciepła.

To jest to, pomyślała. Tego mama się tak bardzo boi.

Donika objęła Josha ramieniem, przerywając pocałunek. Położyła głowę na jego piersi, wtulając się w niego jak kotka. Chłopak gładził ją po głowie.

Głęboko w lesie zahuczała smutno sowa, po chwili przyłączyły się do niej inne. To brzmiało jak chór.

– Jestem daleko stąd – przyznała się. – Ale ty jesteś ze mną. Chciałabym, żebyśmy razem byli daleko stąd. Uwielbiam czuć się zagubiona w lesie, jak jakieś dzikie zwierzę. Kiedy jestem tu sama, po prostu biegam. Będiesz się śmiać, ale czasami wyobrażam sobie, że biegam nago po lesie jak jakaś rusałka czy coś takiego.

Josh się nie śmiał.

– Hmm. Podoba mi się ten pomysł – powiedział. – Co ci stoi na

przeszkodzie?

Zaczerwieniła się i próbowała ukryć uśmiech. Szturchnęła Josha i pokazała na niego palcem.

– Jesteś niegrzecznym chłopcem.

– Ale właśnie to ci się we mnie podoba. A tak na serio, to rzucam ci wyzwanie.

Oddech Doniki przyspieszył. Twarz Josha wydawała się poważna i nawet psotna iskierka w jego oczach gdzieś się ukryła. Dziewczyna dostała gęziej skórki. Kiwając głową, powiedziała: – Ty pierwszy.

Bez cienia wahania zdjął koszulkę i rzucił ją na brzeg dróżki. Uniósł brwi i patrzył wyczekująco.

Dreszcz przeniknął jej ciało, jakiś rodzaj wolności, której nigdy dotąd nie czuła. To było tak, jakby się właśnie obudziła z dziwnego snu. Złapała za dół koszulki i zdjęła ją przez głowę. Rozpięty stanik zsunął się na ziemię. Jej ciało owiał ciepły wiatr, ale i tak zadrżała.

Josh gapił się na nią. Cała łobuzerskość zniknęła z jego twarzy, zastąpiło ją zaskoczenie. Nigdy nie widział jej piersi, a Donika zastanawiała się, czy kiedykolwiek widział piersi jakiegokolwiek dziewczyny.

Nie czekała na jego następny ruch. Ich spojrzenia spotkały się. Donika zrzuciła z nóg sandały i zaczęła rozpinąć szorty. Zdjęła je razem z majtkami i rzuciła na koszulkę.

– Chryste, ale ty jesteś piękna – wyszeptał.

Wiatr wzmógł się, szeleszcząc liśćmi. Gdzieś w pobliżu ponownie zahukały sowy. Po raz pierwszy ich głosy nie wydawały się smutne.

Josh podszedł blisko i czuła, jak bardzo chce jej dotknąć. Już widziała, jak jego ręce dotykają jej tak, jak wiele razy to sobie wyobrażała w domu, kiedy leżała w łóżku.

Pokręciła głową i cofnęła się o krok.

– Nie tak szybko, proszę pana. Mieliśmy biegać, pamiętasz? A ty nie jesteś do końca gotowy.

Przez chwilę stał tylko i patrzył się na nią z otwartą buzią. Donika śmiała się z tego, jak śmiesznie wyglądał, ale równocześnie była podekscytowana myślą o tym, jak go oczarowała.

Nie mogąc złapać równowagi i skacząc na jednej nodze, Josh zdjął tenisówki. Zsunął spodnie i zatrzymał się na chwilę, zanim zdjął majtki.

Dziewczynę przeszedł dreszcz. Widziała kiedyś jednego starszego chłopca nago, ale był strasznie chudy. To było coś innego.

– Och – powiedziała.

Josh podszedł do niej. Donika cofnęła się, okręciła na pięcie i ze śmiechem zerwała do biegu, uważając na kamienie i korzenie oraz na leżące gałęzie. Josh zaczął ją gonić, śmiejąc się nawet wtedy, gdy zostawał w tyle. Kiedy tak pędziła, udzieliło jej się całe podniecenie – tym, że była naga, że on był nagi, jego bliskością i obecnością lasu. W całym swoim życiu nie czuła się tak wspaniale jak teraz, pełna euforii i śmiechu.

Uświadomiła sobie głęboko tkwiący w niej do tej pory żar. Uniesienie, jakiego nigdy nie czuła. Przepełniona pragnieniem, zwolniła tempo i pozwoliła, żeby Josh ją dogonił. Prawie na nią wpadł. Rzucili się na siebie na ścieżce. Ich usta i języki się spotkały. Jego ręce były szorstkie i pieściły ją wszędzie, a ona na to pozwalała.

Mała jej częśćka, ta, która była córeczką mamusi, wiedziała, że nie powinna mu pozwolić. Ale jakże ona tego chciała! Wszystko, czego pragnął, byłoby jego, nie tylko to.

W gałęziach nad nimi sowy westchnęły.



Zawinięta w kołdrę, dryfując pomiędzy snem a jawą, Donika wiedziała, że

nadszedł ranek. Uwielbiała to, że letnie dni trwały tak długo, ale wolała, żeby nie zaczynały się tak cholernie wcześniej. Ledwie zdając sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, zacisnęła mocniej powieki, besztając się za to, że zapomniała wieczorem zasunąć zasłony. Przekręciła się na drugi bok, jeszcze bardziej zwijając pościel. Przypomniała sobie wieczorny spacer po lesie z Joshem i co czuła, kiedy ją dotykał. Jęk zadowolenia wydobył się z jej ust, kiedy ponownie zapadła w sen.

Dryfowała.

Zagubiona we śnie, poczuła czyjąś obecność w pokoju i zaczęła się budzić. Potem usłyszała śpiew, głośny i straszny. Usiadła na łóżku, wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy.

Jej matka śpiewała *Sto lat* w bardzo śmieszny i dramatyczny sposób, gestykułując przy tym niemilosiernie. Uśmiechnęła się szeroko, a Donika nie mogła się nie roześmiać. Matka była zawsze poważna, więc jej wesoły nastrój sprawił dziewczynie ogromną przyjemność.

Po występie Qendressa wykonała głęboki ukłon. Donika zaczęła klaskać, kręcąc głową. Kiedy była mała, matka często się wygłupiała, żeby zabawić córkę. Przeżyły razem wiele wspaniałych chwil. Teraz, gdy ich pragnienia oraz poglądy często się różniły, ciężko było Donice pamiętać te radosne chwile.

Ale nie dziś. Tego ranka cała dziecięca radość do niej powróciła. Za chwilę matka pojedzie do pracy ubrana tradycyjnie w skromną spódnicę, koszulę oraz czarne buty, jej włosy jak zwykle będą spięte w kok. Lecz przez te kilka minut Donika czuła się znowu małą dziewczynką.

– Dziękuję, dziękuję – powiedziała Qendressa, parodiując prezenterów telewizyjnych. Jej akcent był prawie niesłyszalny. – A teraz moja następna sztuczka. Wychodzę z pracy wcześniej i robię ci wszystkie smakołyki.

Wyliczyła dania uczyty urodzinowej córki na palcach: *tav’kosi*, *tirana furghes* z papryką, a na deser *kadaif* ze świeczkami i dalszym fatalnym śpiewaniem.

Donice zaburczało w brzuchu na samą myśl o obiedzie. Daniem głównym była pieczona jagnięcina z jogurtem, którą zawsze uwielbiała. Ale deser? Już teraz czuła smak orzechów włoskich i cynamonu.

– A czy nie możemy zamienić śniadania z obiadem? – zapytała, próbując wygramolić się z łóżka.

Jej matka pokiwała na nią palcem.

– Solenizantka dostaje to, co chce, ale dopiero wieczorem. Śniadanie robisz sobie sama. Pewnie to będą tosty. Wychodzisz gdzieś dzisiaj?

– Może do centrum handlowego, jeśli Ginie uda się pożyczyć samochód od mamy.

– Dobrze, ale bądź z powrotem o trzeciej. Będziemy gotować razem?

Donika uśmiechnęła się.

– Na pewno tego nie przegapię.

Mówiła szczerze. Matka doprowadzała ją do szału tymi nudami ze Starego Świata, ale podczas urodzin i na wakacjach uwielbiała spędzać godziny w kuchni, gotując razem z nią. Już czuła aromaty, które będą rozchodzić się po domu.

– A co z dziewczynami? Kiedy się z nimi spotykasz? – zapytała Qendressa.

– Jutro wieczorem. Przyjdą i będziemy świętować. Możemy po prostu zjeść pizzę.

– Znowu pizza? – zapytała mama. – Sama niedługo zamienisz się w pizzę.

Donika się nie kłóciła. Nie miała zamiaru przyznać się, że wczoraj wieczorem nie dotarli z Joshem na pizzę. Może to był powód jej wilczego głodu teraz. Strasznie burczało jej w brzuchu i czuła się tak, jakby nie jadła co najmniej od tygodni, a nie pół dnia.

– My uwielbiamy pizzę – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Obiecuję na jutro tort urodzinowy. I jeśli będziesz miała szczęście, może trochę lepszego śpiewania.

– Ciasto czekoladowe? – zapytała Donika, podpierając głowę, nadal

ciężką od snu.

– Oczywiście – odpowiedziała matka, jakby jakikolwiek inny tort był nie do pomyślenia.

– Świetnie.

Trzepot skrzydeł i drapanie pazurami w siatkę na owady dobiegły od strony otwartego okna. Matka i córka odwróciły się i zobaczyły sowę siedzącą na parapecie.

– Co, do...? To jest przedziwne – powiedziała Donika, siadając na łóżku. – Cały czas słyszę je w lesie, ale nigdy nie widziałam żadnej w ciągu dnia. Sądziś, że jest chora czy coś?

– Sio – krzyknęła matka.

Pospieszyła do okna i walnęła otwartą dłonią w moskitierę. Seria przekleństw w ojczystym języku popłynęła z jej ust.

Sowa zadarła głowę, jakby chciała pokazać, że atak Qendressy nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Rozpostarła skrzydła i poleciała w stronę lasu.

Donika patrzyła na matkę. Kobieta nagle kompletnie straciła nad sobą kontrolę i stała przy oknie, oplatając się ramionami, tak jakby powiew zimnego wiatru przeleciał przez pokój. Stała tyłem do córki.

– Mamo?

Qendressa odwróciła się z bladym uśmiechem na twarzy otulonej niesamowitym smutkiem, jakby pojawienie się ptaka sprawiło, że opadła z niej maska szczęścia, którą nosiła do tego momentu. Poranne wygłupianie się dobiegło końca.

– Powinnam iść do pracy – powiedziała, ale wydawała się rozdarta.

– Co się stało, mamo?

– Nic – odpowiedziała, uciekając spojrzeniem. – Tylko... Szesnaście. Nika, nie jesteś już dziewczynką. Niedługo mnie opuścisz.

Donika odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka. Podeszła do matki, która wydała jej się nagle niska.

– Mamo, ale ja się nigdzie nie wybieram – powiedziała, ale nie brzmiało to przekonująco.

Marzyła przecież od dawna o opuszczeniu Jameson. Chciała zacząć nowe życie na własny rachunek, podejmować decyzje i nie być dłużej zmuszona do mieszkania w cieniu Starego Kontynentu. Atmosfera, jaka otaczała matkę, była ciężka od jakiejś smutnej tajemnicy. Qendressa wyciągnęła rękę i odsunęła od oczu córki niesforny kosmyk włosów.

– Dziś porozmawiamy o przyszłości. I o przeszłości.

Donika zmrużyła oczy. O co chodzi? Chciała spytać, ale spostrzegła, że matka zeszywniała. Oczy kobiety zwęziły się i zaczęła się wpatrywać w łóżko.

– Co to jest?

Dziewczyna odwróciła się. Dostrzegła ślady ziemi, mały listek i kilka sosnowych igieł przy nodze mebla. Przeszedł ją dreszcz. Jakaś straszna kombinacja podniecenia i winy. Próbowwała zdusić to w sobie jak najlepiej potrafiła.

– Poszliśmy do miasta na skróty przez las. Zawsze tamtędy chodzę. Zdjęłam sandały, bo lubię tam chodzić na bosaka. Jest fajnie. To takie szalone.

Donika nie była w stanie rozszyfrować spojrzenia matki. Gdyby kobieta cokolwiek podejrzewała, byłaby zła lub rozczarowana. Może dziewczyna źle odczytała wyraz jej twarzy? Ale było coś innego w tym spojrzeniu i westchnięciu. Niezależnie od tego, jak dziwne to było, Donika pomyślała, że matka czegoś się boi.

Kobieta odwróciła się i na jej twarz wróciła powaga. Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała na pokój córki – gitarę, radio, kasety, plakaty i ubrania wiszące na krześle i łóżku, na rzeczy, których nigdy nie aprobowała.

– Żadnych chłopców, jak mnie nie będzie. Żadnych chłopców, Nika.

– Wiem, mamo. Uważasz, że jestem głupia?

– Nie – powiedziała, kręcąc głową. Smutek powrócił na jej twarz. – Nie,

moja mała dziewczynko. Nie sądzę, żebyś była głupia.

Mówiąc to, Qendressa wyszła. Donika wstała. Słyszała, jak matka schodzi na dół, wychodzi z domu, uruchamia samochód i odjeżdża. Nie było słycać już nic z wyjątkiem śpiewu ptaków i przelatującego samolotu.

Nie była pewna, co podejrzewała ani czego się bała jej matka. Nie wiedziała, co sprawiło, że zachowywała się tak dziwnie, i czemu tak spanikowała na widok sowy. Domyślała się, że to będą bardzo dziwne urodziny.



Ginie nie udało się wyciągnąć samochodu od swojej mamy, więc wycieczka do centrum została odwołana. Donika wiedziała, że powinna ją zrugać, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie zbyt wiele niezadowolenia. Jutro i tak spotka się ze znajomymi, a właściwie nie miała ochoty na włóczenie się po sklepach. Pomysł łożenia po Jordan Marsh albo pójście do Orange Julius na okropnego hot doga z serem nie przemawiały do niej. Może gdyby padał deszcz, czułaby się inaczej, ale teraz świeciło słońce i był piękny dzień.

Różne myśli kłębiły jej się w głowie, ale nie była w stanie ich uporządkować. Poranne zachowanie matki martwiło ją, ale nie mogła się doczekać ich wspólnego gotowania po południu. Jagnięcina w lodówce była świeża, a nie mrożona. Została wczoraj dostarczona od rzeźnika. Włączą jakąś muzykę, którą lubi matka – Carpenters albo Niela Diamonda – i będą pracować obok siebie przy blacie. Zwykle te piosenki doprowadzały Donikę do szału, ale widok matki robiącej sos jogurtowy do jagnięciny czy krojącej paprykę i nucącej razem z wykonawcami wydawał się namiastką perfekcji.

W porze lunchu Donika usiadła na frontowym ganku ze szklanką mrożonej herbaty i kanapką z salami. Dookoła latała mucha i po chwili siadła na krawędzi naczynia. Donika była bardziej zafascynowana kropelkami wilgoci spływającymi po szkle niż natrętnym owadem. Patrzyła i grała na gitarze piosenkę Harry’ego Chapina. Był to jedyny wykonawca, co do którego obydwie z matką się zgadzały.

– *Całe moje życie jest jak okrąg – śpiewała cicho – wschód i zachód słońca.*

Po chwili pogubiła się w słowach i przestała grać. Pomimo niepokoju, jaki wywołało zachowanie matki, nie była w stanie skupić myśli na niczym innym niż to, co się wczoraj wydarzyło.

Sięgnęła po szklankę. Przycisnęła ją do szyi i poczuła się wspaniale. Wzięła głęboki łyk. Bardzo jej się podobał dźwięk, który wydawały obijające się o siebie kostki lodu. Odstawiła napój i sięgnęła po kanapkę. Przez cały poranek była wilczo głodna i pomimo zjedzenia płatków na śniadanie, a potem nektarynki i winogron nie czuła się najedzona. Nadal była głodna. Głód, o ile to możliwe, wydawał się większy, mimo to kanapkę tylko napoczęła. Salami smakowało tak samo dobrze jak zwykle – słone i pikantne, ale z niewyjaśnionego powodu nie miała na nie ochoty.

Odłożyła kromkę na talerz i napiła się herbaty, żeby spłukać posmak soli. Palce wróciły do gitary i zaczęły bez udziału woli wygrywać jakąś melodię. Cokolwiek grała, pochodziło z jej podświadomości. Umysł miała zajęty czymś innym.

– Jesteś szaloną dziewczyną – powiedziała na głos z uśmiechem.

Mówiąc to głośno, utwierdziła się w tym przekonaniu, co więcej, zaczynała podejrzewać, że tę cechę odziedziczyła po matce.

Odczuwany od rana głód nie pochodził z żołądka. Ciało czegoś łaknęło. Całe drżało na wspomnienie dłoni Josha na brzuchu, na piersiach, na plecach, na udach i pocałunków, które wędrowały wszędzie tam, gdzie wcześniej były dłonie.

Ścisnęła uda i poczuła dreszcz na myśl o zerwaniu z siebie ubrania i biegu przez las, o zarysie ciała Josha, który ją dogania. Wtedy, wśród drzew, miała wrażenie, że gdyby rozłożyła ręce, wyrosłyby jej skrzydła i mogłaby polecieć i zabrać Josha ze sobą.

Jego dotyk i pocałunki – to było jak latanie.

– Boże! – wyszeptała do siebie. – Co się ze mną dzieje?

Przestała grać. Przelotny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Nie było powodów do obaw. Czowała, że wszystko jest idealne. Co złego mogło w tym być?

Ale to było kłamstwo. W tym wszystkim była jedna zła rzecz – ten głód. Dręczyło ją, czy matka widziała w jej oczach, jak bardzo pragnęła Josha.

Donika chciała poczuć dłonie chłopaka na sobie, smakować jego usta i czuć słony pot na jego palcach i szyi. Miała wrażenie, że nie jest w stanie się nim nasycić. Chciała go całego, ale wiedziała, że jedynym sposobem, żeby tego dokonać, jest ta rzecz, której obiecała sobie, że nie zrobi.

Musiała go mieć w sobie. Tylko to mogło zaspokoić jej głód. Pewność, z jaką to stwierdziła, jednocześnie ją przeraziła i wprawiła w drżenie.



Aromat cynamonu roznosił się po kuchni. Matka oparła się o krzesło i splótła ręce na brzuchu, jakby miała pełen żołądek.

– Wydaje mi się, że już nigdy nic nie zjem.

Donika uśmiechnęła się, ale był to uśmiech wymuszony. Gotowały według przepisu przywiezionego z Albanii, który był w ich rodzinie przekazywany od pokoleń. Pomimo to jedzenie było nijakie. Nawet cynamon wydawał się nijaki. Zapach deseru był bardzo kuszący, ale jego smak nie

spełnił jej oczekiwania. Zjadła tak dużo tylko po to, żeby nie sprawić zawodu matce. Głód nadal palił.

Jak mogła wciąż czuć się głodna po takiej ilości jedzenia? Jakim sposobem wszystko mogło się wydawać bez smaku? Nie rozumiała tego. Zwaliała winę na hormony. Dziś były jej szesnaste urodziny. Według matki nagle stała się kobietą. Tak jakby nacisnąć przełącznik. Nigdy nie sądziła, że działa to na tej zasadzie, ale biorąc pod uwagę, jak się teraz czuła, może było w tym coś prawdziwego. Może tak to działało. Zawsze błagała o czekoladę przed okresem i mogła zjeść hektolitry lodów, więc może to było coś w tym rodzaju.

A może to miłość? – ta myśl przemknęła przez jej głowę. Słyszała, że ludzie zakochani nie byli w stanie jeść, więc stwierdziła, że to może być kolejny symptom.

Zastanawiała się nad tym. Czy kochała Josha? Może.

Pragnęła go, tęskniła za nim. Czy to mogła być miłość? Nie. Donika czytała zbyt wiele książek i widziała zbyt wiele filmów, żeby wiedzieć, że miłość i pożądanie wzajemnie się nie wykluczają, ale nie są tym samym.

Ale takie pożądanie? Ono boli, pali.

– Nika, czy ty mnie słuchasz?

– Co? – zapytała.

Matka przyjrzała jej się z troską.

– Dobrze się czujesz? Nie jesteś chora?

– Nie. Przepraszam, mamó. Chyba po prostu jestem zmęczona.

Marna wymówka. Pomyślała, że matka jej to wygarnie albo że będzie robić jakieś uwagi odnośnie do nocnych spacerów po lesie lub powie, że gdyby nie latała ciągle za chłopakami, to nie byłaby taka zmęczona. Matka nie pozwoliła jej na robienie zbyt wielu rzeczy dzisiejszego dnia. Niemal cały czas Donika siedziała w domu i grała na gitarze, a potem gotowały. Ale rozsądek nigdy nie pozwalał matce przestać myśleć o różnych zagrożeniach.

Lecz Qendressa nie powiedziała nic takiego.

– Ale obiad ci smakował, prawda? – zapytała tak, jakby to było najważniejsze pytanie na świecie. – Szesnaste urodziny są najśłodsze. Powinnaś być dziś szczęśliwa. Baw się.

Donika poczuła ogromną miłość płynącą od matki. Czasami była sfrustrowana i wściekła na tradycje Starego Świata, którym ta hołdowała, ale zawsze wiedziała, że pod tymi warstwami było uwielbienie i obawa o córkę – nieustanni towarzysze matki. Wydawało jej się, że rozumie to dość dobrze jak na piętnastoletnią dziewczynę.

Szesnastoletnią, poprawiła się. Od dziś szesnastoletnią.

– Kocham cię, mamó.

Obie wydawały się zaskoczone, że Donika powiedziała to na głos. Nie za często mówiły o miłości, choć obydwie i tak ją do siebie czuły.

Matka uśmiechnęła się, wzięła głęboki oddech i zaczęła płakać. Donika gapiała się na nią zmieszana. Qendressa odwróciła twarz, żeby ukryć łzy, i podniosła rękę, żeby powstrzymać pytania.

Po chwili wytarła oczy.

– Wyrosłaś, Nika. Chodź ze mną. Dziś opowiem ci historię twoich narodzin.

– Co masz na myśli?

– Chodź ze mną – powtórzyła z uśmiechem i wstała z krzesła. – Do lasu. Tak jak lubisz. Dowiesz się dlaczego.

Donika wstała, odkładając serwetkę na stół. Zdezorientowana próbowała znaleźć jakiś sens w słowach matki i jej dziwnym zachowaniu. Starła się także odsunąć od siebie głód i myśli, że Josh będzie czekał na nią na rogu ulicy, jeśli tylko uda jej się wyrwać z domu wieczorem. Matka wzięła rękę córki.

– Chodź.

Opuściły dom. Siatka przeciwko owadom zatrzasnęła się za nimi, tak jakby dom był zadowolony z tego, że wyszły. Deski ganku skrzypiały pod ich nogami. Kiedy matka poprowadziła ją przez podjazd w kierunku ścieżki,

Donika zawahała się. Lasy były jej. Mogła widzieć innych ludzi wchodzących do lasu, ale wspólny spacer z rodzicielką niepokoił ją. Tak jak bardzo Donika kochała matkę, tak bardzo nie chciała dzielić się z nią lasem.

– Mamo – powiedziała, wahając się.

– Nie zajmie nam to wiele czasu – odrzekła Qendressa. – Ale powinnaś poznać tę historię. Powinnam była powiedzieć ci to dawno temu. Byłam samolubna.

Donika potrząsnęła głową. Co to, do jasnej cholery, miało znaczyć?

Weszły pomiędzy drzewa. Letnie słońce wisiało nisko nad horyzontem. Niedługo nadejdzie zmierzch. Resztki promieni słonecznych przedzierały się przez gałęzie, rzucając długie cienie.

– Moja matka wiedziała wiele rzeczy – zaczęła Qendressa. Uścisk na dłoni Doniki wzmógł się. – Jak sprawić, żeby dwie osoby się w sobie zakochały. Jak uleczyć choroby ciała i ducha. Jak trzymać z dala duchy.

Donika starała się nie uśmiechać. To o tym miała być ich ważna rozmowa? O przesądach Starego Świata?

– Była czarownicą?

Jej matka skrzywiła się.

– Czarownica. Głupie słowo. Była mądra. Była bystrą kobietą. Używała ziół i olei.

– To była mądra kobieta w wiosce czy jak ją nazwać – powiedziała Donika i to nie było pytanie.

Uważała, że było coś rozkosznego w sposobie, w jaki matka wymawiała słowo „zioła” – tak jakby to było czyjeś imię. Ale ta gadka o miksturach i złych duchach sprawiała, że stawała się niecierpliwa.

– Jak sądzę, ciebie też nauczyła tych rzeczy. Ale jak możesz w to wierzyć po tylu latach mieszkania w Stanach?

Matka zatrzymała się i pociągnęła ją za rękę.

– Będziesz cicho? Słuchaj.

Udręka w jej głosie zmroziła dziewczynę. Donika nigdy nie słyszała, żeby

matka mówiła w taki sposób. Światło słoneczne bladło coraz bardziej i niebo ciemniało. Jeszcze nie zmierzch, ale już niedługo. Wydawał się nadchodzić bardzo szybko.

– Będę słuchać – powiedziała.

Matka kiwnęła głową, odwróciła się i znowu zaczęła iść przed siebie. Donika patrzyła na drogę, uważając na kamienie i korzenie. Las był dziwnie cichy podczas zmierzchu. Dienne zwierzęta układały się do snu, a nocne jeszcze nie do końca się przebudziły.

– Moja matka wiedziała o wielu rzeczach. Nauczyła mnie ich tak, jak ja uczę ciebie tradycyjnego gotowania. Kiedy wyszłam za męża, byłam dobrą żoną. Już wtedy zarabiałam jako krawcowa, tak jak teraz. Ale mój mąż wiedział, że pewnego dnia ludzie z wioski zaczną do mnie przychodzić ze swoimi problemami, tak jak przychodzili do mojej matki. Ci, którzy wierzyli w przesady.

Donika nie mogła nie zauważyć wyrzutu w tych słowach. Matka dawała jej do zrozumienia, że nie była jedyną osobą, która wierzyła w przesady.

– W lasach i na wzgórzach były duchy. Zawsze tam były. Niektóre z nich dobre, inne złe. I inne istoty. Możesz wierzyć lub nie, ale i tak ci powiem. Kochałam swojego męża. Miał silne dłonie, ale dla mnie były delikatne. Ludzie potrafili dziwnie się zachowywać w obecności kobiet z naszej rodziny, ale nie w jego. Był taki miły, zawsze się uśmiechał, a kiedy się śmiał, wszystkie kobiety w wiosce chciały go ze sobą zabrać do domu. Ale on kochał mnie. Cały czas rozmawialiśmy o dzieciach, że będziemy mieli chłopca takiego jak on, a dziewczynka będzie miała moje oczy. A potem on umarł. Naprawiał dach, spadł i skręcił kark. Żadne zioła czy oleje nie potrafiły wskrzesić zmarłych. Odszedł. Zawsze był rozpromieniony, kiedy mówił o dzieciach. A teraz go nie było i nie miało być żadnych dzieci.

Skrawki widocznego przez gałęzie nieba nabrały barwy indygo. Nadszedł zmierzch i noc się zbliżała. Donika prawie nie zauważyła, kiedy się ściemniło, a las zaczął swój szeleszczący koncert. Lekki wiatr pieścił gołe

ramiona i nogi i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, jak było jej gorąco.

Zatrzymała się na ścieżce i mrużąc oczy, spojrzała na matkę.

– O czym ty mówisz, mamó? Co, do cholery... Przecież ja już byłam.

Qendressa wsunęła ręce w kieszenie spódnicy, jakby walczyła z pragnieniem dotknięcia ręki córki.

– Nie, Nika. Ty pojawiłaś się później.

– Jak...

– Teraz bądź cichutko, dobrze? – powiedziała matka. – Chcesz to wiedzieć. Musisz to wiedzieć. Bądź cichutko.

Coś wzniosło się w gałęziach tuż nad nimi i sowa zahukała łagodnie, ale zarazem smutno. Qendressa spojrzała w górę i przebiegła wzrokiem po drzewach, jakby ten żałobny krzyk stanowił jakieś zagrożenie.

Donika potrząsnęła głową bardziej zmieszana niż kiedykolwiek w życiu.

– Mamó?

Kobieta zmrużyła oczy i odsunęła się o krok od córki, zanurzając się w cień.

– Znasz może słowo „strzyga”?

– Nie.

– Nie?

Matka westchnęła, a dźwięk ten o mało nie złamał Donice serca.

– Byłam taka jak ty, Nika. Nadal bardzo młoda i już wdowa. Miałam tyle pytań w głowie. Zawsze spacerowałam po lesie, sama ze swoim smutkiem i zimnem. Wiedziałam, że muszę mieć dziecko, aby być matką. Nigdy nie byłabym w stanie kochać innego, ale dziecko potrafiłabym pokochać. Mogłabym mieć to, czego chciał mój mąż, i marzyłam o... Nawet jeśli część z tego jest marzeniem. Pewnej nocy chodziłam po lesie pogrążona w marzeniach, gdy usłyszałam głosy i śmiech. Bardzo dziwny śmiech. Podeszłam więc po cichu, byłam prawie leśnym człowiekiem, więc umiałam poruszać się bezszelestnie. Zza drzew zobaczyłam dwie kobiety i trzech mężczyzn, którzy byli kompletnie nadzy. Poczułam wstyd, że ich podglądam.

Odeszłabym, ale nie mogłam. Spojrzeli na niebo, sięgnęli do ust i zdjęli swoje skóry, jakby były tylko kurtkami. W środku były strzygi. Wyglądały jak sowy, ale nimi nie były. Wstrzymałam oddech i po prostu patrzyłam. Modliłam się, żeby mnie nie zauważyły. Odleciały, a ja stałam tam, dopóki trzepot skrzydeł nie ucichł. Wtedy mogłam zacząć znowu oddychać.

Qendressa przerwała. Donika zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech w ten sam sposób, jaki opisała to jej matka. Bez trudu wyobraziła sobie wszystko dokładnie, bo sama spędzała niezliczone godziny, spacerując po lesie, a wczoraj ona i Josh byli kompletnie nadzy pod nocnym niebem. Ale to? Jej wyobraźnia nie była w stanie tego zobrazować.

– Mamo, musiało ci się to śnić. Mówiłaś, że śniłaś, prawda? Zasnęłaś. To nie mogło być prawdziwe.

Matka wyszła z cienia i Donika zobaczyła łzy w jej oczach. Boleść na twarzy sprawiła, że wyglądała jak stara kobieta.

– Nie – powiedziała Qendressa.

Gdzieś w drzewach zahukała sowa. Odpowiedziała jej druga, dzieląc jej smutną piosenkę. Donika wzdrygnęła się i zaczęła przeszukiwać wzrokiem gałęzie, tak jak wcześniej zrobiła to matka.

– Nawet kiedy ich już nie było, nie mogłam odejść. Powinnam była uciec. Nie wiedziałam, kiedy strzygi wrócą po swoje skóry, ale wiedziałam, że po nie wrócą. Strzygi przelatywały w drodze do miasta przez nasz las, w którym polowały na tych najbardziej lubieżnych i rozwiązłych. Czuły, czyja lubieżność była najsilniejsza, i piły ich krew, aby zaspokoić własny głód.

– Jakby były wampirami – powiedziała Donika.

Qendressa zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie, Nika. Wampiry są zmyślone. Strzygi są prawdziwe. Ale ich moce mają ograniczenia. Każda strzyga musi powrócić do swojej skóry przed rankiem. Matka opowiadała mi o nich wiele historii. Jak się rozwijają, jak je powstrzymać. A ja marzyłam o dziecku, Nika. Tak bardzo, że aż mnie bolało. Wiedziałam, że mam czas do ranka, a może krócej. Wbiegłam na polankę i

zabrałam skórę kobiety z pięknymi czarnymi włosami. Pospieszyłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi. Wzięłam nożyczki i usiadłam przy stole, gdzie zwykle pracowałam, i zaczęłam ciąć skórę strzygi. Odcięłam duże kawałki, które później spaliłam. Potem zaczęłam szyć. Włosy strzygi posłużyły mi za nici. Kiedy skończyłam, nie było już skóry dorosłej kobiety, tylko małej dziewczynki.

Donikę przeszedł dreszcz i opłótła się ramionami. Gapiała się w zalaną łzami twarz matki.

– Nie – powiedziała dziewczyna.

Kiedy matka odezwała się ponownie, mówiła już szeptem.

– Siedziałam w kącie na krześle, które tak bardzo lubił mój mąż, i czekałam. Tuż przed świtem strzyga przysłała po swoją skórę. Zostawiłam otwarte okno, więc sowa wleciała i usiadła na moim stole do pracy. Rozłożyła skrzydła, pochyliła głowę i wcisnęła się do skóry. Kiedy wstało słońce, na moim stole leżała mała dziewczynka, która smutno płakała. Wzięłam ją więc w ramiona i zaczęłam kołysać, śpiewając starą ulubioną piosenkę mojej matki. Moje dziecko też ją pokochało. Już więcej nie płakało.

Qendressa spojrzała na swoją córkę. Przez łzy zaczęła śpiewać tę samą piosenkę, kołysankę, którą Donika знаła tak dobrze. Matka śpiewała ją przez całe jej życie.

– Nie wierzę ci.

Ale wtedy sowy zaczęły wykrzykiwać swoją żalobną pieśń. Nie jedna czy dwie, ale cztery czy pięć. Donika zobaczyła strach w oczach swojej matki. Qendressa wzięła ją za rękę.

– Chodź, Nika. Idziemy do domu.

– Nie wierzę ci.

Czuła słoność swoich łez i to, jak spływają po ciepłych policzkach. Odsunęła się od wyciągniętej ręki matki. Zaprzeczenie rosło w jej głowie i sercu, ale jakoś nie była w stanie dotknąć swoich ust.

Ona wiedziała. Głód kotłował się w jej wnętrznościach. Pożerał ją. Ona

wiedziała.

– Dlaczego mi powiedziałaś?

Qendressa załkała.

– Ponieważ nie jesteś już moją małą dziewczynką, Nika. Masz szesnaście lat. Szesnaście lat od tamtej nocy. Znam opowieści. Teraz jesteś strzygą.

Donika poczuła, jak coś w niej pęka. Odwróciła się na pięcie i pobiegła. Niskie gałęzie chłostały jej twarz, więc musiała wysunąć ręce, żeby ją ochronić. Potykała się o korzenie i kamienie, na które zawsze uważała. Sowy hukwały nad nią i słyszała trzepot ich skrzydeł, jak leciały, próbując dotrzymać jej kroku.

Nigdy w życiu nie odczuwała takiego zimna. Niezależnie od tego, jak szybko biegła i jak przyśpieszał jej puls, nie czuła ciepła. Głód ścisnął jej żołądek, a tęsknota płonęła w niej. I pożądanie.

Josh. Przywołała jego wizerunek w głowie i skupiła się na nim. Mogli przecież razem biegać. Będzie ją trzymał, będzie jej dotykał i może na krótką chwilę głód i szaleństwo znikną.

Nadeszło odrętwienie, ale dziewczyna zaczęła się kontrolować. Nadal szlochała, ale ciszej. Stopy pewniej trzymały się drogi. Z jednej strony ujrzała kamienną ścianę, z drugiej dół na ognisko. Wspomnienie wczorajszej nocy było czymś, czego mogła się trzymać.

Chwilę później znalazła się na końcu ścieżki prowadzącej do ogródka zawziętych staruszków. Pomiędzy drzewami zahukała sowa, ale Donika szybko opuściła las, chcąc po raz pierwszy w życiu znaleźć się jak najdalej od niego.

Przeszła przez ogródek niezauważona. Niedaleko zaczął szczekać pies, który wyczuł obecność intruza. Minęła zabudowania i zatrzymała się, gdy spostrzegła miejsce, gdzie Josh zwykle na nią czekał.

Schowana w cieniu domów patrzyła na niego. Siedział na krawężniku, paląc papierosa. Był zadowolony z bycia sam na sam ze sobą. Czekanie na nią zupełnie mu nie przeszkadzało. W świetle latarni wydawał się bardzo

przystojny. Pobiegliby przez las jeszcze raz, ale tym razem oddałaby mu się.

Pożądanie rozlewało się po jej ciele. Zmoczyła wargi językiem i prawie czuła na nich słoność jego skóry. Chęć zrobienia tego wstrząsnęła nią.

Uśmiechnęła się i prawie go zawołała.

Uśmiech zbladł.

Nie, pomyślała. To nie jest miłość. Ani głód, ani pożądanie nią nie są.

Teraz wiedziała, czym jest głód. Pobiegła z powrotem do lasu, gdzie było jej miejsce. Sowy podążyły za nią. Samotność wdarła się w jej wnętrze, ale po chwili zrozumiała, że nie jest sama. Nigdy nie była.

Las przyjmował ją z miłością. Już nigdy nie będzie mogła wrócić do domu swojej matki. Nie teraz.

Popędziła ścieżką, odchylając gałęzie. Nie posiadała się z radości, gdy wiatr szeptał wokół niej. Łzy nadal spływały po policzkach, ale nie były to już łzy rozpacz. W umyśle kłębiły się emocje, ale głód nadal pozostawał.

Poddając się lasowi i nocy, zdarła z siebie ubranie, nie zastanawiając się, gdzie je rzuca. Promienie księżyca i nocna bryza pieściły jej nagie ciało. Ciepło wreszcie do niej powróciło. Pragnienie płonęło. Poczwała, że ciało zaczyna zwisać z niej tak samo jak ubranie. Sięgnęła do kącików ust, rozciągnęła je tak szeroko jak kaptur i zarzuciła za głowę.

Donika wyślizgnęła się ze swojej skóry i poleciała. Wreszcie po długich szesnastu latach powróciła na nocne niebo. Odrodzona.

Leciała pomiędzy drzewami, myśląc o chłopcu, którego pragnęła. Myślała, że może jednak dopuści go do siebie dziś wieczorem i obydwójce dostaną to, czego chcieli.

Jej usta wydały niski żałobny krzyk. To była melodia, którą od zawsze znała, pieśń, która nigdy nie opuściła jej serca.



Bill Crider

Autor pięćdziesięciu powieści i wielu opowiadań. W 1987 roku zdobył nagrodę Anthony za najlepszą powieść grozy pt. *Za późno, żeby umierać (Too Late to Die)*. Był nominowany do nagrody Shamus Award w kategorii najlepsza książka detektywistyczna za *Śmierć na wyspie (Dead on the Island)*. Został również laureatem Golden Duck za najlepszą powieść science fiction dla młodzieży – *Mark Gonzo i terror kosmitów (Mark Gonzo and the UFO Terror)*. Razem z żoną Judy otrzymali nagrodę Anthony w 2002 roku za wspólne opowiadanie *Czekoladowy łosć (Chocolate Moose)*. Jego ostatnia powieść to *Śmierć w szeregach O.W.L.S. (Murder Among the OWLS)*. Więcej informacji na oficjalnej stronie autora: www.billcrider.com

Jak zostałem nastoletnim wampirem



Jeżeli naprawdę chcielibyście o tym usłyszeć (a jak znam życie, wiele ciekawskich osób z pewnością chciałoby to wiedzieć), to zapewne będziecie zainteresowani, gdzie się urodziłem, jaki byłem w dzieciństwie i w jaki sposób wylądowałem pod mostem. I o wszystkich tych sprawach typu *Buszujący w zbożu*, o których nie mam teraz ochoty opowiadać i które, prawdę mówiąc, wcale nie są interesujące.

Powiem wam za to, jak się stałem cholernym wampirem. To akurat jest dość interesujące. Wszystko zaczęło się od mojej siostry Kate, która powinna być mądrzejsza, bo skończyła liceum. Właściwie to w mojej rodzinie nie ma zbyt wielu geniuszy i ja tak naprawdę też się do nich nie zaliczam, chociaż w szkole byłem dość dobry z pierwszego roku teorii praw obywatelskich ^[2].

Szczerze mówiąc, nie mogę zwalić całej winy na Kate. Gdyby nie

oglądała tych głupich filmów, może byłoby inaczej. To nie była też zupełnie moja wina. Po prostu byłem niewinnym świadkiem.

Bycie wampirem nie jest aż takie fajne, jak może wam się wydawać. Pewnie wyobrażacie sobie, że wszystko polega na pelerynach, błyszczących kłach i dobrej zabawie po zmierzchu. Jeśli tak nie myślicie, to dobrze. Ale ja tak uważałem i okazało się, że byłem w błędzie. Niejako „śmiertelnym błędzie”, według wampirzego poczucia humoru.

A było tak – moja siostra planowała duże przyjęcie na swoje osiemnaste urodziny, które wypadły w Halloween. Chciała, żeby było to coś naprawdę super. Moi beznadziejni starzy postąpili tak jak zwykle i pozwolili jej robić, co tylko zapragnie. Zawsze tak było, bo ona była ich ulubionym dzieckiem. Pomyślcie może, że miałem przegwizdane, ale to było normalne, więc zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

A ona zapragnęła mieć wampira.

– Tak jak Christopher Lee – powiedziała Kate, zaczesując swoje czarne włosy do tyłu.

Wkurza mnie, jak tak robi, ale ona twierdzi, że to supcio i że chłopcy to lubią. Nie wiem, jak inni chłopcy, dla mnie to jest sztuczne.

– Jak *Horror Draculi*, który widzieliśmy w zeszłym roku.

Ona często oglądała filmy typu: *Byłem nastoletnim wilkołakiem*, *Byłem nastoletnim Frankensteinem*. Ale te z wampirami uważała za najlepsze. Nigdy nie nakręcili filmu *Byłem nastoletnim wampirem*, ale gdyby powstał, z pewnością byłaby pierwsza w kolejce do kina.

– Pamiętasz, co mówiły zapowiedzi filmu? – zapytała. – Chłód grobu nie opuści twojego ciała przez wiele godzin.

Starła się to powiedzieć niskim głosem, żeby brzmiało mrocznie, ale nie wyszło. Dla mnie to było strasznie sztuczne.

– Możesz już przestać rzeć – powiedziała, bo cały czas się śmiałem. – To twój głupkowaty kolega Binky twierdzi, że zna prawdziwego wampira.

– Binky nie poznałby wampira nawet wtedy, gdyby ten ugryzł go w dupę

– powiedziałem.

Było to zbyt szorstkie nawet jak dla mojej naiwnej siostry, ale miałem już tak dość tego jej odgarniania włosów, że nie mogłem się powstrzymać. Później się okazało, że jeżeli chodzi o znajomości Binky’ego, to się pomyliłem, i to mocno.

– A poza tym on nie jest moim kumplem.

– Cóż. Moim na pewno też nie – powiedziała. – I nie musisz się tak brzydko wyrażać.

W zasadzie Binky nie był niczym kumplem. To był ten typ, co to zawsze się gdzieś kręci i czeka, żeby z kimś się zaprzyjaźnić. Starał się robić żartobliwe uwagi, które nikogo nie śmieszyły. Wyglądał nieciekawie. Miał ostry nos i był wiecznie zakatarzony. Posiadał też wielkie, smutne oczy i włosy, które powinny być częściej myte. Prawie nigdy się nie uśmiechał, bo brzydkich zębów, których raczej zbyt regularnie nie mył, wolał nie pokazywać.

Opowiedział mi o tym wampirze. Miała to być wielka tajemnica, znaczy on uważał, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, i powierzył mi ją w sekrecie, ale Kate oczywiście to ze mnie wyciągnęła. Jasne, wiem, że nie powinienem był jej tego mówić. A zresztą co się stało, to się nie odstanie. Nic na to nie poradzę.

– Sądzę, że jeżeli ktokolwiek zna jakieś wampiry, to właśnie Binky – powiedziała Kate.

W zasadzie to nazywała się Katherine, ale uważała, że Kate brzmi bardziej wyszukanie czy coś tam.

– On twierdzi, że zna, a to wystarczy, żeby moje przyjęcie było idealne.

Ona jednak nigdy nie powinna była oglądać tych filmów. Wyobrażała sobie, że świetna impreza polega na tym, że dziewczyny mają suknie wieczorowe, a faceci wyglądają tak jak Igor, czy jak mu było na imię. Niestety, wbiła sobie do głowy, że całość się nie uda, jeśli nie będzie wampira, który doda dreszczyku wyrafinowanej emocji.

– Może tata mógłby być wampirem – powiedziałem. – On się lubi przebierać. Nawet ma smoking.

– Ale to takie niemodne – powiedziała, odgarniając włosy z oczu.

Powinna po prostu ściąć grzywkę, ale mnie się nikt nie pyta o zdanie.

– Poza tym tata byłby beznadziejnym wampirem.

W zasadzie tak. Ojciec był bardziej w stylu Mr. Peepersa i zdawał się przypominać go coraz bardziej. Ale nic dziwnego, skoro nasza matka była jak żona Rip Van Winkle'a^[3] z tego opowiadania, co je musieliśmy czytać w szkole.

– Właśnie dlatego musisz pogadać z Binkym – powiedziała Kate, potrząsając głową, żeby pozbyć się włosów z oczu. Było to jeszcze bardziej wkurzające niż to jej zaczesywanie ich do tyłu. – Jeśli pojawi się prawdziwy wampir, przyjęcie będzie wprost idealne. Pogadasz z nim?

– Prawdziwy wampir może być dość niebezpieczny – powiedziałem, chociaż sam nie wierzyłem w te bzdury, jakie wygadywał Binky. Próbowałem ją po prostu zniechęcić, ale powinienem był wiedzieć, że się nie da.

– Będziemy mieli czosnek, krzyże i wodę święconą – stwierdziła. – Nie będzie niebezpiecznie.

– Te rzeczy nigdy nie działają w filmach.

– Skąd ty możesz to wiedzieć? Przecież nie oglądasz takich filmów. Mówisz, że nie są inteligentne.

– Nigdy tak nie powiedziałem.

To fakt, tak nigdy nie powiedziałem, chociaż nie miałem dobrej opinii o tego typu filmach.

– Nie musiałeś. Ty po prostu siedzisz, obserwujesz innych i uważasz, że jesteś lepszy od nas. Ale to nieprawda. Lubisz tak tylko myśleć.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek udało mi się przekonać Kate do swoich racji, więc darowałem sobie. Pod tym względem była bardzo podobna do naszej matki, która nigdy nie odpuszczała. Powiedziałem więc, że pogadam z Binkym, jeśli w zamian będzie odrabiał przez tydzień moją pracę domową z

geometrii. Nie żebym miał z tym problemy, chodziło mi o zasady.

Uważała się za orła z geometrii, więc się zgodziła. Oznaczało to, że będę musiał pogadać z Binkym, czy mi się to podobało czy nie.



Nasza szkoła mieściła się w dwupiętrowym budynku z cegły i cała pachniała jakimś detergentem, którego woźni używali do czyszczenia podłóg. Zawsze się zastanawiałem, jak czymś takim można czyścić posadzkę. W sumie to nawet podobał mi się ten zapach. W zasadzie to lubiłem też szkołę, ale nie byłem w stanie znieść większości zajęć i uczniów.

Następnego ranka zjawiłem się w budzie tuż przed pierwszym dzwonkiem. Wszystkie dziewczyny gadały tylko o tym, jak poprzedniego wieczora wypadł Frankie Avalon śpiewający *Venus* w programie *American Bandstand*. Tak, to było na ich poziomie intelektualnym. Faceci natomiast robili to, co ich naprawdę kręciło, czyli pierdzieli i dłubali w nosie. Mieliśmy jednak jedną wspólną cechę. Ani oni, ani ja nie lubiliśmy Frankiego Avalona. Nie mogłem znaleźć Binky'ego, w końcu Fred Burley powiedział mi, że siedzi zamknięty w swojej szafce. Binky był niski i słaby, więc jakiś kretyn zawsze wycinał mu ten numer.

– Kto to był tym razem? – zapytałem. – Harry Larrimore?

Zwykle Harry to robił. Mnie też wyciął kilka numerów. Między innymi wyciągnął gumkę z moich majtek tuż przed zajęciami z geometrii. Harry jest znacznie większy ode mnie, więc nie mogłem wtedy nic zrobić. Po prostu wszedłem do klasy, chociaż ciężko mi się szło. Wszyscy mieli niezły ubaw, łącznie z nauczycielką, ale ona przynajmniej starała się to jakoś ukryć.

– Nie sądzę, żeby ktoś go wsadził do szafki – powiedział mi Fred. – On

chyba po prostu lubi tam siedzieć.

Nie uważałem tego za prawdopodobne. Kto chciałby być zamknięty z własnej woli w tak małym i ciemnym miejscu? Niestety, nie szło tego wytłumaczyć Fredowi. Zresztą ciężko mu było cokolwiek wytłumaczyć, jeśli nie było to związane z piłką i boiskiem.

Uważając, by nie wpaść na żadnego nauczyciela, wślizgnąłem się na drugie piętro, gdzie wzdłuż całego korytarza stały szafki uczniów drugiej klasy. Były wysokie na około cztery stopy i pomalowane na kolor brązowo-szary. U góry miały małe szpary wentylacyjne, które chyba miały pełnić funkcję ratującą życie w przypadku, gdyby ktoś zostawił w szafce śmierdzące tenisówki i zamknął kogoś w środku.

Korytarz był pusty i nikt nie powinien tu przebywać, zanim nie zadzwoni dzwonek. Nieźle byśmy oberwali, gdyby ktokolwiek nas tu przyuważył. Ogólnie było cicho, ale z szafki numer 146, która należała do Binky'ego, słychać było jakieś dźwięki. Jakby ktoś, czytając książkę, przewracał strony. Ale to wydawało się nieprawdopodobne. Binky był dziwny, ale nie na tyle, żeby czytać po ciemku.

Stałem przez chwilę pod jego szafką i wreszcie zapytałem: – Binky?

– Carleton?

Tak brzmi moje głupie imię. I nawet jak mówię ludziom, żeby nazywali mnie Carl, i tak tego nie robią. Na moją siostrę mówią Kate, ale mojego imienia nikt nie skraca. To wkurzające.

– Ta, ja – odrzekłem.

Niby powinienem był powiedzieć: „Tak, to ja”, ponieważ stara pani Shanklin, nasza anglica, cały czas nam powtarza, że powinniśmy mówić poprawnie gramatycznie, żeby ludzie nas szanowali. Na moje oko, to brzmi strasznie sztucznie i nigdy tego nie robię.

– Przecież nie Chuck Norris.

Głupie pytanie, i tak nikt inny nie przychodził, żeby go wypuścić z szafki. Nie robiłem tego, bo był moim przyjacielem, ale dlatego, że nie byłem taką

świnią jak ta banda debili ze szkoły.

– Czego chcesz?

– Jest sprawa.

– Później, Carleton, OK? Zaraz mam test.

– Uczysz się w szafce?

– Tak, a teraz spadaj.

No, ładne mi dzięki za to, że pilnowałem jego tyłka. Już miałem mu powiedzieć, co myślę, ale ugryzłem się w język.

– Chodzi o wampira – powiedziałem.

A, pies to gryzł, miałem pogadać, to gadam. Z szafki dobiegł cichy łomot, jakby ktoś zamknął książkę.

– Nie mogę o nim mówić, Carleton. Mówiłem ci przecież. A teraz idź sobie, bo muszę zakuwać. Poza tym jeśli znowu się spóźnię, to stary pan Harness każe mi za karę zostawać po lekcjach przez miesiąc.

Binky miał dużo spóźnień. Głównie przez tę szafkę. Uważałem na niego jak mogłem, ale nie zawsze pamiętałem, że trzeba go z niej wypuścić.

– Otworzę teraz drzwiczki, ale nie uciekaj, dobra?

– Kurczę, po prostu sobie idź, co?

– Ja nigdzie nie idę i lepiej by było, gdybyś ty także został.

Tyle razy wypuszczałem Binky'ego z szafki, że nawet nie musiał mi podawać szyfru do kłódki. Zapamiętałem go bardzo dawno temu. Ale kłódki nie było. Wystarczyło po prostu podważyć zamek i szafka otworzyłaby się sama. Binky mógł to z łatwością zrobić od wewnątrz. Nie sądziłem, że jest aż tak głupi.

Otworzyłem drzwiczki i Binky wyszedł na korytarz. Był tak niski i chudy, że nawet za bardzo nie zdrętwiał. W dodatku wreszcie nie ciekło mu z nosa. W rękę trzymał książkę do teorii praw obywatelskich z palcem wsuniętym między strony, jakby zaznaczył, gdzie skończył czytać.

Przeczesał swoje blond włosy wolną ręką i rzekł: – Muszę lecieć na lekcje, Carleton.

– Nie ma za co – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, jakby mi odbiło.

– Bardzo zabawne. Nie prosiłem, żebyś mnie wypuścił.

Próbował się wymknąć, ale zastąpiłem mu drogę.

– Wampir – powiedziałem.

– O co chodzi z wampirem?

– Muszę z nim pomówić.

Zadzwoił pierwszy dzwonek i zaczęli się schodzić ludzie. Wiedziałem, że Binky zaraz mi zwieje, więc złapałem go za koszulkę. Spojrzał na mnie tymi swoimi smutnymi czarnymi oczami i powiedział: – Carleton, to nie jest dobry pomysł.

– Wiem – powiedziałem. – To plan mojej mądrej siostry, więc z założenia musi być głupi.

Wyjaśniłem co i jak, mówiąc cicho, tak żeby nikt inny na korytarzu nie słyszał, o czym rozmawiamy. Jeszcze by sobie ktoś pomyślał, że jestem tak samo stuknięty jak Binky.

– To jest wyjątkowy kretynizm. Nawet jak na twoją siostrę – stwierdził, kiedy powiedziałem, co ta wariatka wymyśliła. – Nie powinieneś zadawać się z wampirami. To nie jest bezpieczne.

– Jasne, ale ona będzie rozwiązywać moje zadania z geometrii przez tydzień. Muszę więc porozmawiać z wampirem.

– Wcale nie.

Zapytałem go, co ma na myśli, bo to przecież ja z nią gadałem, więc chyba powinienem wiedzieć, co ustaliliśmy.

– Ona powiedziała, że będzie robić twoją pracę domową, jeśli ze mną porozmawiasz. Właśnie to zrobiłeś, więc sprawa jest zamknięta.

Niby tak. Z technicznego punktu widzenia miał rację. Rzecz w tym, że umysł Kate działał, jak by to powiedzieć... Inaczej? Ona nie zastanawiała się nad sprawami technicznymi i dziurami w logice. Nigdy nie robi mojej pracy domowej, jeśli nie postaram się załatwić wampira na przyjęcie. Nie chodzi o

to, że nie byłbym w stanie samemu zrobić tych zadań, ale o zasady.

Próbowałem wyjaśnić to Binky'emu, ale skapnął się, że korytarz powoli pustoszeje. Wyrwał się z mojego uścisku. Kurczę, nie był wcale taki słaby i powolny, jak mi się wcześniej wydawało. Zanim się zorientowałem, już go nie było. Ten gówniarz będzie miał szczęście, jeśli go jeszcze kiedyś wypuszczę z szafki.



Podczas lunchu Binky próbował mnie przeprosić puddingiem. A chała! Zresztą musiałbym chyba umierać z głodu, po tym jak przez jakieś dziesięć minut patrzyłem na Binky'ego pociągającego nad nim nosem. I tak nikt nigdy tego nie jadł, bo w środku były wstrętne grudki. Krążyło wiele historii wyjaśniających ich obecność w szkolnym puddingu i każda następna była bardziej obrzydliwa od poprzedniej.

– Trochę myślałem – powiedział – i chciałem cię przeprosić.

Binky położył kilka serwetek na porcji swojego chili, żeby wchłonęły tłuszcz. Był chyba jedyną osobą, która robiła coś takiego i która w ogóle jadła chili. On czasami naprawdę mnie dobijał.

Żałowałem, że przy mnie usiadł, ale teraz było już za późno. Przy naszym stole było jeszcze dużo wolnego miejsca, ale wiedziałem, że już nikt się do nas nie dosiędzie. Prawdę mówiąc, to byłem prawie tak samo lubiany jak Binky, ale mnie przynajmniej nikt nie zamykał w szafce. Byłem zbyt wysoki.

– Nie ma problemu. Wiem, że musiałeś iść na lekcje – powiedziałem, ale byłem na niego niezłe wkurzony.

– Nie powinienem był ci mówić o wampirze. To był błąd.

– Ale powiedziałaś.

– No... Więc zaprowadzę cię do niego.

Przestałem mieszać swoje chili. W zasadzie to nigdy nie jem więcej niż kilka łyżek. Jeśli zjadłbym więcej, miałbym straszne wzdęcia w okolicach czwartej lekcji.

Puddingu też nie jem. Po prostu wbijam w niego łyżkę i mieszam nią, szukając grudek.

– Zaprowadzisz mnie do niego?

Binky przytaknął.

– Co za to chcesz?

– A kto mówi, że coś chcę?

Nie odpowiedziałem. Każdy zawsze coś chce w zamian i Binky pod tym względem nie różnił się od innych. Po chwili jednak powiedział: – Chcę przyjść na imprezę.

No i wyszło szydło z worka. Był tylko drugoklasistą, a chciał przyjść na imprezę urządzaną przez maturzystkę.

– Nawet ja nie wiem, czy mnie zaprosi – odrzekłem.

– Albo ja i wampir, albo beze mnie i bez wampira.

– Dobra. Powiem jej, ale nic nie obiecuję.

– To chyba wystarczy – powiedział po chwili namysłu.

– Zaprosimy więc wampira?

– Ta.

– Nie ściemniasz? – upewniłem się.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Spotkajmy się przy północnym wyjściu po szóstej lekcji.

– Będę.

– Chcesz moje chili? Pozbyłem się całego tłuszczu.

Najpierw był pudding, a teraz chili.

– Coś ci się stało?

– Chyba nie jestem głodny.

Popatrzyłem na swoją porcję i mnie to nie dziwiło.



Mówiłem już, że nie wierzyłem w wampiry? No, nie wierzyłem. Teraz to co innego. Teraz to ja zdecydowanie w nie wierzę. Dziś to dziś, a kiedyś było inaczej.

Powiem wam co nieco o domu, w którym mieszkał wampir. Jakoś w XIX wieku był sobie facet, który, jak to mój tata mawia, miał więcej dolarów niż rozumu. Miał w Anglii dworek, który kazał rozebrać i wybudować ponownie na obrzeżach naszego małego miasteczka.

Działo się to na długo przed narodzinami mojego ojca, ale ponieważ zawsze kręciła go historia naszej okolicy, słyszał to i owo o tej posiadłości. Opowiedział mi, że ten dworek złożony jak jakieś trójwymiarowe puzzle, a całość, łącznie z ogrodem, była dokładnie taka, jak przed przeniesieniem z Anglii.

Facet w końcu umarł, a posiadłość odziedziczyli jacyś jego dalecy krewni z Nowego Jorku. Płacili podatki, ale ani razu tu nie byli. Opuszczony dom popadał w ruinę, winorośl pięła się po murach, a krzaki zarosły ogród.

W końcu to miejsce zyskało złą sławę. No, wiecie, o czym mówię – dziwne dźwięki, pojawiające się światła w oknach i duchy. Nie wierzę w takie rzeczy, ale jakoś tak nigdy nie poszedłem tam, żeby sprawdzić, czy to prawda. W zasadzie nikt tam nie chodził.

Nikt oprócz Binky'ego, który, jak już wcześniej wspomniałem, był dziwny i lubił przebywać w takiego typu miejscach. W ten właśnie sposób poznał wampira.



Spotkałem się z Binkym po szkole. Wyjechaliśmy jakieś dwie mile za miasteczko i skręciliśmy w wiejską drogę. Jechaliśmy nią jakieś pół mili i już zaczynałem mieć tego dość. Rower też. Za to na Binkym nie robiło to wrażenia. Miał na sobie koszulkę z długim rękawem i czapkę z daszkiem naciągniętą tak głęboko, że ledwie widziałem jego oczy.

– Mam nadzieję, że ten koleś nie jest prawdziwym wampirem – powiedziałem, kiedy zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. – To nie za mądre zapraszać jakiegoś faceta, który może rozszarpać nasze gardła i wypić krew dziewczyc czy jakoś tak. To jest to, co Kate miała na myśli. To nie byłoby wcale takie super.

– Mów za siebie – powiedział Binky. – Jak dla mnie, to świetna zabawa.

Zabrzmiało to tak, jakby chciał coś takiego zobaczyć. Binky był dziwny, ale chyba nie miał tego tak naprawdę na myśli. Prawie zemdłał na zajęciach z biologii, kiedy robiliśmy sekcję żaby.

– Straszny byłby bałagan – próbowałem zażartować. Zawsze tak robiłem, kiedy się denerwowałem. – Starzy by się wściekli, gdyby ktoś zrobił im bajzel w domu.

Binky wziął moje słowa na poważnie.

– Wcale by się tak nie stało. Wampiry są dość pedantyczne.

Byłem zdziwiony, że Binky zna takie słowa jak „pedantyczny”. Dużo czytał i miał bujną wyobraźnię, ale trochę pokręconą. Czytał czasopisma typu „Niesamowite” czy „Fantastyczne” i inne bzdury, które miały na okładkach latające spodki czy jakieś gigantyczne robale. Widocznie o wampirach też tam było.

– Dobrze znasz tego wampira? – zapytałem.

Binky przechylił głowę.

– Nie mówiłem, że go znam.

No fakt.

– Powiedziałem, że wydaje mi się, że jest wampirem. To ty chciałeś tu przyjechać.

Spojrzałem w górę drogi i zobaczyłem, że rosnące tam drzewa połączyły się gałęziami, tworząc kolorowy tunel. Cień był tak duży, że miałem wrażenie, że jest tam ciemno. Dom stał na końcu alei i wyglądał dość strasznie. Przypominał jeden z tych nawiedzonych domów, które przedstawione są na filmowych plakatach w pokoju mojej siostry. Jak dom Draculi z jej ulubionego filmu albo coś takiego. Nie byłem już pewny, czy mój pomysł był taki świetny, ale skoro już tutaj byliśmy, to mogliśmy pójść. Popchnąłem rower po wiejskiej drodze, a za mną podążył Binky.

Kiedy się zbliżyliśmy, coś wyleciało z okna na piętrze. Wyglądało jak nietoperz, ale nie byłem do końca przekonany. Pomyślałem, że jest jeszcze za jasno na nietoperze. Ciarki przeszły mi po plecach. Miałem wrażenie, jakby ktoś położył na mojej szyi zimną rękę. Spojrzałem na zegarek. Była dopiero 16.30, ale o tej porze roku robiło się ciemno dość wcześnie. Ścieżka, po której szliśmy, pokryta była opadłymi liśćmi. Zawiał lekki wiatr, który je poderwał i poniósł na podwórze.

– Pewnie nikogo nie ma – powiedziałem. – Może powinniśmy zawrócić?

– Ale skoro już tu jesteśmy – powiedział Binky – równie dobrze możemy zobaczyć, czy ktoś jest w środku.

To nie brzmiało dobrze, ale nie chciałem wyjść na tchórza. Moja głupia siostra nigdy by mi nie przestała dogryzać, gdyby się dowiedziała. Binky pewnie też. Poza tym był paplą; gdyby się wygadał w szkole, byłbym częściej zamykany w szafce niż on. Postanowiłem więc iść dalej.

Dom nie prezentował się lepiej, gdy weszliśmy na dziedziniec. Szczerze mówiąc, wyglądał gorzej. W żadnym z okien nie było szyb i wydawało mi się, że w dachu i ścianach były dziury. Mury pokryte były dzikim winem, więc brak cegieł nie rzucał się tak w oczy. Wszędzie rosły drzewa, ale nie były zbyt wysokie.

Drzwi frontowe nie wyglądały najgorzej. Były zrobione z ciężkiego drewna i wydawało się, że nie są aż tak stare jak reszta domu. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Gdyby jakiś wampir szukał kryjówki, to

zamieszkałby właśnie tu.

Wiatr przygnał ciemne chmury, które pokryły niebo, zasłaniając popołudniowe słońce. Równie dobrze moglibyśmy się teraz znajdować na jakichś starych angielskich wrzosowiskach.

Jakoś tak nie kwapiliśmy się, żeby podejść do domu. Wydawało mi się, że Binky powinien zapukać do drzwi, ale się ze mną nie zgodził.

– To ty przychodzisz z zaproszeniem – powiedział. – I tak nam nie otworzy – dodał – jeśli faktycznie jest wampirem. Jeszcze nie jest noc.

– Widziałem horror *Dracula* – skłamałem, ale Binky nie mógł tego wiedzieć.

– No i co z tego? Ja też go widziałem. A czy kiedykolwiek czytałeś *Draculę*? Chodzi mi oczywiście o książkę.

– Sporo czytam – odpowiedziałem.

– Ale najwyraźniej nie *Draculę*. Gdybyś przeczytał, wiedziałbyś, jaka jest różnica pomiędzy filmami i rzeczywistością.

– Chcesz mi powiedzieć, że jakaś wymyślona książka mówi prawdę?

– Bram Stoker wiedział, o czym pisze – powiedział Binky tak przekonywająco jak jakiś ekspert. – Poza tym jego *Dracula* normalnie funkcjonował za dnia. – Wskazał palcem na dom i dodał: – Widziałem tego kolesia w świetle słonecznym. Masz zamiar zapukać czy nie?

– Dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Ty musisz dać mu zaproszenie. To ty zapraszasz go do swojego domu, na swoje przyjęcie.

Przyjęcie było mojej siostry, a dom należał do moich rodziców. Najwyraźniej Binky nie widział różnicy. Położyłem rower na ziemi i podszedłem do drzwi. Jakoś nie miałem przekonania do tego wszystkiego, więc nie śpieszyłem się za bardzo. No, trochę się bałem, że ten kolesz naprawdę jest wampirem i może być niezła zadyma.

Na drzwiach nie było żadnego dzwonka czy nawet kołatki, tak jakby ten, kto tu mieszkał, nie spodziewał się żadnych gości. Miałem nadzieję, że Binky

wymyślił sobie całą tę historię, żeby zwrócić na siebie uwagę. Równie dobrze mógł tu nikt nie mieszkać. Na to liczyłem.

Kiedy tak stałem przed drzwiami, usłyszałem nad sobą pisk. To był ten nietoperz, czy coś tam, który wleciał właśnie przez jedno z okien na drugim piętrze.

Znowu przeszły mnie ciarki i już miałem czmychnąć, ale tego nie zrobiłem. Chciałem, ale nie mogłem. Nie wiem jak, ale zastukałem do tych cholernych drzwi. Nikt nie otworzył, więc jak kretyn zapukałem jeszcze raz. Może ten wampir siedział zamknięty w swojej trumnie i nic nie słyszał albo latał po strychu pod postacią nietoperza. Spojrzałem na Binky'ego, który wzruszył ramionami. Miałem tego dość. Zacząłem się odwracać, gdy drzwi się otworzyły.

W sumie nie otworzyły się szeroko, ale ktoś w nich stał albo tak mi się wydawało. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek oddychał. Nie widziałem też wnętrza domu.

Zatkało mnie, no bo co? Miałem tak po prostu wypalić: „Czy jest pan wampirem”? Stałem jak idiota.

Wreszcie ten ktoś postanowił sam zacząć rozmowę.

– Słucham – rzekł.

To faktycznie był facet. Nie powiedział tego w normalny sposób. Brzmiało to bardziej jak: „Sssssłucham”.

Nie podskoczyłem tylko dlatego, że mnie замуrowało. Chciałem coś powiedzieć, ale miałem sucho w ustach. Przełknąłem ślinę kilka razy i wreszcie wypaliłem: – Chciałem pana zaprosić na imprezę.

Zapadła cisza. W końcu mężczyzna zapytał tak, jakby nikt go nigdzie nie zapraszał: – Czy jesteś pewien?

Nie byłem. Wolałbym być teraz w domu, nawet gdybym musiał oglądać Frankiego Avalona albo coś równie kretyńskiego. Niestety, byłem, gdzie byłem, i nie mogłem nic na to poradzić. Wyjąłem z kieszeni zaproszenie, które napisałem w pokoju do nauki, udając, że czytam coś z historii. Tekst

zaproszenia brzmiał: *Jesteś zaproszony na przyjęcie urodzinowe*. Dodatkowo napisana była dokładna data i godzina oraz adres.

Przekazałem je mężczyźnie, który wyciągnął po nie rękę. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś miał taką dłoń. Była bardzo blada, a paznokcie były bardzo długie i ostre. Ciekawe, jak bardzo.

Ręka z zaproszeniem zniknęła i po chwili głos powiedział: – Bardzo ładne. Przybędę. Czy będziesz przy drzwiach, żeby mnie przywitać?

Niby czemu? Zupełnie nie wiedziałem, czemu miałbym go witać, ale powiedziałem: – Jeśli nie ja, uczyni to moja siostra.

– To jest ssssatysssfffakcjonujące.

Drzwi się zamknęły. Stałem tam jeszcze przez chwilę, mrugając oczami, jakbym właśnie obudził się ze snu, po czym podszedłem do Binky'ego.

– A co z moim zaproszeniem? – zapytał.

– Zapytam siostrę.

– Lepiej, żeby mnie zaprosiła.

– Jaaasne – powiedziałem, ale za dobrze ją znałem, żeby nie wiedzieć, co na to powie. Ona lubiła tylko popularne dzieciaki, które według mnie były strasznie sztuczne. Binky był dziwny, ale przynajmniej nie był sztuczny.



Następnego dnia w szkole wydarzyła się śmieszna rzecz. Ktoś zamknął w szafce Harry'ego Larrimore'a. Dowiedziałem się o tym od Freda Burley'a, który go z niej wypuścił. Powiedział, że zapytał się Harry'ego, kto to zrobił, ale ten nie puścił pary z ust, jakby się kogoś bał. Numer stulecia, bo Harry nikogo się nie bał, nawet nauczycieli.

Obaj, Harry i Fred, spóźnili się na lekcję, bo wyłuskiwanie Harry'ego z

szafki musiało być trudne. Harry był znacznie większy niż Binky. Normalnie nikt by w to nie uwierzył, gdyby Fred nie widział tego na własne oczy.

Opowiedziałem o tym zdarzeniu Binky'emu podczas lunchu, ale jego to nie rozbawiło.

– Czasami różne rzeczy do ciebie wracają – powiedział.

Nie załapałem, ale raczej nie mówił o jedzeniu ze stołówki. Był piątek, więc mieliśmy rybę, której Binky nigdy nie jadł. Przez chwilę wydawał się zainteresowany tym, że polewam swoją porcję keczupem, i myślałem, że się skusi, ale stwierdził, że nie jest głodny.



Moja siostra zaskoczyła mnie, kiedy powiedziałem, że Binky domaga się zaproszenia na przyjęcie, a ona nawet nie próbowała się o to kłócić. Zaczesała swoją grzywkę do tyłu i powiedziała:

– Może przyjść, ale ma nikomu nie wchodzić w drogę.

Miała na myśli „tak długo jak nie będzie wchodzić w drogę moim sztucznym przyjaciołom”. Znaczyło to, że będzie musiał siedzieć w moim pokoju, jako że i ja tam będę musiał siedzieć. Nie lubiłem Binky'ego bardziej niż ona, gadałem z nim tylko dlatego, że było mi go żal, ale nie chciałem, żeby był w moim pokoju podczas przyjęcia. Nie żeby to kogoś obchodziło.

– Widziałeś tego wampira? – zapytała Kate. – Czy jest prawdziwy?

A skąd ja niby mam to wiedzieć, czy jest prawdziwy, czy nie? Właściwie to widziałem tylko jego rękę, wyglądała zdecydowanie wampirzo.

– Prawdziwy. Gdybym był tobą, nie chciałbym, żeby pojawił się na moim przyjęciu.

Ona tylko się zaśmiała.

– Nie musisz się martwić. Podejmiemy liczne środki ostrożności, a poza tym i tak nie ma prawdziwych wampirów, cokolwiek byś o tym myślał.

– Skoro tak mówisz...

Mogła wierzyć, że to jest jeden wielki żart, ja miałem inne zdanie, co oczywiście nie miało znaczenia.

– Tak właśnie mówię. I chcę, żeby twój kumpel Binky nie rzucał się nikomu w oczy.

Nie miało sensu jej przypominać, że Binky nie był moim kumplem. Zapytałem ją, czy powiedziała naszym rodzicom, że na przyjęciu będzie wampir, ale ona obrzuciła mnie protekcjonalnym spojrzeniem.

– Nie mówię im o wielu rzeczach – powiedziała tak, jakby miała jakieś wielkie tajemnice.

Akurat! Kiedyś wślizgnąłem się do jej pokoju i przeczytałem jej pamiętnik. Też coś.

– I ty też siedź cicho.

Odrzekłem, że nie jestem papłą, i dałem jej mój zeszyt do geometrii.

– Nie tak szybko – powiedziała. – Nie zrobię za ciebie żadnego zadania, dopóki na przyjęciu nie pojawi się wampir.

Binky przestrzegał mnie, żeby nie gadać o wampirze, ale oczywiście nie wytrzymałem. Już nic nie mogłem na to poradzić. Zabrałem zeszyt i wziąłem się do pracy.



Halloween było dość ponure. Padało przez większość dnia i niebo zasnucone było grubą warstwą chmur. Gdy nadszedł czas imprezy, na dworze było już zupełnie ciemno, a po księżycu i gwiazdach nie było śladu.

Kiedy znajomi Kate zaczęli się zjeżdżać, rodzice poszli do sąsiadów pograć w kanastę. Nasi starzy byli pod tym względem bardzo liberalni i nie wciskali się tam, gdzie ich nie chciano. Moja matka powiedziała, żeby dzwonić w razie kłopotów, ale Kate zaręczała, że wszystko będzie dobrze. Osobiście nie byłem tego taki pewny, ale siedziałem cicho.

Kiedy Binky dotarł, Kate zaprosiła go do środka. Miał na sobie czarny plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy z zarzuconym kapturem, jakby na zewnątrz nadal padało. Nie przypadł mu do gustu warkocz czosnku, który Kate miała założony na szyję. Nie dziwiłem mu się, bo strasznie śmierdziało, ale moja siostra uznała, że to genialne. Ja tam myślę, że to sztuczne. Miała też krucyfiks – taki prawdziwy, z rzeźbą ukrzyżowanego Chrystusa. Nie mam pojęcia, skąd go wzięła, bo nasza rodzina do religijnych nie należała. Ostatnim razem w kościele byliśmy jakieś dziesięć – piętnaście lat temu.

Binky próbował pokręcić się wśród przyjaciół Kate, ale powiedziałem mu, że będziemy siedzieć w moim pokoju.

– Chcę tutaj być, kiedy przybędzie – stwierdził Binky.

Nie musiałem pytać, o kogo chodzi. Obiecałem, że zejdziemy na dół, ale później. Nie miał innego wyboru, tylko się zgodzić.

– Ten krucyfiks i tak nie zadziała – poinformował mnie, kiedy weszliśmy na górę. – Musisz w niego wierzyć, żeby zadziałał.

– A to ma jakieś znaczenie? Poza tym jest czosnek.

– Ta, to może pomóc.

Nie podobało mi się, że użył słowa „może”, ale przecież ja w wampiry nie wierzyłem.

Dzwonek zadzwonił dokładnie o 20.30, czyli o godzinie, którą podałem na zaproszeniu. Kate chciała, żeby wszyscy jej przyjaciele byli o tej porze już obecni.

Poszliśmy z Binkym na schody, żeby mieć dobry punkt obserwacyjny. Binky nadal miał na sobie tę głupią pelerynę z kapturem głęboko nasuniętym na oczy, wyglądał, jakby mu to nie przeszkadzało.

Kate otworzyła drzwi, powiedziała coś i wampir wszedł do domu.

Był wysoki i blady, a włosy miał zaczesane do tyłu. Wydawało mi się, że ma spiczaste uszy i czerwone oczy. Kilku znajomych Kate przyszło do przedpokoju, żeby się przyjrzeć nowemu gościowi.

Wampir popatrzył na nich, jakby byli daniami w restauracji ze szwedzkim bufetem. Wszyscy, nawet Kate – Panna Bez Strachu, cofnęli się o krok.

Spojrzałem na Binky'ego, który zdjął z głowy kaptur, i... Zobaczyłem koniuszki jego uszu.

– Binky? – powiedziałem.

Uśmiechnął się. O, ja pierdziuuu! Jego zęby nie wyglądały już na zepsute. Były białe i błyszczące, i wyglądały na ostre.

– Binky?

Jego oczy płonęły czerwonym światłem.

– Binky?

O mamuniu. Dopiero teraz zacząłem kojarzyć: Binky czytający w ciemności, zawsze w koszulce z długim rękawem, nawet jeśli było ciepło, Harry Larrimore i wiele innych rzeczy... Ale ze mnie matole!

– Binky?

Z dołu dobiegły krzyki, ale nawet nie spojrzałem, co się dzieje. Nie mogłem oderwać wzroku od jarzących się oczu Binky'ego. Chciałem patrzeć gdzie indziej, ale nie mogłem.

– Binky...

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze. Jak krety pomyślałem jeszcze, czy ktoś zadzwonił do sąsiadów, gdzie byli rodzice, co było zdecydowanie najgłupszą i najbardziej bezsensowną rzeczą, jaką w tym momencie mogłem zrobić.

– Binky! – powiedziałem. – Na miłość boską!

A potem on był już na mnie.



Po tym wszystkim już nigdy nie wróciłem do szkoły. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić siebie przebywającego w towarzystwie potencjalnego posiłku. Poza tym chyba nikt specjalnie nie ucieszyłby się na mój widok.

Binky też olał naukę, a poza tym teraz miał przyjaciela, który dotrzymywał mu towarzystwa. Tak to jest, kiedy pozwolisz komuś siedzieć ze sobą podczas lunchu. Pomyśli, że go lubisz, a potem robi z ciebie wampira.

Mój przyjaciel przyznał mi się, że nigdy się nie polubili z tym wampirem. Binky odnalazł go w tym starym domu, gdzie facet zamieszkał po przeprowadzce z Bostonu. Miał tam jakieś zatargi z niejakim Van Helsingiem.

Powiedział, że chciał rzucić picie, ale Binky namówił go na jednego. Ten kretyń bardzo chciał zostać wampirem. Pewnie przez te głupie czasopisma, które namiętnie czytał. Gostek w końcu się poddał.

– I tak nikt mnie nie lubił – stwierdził Binky. – Nadal nie jestem popularny, ale w ten sposób będę żył wiecznie, a przynajmniej dopóki ktoś nie wbije mi palika w serce. Ty także.

Jeśli to można nazwać życiem. Nie miałem mu za co dziękować.

– Szkoda, że Pan musiał opuścić miasto – powiedział Binky. – Polubiłbyś go.

Jak można zwracać się do kogoś „Panie”. Jeżeli istniało jakieś najbardziej sztuczne imię, to było to. Już wolałem być Carletonem niż Panem. Poza tym pewnie polubiłbym go tak bardzo, jak mieszkanie w tym okropnym domu, do którego wprowadziliśmy się z Binkym po przyjęciu.

W zasadzie to nawet nie wiem, co wydarzyło się tamtej nocy, i chyba nie jestem ciekaw. Pewnie uważacie, że to bezduszne z mojej strony, bo w końcu

tam była moja siostra, ale nic mnie to nie obchodzi.

– Nie sądzę, że uczynił wtedy kogoś wampirem – Binky sprawiał wrażenie, że wie, co mówi. – On uważa, że nie powinno być zbyt wiele wampirów, a poza tym woli po prostu pić.

Powiedziałem, że podobno miał z tym skończyć.

– Racja – odrzekł Binky – ale żywienie się myszami i królikami po jakimś czasie staje się nudne.

Potwierdzam. Myszy i króliki są dobre, jeśli nie masz nic innego, ale długo na tym nie pociągniesz. Chyba będę musiał dziabnąć coś większego i bardziej odżywczego.

– Ale krew myszy zdecydowanie przebija chili ze stołówki szkolnej, nie?

– Zdecydowanie – odparłem. – Zdecydowanie tak.



Wszystko to było dawno temu. Od kilku lat mieszkamy z Binkym pod mostem w Austin w Teksasie. Kiedy dookoła latają tysiące meksykańskich molosów ^[4], to nikt cię nie zauważa. Jesteśmy od nich trochę więksi, ale dzięki temu mamy szacun.

Prawdę mówiąc, cholernie mi się nudzi. Mówiłem już, że bycie wampirem nie polega na pelerynach, błyszczących kłach i dobrej zabawie po zmierzchu? Taa, teraz największą atrakcją dnia jest wylatywanie spod mostu i zakłady, ilu turystom uda się nasrać do ust, zanim je zamkną. Cholernie fascynujące. W zasadzie to jest jeszcze gorzej, bo nietoperze są nosicielami różnych pasożytów – pcheł, kleszczy czy roztoczy. Nie wiem, jak wpływa na robale pasożytowanie na mnie, i nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że potrafią gryźć i potem mnie swędzi. Strasznie to wkurzające.

Niekiedy myślę o dawnych czasach i w okolicach urodzin Kate zastanawiam się, czy przeżyła swoją imprezę. Jeśli tak, to czy wyszła za mąż za jednego ze swoich sztucznych znajomych i czy ma gromadkę sztucznych dzieci. Zastanawiam się też, czy ogląda te głupie filmy, które tak lubiła. W sumie to wszystko przez nie. Dorośli zdecydowanie powinni bardziej zwracać uwagę na to, co robi ich potomstwo.

– Już prawie zmierzch – pisnął Binky.

Taką muzykę tworzą dzieci nocy. Pewnie nie zrozumielibyście ani słowa, ale ja nie miałem z tym żadnych problemów.

– Czas postraszyć turystów – powiedział. – Założę się, że będę miał dziś lepszego celnika niż ty.

– Jasne, Binky.

– Niezły ubaw!

– Jasne, Binky, niezły ubaw.

Nie ma nic lepszego niż bycie nastoletnim wampirem. Wiem to, bo jestem nim od czterdziestu pięciu lat. Stwierdziłem, że już czas, aby świat poznał moją historię.

Może ktoś kiedyś nakręci o tym film.



Kelley Armstrong

Kanadyjska pisarka. Wraz z mężem i trójką dzieci mieszka w Ontario. Skończyła psychologię i rozpoczęła studia w dziedzinie programowania. Przez jakiś czas pracowała jako programista w dużej firmie, ale porzuciła pracę i umiejętności zawodowe wykorzystuje tylko na swojej stronie www.kelleyarmstrong.com.

Obecnie zajmuje się pisarstwem i wychowywaniem dzieci. Jest autorką planowanej na dziesięć tomów serii *Kobiety z Innego Świata (Women of the Otherworld)*.

Zmierzch



Kolejne odebrane życie. Kolejny rok życia. To cena, jaką płacimy za nasze istnienie. Żywimy się krwią przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku, ale tuż przed rocznicą naszych wampirzych narodzin lub dokładnie tego dnia musimy wypić całą krew naszej ofiary. Jeśli tego nie zrobimy, zaczynamy powoli umierać.

Patrzyłam spokojnie na tłum przechodniów, sącząc białe wino w jednym z ulicznych ogródków. Pomimo chłodnego powietrza, niosącego zapowiedź jesieni, było tu pełno ludzi, którzy nie mieli jeszcze ochoty pozbywać się wspomnienia lata. Wiatr tworzył na stołach piękne kompozycje z liści i nasion, a unoszący się w powietrzu zapach ognisk kojarzył się z aromatem świec. Słońce, które pomimo wczesnej godziny chyliło się ku zachodowi,

nadawało myśli o moim przyszłym posiłku lekkiego romantyzmu. Nadchodząca noc nie zwiastowała jeszcze odległej, ale i nieuchronnie zbliżającej się zimy.

Raczyłam się winem i patrzyłam, jak zbliża się ciemność. Biznesmen siedzący przy sąsiednim stoliku mierzył mnie wzrokiem. To był ten typ facetów, jakich najczęściej przyciągałam – średni wiek, zamożny i usprawiedliwiający swoją nadwagę ciężką pracą.

Gdyby okoliczności były inne, mogłabym odwzajemnić jego zainteresowanie i pozwolić się zaciągnąć do jakiegoś taniego motelu, tam bym się posiliła. Przeżyłby oczywiście, tylko obudziłby się osłabiony. Zwaliliby to najprawdopodobniej na nadmiar alkoholu, a ja nie miałabym wyrzutów sumienia. Każdy facet, zwłaszcza zaobrączkowany, który próbuje uwieść nieznaną, zasługuje od czasu do czasu na odczuwanie pewnego rodzaju dyskomfortu.

Ale nie na to, żeby służyć mi za rocznicową ofiarę. Wiele rzeczy jestem w stanie usprawiedliwić, ale nie to. Nie wiedzieć czemu, zaczęłam bawić się myślą, że może jednak powinnam, ale jakiś uporczywy głos w mojej głowie mówił mi, że jestem już spóźniona.

Gapiałam się na blednące światło na widnokręgu. Właśnie zaszło słońce w rocznicę moich narodzin, a ja jeszcze nikomu nie odebrałam życia. Nie było jednak powodów do paniki. Nie groziło mi raczej, że zamienię się w stertę pyłu tuż po północy. Najpierw nadeszłoby osłabienie i powoli zaczęłabym spadać w otchłań śmierci. Mogę tego oczywiście uniknąć, jeśli zapłacę dziś swoją cenę.

Rozejrzałam się dookoła i stwierdziłam, że nadeszła już odpowiednia pora na rozpoczęcie łowów. Położyłam dwadzieścia dolarów na stoliku i odeszłam.



Dzwon wybił dziesiątą. Pozostały tylko dwie godziny, a ja jeszcze nic nie przedsięwzięłam. Osobiście nienawidziłam wampirów, które po przeczytaniu zbyt dużej ilości horrorów uważały, że powinno się używać życia, cudzego oczywiście. Nikt mi jednak nie kazał postępować tak samo, z wyjątkiem dzisiejszego dnia. Czułam, że dramatyzuję.

Przez te wszystkie lata nigdy nie zaniedbałam tego najważniejszego obowiązku, za bardzo ceniłam sobie własną egzystencję, żeby zrezygnować z niej w tak głupi sposób.

Tylko raz przed rocznicą znalazłam się w sytuacji, kiedy sprawy wymknęły mi się z rąk. To było w 1867 albo w 1869 roku. Polowałam na swoją coroczną ofiarę, kiedy zostałam schwytana i wrzucona do węgierskiego więzienia. Nie zostałam złapana podczas zabijania, nie jestem amatorką.

Zresztą jak zwykle była to wina Aarona, kiedy natknęliśmy się podczas łowów na jakiegoś szlachcica, który bił swojego służącego na ulicy. Naturalnie Aaron nie mógł tego puścić płazem. Wyniknęła z tego kłótnia i razem wylądowaliśmy w zapchlonej celi, która w dzisiejszych czasach nie przeszłaby żadnych inspekcji sanitarnych.

Aaron zaczął symulować chorobę psychiczną, wiedząc, że zbliża się mój czas, a ja gniję w więzieniu, czekając na sprawiedliwość, która zbytnio się nie spieszyła. Kiedy ktoś przebywa dłużej w towarzystwie Aarona, przyzwyczajają się, że takie niedogodności czasami się pojawiają. Podczas gdy on próbował wszystkiego, żeby mnie wydostać z więzienia, ja po prostu czekałam. Był jeszcze czas i nie należało panikować.

W końcu doszłam do wniosku, że będą konieczne bardziej radykalne działania, abyśmy mogli zmienić miejsce pobytu. Zrekompensowałam sobie

trud opóźnienia, odbierając życie strażnikowi więziennemu, któremu praca sprawiała większą przyjemność, niż powinna.

Tym razem moją jedyną wymówką, że nie znalazłam sobie jeszcze ofiary, było to, że się do tego nie zabrałam. Dlaczego? Nie wiem, chyba jakoś mi się nie chciało. W tej sprawie jestem zazwyczaj bardzo skrupulatna, ale w tym roku pojawiły się jakieś opóźnienia i w sumie byłam zadowolona, patrząc, jak mijają dni. Mówiłam sobie, że oczywiście, już, już zajmę się tą sprawą, i traktowałam ją tak, jakby to była wizyta w jakimś salonie fryzjerskim czy kosmetycznym, o której zapomniałam.

Minął tydzień, a nie ruszyłam z miejsca. Nadal nie byłam w odpowiednim nastroju do świętowania. Mówi się trudno. Zajmę się tą sprawą dziś.



Kiedy tak szłam, nie mogąc się zmusić do działania, jakiś stary pijak przeszedł obok. Patrzyłam, jak chwiejnym krokiem wchodzi do zacienionej uliczki, i pomyślałam sobie: „To jest jakieś rozwiązanie...”. Być może uda mi się załatwić sprawę szybciej, niż myślałam. Choć tak właściwie to rocznicowa kolacja powinna być chyba bardziej uroczysta?

Każdy wampir radzi sobie z tym na swój sposób. Ja wybieram takich, którzy są chorzy, starzy lub bliscy śmierci. Nie okłamuję się, że to jest tylko wybór. Nie mam pewności, czy kobieta w stadium terminalnym raka nie jest na skraju remisji lub czy staruszek nie cieszy się w pełni ostatnimi dniami życia. Dokonuję takiego wyboru, ponieważ z nim jestem w stanie żyć.

Ten pijaczek zdecydowanie by się nadał. Kiedy na niego patrzyłam, poczułam skurcze żołądka, które mówiły mi, że czekałam już zbyt długo. Powinnam była podążyć za nim i skończyć to, co zaraz miałam zacząć. Część

wampirów może zmagać się z tym problemem, ale nie ja. Chciałam to już mieć za sobą i zdecydowanie nie miałam ochoty się rozmyślić.

Zaczęłam sobie wyobrażać, jak podążam za tym pijakiem ulicą, ale nie ruszyłam się z miejsca. Czekałam, aż zniknie w ciemnościach, dopiero wtedy za nim poszłam.



Przecznicę dalej z jednego z kin zaczął wylewać się tłum ludzi. Ich siła życiowa spowiła mnie jak ciepły pled. Nie byłam głodna, ale poczułam ten dreszczyk oczekiwania. Słyszałam, jak krew pulsuje w ich żyłach. To był zapach i dźwięk życia.

Przeszłam jakieś dwadzieścia kroków, a oni nadal mnie otaczali. Ile miejsc mogło być w tym kinie? Trzysta, może trzysta pięćdziesiąt? A może tyle, ile lat minęło od mojego narodzenia?

Jedno życie każdego roku. Wydaje się to umiarkowaną ceną, dopóki nie zdasz sobie sprawy, że mogłabyś zapełnić salę kinową swoimi ofiarami. To dość gorzka myśl nawet jak na osobę, która nie za bardzo się tym przejmowała. Nieważne. Nie będzie setek więcej. Nie z powodu tego wampira.

Nasza nieśmiertelność nie jest wieczna, choć legendy mówią inaczej. Moja zbliżała się ku końcowi. Czułam oznaki – oddalenie od świata i malejące nim zainteresowanie. Dla mnie to nie było nic nowego, bo dawno temu nauczyłam się zachowywać dystans do otaczającej mnie rzeczywistości, która w przeciwieństwie do mnie zmieniała się.

Był okres, że nie przyjmowałam tego do wiadomości, ale po jakimś czasie pogodziłam się z tym, iż zbliżam się do kresu. Wiedziałam, że nie nastąpi to

ani jutro, ani za rok, chyba że się poddam temu zmęczeniu i nie zabiję, żeby się odrodzić.

Kiedy tłum się przerzedził, spojrzałam przez ramię i zastanowiłam się, czy nie odebrać życia któremuś z tych ludzi. Takie przypadkowe zabójstwo, którego dokonałam tylko raz, jakieś sto lat temu. Byłam wtedy w bardzo ponurym nastroju i nie miałam najmniejszej ochoty czymkolwiek się przejmować. Potem żałowałam swojej decyzji i obiecałam sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię.

To śmieszne. Nie byłam jakimś tam żalonym młokosem, który płakał nad dokonaniem wyborem, a myśl o wypełnieniu obowiązku przejmowała go wstrętem. Byłam Cassandrą DuCharme, starszym delegatem do rady międzygatunkowej. Gdyby jakiś wampir przyszedł i powiedział: „Mam problem z moją coroczną ofiarą”, rzuciłabym mu kilka ostrych słów, zaciągnęła w alejkę, w której zniknął ten pijak, i zacytowała Aarona: „Spadaj stąd albo ruszaj do dzieła”.

Odwróciłam się na pięcie i wróciłam na alejkę.



Po przejściu kilku kroków poczułam jego obecność. Przeszył mnie dreszcz podniecenia. Zamknęłam oczy i się uśmiechnęłam. Teraz już lepiej.

Moja niecierpliwość zwiększyła się, gdy schowałam się w cieniu. Stapałam niezwykle ostrożnie, żeby nie wywołać najmniejszego szmeru.

Poczucie bliskości ofiary rosło z każdym krokiem. Wiedziałam już, że jest tuż obok. Zobaczyłam wnękę wyjścia awaryjnego, z której wystawał but. Po chwili w mroku spostrzegłam leżącą postać.

Dźwięk krążącej w żyłach mężczyzny krwi wibrował w powietrzu. Moje

kły wydłużyły się i pozwoliłam, aby zawładnęło mną podniecenie łowcy. Szybko jednak otrząsnęłam się i skupiłam zmysły na jego oddechu.

Wiatr przetoczył się przez uliczkę, podrywając różnego rodzaju papierki i niosąc smród alkoholu. Usłyszałam głęboki i miarowy oddech. Najprawdopodobniej pijak znalazł pierwsze lepsze w miarę osłonięte miejsce i runął na ziemię.

Dzięki temu będzie mi łatwiej.

Nadal wahałam się, wmawiając sobie, że muszę być w stu procentach pewna. Rytm jego oddechu się nie zmienił. Najwyraźniej spał mocno i było raczej mało prawdopodobne, że się obudzi, nawet gdybym do niego podbiegła i krzyknęła prosto do ucha.

Na co więc czekałam? Powinnam być już przy nim, ciesząc się, że znalazłam tak łatwą zdobycz.

Przegoniłam zwątpienie i przeszłam na drugą stronę uliczki.

Pijaczek miał na sobie oryginalną wojskową kurtkę. Prawdopodobnie kupił ją w jakimś lumpeksie albo ukradł, a mimo to z trudem powstrzymałam się od myśli, że jest żołnierzem, który zapija wojenne koszmary. Jego włosy były tak skudlone i brudne, że nie byłam w stanie określić, jakiego pierwotnie były koloru. Miał skąpą brodę i był znacznie młodszy, niż sądziłam.

To sprawiło, że się zatrzymałam. Wolałabym starego pijaka niż młodego, wprawdzie niezbyt zdrowego – wyczułam chorobę, najprawdopodobniej marskość wątroby – mężczyznę. Nie był to idealny cel, ale się nadawał. A jednak... Zanim zdałam sobie z tego sprawę, szłam w stronę głównej ulicy.

Nie, zdecydowanie nie był odpowiedni. Wiedziałam, że panikuję, co było niepotrzebne, a nawet niebezpieczne.

Gdybym jednak podjęła złą decyzję, żałowałabym tego. Lepiej dać sobie na dziś spokój, jutro znajdę coś lepszego.



Ziemia w parku była twarda i dzięki temu mogłam iść bezszelestnie. Kiedy znalazłam się na trawniku, w polu widzenia pojawiło się dwóch młodych mężczyzn. Ich spojrzenia lśniące pod kapturami błędziły po mnie, jakby byli szakalami szukającymi ofiary. Spojrzałam w oczy silniejszemu z nich, spuścił wzrok i powiedział coś niewyraźnie. Po czym wrócił na ścieżkę i przywołał drugiego, który mamrotał pod nosem jakąś wymówkę, że powinni jednak iść dalej.

Łatwo było oddzielić ofiarę od grupy. Może nie aż tak łatwo, kiedy grupa składa się tylko z dwóch osób. Gdy zniknęli, kontynuowałam cichy spacer.

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, głowę złożył na muskularnych rękach. Opinające biodra wąskie jeansy oraz martensy dopełniały wizerunku zrelaksowanego młodego przystojniaka o szerokiej, opalonej twarzy i blond włosach. Okrążyłam go i zaczęłam się skradać w jego kierunku. Nie poruszył się, nawet jego klatka piersiowa nie unosiła się w rytm oddechu. Przeszłam ostatnie dzielące nas kilka stóp i zatrzymałam się. Potem się nachyliłam.

Otworzył oczy. Miały piękny brązowy kolor bardzo urodzajnej ziemi. Ziewnął.

– Najwyższy czas, Cass – powiedział. – Kilka śmieci kręciło się koło mnie, żeby sprawdzić, czy nadal żyję. Jeszcze kilka minut, a musiałbym im dać bolesną nauczkę, żeby nie zaczepiali śpiącego wampira.

– Mam sobie pójść i pozwolić ci się zabawić?

Aaron uśmiechnął się szeroko.

– Nie. Jeśli wrócą, obydwójce możemy się zabawić.

Podniósł się, otrząsając z resztek snu. Gdy dostrzegł wyraz mojej twarzy, jego uśmiech zamienił się w grymas.

– Nie zrobiłaś tego, prawda?

– Nie mogłam nikogo znaleźć.

– Nie mogłaś...? – Wstał, przewyższając mnie wzrostem. – Do jasnej cholery! W co ty się bawisz? Najpierw czekasz do ostatniej chwili, a potem twierdzisz, że nikogo nie możesz znaleźć?

Spojrzałam na zegarek.

– Nie do ostatniej chwili. Nadal mam dziesięć minut. Ufam, że jeśli eksploduję o północy, będziesz na tyle miły, że pozbierasz moje kawałki. Chciałabym zostać rozrzucona nad Atlantykiem, ale jeżeli nie masz zbyt wiele czasu, ostatecznie może też być rzeka Charleston.

Rzucił mi gniewne spojrzenie.

– Jesteśmy razem od stu dwudziestu lat i zawsze dokonywałaś corocznego zabójstwa grubo na tydzień przed rocznicą.

– Węgry, 1867.

– 1868. A poza tym nie widzę teraz żadnych krat. Jaką masz wymówkę tym razem?

– Między innymi byłam zajęta sprawdzaniem tej sprawy z rady, na którą Paige zwróciła moją uwagę. Przyznaję, że trochę pokpiłam sprawę w tym roku i jakieś sto lat temu by się to nie zdarzyło, ale nie byliśmy razem, więc zmieniłam...

– Gówno prawda. Ty się nigdy nie zmieniasz. Jedynie to, że stajesz się bardziej władcza, bardziej uparta i dziwniejsza.

– Chyba „bardziej dziwna”.

Wymamrotał pod nosem jeszcze kilka słów, a ja ruszyłam w stronę ścieżki.

– Lepiej, żebyś sobie kogoś znalazła – powiedział, gdy odchodziłam.

– Jestem zmęczona i idę do domu.

– Zmęczona? – powiedział, doganiając mnie. – Ty nie jesteś zmęczona. Ty po prostu...

– Chciałeś powiedzieć: umieram? – dokończyłam. – A skoro tak, to to, że nie mogę się wyspać, jest właśnie jednym z symptomów. Dziś w nocy jestem

naprawdę bardzo zmęczona.

– Bo spóźniasz się ze swoim zabójstwem. Nie gadaj tego typu bzdur, Cassandra, nie w twoim stanie.

Prychnęłam na niego w mało dystyngowany sposób. Jego ręce zacisnęły się na moim ramieniu.

– Chodź, poszukamy tych gówniarzy. Zabawimy się. – Łobuzerski uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Wydaje mi się, że jeden z nich ma broń. Już dawno nikt mnie nie postrzelił.

– Innym razem.

– Może małe polowanie?

– Nie jestem głodna.

– Ale ja jestem. Może nie jesteś w stanie znaleźć kogoś odpowiedniego, ale ja potrafię. Ja będę miał przekąskę, a ty dostaniesz kolejny rok. Uczciwa propozycja, co?

Starał się promiennie uśmiechać, ale widziałam w jego oczach panikę. Poczułam lekki niepokój, ale powiedziałam sobie, że zachowuję się śmiesznie. Po prostu za dużo miałam ostatnio na głowie. Byłam zmęczona i łatwo się rozpraszałam. Potrzebowałam ocknąć się z tego krępującego stanu i zabrać komuś życie. Zrobię to jutro, kiedy Aaron wróci do Atlanty.

– Świat się nie skończy, a zwłaszcza mój świat, jeśli nie zabiję kogoś dzisiaj. Sam się spóźniałeś, kiedy nie byłeś w stanie znaleźć kogoś odpowiedniego. Ja nigdy nie byłam w takiej sytuacji i chciałabym zobaczyć, jak to jest. – Dotknęłam jego ramienia. – W moim wieku nowe doświadczenia są rzadkością. Staram się je w pełni wykorzystywać.

Zawahał się przez chwilę, ale potem przytaknął i wyszedł ze mną z parku.



Odprowadził mnie do domu. To nie było tak ekscytujące, jak brzmi. Teraz byliśmy tylko przyjaciółmi. Był to jego wybór. Gdyby to było według moich zasad, na pewno byłabym w stanie wykrzesać z siebie energię na małe co nieco.

Kiedy pierwszy raz byłam z Aaronem, było to krótko po jego powtórnych narodzinach. Oskarżał mnie, że pomogłam mu w jego nowym życiu, ponieważ dobrze wyglądał jako ozdoba w moim łóżku. Było w tym nieco prawdy.

Nawet jak byłam człowiekiem, nie byłam w stanie wykrzesać w sobie więcej zainteresowania dla mężczyzn z mojej klasy. Mieli za dobre maniere, zbyt gładkie słówka i byli zniewieściali. Bardziej interesowali mnie stajenni, a później dyskretni robotnicy.

Kiedy znalazłam Aarona, krzepkiego chłopca z farmy, którego maniere były tak szorstkie jak jego ręce, moje myśli były głównie cielesne. Był młodszy, niż lubiłam, ale stwierdziłam, że jestem w stanie z tym żyć.

Uczyłam go więc wampirzego życia. W zamian dostałam przyjaźń, ochronę i długie noce pełne frustracji. To było absurdalne. Nigdy nie miałam problemów z zaciągnięciem jakiegoś faceta do łóżka, a teraz uganiałam się za młodym samcem, który traktował mnie tak, jakbym była jakimś nieśmiałym dziewczęciem. Tłumaczyłam sobie, że to nie była jego wina. Był Anglikiem. Gdy jednak skapitulował, okazało się, że nie ma wcale takich zahamowań, jak się obawiałam.

Ponad sto lat razem. Słowo „miłość” nigdy nie padło, ale byliśmy partnerami w każdym względzie – najlepsi przyjaciele, towarzysze w czasie polowań i wierni kochankowie. Pewnego ranka, kiedy leżeliśmy w łóżku, spróbowałam sobie wyobrazić moje życie bez niego. Ta myśl mnie zmroziła.

Powiedziałam sobie, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. Kiedy straciłeś wszystkich, uczysz się, jak niebezpiecznie jest się przywiązywać. Będąc wampirem, musisz zaakceptować fakt, że każda osoba, którą znasz, wcześniej czy później umrze i że możesz polegać tylko na sobie. Podjęłam

więc decyzję.

Zdradziłam Aarona, ale nie z innym mężczyzną. To, co zrobiłam, było znacznie gorsze. Powiedziałam mu, że już go nie chcę.

Po ponad pięćdziesięcioletnim rozstaniu przypadek sprawił, że znowu natknęliśmy się na siebie. Pamiętając, co się wydarzyło, oparliśmy się pokusie przywołania starych więzi i zostaliśmy przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi. Seks był zabroniony. To był sposób Aarona na zachowanie dystansu. Biorąc pod uwagę, że miałam do wyboru przyjaźń z Aaronem albo życie bez niego, wybrałam to pierwsze. Oczywiście nie liczyłam po cichu, że zmienię zdanie.



Tej nocy naprawdę spałam. Po raz pierwszy od roku mój sen był czymś więcej niż tylko drzemką. Chciałam myśleć, że jest to znak, że jednak nie umieram, ale wiedziałam, że ocena Aarona była bardziej trafna. Byłam zmęczona, bo nie dokonałam corocznego zabójstwa.

Czy tak się właśnie działo, kiedy nie wypełnialiśmy naszej strony umowy? Pogłębiający się letarg, który prowadzi do śmierci? Przegoniłam te myśli z głowy. Nie miałam zamiaru dalej się nad tym zastanawiać. Niech nadejdzie zmrok. Skończę z tymi głupstwami i pozbawię kogoś życia.



Kiedy następnego ranka weszłam do salonu, usłyszałam stłumiony dźwięk

zatraskujących się drzwi prowadzących na taras. To był Aaron, który budował w moim ogrodzie mur zaporowy.

Kiedy był u mnie wiosną, stwierdził, że mógłby naprawić rozpadającą się ścianę. Przytaknąłam wtedy i powiedziałam, że owszem, mógłby to dla mnie zrobić. Podczas trzech kolejnych wizyt trzy kolejne aluzje do ściany. Nie mogłam go jednak poprosić wprost. Straciłam to prawo, kiedy go zdradziłam. Wczoraj więc zapukał do moich drzwi z narzędziami i oświadczył, że zbuduje nową ścianę na dzień moich powtórnych narodzin.

To znaczyło, że miał pretekst, żeby zostać, dopóki jej nie skończy. Czy uznał, że dzień moich ponownych narodzin to dobra wymówka, czy było w tym coś więcej? Czy może podczas naszej zesłotygodniowej rozmowy usłyszał w moim głosie, że nie dokonałam mojego corocznego zabójstwa? Obserwowałam Aarona przez drzwi prowadzące na taras. Wiaterek był dość chłodny, ale słońce jeszcze prażyło, więc Aaron zdjął koszulkę i pracował z nagim torsem. Murarstwo było ostatnią ze ścieżek jego kariery. Tym właśnie zarabiał na życie. Zbeształam go za to. Po prawie dwustu latach powinno się mieć pieniądze na emeryturę. On natomiast odbił piłeczkę i stwierdził, że swego czasu ja również pracowałam, pomimo że nie musiałam. Z tym że ja handlowałam sztuką i nie można było tego porównać do wymagającej mnóstwa wysiłku pracy fizycznej, jakiej on się podjął. Była to kolejna rzecz, o którą żywo się sprzeczailiśmy.

Patrzyłam na niego przez jakąś minutę i poszłam do kuchni, żeby zrobić mu mrożonej herbaty.



Później musiałam wyjść z domu, żeby dopilnować wysyłki jednego z

antyków z mojego sklepu. Gdy wróciłam, Aaron siedział na kanapie, a dookoła niego porozrzucone były gazety. Jedna z nich leżała otwarta na jego kolanach.

– Mam nadzieję, że nie wyjąłeś jej ze śmieci.

– Nie musiałbym, gdybyś odzyskiwała surowce wtórne. – Wychylił się zza sterty gazet. – Ten niebieski pojemnik w garażu właśnie do tego służy, a nie do tego, żeby trzymać w nim narzędzia ogrodowe.

Zbyłam go machnięciem ręki.

– Przez trzysta pięćdziesiąt lat nigdy nie pozbyłam się ani jednej gazety czy książki tylko z potrzeby oszczędzania papieru. Nie zamierzam teraz zacząć zbierać surowców wtórnych. Jestem na to za stara.

– Zbyt uparta – dodał z przebiegłym uśmiechem. – Albo zbyt leniwa.

Zasłużył na kuksańca. Podeszłam do niego i pozbierałam gazety z podłogi, zanim poplamiały dywan.

– Jeżeli tak ci brakuje czegoś do czytania, to wystarczy tylko powiedzieć. Pójdę do sklepu i kupię ci jakąś gazetę czy magazyn.

Złożył gazetę i położył ją na stoliku do kawy, a potem poklepał wolne miejsce na kanapie. Zawahałam się przez chwilę, bo wyczuwałam kłopoty. Nie usiadłam jednak obok niego, ale na oparciu. Wyciągnął rękę, objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

– Pamiętasz, Cass, kiedy się poznaliśmy?

– Nikle.

Zaśmiał się.

– Nie masz aż tak złej pamięci. Pamiętasz, co dla mnie zrobiłaś? Nadchodził właśnie pierwszy dzień moich ponownych narodzin i podjąłem decyzję, że tego nie zrobię. Ty znalazłaś dla mnie ofiarę i podsunęłaś wybór, z którym mógłbym żyć. – Wolną ręką podniósł gazetę i położył ją otwartą na moich kolanach. – Znalazłem dla ciebie ofiarę.

Westchnęłam.

– Aaron, ale nie musisz...

– Za późno. – Wskazał palcem na artykuł na górze strony. – Tutaj.

Historia sprzed tygodnia opowiadała o śmiertelnie chorej pacjentce, która walczyła o prawo do śmierci. Kiedy spojrzałam z powrotem na Aarona, szczerzył się zadowolony z siebie.

– Idealna kandydatka, nieprawdaż? – powiedział. – Dokładnie kogoś takiego szukasz. Ona chce umrzeć, bo cierpi.

– Ona jest na oddziale opieki paliatywnej. Jak tam wejść sama i w dodatku ją zabiję?

Nadal się uśmiechał, ale dostrzegłam w jego oczach cień desperacji. To podsyciło mój strach. Być może potrzebowałam takiego bodźca. Nie będzie to łatwe, ale mogłoby być ciekawe, zwłaszcza z pomocą Aarona.

Może innym razem uradowałabym się z tego pomysłu, ale teraz czułam tylko iskierkę zainteresowania, która zakopana była pod niepojętą warstwą apatii. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to to, że będzie z tym strasznie dużo roboty.

Poczułam wściekłość, gdy zdałam sobie sprawę ze swojego podejścia, ale szybko ją stłumiłam. Byłam zdeterminowana, żeby zabić dziś w nocy. I nie miałam zamiaru pozwolić, żeby cokolwiek stanęło na mojej drodze. Pomysł Aarona mógłby okazać się zbyt trudny w realizacji. Lepiej, żeby to było coś prostszego, co nie da mi możliwości znalezienia wymówki.

Odłożyłam na bok gazetę.

– Jesteś głodny?

Zmarszczył brwi.

– Wczoraj powiedziałeś, że jesteś głodny – kontynuowałam. – Jeżeli mówiłeś prawdę, zakładam, że nadal musisz się pożywić. Chyba że wymknąłeś się gdzieś wieczorem.

– Myślałem, że będziemy dziś polować, więc zaczekałem.

– W takim razie będziemy dziś polować, ale – machnęłam gazetą – nie w szpitalu.



Spacerowaliśmy wzdłuż chodnika. Już było prawie ciemno, a czerwień na horyzoncie stała się wspomnieniem słońca. Kiedy obserwowałam sprzedawcę kwiatów, chowającego swój towar na noc, Aaron pstryknął palcami.

– Kwiaty. Tego brakuje w twoim domu. Zawsze masz kwiaty.

– Poprzednie już zwiędły. Miałam kupić nowe, jak wracałam ze sklepu, ale nie było kiedy.

Rozchmurzył się, kiedy to powiedziałam, jakby w moich słowach było ukryte jakieś przesłanie.

– W takim razie kupię kilka dla ciebie – powiedział.

Podniosłam brwi.

– I będziesz polować z kwiatami w dłoni?

– Myślisz, że nie potrafię? – zabrzmiało to jak wyzwanie.

Zaśmiałam się i położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Kupimy je jutro.

Wziął moją rękę i wsunął sobie pod ramię.

– Jedziemy do Paryża wiosną – powiedział po chwili.

– Naprawdę? A czy mogę zapytać, skąd ten pomysł?

– Kwiaty. Wiosna. Paryż.

– Ach. Uprzejmy gest, ale Paryż wiosną jest przereklamowany i stanowczo za drogi.

– Szkoda, bo ja cię tam właśnie zabieram. Zarezerwuję termin, kiedy będę w domu, i zadzwonię do ciebie z propozycjami wyjazdu.

Kiedy nie zaprotestowałam, spojrzał na mnie i uśmiechnął się, przyśpieszając kroku.



Kłóciliśmy się nad wyborem naszej ofiary. Aaron chciał, żeby odpowiadała moim gustom, ale ja nalegałam, żeby on wybrał swój typ. W końcu się poddał.

Ta kłótnia trochę zepsuła nam wieczór, ale tylko chwilowo. Kiedy Aaron znalazł cel, momentalnie o wszystkim zapomniał.

We wczesnych latach wampirzego życia Aaron borykał się z tym. Zginął, ratując jakiegoś nieznanego przed zbirami. I jaka była jego nagroda? Po życiu, w którym troszczył się o innych, narodził się ponownie, aby się nimi karmić. Straszna ironia losu.

Jednak znalazł sposób, żeby się usprawiedliwić, a nawet rozkoszować twardymi warunkami przeżycia. Karmił się kryminalistami czy takimi śmieciami, jacy byli w parku. Na swoje coroczne ofiary wybierał przeważnie tych, których czyny były godne najwyższej kary. Dzięki temu czuł, że robi coś dobrego w swoim pasożytniczym życiu.

Tak jak powiedział, to ja znalazłam jego pierwszą ofiarę. Dziś, bogatszy o dwusetletnie doświadczenie, nie przeszukiwał już gazet, nie tropił plotek, nie musiał. Był w stanie lokalizować swoje ofiary dzięki intuicji. W taki sam sposób ja potrafiłam namierzyć umierających. Drapieżca obudzi się w każdym, jeśli tylko będzie wymagał tego instynkt przetrwania.

Dzisiejszym wybrańcem był handlarz narkotyków o dzikich oczach. Był dobry w posługiwaniu się nożem sprężynowym. Z oddali przyglądaliśmy się, jak grozi jakiemuś młodemu chłopakowi, który uprawiał jogging. Aaron kołysał się na nogach, patrząc na nóż, którym facet groził młodzieńcowi, ale uspokoiłam go, kładąc mu rękę na ramieniu. Chłopakowi udało się szczęśliwie uciec, co ucieszyło Aarona. Poza tym teraz można było zacząć prawdziwe polowanie.



Śledziliśmy tego mężczyznę przez jakąś godzinę, zanim wygrał głód Aarona. Bez cienia żalu przestał bawić się swoim obiadem, więc zwabiłam diler narkotyków w uliczkę. Był to prosty manewr, bo tacy faceci jak on są zbyt chciwi i pewni siebie, żeby czuć jakiegokolwiek zagrożenie ze strony kobiety w średnim wieku.

Kiedy kły Aarona zagłębiły się w jego szyję, w oczach dilera pojawiło się przerażenie. Nie był w stanie uwierzyć w to, co się z nim dzieje. To był najbardziej niebezpieczny moment pożywiania się. Te kilka sekund, kiedy nasza ofiara czuła kły i zaczynała zdawać sobie sprawę, że właśnie dzieje się coś strasznego. Zazwyczaj w tej samej chwili środek uspokajający znajdujący się w naszej ślinie zaczyna działać i ludzie mdleją. Nic z tego potem nie pamiętają.

Mężczyzna rzucił się raz jeszcze, a potem osunął w ręce Aarona, który trzymając go za koszulę, zaczął pić. Zamknął oczy, twarz miał pełną zachwyty. Patrzyłam na niego, ciesząc się jego chwilą przyjemności, jego apetytem.

Był znacznie bardziej głodny, niż się do tego przyznawał. Było to dla niego typowe. Czekać dzień czy dwa dłużej, ale nie po to, żeby ćwiczyć samokontrolę czy uniknąć w ogóle karmienia, ale po to, aby pić z największą przyjemnością. Opóźnione zaspokojenie dla większej przyjemności. Zadrzałam.

– Cass?

Zlizał kroplę krwi z kącika ust i podał mi mężczyznę.

Właśnie tak polowaliśmy. Tak jak Aaron lubił. Mieliśmy jedną ofiarę,

którą się dzieliliśmy. On zawsze dokonywał pierwszego, obezwładniającego ugryzienia. Wypijał trochę, a potem pozwalał mi pożywić się do syta. Gdybym wypła więcej, niż on mógłby wypić bezpiecznie, znajdował sobie drugą ofiarę. Nie było sensu kłócić się z nim, tak zaspokajał swoją potrzebę opiekowania się.

– Kontynuuj – powiedziałam – nadal jesteś głodny.

Szturchnął mężczyznę w moją stronę.

– Jest twój.

Jego szczęki zacisnęły się. Wiedziałam, że jego naleganie nie miało nic wspólnego z chęcią zapewnienia mi jedzenia.

Przysunęłam się, gdy Aaron przekazywał mi mężczyznę. Moje kły się wydłużyły, gardło zacieśniło i pozwoliłam sobie na dreszcz oczekiwania.

Zbliżyłam usta do szyi, pocierając kłami o skórę ofiary, smakując, przygotowując się. Po jednym szybkim ugryzieniu moje usta wypełniły się...

Szarpnęłam się do tyłu, prawie się dławiąc. Oparłam się chęci wyplucia tego, co miałam w ustach, i zmusiłam się do połknięcia. Mój żołądek zaprotestował.

Smakowało jak... krew.

Kiedy stałam się wampirem, wyobrażałam sobie, że picie krwi będzie nie do zniesienia. Kiedy jednak pierwsza kropla spadła na mój język, przekonałam się, że moje obawy były płonne. Nie dało się określić jej smaku. Nie był do niczego podobny. Zdałam sobie sprawę z tego, że było to tak idealne pożywienie, że nigdy mi się nie znudzi ani nigdy nie będę chciała nic innego.

Ale to smakowało jak krew, której smak pamiętałam z czasów, kiedy byłam człowiekiem. Kiedy jeszcze moja przemiana w wampira nie była pełna, chciałam zobaczyć, jak to będzie. Przygotowałam więc czarę krowiej krwi i zmusiłam się do jej wypicia. Nadal pamiętam ten ciężki, metaliczny smak, który pokrył język i podniebienie. Mój żołądek nie wytrzymał dłużej niż minutę i zwróciłam całą zawartość.

Teraz musiałam zacisnąć zęby, żeby przełknąć. Aaron upuścił mężczyznę i złapał mnie. Odpędziłam go od siebie.

– Źle połknęłam.

Potałam swoje gardło. Usta wykrzywiły mi się w grymasie zdenerwowania. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, że mężczyzna leży u mych stóp. Pochyliłam się, a Aaron podszedł, żeby mi pomóc. Odgoniłam go ruchem ręki i zasłoniłam twarz, żeby nie widział mojej reakcji. Potem zmusiłam się i przyłożyłam usta do szyi ofiary.

Krwawienie już ustało. Musiałam ponownie wbić się w szyję i pozwoliłam, żeby ten obrzydliwy płyn wypełniał moje usta. Piłam i połykałam, piłam i połykałam. Paznokcie wbijały mi się w skórę, ale nie czułam żadnego bólu. Chciałam go czuć, bo wtedy mogłabym myśleć o czymś innym.

To nie była tylko kwestia smaku – z tym mogłam sobie poradzić. Po prostu moje ciało buntowało się przeciwko temu posiłkowi i krzyczało, żebym przestała, jakbym robiła coś nienaturalnego i niebezpiecznego.

Połknęłam jeszcze raz i już dalej nie mogłam. Po prostu nie byłam w stanie. Zastygłam tak z kłami wbitymi w jego szyję i chciałam dalej pić, zakończyć sprawę, ale coś we mnie krzyczało, że to, co robię, jest absurdalne. Psiakrew! Przecież byłam wampirem i krew była moim naturalnym pożywieniem. Nawet gdybym nie była w stanie, zmusiłabym się do połknięcia każdej kropli.

Poczułam skurcz żołądka, ale jakoś udało mi się przełknąć.

Czułam za plecami Aarona, który unosił się w powietrzu. Patrzył i martwił się.

Kolejny skurcz. Gdybym teraz wzięła jeszcze jeden łyk, zwymiotowałabym i dałabym Aaronowi powód do zmartwienia, a sobie powód do paniki.

To ten mężczyzna. Bóg jeden wie jakie substancje krążyły mu we krwi. Na wampiry nie ma to żadnego wpływu, ale ja jestem bardzo wybrednym

konsumentem, bardzo wrażliwym na wszystkie anomalie. Raczej pozostanę głodna, niż wypiję coś, co lekko trąci. Nie było sensu pytać o to Aarona, bo on potrafił żłopać wszystko jak leci.

To musiało być to. Ofiara. Tylko ofiara.

Zasklepiłam ranę swoim językiem i odsunęłam się.

– Cass...? – zapytał zaniepokojony Aaron. – Musisz wypić wszystko.

– Ja... – Słowa „nie mogę” miałam już na języku, ale ich nie wymówiłam. Nie mogłabym tego zrobić. To była tylko tymczasowa przeszkoda. Odpocznę dzisiaj i jutro znajdę odpowiadający mi rodzaj ofiary. – Coś z nim jest nie tak – powiedziałam. Odwróciłam się i poszłam w dół ulicy.

Po chwili usłyszałam, jak Aaron wrzuca nieprzytomnego mężczyznę do pojemnika na śmieci i oddala się w przeciwnym kierunku.



Jakikolwiek inny facet zostawiłby mnie samą. Doszłam do samochodu, a Aaron już tam na mnie czekał. Oddałam mu kluczyki i usiadłam po stronie pasażera.

W domu skierowałam kroki w stronę mojego pokoju. Aaron rzucił za mną: – Mam nadzieję, że nie powiesz mi, że znowu jesteś zmęczona?

– Nie. Idę wziąć kąpiel i zmyć z siebie brud tej uliczki. Później, jeśli nie jesteś gotowy na spoczynek, może napijemy się po kieliszku wina i napalimy w kominku. Robi się dość chłodno.

Milczał przez chwilę. Był gotów do dalszej kłótni, ale nie słysząc w moich słowach cienia wymówki, odpowiedział: – Rozpalę w takim razie w kominku.

– Dziękuję.



Jakieś dziesięć minut po tym, jak weszłam do wanny, drzwi do łazienki otworzyły się z hukiem, tak że zachlapałam pianą podłogę. Wkroczył do łazienki i rzucił mi jakąś małą książkę. To był mój kalendarz.

– Znalazłem to na twoim biurku.

– Dobra praca detektywistyczna. Przygotowujesz się do swojego następnego śledztwa z ramienia rady?

– Naszego kolejnego śledztwa.

Sięgnęłam po gąbkę.

– Mój błąd. Nie miałam tego na myśli.

– A może jednak?

Spojrzałam na niego, próbując zrozumieć, o co mu chodzi, ale w jego oczach widziałam tylko gniew. Był zdeterminowany, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło w tej uliczce, i to była jego taktyka. Mój żołądek zacisnął się, jakby krew nadal się w nim zbierała. Nie odbędę tej rozmowy. Nie odbędę.

Pozornie sięgając po gąbkę, zaczęłam powoli unosić się, pozwalając, żeby bąbelki spłynęły po moim ciele. Wzrok Aarona zjechał w dół z mojej twarzy. Podwinęłam pod siebie nogi. Dał mi się podnieść tylko do połowy, położył rękę na mojej głowie i delikatnie popchnął mnie w dół.

Znowu położyłam się w wannie i oparłam głowę o jej brzeg. Moje piersi i brzuch wystawały z wody. Aaron patrzył na nie przez chwilę, zanim odwrócił głowę.

– Przestań, Cass. Nie ucieknę. Nie uda ci się mnie rozproszyć. Chcę z tobą porozmawiać.

Westchnęłam.

– O moim kalendarzu, jak mniemam?

Podjął temat: – Zeszły tydzień, dzień zaznaczony jako „dzień narodzin”.

Tego dnia musiałaś zaplanować swoje zabójstwo. Nie masz wpisanych żadnych zajęć.

– Oczywiście, że nie. Zawsze mam ten dzień wolny...

– Ale powiedziałaś mi, że byłaś zajęta i dlatego tego nie zrobiłaś.

– Nie jest to prawda. Powiedziałam, że coś mi wypadło.

– Na przykład?

Podniosłam nogę, położyłam ją na krawędzi wanny i przejechałam po niej gąbką. Oczy Aarona podążyły za ręką, ale po chwili zmusił się do spojrzenia na moją twarz.

Westchnęłam.

– No dobrze. Dokładnie tego dnia była nocna wyprzedaż ubrań projektantów mody. Kiedy wyjeżdżałam z miasta, aby dokonać zabójstwa, zobaczyłam reklamę i zatrzymałam się. Kiedy wyszłam, było już za późno, aby zapolować.

Spojrzał na mnie groźnie.

– To nie jest śmieszne.

– A ja wcale nie powiedziałam, że będzie.

Groźne spojrzenie zmieniło się w grymas niezadowolenia.

– Przeniosłaś swoje doroczne zabójstwo, żeby pójść na zakupy? Gówno prawda. Wiem, że lubisz ekstrawaganckie ciuchy, zwłaszcza za psie pieniądze, ale rozpraszać swoją uwagę wyprzedażą? – prychnął. – To tak, jakby policjant zatrzymał się podczas pościgu, żeby kupić pączki!

Znieruchomiałam na chwilę, a potem powiedziałam najspokojniej jak potrafiłam: – Być może, ale to jest prawda.

Patrzył mi w oczy, usiłując coś z nich wyczytać.

– Coś jest nie tak. Bardzo nie tak, a ty zdajesz sobie z tego sprawę.

Zamknęłam oczy.

– A ja wiem, że ty za bardzo to roztrząsas, tak jak zwykle. Bierzesz najmniejszy...

– Cassandra DuCharme odpuszcza swoje doroczne zabójstwo, żeby iść na

zakupy? To nie jest nic wielkiego? To jest jak apokalipsa.

Podsunał otwartą książkę do mojej twarzy.

– Zapomnij o wyprzedazy. Wyjaśnij resztę. Nie miałaś nic zaplanowanego na cały tydzień. Nie miałaś żadnego wyjaśnienia, nie zapomniałaś, nic cię nie rozproszyło. – Usiadł przy wannie. – Nie miałaś zamiaru odebrać nikomu życia.

– Wydaje ci się, że... wydaje ci się, że mam zamiar odebrać sobie życie? – Zaśmiałam się. Mój śmiech brzmiał prawie gorzko. – Czy zapominasz, jak zostałam wampirem? To był mój wybór. Zaryzykowałam wszystko, aby dostać to życie, i jeśli sądzisz, że je tak po prostu oddam na chwilę przed jego końcem, to...

– Właśnie sposób, w jaki weszłaś w to życie, jest powodem, dlaczego tak cholernie głupio chcesz je oddać. – Spotkał moje spojrzenie i wytrzymał je. – Oszukałaś śmierć. Nie, ty ją pokonałaś siłą swojej woli. Powiedziałaś, że nie umrzesz, i teraz, kiedy ona znowu po ciebie przychodzi, nie będziesz tak sobie siedzieć i czekać, aż się to zdarzy. Raz już wybrałaś. Wybierzesz więc i drugi raz.

Odwróciłam wzrok, ale po chwili spojrzałam na niego.

– Dlaczego tutaj jesteś, Aaron?

– Przyszedłem naprawić twój mur...

– Nie było z mojej strony żadnych podpowiedzi, żadnych ponagleń. Przyszedłeś tu z własnej woli. Zgadza się?

– Tak, ale...

– W takim razie, jeśli podjęłam decyzję o śmierci, najprawdopodobniej nie zobaczyłbyś mnie nigdy więcej. – Nasze spojrzenia spotkały się. – Czy sądzisz, że zrobiłabym to? Czy wydaje ci się, że spośród wszystkich osób na całym świecie odeszłabym bez pożegnania z tobą?

Zacisnął szczęki, ale nic nie powiedział. Podniósł się i wyszedł z łazienki.



Leżałam w łóżku rozciągnięta na poduszkach i gapiłam się w ścianę. Aaron miał rację. Kiedy nadejdzie czas, pożegnam się ze swoim wampirzym życiem tak samo, jak do niego przystałam – z wyboru. Ale czas jeszcze nie nadszedł. Nie miałam już wątpliwości, że podświadomie staram się zakończyć swoje życie. To było niedorzeczne. Nie miałam w planach samobójstwa. Może czułam strach, ale był to inny strach niż przed samą śmiercią.

Kiedy czas nadejdzie, to tak. Ale nigdy nie będę tak nieodpowiedzialna i nie zakończę życia, zanim nie ułożę swoich spraw. Będę musiała wydać dyspozycje co do nieruchomości i przekazać je tym, którym przyniosą korzyści. Równie ważną rzeczą była kwestia ciała. Pozostawienie tej sprawy przypadkowi byłoby wysoce nieodpowiedzialne.

Pogodziłabym się z Aaronem i wynagrodziła mu swoją zdradę, a w najgorszym wypadku sprawiłabym, że zrozumiałby, jaki był jej powód i że wina leży tylko po mojej stronie.

Pozostawała też sprawa rady. Aaron był już moim współdelegatem, ale musiałam go jeszcze przygotować do zajęcia mojego miejsca oraz sprawić, żeby społeczność wampirów zaakceptowała tę zmianę. Kolejnym obowiązkiem było przekazanie całej mojej wiedzy Paige, która była archiwistką. Było to coś, co odkładałam, bo nie byłam w stanie przyjąć do wiadomości, że mój czas się kończy.

Kończy.

Mój żołądek skurczył się na samą myśl o tym. Zamknęłam oczy i zadrzałam.

Nigdy nie brakowało mi siły charakteru i nigdy nie tolerowałam jej braku u innych, ale teraz musiałam zachować twarz i zaakceptować to, co przynosi

rzeczywistość. Umierałam i nie byłam na początku drogi, ale raczej na jej końcu.

Teraz wiedziałam już, jak wampir umiera. Nadchodzi rocznica narodzin i zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie wypełnić swojej części umowy. Nie że nie chce, ale po prostu nie może.

Jeśli tego nie przetrwam, to umrę. Nie za dziesięć czy piętnaście lat, ale za kilka, może kilkanaście dni.

Zalała mnie fala paniki mieszająca się z porywami dzikiej furii. Ze wszystkich sposobów żegnania się z tym światem ten był chyba najbardziej upokarzający i ośmieszający. Nie umrzeć gwałtownie. Nie zostać ściętym przez wroga, nie zachorować i nie marnieć w oczach, nawet nie umrzeć we śnie. Od takiego rodzaju śmierci nie było odwołania. Ale umrzeć, bo nie chciałam zrobić czegoś, co robiłam setki razy?!

Nie, to nie było możliwe. Nie pozwolę, żeby to się stało.

Wstanę z tego łóżka, znajdę ofiarę i zmuszę się do wypicia całej krwi, nawet gdybym miała wymiotować każdy łyk.

Wyobraziłam sobie, że wstaję, zakładam ubranie i przechodzę przez pokój...

A jednak się nie ruszyłam. Członki miałam jak z ołowiu. W środku szalałam ze złości, przeklinałam siebie, ale ciało leżało spokojnie, tak jakbym była już martwa.

Odpędziłam od siebie powracającą panikę.

Rozpatrując tę sprawę z logicznego punktu widzenia, powinnam była wziąć ofiarę Aarona, kiedy nadal miałam dość siły, ale straciłam swoją szansę. Teraz nie miałam już czasu. Poczekam godzinkę czy dwie, aż Aaron uda się na spoczynek.

Lepiej, żeby nie wiedział. Nie pozwolę, żeby się nade mną użalał, bo w jego naturze nie leżało pomaganie chorym, słabym i potrzebującym. Ja nie będę potrzebująca.

Nie zasnę, dopóki w domu nie będzie cicho. Później zrobię to, ale sama.

Skupiłam wzrok na lampie i wpatrywałam się w nią, żeby nie zasnąć. Minuty dłużyły się niemiłosiernie. Oczy mnie piekły, a ciało domagało się snu, którego mu odmawiałam. Powiedziałam sobie, że zamknę na chwilę oczy, a potem pójdę.

Zamknęłam oczy i wszystko pokryła ciemność.



Obudził mnie zapach kwiatów. Zwykle miałam jakieś w domu, więc ich woń nie była dla mnie niczym nowym. Leniwie przeciągnęłam się, czując się wypoczęta i wyspana.

Nagle przypomniałam sobie, że nie kupowałam ostatnio nowych kwiatów, i jednocześnie poraziła mnie wizja mojego ciała otoczonego pogrzebowymi wiązkami. Gwałtownie usiadłam na łóżku i ku mojemu przerażeniu stwierdziłam, że cały pokój tonął w kwiatach.

Z opóźnieniem dotarło do mnie, że siedzenie na łóżku wykluczało możliwość bycia martwym.

Z westchnieniem ulgi rozejrzałam się dookoła. Kwiaty, ułożone w różnego rodzaju bukiety i wzory, rzeczywiście wypełniały całą sypialnię. Uśmiechnęłam się. Aaron.

Wstałam z łóżka i podeszłam do kartki przy najbliższym bukiecie. Była to reklamówka lotów do Francji. Obok kolejnego bukietu była lista hoteli, a przy innych zdjęcia wieży Eiffla i innych atrakcji Paryża. To było typowe dla Aarona. Mało subtelne aluzje doprawione entuzjazmem i determinacją.

Czy nadal powinnam opierać się jego naciskom? Na kartce, która wetknięta była w jeden z bukietów, nabazgrał literami wielkości dwóch cali, że dzwoniła Paige. Nadal pracowała nad tą sprawą i potrzebowała pomocy.

Mniejszymi literami dopisał, że w dzisiejszej gazecie ponownie była zamieszczona informacja na temat tej kobiety z oddziału opieki paliatywnej, która chciała umrzeć.

Ubrałam się i włożyłam obydwie kartki do kieszeni. Wymknęłam się z domu bocznymi drzwiami.

Nie pojechałam do szpitala, jak sugerował Aaron. Było na to już za późno. Jeśli miałam problem z dokonaniem samego morderstwa, nie mogłam wybrać sobie takiego, które z założenia może być trudne do wykonania.

Wróciłam więc na tę samą alejkę, na której zrezygnowałam z polowania. Tego pijaczka oczywiście tam nie było. Nikogo nie było. Snułam się po labiryncie małych uliczek w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Nie mogłam czekać do zmierzchu. Nie mogłam pozwolić sobie na sen, bo mogłam się nie obudzić.

Kiedy tylne drzwi do jakiegoś sklepu otworzyły się, wbiegłam za róg, żeby nikt mnie nie zauważył. Wtedy ją spostrzegłam – kobieta, otoczona torbami zawierającymi cały dobytek, siedziała we wnęce. Nie poruszała się. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Wyglądała tak, jakby siedziała i czekała, aż ktoś każe jej się ruszyć.

Gdy tak ją obserwowałam, doszłam do wniosku, że się nada. Jednak coś we mnie szukało wymówki. Nie była zbyt stara, nie była poważnie chora, a poza tym zarówno miejsce, jak i pora dnia były niebezpieczne. Szukaj dalej. Znajdź kogoś lepszego w bardziej odpowiednim miejscu. Ale jeśli ją zostawię, będę bardziej zmęczona, bardziej rozproszona i bardziej obojętna z każdą godziną.

Nada się. Musiała się nadać. Po raz pierwszy nie był to wybór, z którym będę mogła żyć, ale wybór, który pozwoli mi żyć.

Nie było sposobu, żebym podeszła do niej niezauważona. W przeciwieństwie do Aarona nie lubiałam, żeby moja ofiara widziała widmo nadchodzącej śmierci. Dziś, niestety, nie miałam wyboru. Wyprostowałam się i zaczęłam do niej podchodzić, jakby to było zupełnie naturalną rzeczą, że

dobrze ubrana kobieta w średnim wieku idzie na skróty takimi uliczkami.

Kątem oka widziałam, że mnie zauważyła. Spojrzała na mnie, kiedy koło niej przechodziłam. Spięła się, ale potem rozluźniła, widząc, że nie stanowią zagrożenia. Obróciłam się, jakbym ją właśnie zauważyła, i wyjęłam z portfela dwadzieścia dolarów.

Czy był to z mojej strony bezwzględny podstęp, czy chciałam sprawić, żeby jej ostatnie wspomnienie należało do tych miłych? Może i to, i to. Tak jak przypuszczałam, uśmiechnęła się, zmniejszając czujność. Wyciągnęłam rękę, żeby przekazać jej banknot, ale puściłam go zbyt wcześnie i pofrunął na ziemię. Wymamrotałam jakieś przeprosiny i schyliłam się tak, jakbym chciała podnieść tę dwudziestkę, ale ona już ją złapała. Mamrotałam jeszcze jakieś przeprosiny, pochylając się, i nagle wbiłam jej kły w tył szyi.

Zdażyła tylko westchnąć, zanim środek uspokajający zadziałał, i upadła. Wciągnęłam ją do wnęki, przycisnęłam i przykucnęłam przy nieruchomym ciele.

Przysssałam się do tętnicy szyjnej. Krew wypełniła mi usta. Była tak samo ciężka i obrzydliwa, jak u tego dilerka wczorajszej nocy. Moje gardło próbowało się skurczyć, odrzucić płyn, ale przełknęłam go z wysiłkiem. Kolejny haust, kolejny łyk. Pić, połykać, pić, połykać.

Żołądek zafalował. Odsunęłam się od kobiety. Uniosłam podbródek i zmusiłam się do przełknięcia krwi. Znowu skurcz. W ustach pojawił się obrzydliwy smak, niemożliwy do opisanego. Zacisnęłam zęby i przełknęłam resztę.

Z każdym łykiem część krwi wracała do ust. Połykałam ją znowu. Wkrótce całe moje ciało dygotało, a mój umysł krzyczał, że właśnie się zabijam, topię.

Żołądek protestował, krew wracała do ust. Zatkałam je ręką, zacisnęłam oczy i zmusiłam się do przełknięcia. Cała drżałam. Ponownie kucnęłam przy kobiecie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak tam leży. Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam...

Jedną rękę nadal trzymałam przy ustach, a drugą wyciągnęłam kartki z kieszeni. Rozłożyłam je i zmusiłam się do spojrzenia. Paryż. Aaron. Paige. Rada. Jeszcze nie mogłam odejść. Niedługo tak, ale nie teraz.

Zacisnęłam oczy, wbiłam kły w szyję kobiety i zaczęłam pić.

Jej puls powoli zanikał. Moim żołądkiem targały konwulsje, a ciało tak bardzo drżało, że ledwo byłam w stanie utrzymać zęby w tętnicy. Wiedziałam, że koniec jest bliski, wiedziałam też, że to nie był sukces. Wygrałam pierwszą rundę walki, którą wiedziałam, że i tak przegram.

Ostatnia kropla krwi wypełniła moje usta. Serce kobiety się zatrzymało. Kolejne życie odebrane. Kolejny rok będę mogła żyć.



Jim Butcher

Autor serii *Kodeks Alera* oraz *Akta Harry'ego Dresdena* (na podstawie tej drugiej nakręcono serial telewizyjny). Miłośnik wschodnich sztuk walki, lubi szermierkę, śpiewanie, oglądanie kiepskich filmów science fiction oraz udział w LARP-ach. Mieszka w Missouri razem z żoną – Shannon K. Butcher (autorką romansów), synem Jamesem Josephem i groźnym psem obronnym. Jim Butcher uznawany jest przez „New York Timesa” za jednego z najlepiej sprzedających się pisarzy fantasy w Stanach Zjednoczonych.

Zemsta Drulindy



– Cześć, Miyagi-san – powiedziała Molly. Z jej jeansów nadal ściekał szlam. – Sądysz, że będą w stanie wyczyścić to w pralni chemicznej?

Rzuciłem na blat kuchenny kluczyki do samochodu i moją pokrytą runami laskę.

– Poprzednim razem, gdy zaniósłem do prania jakieś ciuchy ubrudzone szlamem golema, właściciel spalił swój zakład i następnego dnia złożył wniosek o odszkodowanie.

Molly, moja uczennica, dopiero co przekroczyła dwudziestkę. Kiedy zdejmowała wyświnione spodnie, nie dało się nie zauważyć, że ma świetne nogi. Zmarszczyła nos i wrzuciła jeansy do kuchennego kosza.

– Harry, czy mówiłam ci już, jak bardzo uwielbiam cały ten magiczny interes?

– Ciesz się, że nikt z nas nie wylądował w szpitalu, dzieciaku. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Rozpaliłem w kominku, którym zimą ogrzewam mieszkanie w suterenie. Biorąc pod uwagę, że muszę żyć bez elektryczności, jest mi niezbędny. Kiedy ogień był już wystarczająco silny, wrzuciłem weń mój skórzany płaszcz, obficie pokryty śmierdzącymi i lepкими plamami.

– Hej! – zaprotestowała Molly. – Tylko nie to.

– Spokojnie – odrzekłem. – Zaklęcia, które na niego rzuciłem, powinny go ochronić. Śluz się wypiecze porządnie i jutro go skuję.

– To dobrze. Lubię ten płaszcz.

Dziewczyna pochyliła się, żeby uzupełnić zawartość kosza na śmieci o skarpetki i glany. Była wysoka, jak na kobietę, i zbudowana tak, że ucieleśniała marzenia każdego studencika o Szwedce z wymiany studenckiej. Włosy koloru białego złota, przetykane niebieskimi, zielonymi i czerwonymi pasemkami, sięgały ramion. Miała przekłutą brew, nos, język i dolną wargę. Kiedyś kolczyków było więcej, ale zdążyła już resztę pogubić. Odciągnęła dywan leżący na środku salonu i podniosła klapę, która kryła wejście do laboratorium. Zapaliła świeczkę od ognia w kominku, marszcząc przy tym nos, i zeszła po drabinie do piwnicy.

Mysz, mój szablozębny retriever, wyszedł z sypialni, ziewnął, szeroko otwierając szczęki, i zamachał ogonem. Ruszył w moim kierunku, kiedy jednak smród szlamu uderzył go w nos, zatrzymał się, odwrócił i powędrował z powrotem.

– Tchórz – zawołałem za nim. Spojrzałem na kocura Mistera, który wygrzewał się w ciepłe bijącym od kominka, na szczycie regału z najcięższymi książkami. – Przynajmniej ty mnie nie opuściłeś.

Mister rzucił na mnie okiem, przerywając drzemkę, przeniósł spojrzenie na Molly, a potem, czując gryzący dym wydobywający się z paleniska, potrząsnął głową. Poruszył uszami wyraźnie zdenerwowany i nie ukrywając oburzenia, zszedł z regału, po czym udał się za Myszem do bezpiecznej sypialni.

– Mięczak – wymamrotałem.

Rzuciłem okiem na laskę. Była pokryta posoką. Będę musiał ją wyczyścić papierem ściernym, a potem poprawić wzory. Najprawdopodobniej będę musiał też zreperować różdżkę. Cholerni amatorzy. Bawią się rzeczami, których nie rozumieją. Golemy szlamiaсте są po prostu obrzydliwe.

Molly wdrapała się z powrotem na górę, przebrana już w czyste ciuchy. Od kiedy jakieś sześć miesięcy temu nauczyła się, że przezorny zawsze ubezpieczony, trzymała zapasowe ubrania w torbie gimnastycznej pod biurkiem w laboratorium. Założyła klapki Martensa i jedną z tych spódnic do latania na miotle, która miała wyglądać na pomarszczoną. Spódnica też nie była odpowiednia na zimową pogodę, ale znacznie lepsza niż krótkie legginsy.

– Będiesz mógł mnie odwiedzić do domu, Harry?

Spojrzałem na zegarek. Było już po dziewiątej. Zbyt późno, żeby młoda dama jechała sama publicznym transportem w Chicago. Wprawdzie, biorąc pod uwagę zdolności Molly, raczej nic jej nie groziło, ale lepiej nie kusić losu.

– Nie może cię odebrać ktoś z twoich?

Pokręciła głową.

– W walentynki? Chyba żartujesz? Zapewne zabarykadowali się w pokojach na górze i kazali starszym dzieciakom opiekować się młodszymi, to znaczy zmęczyć je na tyle, żeby poszły spać i nic nie słyszały. – Molly wzruszyła ramionami. – I nie mam zamiaru im przeszkadzać. To byłoby zbyt wstrząsające.

– Walentynki – wyjąkałem. – Cholera jasna.

– Co?

– Przez to zamieszanie o czymś zapomniałem. Dziś są, eee... czyjes urodziny i chciałbym dać tej osobie prezent, i muszę to zrobić dzisiaj.

– Serio? – zaszcebiotała. – Komu?

Zawahałem się przez chwilę, ale Molly zasłużyła na pewną dozę szczerości i zaufania.

– Thomasowi – powiedziałem.

– Wampirowi?

– Tak.

– Nieźle, Harry – powiedziała, a w jej niebieskich oczach pojawiły się iskielki. – To dziwne. Chodzi mi o to, że niby dlaczego jemu miałbyś dawać prezenty urodzinowe? – Zmarszczyła śliczne czoło. – Znaczący mojemu ojcu ich nie dajesz, a jesteś jego przyjacielem. Poza tym jest Rycerzem Krzyża, jednym z tych dobrych, i uratował ci życie jakieś dwadzieścia razy czy coś koło tego.

– Raczej cztery razy niż dwadzieścia – powiedziałem rozdrażniony. – I robię dla niego świąteczne...

Molly patrzyła na mnie z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– Domyślałaś się? – zapytałem.

– Że Thomas jest twoim bratem? – zapytała niewinnie Molly. – Jasne.

Zmrużyłem oczy.

– Ale jak?

– Widziałam, jak się kłócicie. No co? – Uniosła blade brwi. – Nie wiesz, ile mam rodzeństwa? Potrafię rozpoznać braterskie konflikty.

– Do diaska – westchnąłem. – Molly...

Podniosła dłoń.

– Wiem, szefie, wiem. To wielka tajemnica, nikomu nie powiem. – Spoważniała i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym, zważywszy na jej wiek, było zdumiewająco dużo zrozumienia. – Rodzina jest ważna.

– Tak – powiedziałem. – Jest ważna. Wychowałem się w kilku sierocińcach i rodzinach zastępczych.

Skinęła głową.

– Nie masz za bardzo komu dawać prezentów, a twój brat nie ma za bardzo od kogo ich dostawać?

Przyglądałem jej się przez chwilę. Zdecydowanie zaczynałem ją coraz bardziej lubić.

- Nie – odpowiedziałem cicho. – Nie mam i on też nie.
- W takim razie – powiedziała, uśmiechając się – jedziemy mu go wręczyć.



Zmarszczyłem brwi, stojąc przed domofonem, i powiedziałem: – Nie rozumiem. Zawsze jest w domu o tej porze.

– Może wyszedł na kolację – powiedziała Molly, trzęsąc się z zimna, jako że całe jej zapasowe ubranie było letnie, a nie zimowe.

Pokręciłem głową.

– On bardzo ogranicza swoje wyjścia.

– Dlaczego?

– Jest wampirem Białego Dworu, inkubem – powiedziałem. – Generalnie każda kobieta, która na niego patrzy, ma od razu kosmate myśli.

Molly delikatnie zakasłała.

– Aha. Czyli nie jestem jedyna.

– Nie. Byłem z nim na mieście raz czy dwa razy. Wydawało mi się, że oglądam jedną z tych seksistowskich reklam wody kolońskiej.

– Ale on wychodzi, prawda?

– Jasne.

Kiwnęła głową i zaczęła czegoś szukać w swoim plecaku.

– Może w takim razie użyjemy zaklęcia tropiącego? Wydaje mi się, że mam jeszcze jakieś składniki.

– Ja też – powiedziałem i wyjąłem dwie ćwierćdolarówki z kieszeni; obróciłem je w palcach niczym magik budujący napięcie przed wykonaniem sztuczki.

Podszedłem do budki telefonicznej, która znajdowała się obok wejścia do budynku. Włożyłem dwie monety do aparatu i zadzwoniłem na komórkę Thomasa.

Molly posłała mi zabójcze spojrzenie i próbowała otulić się rękami.

– No co? – powiedziałem. – Jesteśmy czarodziejami, dzieciaku. Mamy problem z wykorzystywaniem technologii, ale to wcale nie oznacza, że musimy jej unikać, nie?

Przewróciła oczami i mruknęła coś pod nosem. Skoncentrowałem się na telefonie.

– Allo? – powiedział Thomas, odbierając telefon.

Słowo to było przesycone francuskim akcentem, który stanowił część publicznego wizerunku mojego brata.

– Halo, Francja? – odpowiedziałem. – Znalazłem martwą mysz w puszcze mojej francuskiej kawy i chciałbym złożyć reklamację. Jestem Amerykaninem i protestuję przeciwko traktowaniu nas przez was w ten sposób.

Mój przyrodni brat westchnął.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział wciąż w ten sam sposób. W tle słyszałem rozmowy oraz muzykę. Przyjęcie? Drzwi się zamknęły i usłyszałem: – Cześć, Harry – przywitał mnie już czystą angielszczyzną.

– Stoję przed twoim mieszkaniem i marznę na śniegu z prezentem dla ciebie.

– To na wiele się nie zda – stwierdził – bo mnie tam nie ma.

– Jako że jestem zawodowym detektywem, zdążyłem aż tyle wydedukować – odrzekłem.

– Prezent urodzinowy, tak? – zapytał.

– Jest mi coraz zimniej i zamierzam go spalić, żeby się ogrzać.

Zaśmiał się.

– Jestem w Schamburgu, w centrum handlowym Woodfield.

Zerknąłem na zegarek.

– O tej porze?

– Uhm. Wyświadczam przysługę jednemu z moich pracowników. Będę tu jakoś do północy. Wpadnij może jutro, co?

– Nie – powiedziałem uparcie. – Dziś są twoje urodziny. Pojadę do ciebie.

– Uch – rzucił Thomas. – W sumie... Wydaje mi się, że... No dobra.

Zmarszczyłem brwi.

– Co ty tam robisz?

– Muszę lecieć. – I rozłączył się.

Spojrzałem w oczy Molly.

– Hę? – Przechyliła głowę. – Co się dzieje?

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę samochodu.

– Zaraz się dowiemy.



Centrum handlowe Woodfield jest największym obiektem tego typu w całym stanie, ale teraz, po godzinach, parking był prawie pusty.

– Jak mamy go zamiar znaleźć? – zapytała Molly.

Przez kilka minut jeździłem swoim poobijanym garbusem dookoła kompleksu.

– Tam – powiedziałem, wskazując na białego sedana zaparkowanego pomiędzy innymi samochodami. Było to największe skupisko samochodów.

– To jego auto. – Już chciałem coś dodać, ale ugryzłem się w język; miałem świetną okazję, żeby zachować się, jak na Yodę przystało.

– Molly, powiedz mi, co widzisz?

Zmarszczyła nos, przybierając surową minę, podczas gdy ja podjechałem do samochodu Thomasa. Pod oponami skrzypiał śnieg, który cienką warstwą

pokrył oczyszczony w ciągu dnia asfalt, przysłonił lód rozpuszczony przez sól i uporczywie zamrożone kałuże. Wyłączyłem silnik. Chodził jeszcze przez kilka sekund, a później wewnątrz auta wypełniło się tą szczególną, miękką i ciężką ciszą, właściwą jedynie zimowym nocom, gdy świat otula śniegowa pierzyna.

– Centrum handlowe jest zamknięte – powiązała fakty Molly – ale przy tym wejściu stoją samochody. W środku w jednej sekcji palą się światła, podczas gdy w pozostałej części budynku są zgaszone. Wydaje mi się, że jeden ze sklepów działa, bo w przeciwieństwie do reszty rolety w nim nie są opuszczone.

– Jakie pytania powinniśmy zadać? – wypaliłem.

– Co Thomas robi z grupą osób w zamkniętym centrum handlowym wieczorem w walentynki?

– Dobrze. Data może mieć jakieś szczególne znaczenie – powiedziałem. – Ale prawdziwe pytanie brzmi: czy jest zbiegiem okoliczności, że zewnętrzna kamera ochrony naprzeciwko drzwi jest uszkodzona?

Molly patrzyła na mnie ze zdziwieniem, potem zmarszczyła brwi, rozglądając się dookoła. Wskazałem palcem w górę.

– Pamiętaj, żeby patrzeć w trzech wymiarach. Ogólnie ludzkie instynkty nie podpowiadają, żeby spojrzeć do góry lub bezpośrednio pod nogi. Musisz wyrobić w sobie ten nawyk.

Molly nachyliła się, żeby przyjrzeć się przez szybę garbusa wysokiej latarni nad nami.

Na wysokości jakichś dziesięciu stóp znajdowała się czarna metalowa skrzynka z kamerą. Zwisła z niej kilka nagich kabli, które wisieć zdecydowanie nie powinny. Zauważyłem je, kiedy parkowałem samochód.

Moja uczennica nerwowo zaczerpnęła powietrza.

– Uważasz, że coś się dzieje?

– Wydaje mi się, że nie mamy wystarczających informacji, aby wysunąć takie wnioski – powiedziałem. – To pewnie nic, ale lepiej, żebyśmy mieli się

na baczności.

W momencie, gdy to powiedziałem, z ciemności wynurzyły się dwie osoby, które żwawo szły chodnikiem wzdłuż centrum handlowego, w stronę podświetlonego wejścia.

Obie ubrane były w długie czarne peleryny z kapturami.

Nie był to typowy strój ludzi udających się na zakupy.

Molly otworzyła usta, żeby coś wyjąkać.

– Cicho – powiedziałem. – Nie ruszaj się.

Obie postaci przeszły jakieś trzydzieści czy czterdzieści stóp od nas. Spostrzegłem, że jedna z nich miała bardzo, ale to bardzo bladą twarz i głęboko zapadnięte oczy. Podeszły do drzwi, otwierając je, jakby doskonale wiedziały, że nie będą zamknięte.

– No dobra – powiedziałem cicho. – To może być coś.

– Hmm – wykrztusiła Molly. – Cz-czy to były wa-wampiry?

– Oddychaj głęboko, dziewczyno – rzuciłem. – Niegłupio się bać, ale nie pozwól, by strach tobą zawładnął. Nie mam pojęcia.

Wysiadłem z samochodu i upewniłem się, że mój ocieplany płaszcz jest dokładnie zapięty.

– W takim razie gdzie idziesz? – zapytała.

– Do środka – odpowiedziałem i podszedłem do bagażnika garbusa. Odkręciłem drut spełniający rolę eleganckiego zamka. – Czymkolwiek są, Thomas o nich nie wie. Inaczej by coś powiedział.

Widziałem ją przez maskę samochodu, ale ona i tak uchyliła okno, żeby móc ze mną rozmawiać.

– Ale nie masz ani swojej laski, ani różdżki, ani płaszcza, ani czegokolwiek innego. Wszystko zostało w domu.

Otworzyłem walizkę i wyjąłem z niej rewolwer kaliber 44 oraz amunicję. Załadowałem. Broń wsunąłem do kieszeni płaszcza, w kieszeń jeansów wepchnąłem nieco dodatkowej amunicji i zamknąłem maskę.

– To są tylko zabawki, Padawanie.

Przyjazne i zdolne zabawki, bez których wprawdzie czułem się nagi, ale przecież żaden prawdziwy czarodziej nie powinien na nich polegać ani uczyć swoich uczniów, jak z nich korzystać.

– Zostań tutaj, zapal silnik i bądź gotowa do drogi, gdybyśmy musieli się szybko zwijać.

– Dobrze – odrzekła i przesiadła się na fotel kierowcy.

Muszę przyznać, że Molly, choć nerwowa, była całkiem niezłym kierowcą.

Włożyłem prawą rękę do kieszeni płaszcza i zacisnąłem na rękojeści broni. Przygarbiłem się, bo wiał strasznie zimny wiatr, i pospieszyłem do wejścia. Moje buty samotnie skrzypiały na śniegu. Podszedłem do drzwi tak, jakbym był właścicielem Woodfielda, otworzyłem je tak, jakbym szedł na zakupy, i rozejrzałem się dookoła.

Całe centrum było pogrążone w ciemności z wyjątkiem jednego sklepiku – małego baru z kolorowymi oknami, którego światła i tak byłyby zapalone. Widziałem sylwetki siedzących przy stolikach oraz przy barze. Mieli na sobie dużo czarnych ciuchów i nie wyglądali na starszych od Molly, chociaż przy tym przyćmionym świetle byłem w stanie rozróżnić tylko kilka szczegółów.

Zastanowiłem się. Wampiry otaczał pewien rodzaj pola energetycznego, wyczuwalny dla osobnika mojej profesji, co nie znaczy, że odbierałem je zawsze tak samo. W końcu wampiry były różne. Czasami wrażenie było wyjątkowo paskudne, niczym dziecięcy chichot dochodzący z otwartego grobu. Czasami wpływ pola na moje zmysły był tak znikomy i tak subtelny, że po prostu nie pałałem sympatią do danego osobnika. W zależności od tego, z jakiego gatunku pochodziły, ten poziom mógł się różnić. Mogłem w ich obecności poczuć się, jakby ktoś uderzył mnie prosto w twarz, albo prawie nic nie czułem, lub mój instynkt mówił mi, że nie polubię tej osoby. W przypadku wampirów z Białego Dworu, takich jak mój przyrodni brat, zazwyczaj nic nie czułem, chyba że robili coś wyjątkowo wampirycznego. I kiedy tak stałem na zewnątrz baru, moje zmysły milczały.

To było dziwne, zakładając, że teraz miałem do czynienia z wampirami – w końcu ich spotkania nigdy nie odbywały się tak otwarcie. Wprawdzie wampiry nie mają w zwyczaju przeproszać za swoje istnienie, ale też nie biorą udziału w castingach do najnowszego reality show.

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Wszedłem do baru, nadal trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą zaś przytrzymałem otwarte drzwi, żeby mieć możliwość szybkiej ucieczki. Rozejrzałem się dookoła. Najbliżej mnie dwóch młodych mężczyzn pograżonych w rozmowie siedziało nad czymś, co wyglądało jak kubek z kawą i...

I mieli trądzik. Nie jakiś szpecący trądzik, ale kilka pryszczu.

Gdyby nikt wam tego nigdy nie powiedział, oto mała wskazówka z gatunku tych, które zna każdy łowca potworów: wampiry mają małe zapotrzebowanie na clea-rasil.

W tym świetle ich ubrania wyglądały dokładnie na to, czym były. Na kostiumy. Z przewieszonych przez krzesła peleryn kapała woda. Czułem, jak od tych dwóch płynie w moim kierunku delikatny zapach marihuany. Dwójka dzieciaków wróciła do zgromadzenia po wzięciu kilku machów skręta. Jeden z nich wyjął z tylnej kieszeni batonika i zaczął go jeść.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Było w nim sporo ludzi, w większości młodych, dość chudych, ale nie wynikało to z wampiryzmu, raczej z młodości. Prawie wszyscy wyglądali, jakby wrócili właśnie z wyprzedaży w sklepie „Z gotykiem ci do twarzy”.

Czułem, jak kamień spadł mi z serca. Wyjąłem rękę z kieszeni. Za każdym razem, gdy moje paranoje pozostawały tylko paranojami, miałem powody do radości.

– Proszę pana – powiedział za mną jakiś szorstki głos – centrum handlowe jest zamknięte. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co tutaj robi?

Odwróciłem się i zobaczyłem barczystego mężczyznę o niebieskich oczach, który nie posiadał podbródka. Wyhodował sobie rzadką brodę, która jeszcze bardziej podkreślała ten brak. Miał bardzo wysoką linię włosów,

brązowy mundur i coś, co wyglądało jak policyjny pas na broń, ale zamiast broni miał walkie-talkie. Na plakietce z imieniem miał napisane *Raymond*.

– Obserwuję podejrzanе działania, Raymond – powiedziałem i wskazałem brodą na bar. – Widzisz to? Ludzie przebywający w centrum handlowym po godzinach. Dziwne, nieprawdaż?

Przymknął oczy.

– Chwileczkę. Czy ja pana nie znam?

Zacisnąłem usta i zastanowiłem się.

– Ach tak. Sześć czy siedem lat temu, Shoegasm.

Mruknął, rozpoznając mnie.

– Fałszywe medium.

– Konsultant – odpowiedziałem. – I z tego, co słyshałem, ich zapasy przestały się kurczyć, co nie zdarzało się przed moim przybyciem.

Raymond spojrział na mnie wzrokiem, który z pewnością przestraszyłby jakiegoś słabszego człowieka.

Znacznie, znacznie słabszego. Takiego z czwartej klasy podstawówki.

– Jeśli nie należy pan do grupy, musi pan odejść. Chciałby pan pójść dobrowolnie czy mam się panem zająć?

– Przestań – powiedziałem – zaczynasz mnie przerażać.

Wąsy Raymonda zadrgały, najwyraźniej nie był przyzwyczajony do ludzi, którzy nie brali go poważnie. Dodatkowo chyba nie podobało mu się, że byłem znacznie większy od niego.

– Allo, Arry – dobiegł mnie zza pleców głos brata.

Odwróciłem się. Thomas, w obcisłych czarnych spodniach i czerwonej jedwabnej koszuli, z włosami związanymi w koński ogon czerwoną wstążką, wyglądał tak dobrze, jak Mozart był utalentowany. Z twarzy nie byliśmy do siebie podobni. Może z wyjątkiem oczu i podbródka. Wiele osób ze szczytów showbiznesu rozpaczało nad tym, że nigdy nie będą wyglądać tak dobrze jak mój brat.

Na jego ramieniu wisiała jakaś chuda, młoda, zdrowo wyglądająca

dziewczyna. Miała na sobie skórzane spodnie biodrówki, które ciasno opinały miednicę, a do tego czerwoną górę od bikini. Jej włosy były w artystycznym nieładzie. Widziałem ją w sklepie Thomasa, chyba nazywała się Sara.

– Harry, jak miło cię widzieć. – Trąciła Thomasa biodrem. – Nieprawdaż?

– Zawsze – odrzekł Thomas ze swoim francuskim akcentem.

– Witam pana Raymonda! – powiedziała radośnie dziewczyna.

Raymond spojrzał na mnie i zapytał Sarę: – On jest z wami?

– Ależ oczywiście – odpowiedział Thomas, obdarzając Raymonda swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

Raymond mruknął i odsunął rękę od radia. Szczęściarz ze mnie. Zostałem definitywnie wykreślony ze świata Raymonda.

– Miałem ci powiedzieć, że jeśli będziesz mnie potrzebował, będę czekał na parkingu, naprawiając zepsutą kamerę.

– *Merci* – rzekł Thomas, ciągle się uśmiechając.

Raymond mruknął. Rzucił mi kwaśne spojrzenie, podniósł skrzynkę z narzędziami z miejsca, gdzie ją wcześniej odłożył, i poszedł na parking, zabierając swój płaszcz.

– Arry, znasz Sarę? – zapytał Thomas.

– Nie miałem jeszcze przyjemności – odpowiedziałem i wyciągnąłem dłoń.

Uścisnęła ją, uśmiechając się.

– Jak sądzę, nie przyszedłeś, żeby grać w evernight?

Przeniosłem spojrzenie na ubranych w kostiumy ludzi.

– Ach – powiedziałem. – To jest jakaś gra, tak?

– LARP – odpowiedziała.

Przez chwilę patrzyłem na nią bezmyślnym wzrokiem.

– Czy to jakaś odmiana karpia?

Uśmiechnęła się szeroko.

– LARP – powtórzyła. – Terenowa gra fabularna.

– Wampirza gra terenowa... jak przypuszczam? – powiedziałem i spojrzałem na Thomasa. – I właśnie dlatego tutaj jesteś?

Thomas obdarzył mnie promiennym uśmiechem i twierdząco kiwnął głową.

– Poprosiła mnie, żebym udawał wampira dziś wieczór – powiedział. – I hetero.

Nic dziwnego, że się świetnie bawił.

– Thomas nigdy nie mówi o swoim życiu osobistym – oświadczyła. – Jesteś więc człowiekiem zagadką. W sklepie cały czas spekulujemy na twój temat.

Założę się, że na pewno to robili. Były chwile, gdy ten image cholernego stylisty włosów, który dodatkowo był gejem, naprawdę działał mi na nerwy. Poza tym i tak nie mogłem mówić, że jesteśmy spokrewnieni, ze względu na wojnę toczącą się pomiędzy Białą Radą Czarodziei a Dworami Wampirów.

– Jak miło – powiedziała Sara.

Nigdy nie byłem w stanie pozbyć się roli, jaką ludzie przypisywali mi w towarzystwie Thomasa.

– Czy możemy porozmawiać przez chwilkę? – zapytałem.

– *Mais oui* – powiedział.

Uśmiechnął się do Sary, wziął ją za rękę i lekko się przed nią uklonił. Patrzyła na niego rozpromieniona i weszła do środka.

Patrzyłem, jak się od nas oddala w swoich obcisłych spodniach i skąpej górze. Westchnąłem. Jej tyłek wyglądał dość apetycznie i ładnie nim kołysała, ale zdecydowanie nie mógłbym z nią nigdy flirtować.

– Trzymaj język za zębami, zanim ktoś się czegoś domyśli! – powiedział Thomas przyciszonym głosem. – Muszę zachowywać pozory.

– Powiedz im, że udaję hetero – powiedziałem i ruszyliśmy w kierunku wejścia, by jak najbardziej oddalić się od baru. – Udajesz wampira, co?

– Mam niezły ubaw – stwierdził. – To tak, jakbym był gwiazdą w ostatnim sezonie serialu.

Spojrzałem na niego.

– Bycie wampirem to nie gry i zabawa.

– Wiem o tym – odpowiedział. – I ty o tym wiesz, ale oni nie mają zielonego pojęcia.

– To nie jest przysługa.

– Rozchmurz się – odpowiedział Thomas. Słowa zabrzmiały kokieteryjnie, ale słychać było w nich nutkę powagi. – Oni się dobrze bawią, a ja im pomagam. Nieczęsto mam taką szansę.

– Kpiąc z tego, co jest bardzo realnym zagrożeniem?

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Oni są niewinni, Harry. O niczym nie mają pojęcia. Nigdy nie zostali skrzywdzeni przez wampira ani nikogo przez niego nie stracili. – Podniósł brwi. – Wydawało mi się, że o to właśnie walczą twoi ludzie.

Posłałem mu sceptyczne spojrzenie.

– Gdybyś nie był moim bratem, powiedziałbym ci, że masz kilka niesmacznych hobby.

Doszliśmy do drzwi wejściowych. Thomas przyjrzał się sobie w lustrze i przybrał jakąś pozę.

– Prawda, ale wyglądam świetnie, kiedy je uprawiam. Poza tym Sara pracowała do jedenastej wieczorem od piątku do poniedziałku i nie narzekała, zasłużyła na przysługę.

Na zewnątrz śnieg gęstniał. Raymond stał na szczycie drabiny, naprawiając kamerę. Molly bacznie go obserwowała. Machałem do niej dopóty, dopóki mnie nie zauważyła. W powietrzu narysowałem palcami zarys pudełka i dałem jej znak. Kiwnęła głową i wyłączyła silnik.

– Przybyłem tu, spodziewając się kłopotów. Mamy szczęście, że nie walnąłem kilkoma dziećmiaki o sufit, zanim zdałbym sobie sprawę, że są w porządku.

– Eee tam – powiedział. – Tobie się takie rzeczy nie zdarzają. Jesteś ostrożny.

Prychnąłem.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli wręcę ci prezent i będę spadał?

– Wow – rzucił Thomas. – Dzięki bardzo.

– Proszę bardzo – odrzekłem, podczas gdy Molly, drżąc z zimna, z prezentem w dłoniach, spiesznym krokiem szła w naszą stronę. – I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Odwrócił się i obdarzył mnie lekkim, ale bardzo promiennym uśmiechem.

– Dziękuję.

W hallu za nami rozległ się stukot obcasów i pojawiła się młoda kobieta. Twarz miała dość ładną, ale nie wyglądała dobrze w czarnej sukni, czarnych pończochach i z zaczesanymi do tyłu włosami. Spojrzała na mnie zimno.

– Widzę, że trzymasz z niewłaściwym towarzystwem, Raveniusie.

– Jak zwykle gładki w obyciu – powiedziałem.

– Że co?

– Arree – odrzekł Thomas.

Spojrzałem na niego.

Położył płasko rękę na swojej głowie i powiedział: – Zrób tak.

Przyjrzałem mu się badawczo. Spojrzał na mnie wymownie. Westchnąłem i położyłem rękę na głowie.

Dziewczyna w czarnej sukni szybko zrobiła to samo i uśmiechnęła się do mnie.

– W takim razie przepraszam. Nie wiedziałam.

– Za chwilę wrócę – powiedział z tym swoim akcentem. – Sprawy osobiste.

– Jasne – odparła – przepraszam.

Wydawało mi się, że Ennui natknęła się na jakiś wątek poboczny. Uśmiechnęła się kolejny raz i zdjęła rękę z głowy. Pojawił się ponownie zimny i nawiedzony wyraz twarzy. Powróciła do baru.

Odwróciłem się do mojego brata, nadal trzymając rękę na głowie, i

zapytałem: – Co to znaczy?

– Jesteśmy OOC, czyli chwilowo poza rolą – powiedział Thomas.

– Aha – odrzekłem – a nie wątkiem pobocznym?

– Gdybyś miał ręce skrzyżowane na klatce piersiowej, bylibyśmy niewidzialni – kontynuował Thomas.

– Przegapiłem kolację – powiedziałem. Położyłem moją drugą rękę na brzuchu. Potem, żeby pokazać, że potrafię, zacząłem się klepać po głowie, pocierając drugą ręką po brzuchu. – Teraz jestem OOC i do tego głodny.

– Ty zawsze jesteś głodny, więc jak niby ma to być poza twoją rolą?

– Prawda – przyznałem.

Zmarszczyłem brwi.

– Czemu Molly tak długo...

Moja uczennica stała przyciśnięta plecami do drzwi. Stała zeszywniała, z jedną ręką przyciśniętą do ust. Prezent Thomasa, zawinięty w różowoczerwony papier walentynkowy, leżał na chodniku. Molly strasznie się trzęsła.

Thomas trochę wolniej załapał, co się dzieje.

– Czy ta spódnica nie jest za lekka na taką pogodę? Zobacz, ona zamarza.

Zanim zdążył wymówić słowo „spódnica”, ja byłem już za drzwiami. Złapałem Molly i wciągnąłem ją do środka, cały czas patrząc na parking. Zauważyłem dwie rzeczy.

Po pierwsze, drabina Raymonda leżała przewrócona. Płatki śniegu zdążyły ją już trochę pokryć. Tak w ogóle to śnieg padał coraz gęściej, mimo że zapowiadali przejaśnienia pod wieczór. Po drugie, na moim samochodzie i na wszystkich sąsiadujących z nim autach były krople krwi. Zaczęły już zamarzać i świeciły w blasku latarni jak malutkie rubiny.

– Co? – zapytał Thomas, gdy wprowadzałem Molly do środka. – Co, do...

– Spojrzał za okno i sam odpowiedział sobie na swoje pytanie. – Cholera.

– No – powiedziałem. – Molly?

Spojrzała na mnie wielkimi oczami, potrząsnęła głową kilka razy.

Zamknęła oczy i zaczęła coś bardzo cicho powtarzać.

– Co, do jasnej cholery? – zapytał Thomas.

– Jest w szoku – powiedziałem cicho.

– Ciebie nigdy nie widziałem w szoku – odrzekł mój brat.

– Mamy różne talenty. Ja wysadzam wszystko w powietrze, a Molly jest bardziej wrażliwa – oświadczyłem mu. – Zaraz się z tego otrząśnie, ale potrzebuje chwili.

– Aha – powiedział cicho Thomas.

Wpatrywał się w młodą kobietę, a jego oczy zmieniały kolor z ciemnej szarości w coś jaśniejszego.

– Hej – rzuciłem do niego. – Skup się.

Potrząsnął głową i oczy mu znowu pociemniały.

– Jasne. Chodźmy. Niech usiądzie na jakimś krześle, damy jej coś ciepłego i przestaniemy stać tak na widoku, robiąc za łatwe cele.

Zaciągnęliśmy dziewczynę do baru i posadziliśmy przy najbliższym stoliku. Thomas stanął tak, że mógł obserwować to, co dzieje się na zewnątrz, a ja znalazłem jakiś kubek z kawą i postawiłem go na blacie. Rękę cały czas trzymałem na głowie.

Molly doszła do siebie po kilku minutach, upiła trochę kawy. Zaskoczyło mnie, że coś nią aż tak wstrząsnęło.

– No, dobra, koniku polny – powiedziałem. – Co tam się stało?

– Szłam do was – jej głos był dziwnie płaski i odległy. – Ten ochroniarz. C-coś go zabiło – w głosie pojawiła się desperacja. – Ja, ja czułam, jak on umiera. To było straszne.

– Co? – zapytałem. – Jakież szczegóły?

Molly potrząsnęła gwałtownie głową.

– N-nie widziałam. To stało się zbyt szybko. Czułam, że coś się za mną porusza, może jakieś kroki. Potem słyszałam jakiś cichy dźwięk i... i on umarł. – Zaczęła szybko oddychać.

– Spokojnie – powiedziałem. – Oddychaj. Skup się. Pamiętaj, kim jesteś.

– Okej – powiedziała kilka oddechów później. – Już okej.

– Ten dźwięk. Co to było?

Gapiała się na parę wydobywającą się z kubka.

– Ja... uderzenie, ale nie jestem pewna. Coś złejszego.

– Trzask? – zapytałam.

Skrzywiła się i przytaknęła.

– Odwróciłam się najszybciej jak potrafiłam, ale jego już nie było. Harry, ja tam nic NIE WIDZIAŁAM.

Thomas, który stał oddalony od nas jakieś dziesięć stóp, dokładnie słyszał naszą cichą rozmowę, tak jakby z nami siedział.

– Coś złapało Raymonda – powiedział. – Coś, co porusza się wystarczająco szybko, żeby nie zostać zauważone. Nie przestało się poruszać, kiedy go złapało. Dźwięk, który usłyszała, pochodził najprawdopodobniej z łamania karku.

Cała koncepcja była cholernie niepokojąca. Thomas spojrzał na mnie i dodał: – To jest możliwe. Mój ojciec mi kiedyś pokazał, jak to się robi. – Drgnął i wskazał głową parking.

Poczułem, że nerwy mam jak postronki.

– Co?

– Latarnie zgasły.

Oparłem się o krzesło, gorączkowo analizując sytuację.

– Jest tylko jeden powód, żeby to zrobić.

– Żeby nas oślepić – dopowiedział Thomas. – Uniemożliwić komukolwiek dotarcie do samochodów.

– I utrudnić komuś z zewnątrz obserwację tego, co się dzieje w środku – uzupełniłem. – Dlaczego twoi znajomi mogą tu przebywać po godzinach?

– Wujek Sary jest właścicielem – odparł Thomas.

– Idź po nią – powiedziałem i wstałem, żeby mieć drzwi na oku. – Pospiesz się.

Thomas przyprowadził dziewczynę chwilę później. W tym czasie

uczestnicy gry zdążyli zdać sobie sprawę, że coś jest nie tak. W milczeniu obserwowali, jak Sara do nas podchodzi. Teraz mogłem dokładnie ocenić jej czerwony top. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że sprawia on, iż jej szyja wydaje się smukła i niezabezpieczona.

– Co się stało? – spytała.

– Kłopoty – powiedziałem. – Możemy być w niebezpieczeństwie i chcę, żebyś odpowiedziała na kilka pytań.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

– Po pierwsze – nie dopuściłem jej do głosu – czy wiesz, ilu jest teraz ochroniarzy?

Gapiła się na mnie przez chwilę, a później powiedziała: – Czterech przed zamknięciem, dwóch po. Ci dwaj, którzy kończą wraz z zamknięciem centrum, sprzątają jeszcze mniej więcej do północy.

– Gdzie?

Zastanawiała się chwilę.

– W pomieszczeniu strażników i w administracji.

– Świetnie – powiedziałem. – Jest tutaj telefon?

– Oczywiście.

– Pokaż mi gdzie.

Zaprowadziła mnie do maleńkiej kuchni. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer Murphy. Jeśli ci kolesie, kimkolwiek byli, nie chcieli zwracać na siebie uwagi świata zewnętrznego, to może uda mi się to załatwić, ściągając tu jak najwięcej samochodów policyjnych na sygnale.

Telefon zadzwonił raz, drugi... I zamilkł.

Jednocześnie zgasły światła, muzyka umilkła, a ciepłe powietrze przestało płynąć z kanałów grzewczych.

Z kafejki dało się słyszeć kilka okrzyków, a potem usłyszałem, jak Thomas krzyczy, żeby wszyscy ucichli.

– Harry?

– Gdzie jest biuro ochrony? – zapytałem Sarę.

– Na drugim końcu centrum.

– Łatwo je znaleźć?

– Nie – zaprzeczyła. – Musisz iść przez hall administracyjny i...

Pokręciłem głową.

– Pokażesz mi. Chodźmy.

Wyszliśmy z kuchenki.

– Thomas? Jak sytuacja?

Mój brat odłączył się od zbitych w gromadkę graczy.

– Jeszcze nic się nie dzieje – powiedział. – Ale widziałem, że coś się tam porusza.

Chrząknąłem.

– Oto plan. Molly, Sara i ja pójdziemy do biura ochrony i postaramy się do kogoś dodzwonić.

– Zły pomysł – zaproponował. – Musimy się stąd wydostać.

– Jesteśmy bezbronni. Nie dostaniemy się do samochodów. Czymkolwiek są, dopadną nas, zanim przebiegniemy przez parking – odpowiedziałem.

– Dobra. Zabarykadujecie się, a ja pójdę.

– Nie. Kiedy nas nie będzie, spróbujesz zadzwonić na policję z komórki. Jesteśmy z Molly zbyt zdenerwowani, żeby cokolwiek działało w naszym otoczeniu.

Nie spodobała mu się ta koncepcja, ale nie próbował się sprzeczać.

– No dobrze. Tylko uważajcie na siebie.

Kiwnąłem mu głową i zacząłem mówić do pozostałych normalnym głosem: – Słuchajcie. Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale mam zamiar iść poszukać ochrony. Chcę, żeby wszyscy zostali tutaj, dopóki nie wrócę. Chcę, żeby wszyscy byli bezpieczni.

Zacząli protestować, ale Thomas uciszył ich samym tylko spojrzeniem. Nie był to wzrok zawierający groźbę, ale zwykłe, proste spojrzenie.

Wszyscy się przykneśli.

Kiedy opuszczaliśmy bar, usłyszeliśmy dźwięk tłuczonego szkła. Przez

oszkloną ścianę centrum handlowego, osiem stóp nad ziemią, wleciał samochód. Uderzył w podłogę i poprzedzony strumieniem zimnego powietrza zaczął z ogromną prędkością sunąć w naszą stronę.

Molly już zaczęła biec, ale Sara stała, gapiąc się z niedowierzaniem na zbliżające się auto. Złapałem ją w pasie i ruszyłem, ciągnąc ją za sobą. Starłem się zachować możliwie jak największą odległość od zbliżającego się pocisku. Pomysł byłby niezły, gdyby nie fakt, że na naszej drodze znajdował się mały sklep z perfumami.

Na szczęście byłem wystarczająco szybki i udało mi się odciągnąć dziewczynę za sklepik sekundę wcześniej, nim samochód weń uderzył, a perfumeria okazała się na tyle solidna, że zatrzymała pędzącą maszynę. Resztki szkła posypały się pod nasze stopy. Sara kiwała się i o mało co nie upadła. Złapałem ją i ruszyłem dalej. Zaczęła krzyczeć, ale zatkałem jej usta ręką i wysyczałem: – Cicho!

Nie zatrzymałem się, dopóki nie znaleźliśmy się za rogiem. Stałem plecami do ściany i zwróciłem uwagę Sary na siebie.

Nic nie mówiłem. Podniosłem palec do ust z jak największą emfazą. Sara, trzęsąc się niemiłosiernie, kiwnęła głową. Odwróciłem się i ten sam sygnał dałem Molly, która była blada, ale znaczenie lepiej się kontrolowała. Ona również przytaknęła. Odwróciliśmy się i weszliśmy w inny korytarz.

Wyteżyłem słuch, a to naprawdę potrafię. Być może dlatego, że jestem czarodziejem, a być może dlatego, że niektórzy ludzie słyszą lepiej od innych i ja należę właśnie do tej grupy. Byłem pewny, że dobiegł mnie odgłos kroków stawianych na szkłe i całym tym gruzie, jaki powstał po zniszczeniu perfumerii.

Coś na tyle szybkiego, żeby mimochodem skrócić komuś kark jednym szarpnięciem, i na tyle silnego, żeby rzucić autem, weszło właśnie do centrum handlowego. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli nie zdradzimy swojej pozycji i będziemy się skradać.

Szliśmy cicho i powoli. Dookoła wznosiły się trzy piętra pogrążonych w

namacalnej wręcz ciemności, zamkniętych metalowymi kratami sklepów. Zatrzymaliśmy się po jakimś czasie, gdy stwierdziłem, że jesteśmy wystarczająco daleko od wejścia, żeby odbyć cichą rozmowę.

– O mój Boże, o mój Boże – skomlała Sara. – Co się dzieje? Czy to są terroryści?

Pewnie byłbym w stanie udzielić jakiejś bardziej uprzejmej odpowiedzi, gdyby nie to, że była praktycznie naga od pasa w górę, ciepła, drżąca i przyciskała się do mnie. Sam jeszcze się trząsałem od uderzenia adrenaliny po tym, jak samochód o mało co nas nie zmiażdżył. Przez głowę przebiegła mi nagle, totalnie szalona myśl, żeby zerwać z Sary ten skąpy top i pocałować ją tylko po to, żeby sprawdzić, jak dobrze by mi było. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie byłoby to odpowiednie.

– Uch – wymamrotałem, zmuszając się, żeby spojrzeć w stronę, z której przyszliśmy. – To są... jacyś źli ludzie. Jesteś ranna?

– Nie – powiedziała Sara.

– Molly? – zapytałem.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała moja uczennica.

– Biuro ochrony?

Sara gapiła się na mnie oczami jak spodki.

– Ale... ale ja nie rozumiem, dlaczego...

Delikatnie położyłem dłoń na jej ustach.

– Sara – powiedziałem – już kilka razy byłem w tarapatkach i wiem, co robić. Musisz mi zaufać, dobra?

Oczy dziewczyny zrobiły się na chwilę jeszcze większe. Podniosła rękę, delikatnie dotknęła mojego nadgarstka i odepchnęła moją dłoń. Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

– Nie mamy czasu. Musimy iść do biura ochrony – powtórzyłem z naciskiem.

– N-no dobrze – powiedziała. – Tędy.

Poprowadziła nas w głąb mrocznej jaskini zupełnie ciemnego budynku.

Molly przybliżyła się do mnie tak, żeby móc mi coś szepnąć do ucha.

– Nawet jeśli dotrzemy do ochroniarzy, to co oni będą w stanie uczynić przeciwko komuś, kto potrafi takie rzeczy?

– Będą mieli radio – odpowiedziałem jej, również szepcząc. – Telefony komórkowe. Będą znali wyjścia. Skoro my nie jesteśmy w stanie wezwać pomocy, oni zapewnią nam największe szanse na wydostanie stąd tych ludzi i...

Światła zaczęły zapalać się i gasnąć. Nie mrugały, nie było w tym żadnego rytmu. Najpierw zajaśniało w jednej części nad nami, na trzecim piętrze, i po kilku sekundach pociemniało. Później w jakimś odległym sektorze na drugim piętrze. Znowu ciemność. Tak jakby jakieś dziecko bawiło się kontaktami.

Z głośników dobiegło trzeszczenie i system zamilkł. Po chwili znowu zadziałał.

– Próba mikrofonu – powiedział ktoś chrapliwym głosem. – Raz, dwa, próba mikrofonu.

Sara zastygła w miejscu, po czym powoli zaczęła się cofać, patrząc na mnie. Stałem obok niej tak blisko, że dotykała mojego ciała. Trzęsa się.

– Już działa – powiedział głos. Strasznie się go słuchało. Brzmiał jak głos opętanej Lindy Blair z *Egzorcysty*, ale był jeszcze mniej melodyjny. – Jestem pewna, że wszyscy mnie już słyszą.

Słyszałem już kiedyś coś podobnego.

– Jasna cholera – wyszeptalem.

– Tutaj Constance – kontynuowała – Constance Bushnell. Jestem pewna, że wszyscy mnie pamiętają.

Spojrzałem na Molly, a potem na Sarę. Obydwie pokręciły głowami.

– Możecie mnie również pamiętać jako Drulindę. – Po chwili zaczęła śpiewać *Sto lat*, ale zarówno melodia, jak i tekst odbiegały od oryginału. Zamiast *Niech żyje nam* śpiewała *Niech żyję ja*.

Oczy Sary rozszerzyły się.

– Drulinda?

– Kim, do cholery, jest Drulinda? – zapytałem.

Sara pokiwała głową, jakby właśnie to sobie przypomniała.

– Jedną z naszych postaci, która uciekła z domu czy coś takiego.

– A ty nie rozpoznałaś jej imienia?

Sara spojrzała na mnie z wyrzutem.

– No wiesz. Ja zazwyczaj z nią nie grałam. Ona nie była zbyt... lubiana.

– Aha – stwierdziłem. – Powiedz mi o niej wszystko, co wiesz.

– Hmm. Ma około pięć stóp i cztery cale wzrostu. Jest raczej przeciętna – ani ładna, ani brzydka. Może trochę przy kości.

– Nie o to mi chodziło – westchnąłem z rezygnacją. – Powiedz mi o niej coś znaczącego. Czy ludzie z niej żartowali?

– Niektórzy – powiedziała. – Ja jej nie lubiałam, ale...

– Bzdura! – Spojrzałem na Molly i powiedziałem: – Syndrom Carrie. Jesteśmy w niezłych tarapatkach.

Koszmarne nudna piosenka ucichła.

– Już minął rok, odkąd was opuściłam – powiedziała Drulinda. – Rok, odkąd znalazłam to, czego wy, popaprańcy, szukacie, i postanowiłam sprawić sobie prezent – nastąpiła upiorna pauza. – Was wszystkich.

– Syndrom czego? – zapytała Molly.

Pokręciłem głową.

– Sara, czy wiesz, gdzie się znajduje system nagłośnieniowy?

– Tak – odrzekła. – Administracja. Jest obok...

– ...pomieszczenia ochrony – dokończyłem z rezygnacją.

Głos Drulindy nadal wylewał się przez głośniki: – Wyjścia są zamknięte i obserwowane. Ale jeżeli macie ochotę, możecie do nich śmiało biec. Będziecie znacznie smaczniejsi, kiedy będziecie odpowiednio przerażeni. Z utęsknieniem czekam na waszą reakcję, kiedy zobaczycie nową mnie.

Z głośników zaczęła płynąć piosenka *Only you* Plattersów.

– Molly – szepnąłem – zarzuć na nas zasłonę.

Molly spojrzała na mnie i kiwnęła głową. Przechyliła głowę, skrzyżowała

ręce na klatce piersiowej i zmarszczyła brwi, koncentrując się. Czułem, jak gromadzi energię i po chwili wyrzuca ją, wypowiadając jakieś słowo, które sprawiło, że powietrze dookoła nas przez chwilę błyszczało.

Wewnątrz zasłony temperatura spadła o kilka stopni i zrobiło się trochę ciemniej niż na zewnątrz. Wyczuwałem delikatny ślad magii, ale wiedziałem, że jeśli Molly poprawnie rzuciła czar, nikt nie był w stanie nas ani wykryć, ani zobaczyć. Zasłony były jej najsilniejszą stroną i z pełnym zaufaniem zaryzykowałem nasze życie, stawiając na to, że poprawnie udało jej się to zrobić.

Dosłownie chwilę później usłyszałem jakiś stukot i zobaczyłem niewyraźny cień, który gwałtownie zatrzymał się jakieś dwadzieścia stóp od nas. Wampir Czarnego Dworu.

Drulinda, sądziłem bowiem, że to ona we własnej osobie, miała na sobie czarne jeansy, czerwony sweter ręcznej roboty i czarny skórzany płaszcz. Jeżeli za życia miała jakąkolwiek nadwagę, śmierć rozwiązała ten problem całkowicie. Była pomarszczona, koścista i wyglądała jak zesuszone roczne zwłoki, którymi de facto była. W przeciwieństwie do starszych wampirów tej rasy nadal miała większość włosów, których raczej nie myła ani nie czesała. Większość wampirów Czarnego Dworu, na które kiedykolwiek wpadłem, nie poświęcała większej uwagi sprawom wyglądu. Zakładam, że świadomość gnicia zniechęca do czynności higienicznych.

W przeciwieństwie do starszych wampirów Drulinda śmierdziała. Nie chodzi mi o to, że ciągnął się za nią lekki zapach grobu, ale ona cuchnęła dokładnie tak, jak powinno śmierdzieć roczne ciało, które powoli zaczęło się już rozkładać. Było to wystarczająco obrzydliwe, żebym zaczął się dławić. Nie mówiąc o tym, że spędziłem cały dzień, tropiąc i rozbijając cholernego golema szlamiastego.

Stała tam, rozglądając się dookoła, dopóki nie skończyła się pierwsza zwrotka piosenki Plattersów. Wyczuła coś, ale nie była pewna, co to było. Okręciła się powoli. Jej wysuszone usta poruszały się, udając, że śpiewa

razem z piosenką wydobywającą się z głośników. Dwie inne istoty, znacznie wolniejsze od Drulindy, wynurzyły się z ciemności.

– Co jest? – wybełkotała jedna z nich głosem zza grobu, ale nie tak przerażającym jak słyszany wcześniej.

Dłoń Drulindy rozmazała się. Ruch był zbyt szybki, żeby go śledzić. Pytający zareagował z nieludzką szybkością, ale niewystarczającą. Uderzenie odrzuciło go o kilka stóp. Wylądował na podłodze otoczony wianuszkiem własnych zębów.

– Będziesz mógł mówić – wychrypiała Drulinda – kiedy powiem, że możesz mówić. Odezwij się jeszcze raz, a rozszarpie cię na kawałki i wrzucę do jeziora Michigan. Spędzisz sobie wieczność na dnie jeziora bez nóg, bez rąk, bez światła i bez krwi.

Wampir miał zmiażdżony nos, ale wstał, tak jakby nie odniósł żadnej kontuzji. Przytaknął służalczo, emanując lękiem.

Drulinda obnażyła w uśmiechu poplamione zaschłą krwią zęby. Odwróciła się i ruszyła przed siebie lekkim krokiem, kierując się w stronę baru. Chwilę później znacznie wolniej podążyły za nią nowe wampiry.

– Cholera – wyszeptalem, gdy zniknęli. – W mordę, w mordę, w mordę.

– Co jest, Harry? – zapytała Molly.

– Wampiry Czarnego Dworu – odpowiedziałem, starając się zbyt głęboko nie oddychać. Smród powoli zanikał, ale nadal było go czuć. – One są najsilniejsze, najszybsze i najbardziej krwiożercze.

– Wampiry – wysyczała sceptycznie Sara.

Nie wyglądała zbyt dobrze. Jej twarz zaczynała się robić zieloną.

– Nie, nie, nie... – umilkła i nagle zaczęła wymiotować.

Staralem się jak mogłem, żeby nie pójść w jej ślady.

Molly miała ułatwione zadanie, bo musiała się koncentrować na zakłęciu, ale zauważyłem, że bardzo ostrożnie przełknęła ślinę.

– Dobra, Molly – powiedziałem cicho. – Posłuchaj mnie.

Odwróciła się, wbijając we mnie zamyślony wzrok.

– Wampiry Czarnego Dworu – powiedziałem – to są te, o których pisał Stoker. Wszystkie ich słabości – światło słoneczne, czosnek, święcona woda, symbole wiary. Pamiętasz?

Przytaknęła.

– Ich główne zalety to siła i szybkość. Nie patrz im w oczy – przełknąłem.
– I nie pozwól, żeby wzięli cię żywcem.

Moja uczennica mrugnęła. W jej oczach malował się strach, ale i nagły ogień.

– Rozumiem. Co chcesz, żebym zrobiła?

– Utrzymuj zasłonę i pilnuj Sary. Znajdź jakieś zacienione miejsce i się nie wychylajcie. Tak czy inaczej, będzie tu niezła rozróżba.

– Ale ja mogę...

– Sprawić, że mnie zabiją, jak cię będę osłaniać – powiedziałem delikatnie. – Nie grasz w tej lidze, pasikoniku. Jeszcze nie. Muszę działać szybko. Poza tym mam tu przyjaciół. Nie będę sam.

Molly przez chwilę patrzyła na mnie. W jej oczach zalśniły łyzy frustracji. Potrząsnęła głową i powiedziała: – Czy mogę cokolwiek zrobić?

Przyjrzałem jej się badawczo i odpowiedziałem: – Daj mi swoje buty.

Nie na darmo była moją uczennicą przez prawie półtora roku. Bez wahania zdjęła klapki i mi je wręczyła.

Położyłem delikatnie rękę na jej ramieniu, a potem dotknąłem twarzy Sary, dopóki na mnie nie spojrzała.

– W ogóle nie rozumiem, co się dzieje – wyszeptała.

– Zostań z Molly – powiedziałem Sarze. – Ona się tobą zajmie. Rób to, co ona mówi. Dobrze?

Rzuciłem okiem na jej drogie czarne szpilki.

– Gucci?

– Prada – powiedziała drętwym głosem.

Jako że jestem typowym facetem, nie mam zielonego pojęcia o butach, ale miałem nadzieję, że nie spaliłem swojej przykrywki pod tytułem „tajemniczy

człowiek od Thomasa”.

– Daj mi je.

– Okej – zrobiła to tylko dlatego, że była chyba w zbyt dużym szoku, żeby protestować.

Thomas miał rację co do tych dzieciaków. Resztki niewinności Sary leżały na podłodze razem z jej ostatnim posiłkiem i bardzo ciężko to znosiła.

Zdławiłem w sobie złość i wstałem bez słowa. Wyszedłem spod magicznej zasłony Molly, trzymając w jednej ręce buty, a w drugiej broń. Ten rewolwer kaliber 44 równie dobrze mógł być kocykiem, bo niewiele mógł działać przeciwko wampirowi Czarnego Dworu. Sprawiał jedynie, że czułem się trochę pewniej.

Poruszałem się najszybciej jak potrafiłem, nie robiąc przy tym zbyt wiele hałasu. Doszedłem do wyłączonych ruchomych schodów i wspiąłem się na drugie piętro. Kiedy tam dotarłem, skręciłem w prawo i pospieszyłem w stronę Shoegasm.

No, trochę się tu zmieniło. Początkowo stoisko zajmowało stosunkowo małą powierzchnię, ale z czasem wchłonęło sąsiednie lokale. Teraz ten obszerny sklep chroniony metalową kratą urządzone był z ogromną starannością i z zachowaniem wszelakich najnowszych trendów. W witrynie widniały plakaty obiecujące zwrot pieniędzy w wypadku niezadowolenia z produktu.

– Jestem zupełnie niedoceniany – wymamrotałem. Potem włożyłem całą swoją wolę i magię w słowa: – Keef! Hej, Keef! Tu Harry Dresden.

Czekałem chwilę, wpatrując się w mrok za kratą, w końcu zdjąłem z łańcuszka na szyi srebrny pentagram i wypowiedziałem nad nim magiczne słowo. Amulet zaczął świecić bladym niebieskim światłem. Starąłem się je kontrolować. Jeśli Drulinda lub któryś z jej koleżków spojrzeliby w moim kierunku, musieliby zobaczyć jakiegoś kretyna, który stoi z jedynym źródłem światła w kompletnie ciemnym budynku.

– Keef – zawołałem jeszcze raz.

Z drogiej torebki wiszącej na ramieniu manekina, ubranego we włoskie buty za sześćset dolarów, wyrzął mały gnom. Miał może jakieś dziesięć cali wzrostu, a na głowie wielką czuprynę białych włosów a la Albert Einstein. Ubrany był w coś, co przypominało XIX-wieczny strój mieszkańców europejskich miast – ciemne spodnie na szelkach, białą koszulę i staromodne buty. Wizerunku solidnego rzemieślnika dopełniały skórzany pas z jakimiś narzędziami i dziwnie wyglądające gogle na czole.

Keef wyskoczył z torebki i pospieszył do kraty. Włożył na ręce parę rękawic, wyciągnął kilka rzemyków ze swojego pasa i wspiął się na metalowe ogrodzenie, używając dwóch karabińczyków. Zwinnie jak wiewiórka. Bardzo przy tym uważał, żeby nie dotknąć metalu gołą skórą. Keef był jednym z gnomich szewców, małego ludu zamieszkującego nasz świat. Dotyk metalu był dla nich bardzo bolesny.

– Czarodziej Dresden – powitał mnie niemieckim akcentem, kiedy znalazł się na wysokości mojej głowy. Ton jego głosu był niski, nawet jak na kogoś tak małego jak on. – Market jest tym miejscem, gdzie krąży zło. Być nie powinieneś tu.

– Jakbym tego nie wiedział – odparłem – ale w niebezpieczeństwie są ludzie.

– Ach! – rzekł Keef. – Śmiertelnicy, których upierasz się bronić. Niemądra ta walka jest.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem.

Keef przypatrzył mi się i delikatnie skinął głową.

– Chodzące trupy bardzo niebezpieczne są. Krew moich ludzi może to kosztować. Ryzykować tego nie będę.

– Zawdzięczasz mi coś – warknąłem.

– Nasz byt, ale nie nasze życie.

– Jak chcesz – powiedziałem i podniosłem jeden z butów Sary. Nie patrząc na niego, złamałem obcas.

– Ach – zakrzyknął przerażony Keef. Jego małe nóżki zaczęły się zsuwać

po metalowej kracie. – *Nein*.

Ze sklepu wydobyły się odgłosy krzyków i głośnych westchnień.

Wziąłem drugi but i zrobiłem to samo.

Keef zawodził i lamentował. Nagle przy kracie znalazło się około trzydziestu białowłosych gnomich szewców płci obojga, ubranych w śmieszne ciuszki jak z Oktoberfest. Wszyscy byli tak samo przerażeni.

– *Nein* – zajęczał ponownie Keef. – To włoska skóra. Ręczna robota. Co wyprawiasz?

Zrobiłem krok w lewo i zwiesiłem rękę z butami nad koszem.

Gnomiczni szewcy równocześnie wstrzymali oddech.

– Nie rób tego – błagał. – Stracone wszystko nie jest. Naprawione mogą być. Takie jak nowe mogą być. Możemy naprawić je. Nie wyrzucaj ich.

Nie wahałem się.

– Wiem, że czasy nie były łatwe, odkąd wypadliście z interesu – powiedziałem – ale załatwiłem waszemu klanowi pozwolenie na pracę. W zamian za naprawianie butów możecie brać, cokolwiek chcecie, z maszyny z batonikami. Zgadza się?

– Zgadza się – powiedział Keef, wpatrując się w uszkodzone buty w mojej dłoni. – Czarodzieju. Nad koszem na śmieci nie musisz trzymać ich. Gdy do kosza wrzucone zostaną, śmieciem staną się, a wtedy nie możemy dotknąć ich. Przepadną. Cokolwiek obydwaj będziemy żałować, nie każ robić nam.

Niespokojny pomruk aprobaty wydobył się z gardeł szewców.

Wystarczy kija. Teraz czas pokazać im marchewkę. Wyjąłem zmaltretowane klapki. To sprawiło, że kilku starszych szewców cmoknęło z niezadowoleniem.

– Pomogłem wam się dobrze ustawić tu, w Shoegasm – powiedziałem – ale widzę, że robi wam się trochę ciasno. Mogę wam załatwić dobry układ – rodzina z siedmiorgiem dzieci, mamą i tatą, a wszyscy bardzo aktywni.

Gnomiczni szewcy zamruczeli z nagłego podniecenia. Keef kaszlnął delikatnie i patrząc niepewnie na zrujnowane buty w moich dłoniach, powiedział: – A

buty?

– Przekażę je wam – odrzekłem – jeśli mi pomożecie.

Keef zmrużył oczy.

– Niewolnikami jesteśmy twoimi – wyrzucił z siebie – zastraszeni i przekupywani.

– Wiesz, za jaką sprawę walczę – powiedziałem. – Chronię śmiertelników. Nigdy tego nie ukrywałem i nigdy wcześniej cię nie okłamałem. Potrzebuję twojej pomocy, Keef, i zrobię wszystko, żeby ją uzyskać. Znasz mnie i wiesz, co o mnie mówią. Zawsze dobrze się z wami obchodziłem i zawsze okazuję swoją wdzięczność za udzieloną pomoc.

Przywódca gnomich szewców obserwował mnie uważnie przez chwilę. Nikt nie lubi być terroryzowany, ale nie miałem czasu na dyplomację.

Zwisające nad koszem buty rozpraszały wzrok Keefa. Nie odpowiadał. Pozostali też milczeli, wyraźnie czekając na sygnał od swojego przywódcy.

– Pokaz dobrej wiary – powiedziałem cicho. Położyłem buty delikatnie na ziemi przed sklepem. – Wierzę, że ty i twoi ludzie naprawicie je i zwrócicie. I odpłacę się wam, kupując jeszcze pizzę.

Szewcy jak jeden mąż wstrzymali oddech i patrzyli na mnie, jakbym właśnie zaofiarował im mapę do Eldorado. Usłyszałem, jak jeden z nich wykrzykuje: – Prawdziwe jest to?

– Chwilowa pizza jest – powiedział Keef surowo. – Wieczne buty są i wyroby skórzane.

– Buty i wyroby skórzane – zaintonowała uroczyście reszta gnomich szewców.

– Śmiertelników niewielu okazuje szacunek małym ludziom w dni te – powiedział cicho Keef – albo zaufanie. Prawdą jest, że stłoczeni jesteśmy pod tym dachem my. Temu czarodziejowi przysługę winniśmy. – Spojrzał na buty fachowym okiem i kiwnął głową. – Wedle warunków twoich, wedle możliwości naszych, nasza pomoc dana jest ci. Mów.

– Zwiad – powiedziałem. – Muszę wiedzieć, ile jest wampirów Czarnego

Dworu w centrum handlowym. Muszę wiedzieć dokładnie, ile ich jest i gdzie się znajdują.

– Zrobione będzie – wrzasnął Keef. – Szewcowie!

Zawiał lekki podmuch i nagle zostałem sam. Zniknęły zarówno drogie buty Sary, jak i klapki Molly. Te pierwsze zostały tak delikatnie wyjęte z mojej dłoni, że nawet nie poczułem. Sprawdziłem, czy moje własne buty są na pewno tam, gdzie powinny. Z ulgą odkryłem, że tak. Z szewcami nigdy nie można być pewnym do końca. Przedstawiciele drobnego ludka bywali nie tylko skupieni, ale wręcz zafiksowani na tym, co akurat stanowiło przedmiot ich zainteresowania. Próby pogrywania sobie z nimi w tej kwestii mogły być bardziej niebezpieczne, niż większość zdawała sobie z tego sprawę. Inną rzeczą, o której ludzie nie mają pojęcia, jest to, jak szybko małe ludziki się uczą, zwłaszcza jeśli chodzi o nowości z ich dziedziny.

– Czterech jest ich – zameldował Keef. – Trzy pomniejsze, które miejsca pilnowały tego. Jeden potężniejszy, który nieżycie im dał.

– Cztery – odetchnąłem. – Gdzie?

– Na zewnątrz jeden, niedaleko skupiska samochodów czeka i obserwuje – mówił Keef – przed barem jeden, gdzie śmiertelnicy schowali się, pełni wartę. Obok swojej pani jeden stoi.

Poczułem ukłucie w żołądku.

– Czy ktoś został ranny?

Keef pokręcił głową.

– Wyśmiewa się z nich, to robi. Straszy ich. – Wzdrygnął się. – To nie tak jej rodzaj robi.

– Nie. Jest tu dla zemsty. Nie dla jedzenia. – Zmarszczyłem brwi. – Muszę poprosić, żebyś mi coś przyniósł. Będziesz w stanie?

Powiedziałem mu, czego potrzebuję, a Keef obrzucił mnie lekko urażonym wzrokiem.

– Oczywiście.

– Dobrze. Teraz ten na zewnątrz – powiedziałem. – Czy możesz pokazać

mi, w jaki sposób mogę się do niego zbliżyć i nie zostać zauważonym?

Oczy Keefa zalsniły nagłą dzikością, która była zupełnie sprzeczna z jego rozmiarem.

– Tędy, czarodzieju.

Niemal biegłem, ale mały szewc bez trudu dotrzymywał mi kroku. Poprowadził mnie do drzwi dla obsługi, które z drugiej strony otworzyli nam jego współplemieńcy. Mój amulet, kiedy szliśmy klatką schodową i długim, niskim tunelem, był jedynym źródłem światła.

– Studzienki i system odprowadzania wody tędy jest – powiedział Keef.

Zatrzymaliśmy się przy drabinie prowadzącej na górę. Na ziemi obok drabiny pojawiła się papierowa torebka.

– Twoja broń – powiedział, wskazując na torbę. – Za wampirem droga otworzy się. – Wskazał na drabinę.

Otworzyłem torebkę i znalazłem dwa plastikowe cylindry. Nie chciałem tego szeleszczącego papieru, więc włożyłem je do kieszeni kurtki i zacząłem się wspinać po drabinie. Na szczycie znajdował się właz zrobiony raczej z jakiegoś ciężkiego syntetycznego tworzywa niż z drewna czy metalu. Otworzył się bezgłośnie. Ostrożnie rozejrzałem się po parkingu.

Nadal nie świeciła żadna z latarni, ale śnieg pokrywający teren sprawiał, że było wystarczająco jasno, jak na moje potrzeby. Przy moim garbusie stał wampir.

Widziałem go wyraźnie. Przypominał człowieka, lecz sposób, w jaki stał, był nieludzki. Sterczał nieruchomo, i to prawdopodobnie od dłuższego czasu, bo śnieg zaczął się zbierać na czubku jego głowy i na ramionach. Tkwił na wprost dziury, którą wybił samochód, i obserwował. Cekał najprawdopodobniej na każdego, kto opuściłby centrum handlowe.

Może nowo narodzony wampir nie był tak niebezpieczny jak starszy, ale to tak jakby powiedzieć, że ciągnik siodłowy jest mniej niebezpieczny niż czołg. Gdybyś był tym facetem stojącym im na drodze, naprawdę byłoby ci obojętne, który przerobi cię na miazgę. Jeśli miałbym ze sobą swoją laskę i

różdżkę, moje szanse w otwartej walce wyglądałyby jako tako. Niestety, nie miałem sprzętu, chociaż i tak narobiłbym pewnie tyle hałasu, czarując, że zaalarmowałbym pozostałych.

Wampiry są twarde. Zabicie ich wymaga sporo wysiłku. Tego musiałem sprzątnąć nagle, używając ogromnej siły, ale nie robiąc przy tym hałasu. Postanowiłem myśleć pozytywnie.

Żeby się do niego podkraść, musiałem posłużyć się sprytem szewców.

Zebrałem swoją magię, moc, z którą się urodziłem i którą przez całe życie uczyłem się gromadzić, i którą ćwiczyłem. Gdy mnie wypełniła, na moich rękach pojawiła się gęsia skórka i poczułem wewnętrzny nacisk w okolicach czoła. Kiedy była już gotowa do użycia, zacząłem ją kształtować myślami, koncentrując swoją wolę i zamiary na pożądanym rezultacie.

Zakłęcie, które formowałem, nie było moją najlepszą inwokacją. Zajęło mi około dwudziestu sekund, co przy szybkiej i nieczystej walce było niczym wieczność. Ale na zdradziecką, perfidną i nieczystą walkę było w sam raz. W ostatniej sekundzie wampir musiał coś wyczuć, gdyż spojrział w moją stronę.

Zacisnąłem pięść, gdy wypuszczałem swoją moc i warknąłem: – *Gravitus*.

Magia powędrowała pod nogi wampira. Stabilna i powolna moc ziemi nagle zawirowała, skoncentrowała się i sięgnęła do niego. Pod względem technicznym wcale nie zwiększyłem pod nim grawitacji. Po prostu ją trochę skoncentrowałem. W promieniu pięćdziesięciu stóp od wampira na ułamek sekundy grawitacja znikła. Wszystkie samochody zakołysały się, odskakując od podłoża, i znowu opadły na ziemię. Pokrywa śnieżna podniosła się na kilka cali i ponownie pokryła teren.

W tym samym ułamku sekundy cała ta grawitacja skoncentrowała się w kole o średnicy osiemnastu cali, dokładnie pod stopami wampira.

Nie było żadnej eksplozji, żadnych błysków światła i żadnych krzyków. Podwładny Drulindy upadł nagle, bardzo brutalnie przygwożdżony do ziemi, jakby rzucono w niego kowadłem. Słyszał tylko chrzęst łamiących się kości i bryzgnięcie jakiegoś mulistego płynu, który ochlapał okoliczne

samochody, łącznie z moim garbusem.

Wysiłek włożony w gromadzenie i wypuszczenie takiej ilości energii osłabił mnie. Nie byłem dobry w magii ziemi. Wydawało mi się, że jest zbyt wolna, więc nie chciało mi się jej zgłębiać. Muszę jednak przyznać, że jeśli miało się wystarczająco dużo czasu, to była naprawdę niezła.

Podszedłem ostrożnie do samochodu, obserwując jednocześnie wejście do centrum handlowego. Ani Drulinda, ani inny wampir nie pojawili się.

Ten, którego potraktowałem zaklęciem, nadal żył. Technicznie nie żył już jakiś czas, ale nadal próbował się poruszać. Teraz była to masa zgniecionej mięsa. Przy tej temperaturze nie zaczął jeszcze gnić. Dzięki temu nie śmierdział. Jedno oko obracało się w zmiażdżonej czaszce. Mięśnie kurczyły się, ale ze względu na to, że nie miały na czym się trzymać, przypominało to bardziej pulsowanie. Ten wampir mógłby się ponownie złożyć, jeśli miałyby wystarczająco dużo czasu i krwi, ale nie miałem zamiaru mu na to pozwolić. Wyciągnąłem plastikowy cylinder, otworzyłem i przechyliłem go nad nim.

– Bez urazy – powiedziałem, po czym wysypałem czosnek z pizzerii, mieszczący się w centrum handlowym.

Nie mogę powiedzieć, że wampir krzyczał. Umarł w taki sposób, w jaki umierają ślimaki – w cichej, pulsującej agonii. Walczyłem, żeby zawartość mojego żołądka pozostała na swoim miejscu, ale tylko przez chwilę. W końcu wszelkie aspekty biologii wampirów są elementami obowiązującymi na szkoleniach tematycznych. Kilka smużek dymu uniosło się z ciała, a po chwili kupa nieumarłego mięsa stała się mięsem umarłym bezpowrotnie. Jeden zaliczony. Zostało jeszcze trzech.

Zacząłem podkraść się do centrum tak cicho jak tylko potrafiłem. Po latach pracy w charakterze prywatnego detektywa i po jeszcze większej ilości lat spędzonych na magicznej wojnie przeciwko nieumarłym nauczyłem się poruszać prawie bezszelestnie. Trzydzieści stóp przed wejściem zobaczyłem w środku kolejnego wampira. Był dokładnie tam, gdzie powiedział Keef.

Stał twarzą do baru pochłonięty tym, co się działo wewnątrz. Dobiegały

stamtąd jakieś głosy, ale nie byłem w stanie wyłapać żadnych szczegółów, bo zagłuszało je ciągle grające *Only you*. Nie słychać było szamotaniny, co nie było dobre. Thomas na pewno nie pozwolił, aby kogoś skrzywdzili bez walki. Biorąc pod uwagę zdolności wszystkich znajdujących się w środku, raczej nie byłbym w stanie tego przegapić.

Po chwili namysłu stwierdziłem, że to może być dobry znak. Gdyby go zabili, musieliby narobić niezłego bałaganu. Zakładając, że nie został pokonany bez walki, a ja nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, musiało wydarzyć się coś innego.

Mój brat mógł stanąć twarzą w twarz z wampirem Czarnego Dworu, gdyby musiał, ale ostatnim razem, gdy to zrobił, o mały włos nie zabił siebie i kobiety, którą chciał uwolnić. Teraz w środku miał dwóch przeciwników i pomimo że był równie dobrze wyszkolony w walce, jak najlepsi członkowie Białego Dworu, nie zacząłby jatki, gdyby wiedział, że jest jakiś inny sposób niż walka. Robiłby to, co większość jego ziomków – wyglądał jak człowiek i próbował oszustwa. Instynkt podpowiadał mi, że Thomas czeka na właściwy moment. Do diabła, on pewnie czekał, aż się zjawię z pomocą.

Spojrzałem na ziemię i zobaczyłem jego prezent – nawet nie został uszkodzony przez odłamki. Leżał na chodniku dokładnie tam, gdzie Molly go upuściła. Złapałem się na tym, że się uśmiecham.

Jakieś dwadzieścia sekund później wleciałem do środka centrum handlowego z prezentem pod pachą. Wylądowałem przed wejściem do baru. Wampir spojrzał na prezent i przechylił głowę. Po sekundzie zaczął iść w moim kierunku z obnażonymi zębami.

– *Gravitus* – zagrzmiałem, wypuszczając kolejny raz zakłęcie ziemi.

Znowu wszystko na chwilę podskoczyło, ale tym razem nie było cicho. Koło zerowej grawitacji ogarnęło wszystkie okoliczne sklepy. Cały towar, półki, naczynia, meble, kasy, manekiny i Bóg jeden wie co jeszcze, uniosło się i chwilę później spadło na ziemię zarówno na parterze, jak i na pozostałych piętrach.

Krąg supergrawitacji przyszpilił delikwenta do ziemi, ale tym razem zapomniałem o piętrach nad nami. Z powodu ogromnego napięcia zaczął jęczeć metal, a ze stropu spadła kaskada gruzu wprost na wampira.

Na chwilę zaległa kompletna cisza, przerywana jedynie spadającymi przedmiotami w pobliskich lokalach. Najwyraźniej uszkodzenie konstrukcji sprawiło, że pękły rury, bo z góry zaczął spływać mały wodospad. A potem dwie rzeczy wydarzyły się w tym samym momencie.

Po pierwsze, mój brat postanowił zaatakować. Przednia ściana baru eksplodowała od wewnątrz. Zobaczyłem, jak kolejny wampir wylatuje z kafejki i roztrzaskuje się o metalową kratę sklepu naprzeciwko. Po drugie, Drulinda wydała z siebie upiorny skowyt pełen furii. To był straszny, nieludzki dźwięk. Ze środka baru dobiegł trzask i młodzi ludzie zaczęli krzyczeć.

Nie miałem ani chwili do stracenia. Zacząłem biec do tego wampira, którego unieszkodliwił mój brat. Odbił się od kraty i teraz próbował jakoś się pozbierać. Miałem nadzieję, że odzyskiwanie sił po upadku zajmie mu chwilkę, dzięki czemu będę miał wystarczająco dużo czasu, żeby się do niego zbliżyć. Niestety, moje nadzieje okazały się płonne.

Wampir był już na nogach, zanim zdążyłem przebyć połowę dystansu. Upadek uszkodził mu bark i jedna ręka zwisała bezwładnie. Zaczął sunąć w moją stronę, nie zdradzając choćby skrzywieniem ust, że kontuzja robi na nim jakiegokolwiek wrażenie. Wydał z siebie bardzo ludzki krzyk złości i rzucił się na mnie. Zareagowałem niemal instynktownie, unosząc prawą rękę. Zgromadziłem moc i wykrzyczałem: – *Fuego!*

Z otwartej dłoni buchnął płomień, który rozprzestrzenił się po podłodze jak obracający się rożek, i ogień uderzył w wampira. Ale bez mojej różdżki, która pomagała mi skoncentrować atak, płomień rozszedł się po znacznym obszarze, zamiast zwęzić się do pojedynczej wiązki. Chociaż jestem pewien, że bolało jak cholera i na pewno podpaliło jego mundur, to go nie okaleczyło. Może udałoby mi się zrobić pochodnię z jakiegoś starszego wampira, ale ten

był na to zbyt... soczysty. To go nie upiekło, a raczej podgotowało. Na pewno nieźle go wkurzyło.

Wampir wydał z siebie kolejny piszczący krzyk i zamachnął się na mnie. Ogień go chyba trochę zdezorientował, bo prawie udało mi się uskoczyć. Ominął moją głowę i szyję, ale walnął mnie w lewe ramię. Zalała mnie fala bólu. Pojemnik z czosnkiem wzbił się w powietrze. Impet uderzenia zakręcił mną i upadłem na podłogę. Wampir usiadł na mnie i obnażył białe zęby, które były na tyle silne, żeby rozszarpać mi gardło.

– Harry – zakrzyczał Thomas.

Słyszałem, jak ktoś biegnie w moją stronę. Siedzący na mnie wampir został odrzucony z ogromną siłą. Wstałem akurat w momencie, gdy mój brat przygwoździł wampira do betonowej ściany pomiędzy dwoma stoiskami. Potem Thomas błyskawicznym ruchem ręki wziął coś, co wyglądało jak noga od krzesła, i wbił to w klatkę piersiową przeciwnika, dokładnie tuż pod złotą odznaką zdobiącą jego pierś.

Usta wampira otworzyły się i chlusnęła z nich bardzo ciemna krew. Potwór próbował wyciągnąć kołek ręką, ale Thomas, na którego twarzy malowała się furia, rozwiązał ten problem w najbardziej brutalny z możliwych sposobów. Ignorując palący się mundur, złapał rękę wampira i wyrwał ją z ciała. Wampir upadł na ziemię, umierając tym razem ostatecznie.

Moje magiczne zmysły wyczuły zimną obecność wampira Czarnego Dworu, bo dostrzec nadchodzącej Drulindy mi się nie udało.

– Thomas!

Zaalarmowany, w ostatniej chwili uchylił się przed uderzeniem, którego nie widziałem. Odpowiedział tym samym, ale bezskutecznie. Drulinda nie była zwyczajnym młodym wampirem, należała do lordów, istot dysponujących potężną siłą i mocą. Thomas walczył już z przedstawicielem Czarnego Dworu, ale nie tej klasy. Od początku starcia był w defensywie, jego naprawdę wielkie możliwości tym razem okazały się niewystarczające. A ja leżałem rozplaszczony na ziemi, na wpół sparaliżowany bólem i

próbowałem gorączkowo coś wymyślić.

– Wynoście się stąd! – krzyknąłem do tych z baru. – Wynoście się stąd, ludzie. Jazda mi stąd, ale już!

W tym czasie wampirzyca walnęła moim bratem o drzwi awaryjne tak mocno, że została na nich plama różowawej krwi.

Zaczęli wybiegać z kafejki, kierując się w stronę parkingu. Drulinda spojrzała przez ramię i wydała z siebie ryk wściekłości. Thomas skorzystał z okazji, złapał przeciwniczkę za rękę i rzucił nią o betonową ścianę, potem o podłogę i znowu o ścianę. I tak kilka razy, rozwalając mimochodem kafelki na ścianach i wyginając kratę.

Usłyszałem krzyk i zobaczyłem, jak bieżąca w tych swoich niewyobrażalnie wysokich czarnych szpilkach Ennui upada, a strasznie zdeformowana ręka wysuwa się spod sterty gruzu i łapie ją za nogę. Ponieważ mój brat był nieco zajęty, musiałem interweniować. Niespecjalnie mi to szło, moje lewe ramię nie chciało współpracować z mózgiem, musiałem więc gmerać prawą dłońią w lewej kieszeni. Jakoś udało mi się wygrzebać czosnek i posypałem nim nieumarłą kończynę. Zaczęła dymić i drżeć. Ennui krzyknęła, gdy zaciśnięta dłoń strzaskała jej kostkę. Wyprostowałem się i z frustracją zacząłem deptać rękę. Wampir mógł sobie być nadludzko silny, ale kości miał tak samo kruche jak za życia, wystarczyło tylko je zmiażdżyć. Nie było łatwo, ale udało się. Pomogłem podnieść się dziewczynie, ale oparła się na złamanej nodze i żeby nie stracić równowagi, chwyciła moje uszkodzone ramię.

Ledwie zauważyłem, że mój brat przeleciał mi nad głową. Wybił resztki szyby przy wejściu do centrum i bezwładnie spadł na parking. Poczułem, że Drulinda podchodzi do mnie od tyłu. Zaśmiała się sucho: – A ja myślałam, że to jakiś piękny chłoptaş, którym będę mogła się pobawić. Ale ze mnie głuptaş.

Przez chwilę mocowałem się z pojemnikiem. Odwróciłem się i zamasyście wyrzuciłem jego zawartość w stronę Drulindy, która bez trudu

uniknęła śmiercionośnego ładunku. Wyglądało to tak, jakby jeden z jej boków na moment się rozmazał, po czym błyskawicznie powrócił do właściwego kształtu. Z bliska sprawiała wrażenie poobijanej i zakurzonej, ubranie miała podarte, jednak biorąc pod uwagę, że jej niemartwe ciało przypominało konsystencją drewno, nie miało to znaczenia. Była tak samo martwa i niebezpieczna jak przed potyczką.

Wyciągnąłem przed siebie mój amulet w kształcie pentagramu. Symbole religijne są skuteczne w starciu z przedstawicielami Czarnego Dworu i wbrew obiegowym opiniom nie muszą być koniecznie chrześcijańskie. Ważny jest nie przedmiot, a wiara w niego. Widziałem wampiry odpierane przez krucyfiksy, kawałki papieru z symbolami napisanymi przez kapłana shinto, a nawet przez gwiazdę Dawida.

Ja użyłem pentagramu, ponieważ w niego wierzyłem. Pięć ramion – pięć elementów: ziemia, powietrze, woda, ogień i duch, zamkniętych w kole symbolizującym wolę człowieka. Wierzyłem, że magia była mocą, która miała tworzyć, ochraniać i zachowywać. Wierzyłem, że tego daru trzeba używać z rozwagą i że powinien być wykorzystywany zwłaszcza przeciwko stworom pokroju Drulindy, przeciwko uosobionemu złu, aby bronić tych, którzy nie byli w stanie tego zrobić.

Ja WIERZYŁEM.

Błade niebieskie światło zaczęło się sączyć z amuletu i Drulinda zatrzymała się z sykiem.

– To ty – powiedziała po chwili. – Słyszałam o tobie. Czarodziej Dresden.

Powoli kiwnąłem głową. Za mną szalały płomienie wywołane zaklęciem. Nie było prądu, a nie wątpiłem, że Drulinda i byli ochroniarze wyłączyli alarm przeciwpożarowy. Ogień nie potrzebował już wiele, żeby rozprzestrzenić się na resztę centrum. Musieliśmy się stąd wydostać.

– Idź – wymamrotałem do Ennui.

Szlochając, zaczęła się czołgać w stronę wyjścia, podczas gdy ja trzymałem Drulindę unieruchomioną mocą pentagramu. Patrzyła na mnie

przez kilka sekund. Jej oczy zasły mgłą. Po chwili uśmiechnęła się i poruszyła. Była zbyt szybka. Nie utrzymałem jej w mocy amuletu, a kiedy prawie znów ją zablokowałem, Ennui krzyknęła. Drulinda złapała dziewczynę za włosy i przywlokła na skraj światła rzucanego przez gwiazdę. Podniosła Ennui bez wysiłku, tak żebym mógł dostrzec rozciętą skórę głowy gdzieś w okolicy ucha i krew spływającą po szyi. Wampirzyca wysunęła język i zlizwała krew.

– Czarodzieju – powiedziała – możesz się chować za swoim amuletem, ale nie jesteś w stanie jej uratować.

Zacisnąłem zęby, ale nic nie powiedziałem.

– Twoja śmierć będzie dla mnie korzystna i wzmocni moją pozycję. Czarodziej Dresden, którego wszyscy się boją. – Obnażyła w uśmiechu żółte zęby. – Ofiaruję ci więc układ. Odłóż swój amulet, a ja wypuszczę dziewczynę. Masz moje słowo. – Pochyliła się i przejechała zębami po szyi Ennui. – W przeciwnym wypadku... Cóż, wszyscy moi przyjaciele zginęli. Będę więc musiała zrobić sobie nowych.

To sprawiło, że się zatrząsałem. Umieranie to ludzka rzecz, ale zostać przekształconym w to... Opuściłem amulet. Drulinda wydała pełen entuzjazmu okrzyk i odrzuciła Ennui, jakby była papierkiem po cukierku. Potem wskoczyła na mnie. Zaczęła chichotać i przyszpiliła mnie jeszcze bardziej do ziemi.

– Czuję twój strach, czarodzieju – wydyszała. – Zaczyna mi się to podobać.

Zbliżyła twarz, prezentując kły. Była dokładnie w tym miejscu, w którym chciałem, żeby była. Podniosłem do góry głowę i wyplułem cały czosnek, który miałem w ustach, wprost w jej oczy. Odskoczyła z krzykiem. Próbowała wydrapać sobie oczy rękami, ale sprawiła tylko, że one także zaczęły się palić. Wiła się w agonii, obijając się o napotkane przedmioty.

– Kilka wskazówek – warknąłem. Resztką czosnku paliła mnie w ustach. – Po pierwsze, kiedy nie wyrzucam z siebie zaklęć w stronę takiej żalösnej

kreatury jak ty, to znaczy, że mam jakiś plan.

Drulinda zawyła i zaczęła się czołgać w moim kierunku, z trudem pokonując przeszkody. Wyglądała jak jakiś obrzydliwy insekt. Sprawdziłem, jak wygląda sytuacja. Ennui udało się jakoś wydostać z centrum, a Thomas zaczął się powoli poruszać, być może dlatego, że padający na niego śnieg zdołał go ocucić. Odwróciłem się do oślepiętego i oszalałego z bólu wampira. Tylko my dwoje pozostaliśmy w budynku.

– Po drugie – dodałem – nigdy nie tykaj mojego brata w dniu jego cholernych urodzin!

Sięgnąłem po swoją moc, podniosłem rękę i burknąłem: – *Fuego*.

Ogień wystrzelił z mojej dłoni, pochłaniając Drulindę. A co mi tam. Ten budynek już i tak się palił.



– Cholerni złoczyńcy amatorzy – wymamrotałem groźnie, patrząc na ochlapany samochód.

Thomas opierał się o niego. Jedną rękę przyciskał do głowy, a jego twarz była jednym wielkim bólem.

– Jesteś cały?

Poruszałem trochę lewą ręką.

– Czucie już mi powraca. Butters później mnie obejrzy. Dzięki, że pożyczyłeś samochód Molly.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Odwiezie Sarę i Ennui do szpitala. – Zmrużył oczy, patrząc na centrum handlowe. – Myślisz, że całość spłonie?

– Raczej nie – powiedziałem. – Może to skrzydło, ale straż powinna tu dotrzeć, zanim ogień rozbucha się na całego. Keef i jego ludki powinni być

bezpieczni.

Thomas chrząknął.

– Jak oni to wyjaśnią?

– Kto wie – powiedziałem. – Może meteoryt? Wpadł przez dach, zmiażdżył biednego ochroniarza i podpalił to miejsce.

– Ja głosuję na terrorystów – powiedział Thomas. – Terrorysty są teraz dość modni. Ale mi chodzi o te dzieciaki, a nie o policję.

– Aha. Raczej nikomu nic nie powiedzą. Będą się bały, że ludzie wezmą ich za wariatów.

– I pewnie tak będzie.

– Pewnie tak – zgodziłem się. – Już jutro to wszystko będzie im się wydawać całkiem nierealne. Za kilka miesięcy zaczną się zastanawiać, czy sobie tego nie wymyślili, czy przypadkiem nie było jakiegoś wycieku gazu i nie mieli halucynacji. Za kilka lat będą pamiętać, że Drulinda i kilku posępnie wyglądających gości przyszli, żeby dać im wycisk. Wjechali samochodem do centrum handlowego. Może będą sobie wyobrażać, że to byli jacyś wariaci przebrani w kostiumy, którzy za bardzo utożsamili się z grą. – Pokręciłem głową. – Ludzką rzeczą jest wyjaśniać wszystko i starać się wszystko zrozumieć. Dzięki temu świat jest mniej przerażający. Nie wydaje mi się, że będą narażeni na jakieś niebezpieczeństwo. A przynajmniej nie mniej niż ktokolwiek inny.

– To dobrze – powiedział Thomas. – Prawda?

– Tak już się dzieje. – W oddali słyszałem syreny. – Powinniśmy się zbierać.

– No.

Wsiedliśmy do garbusa i ruszyliśmy. Specjalnie nie włączyłem świateł, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Z tobą będzie dobrze? – zapytałem.

Kiwnął głową.

– Będę potrzebował kilku dni na dojście do siebie, ale wyjdę z tego.

– Dzięki za wsparcie – powiedziałem.

– Nieźle im dokopaliśmy – odparł i wyciągnął swoją pięść.

Delikatnie stuknąłem w nią swoją zaciśniętą pięścią.

– Niezły znak. A teraz prezent.

– Wydawało mi się, że go dostałeś – powiedziałem. Zmarszczyłem brwi. – Cholera, twój prezent.

– Zapomniałeś go zabrać?

– Wiesz, byłem trochę zajęty.

Przez chwilę był cicho, a potem zapytał: – Co to było?

– Roboty walczące na ringu – odparłem.

Spojrzał na mnie.

– Co?

Powtórzyłem: – To takie plastikowe roboty walczące na ringu.

– Wiem, co to jest, Harry – odpowiedział. – Zastanawiam się tylko, dlaczego chciałeś mi je dać.

Zacisnąłem usta i po chwili odpowiedziałem: – Zaraz po tym, jak umarł mój ojciec, wylądowałem w sierocińcu. Było Boże Narodzenie. W telewizji reklamowali właśnie te roboty. Dwójka dzieciaków bawiła się nimi. Dwóch braci. – Zadrżałem. – Tamtego roku naprawdę bardzo, ale to bardzo chciałem dać te głupie plastikowe roboty mojemu bratu.

– Znaczyłoby to, że nie jesteś sam – powiedział cicho Thomas.

– Tak – odparłem. – Przepraszam, że zapomniałem je zabrać. A poza tym to wszystkiego najlepszego.

Mój brat obejrzał się na płonące centrum handlowe.

– Cóż – powiedział. – Jak sądzę, liczy się pamięć.



P. N. Elrod

Wydała ponad dwadzieścia powieści i tyleż samo opowiadań. Jej najbardziej znaną książką są *Akta Wampirów (Vampire Files)* z nieumarłym detektywem Jackiem Flemingiem jako głównym bohaterem. Razem z aktorem i reżyserem Nigelem Bennettem napisała trzy opowiadania, była edytorem i współedytorem kilku antologii o wampirach. Jest nieuleczalną czekoladoholiczką. Więcej informacji o jej soczystych powieściach znajdziecie na stronie www.vampwriter.com

.

Fałszywe medium



Chicago, luty 1937

Radio zaczęło właśnie nadawać *Gloomy Sunday* w wykonaniu Hala Kempa, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś dziewczyna w czerni z zapytaniem, czy nie pomógłbym jej z seansem spirytystycznym. Zbiegi okoliczności mnie denerwują. Żałobna pieśń dla martwej ukochanej zestawiona z ceremonią, która ma pozwolić przemówić umarłym, sprawiła, że poczułem się nieswojo. I byłem wkurzony na to, że się tak poczułem. Powinienem być bardziej odporny, w końcu sam byłem martwy.

– Jest pani pewna, że trafiła pod właściwy adres? – spytałem, patrząc na jej strój. Miała na sobie czarny płaszcz, czarną torebkę, czarne rękawiczki,

czarne buty na obcasach i czarne pończochy. Na głowie miała dobrany kolorystycznie kapelusz z woalką sięgającą aż do brody, przez co nie było widać jej twarzy. Wyglądała jak chodzący pogrzeb.

– Agencja Escott. Tak przynajmniej napisane jest na drzwiach – powiedziała, siadając bez zaproszenia na krzesło po drugiej stronie biurka. – Czy pan Escott?

– Ja jestem Fleming. Zastępuję pana Escotta, kiedy jest niedostępny.

Dziś akurat był u swojej dziewczyny, a ja wpadłem do biura, żeby popracować trochę nad księgami rachunkowymi. Byłem lepszy w księgowości.

– Pan Escott został mi polecony.

– Przez kogo?

– Przez przyjaciela.

Czekałem na kontynuację, ale nic więcej nie powiedziała. Escott z zasady prowadził sprawy z polecenia. Gdyby ktoś nazwał go szpiclem, zostałby obrzucony urażonym spojrzeniem i usłyszał opryskliwą odpowiedź typu: „Nie zajmuję się sprawami rozwodowymi”. Jego specjalnością było załatwianie nieprzyjemnych zleceń dla tych, którzy sami nie byli w stanie się ich podjąć lub po prostu nie chcieli. Zagląkanie przez dziurkę od klucza nie wchodziło w rachubę. Ale czy seans spirytystyczny się kwalifikował? Escott był zainteresowany takimi sprawami, ale raczej z punktu widzenia sceptyka. Mówię „raczej”, ponieważ trudno dyskutować z pewnymi rzeczami, jeśli partnerem w interesach jest wampir, czyli ja. A tak w ogóle to miło, że się pani przedstawiła.

Utwór Hala Kempa leciał jeszcze przez chwilę, dopóki dziewczyna nie wstała i nie wyłączyła radia.

– Nienawidzę tej piosenki – stwierdziła.

Określiła się i woalka na twarzy uniosła się trochę. Kobiety z zasłoniętymi twarzami denerwowały mnie, ale trzeba przyznać, że ta miała przynajmniej niezłe nogi.

- Ja też. Ma pani jakieś konkretne powody?
- Moja siostra cały czas jej słucha. Działa mi to na nerwy.
- Czy to ma coś wspólnego z pani seansem spirytystycznym?
- Czy nie mógłby pan zadzwonić po pana Escotta?
- Mógłbym, ale nie była pani umówiona. W przeciwnym razie byłby tutaj.
- Spotkanie miałam umówione na jutro, ale, niestety, coś się wydarzyło i muszę z nim pomówić dziś wieczór.

Sprawdziłem jego kalendarz. Starannym charakterem było napisane *Abigaile Saeger, dziesiąta rano*.

- Czy mogłaby pani jeszcze raz przeliterować swoje nazwisko?

Podawała je poprawnie.

– Skąd ten pośpiech? – zapytałem. – Jeżeli będzie to coś, z czym sam sobie nie będę mógł poradzić, to zadzwonię po niego. Póki co jestem gotów służyć pani pomocą.

– Nie chciałam pana obrazić, ale wygląda pan dość młodo jak na detektywa. Rozmawiając przez telefon z panem Escottem, miałam wrażenie, że jest znacznie... starszy.

Byliśmy z Escottem w tym samym wieku, choć ja wyglądałem młodziej o jakieś dziesięć lat. Jeśli ktoś tu był młody, to ona, jeśli uważała, że facet przed czterdziestką jest stary. Zresztą głos klientki wyraźnie świadczył o tym, że do kobiet dojrzałych raczej nie należy, a i w jej zachowaniu i sposobie mówienia nie było jeszcze widać tego ostatecznego szlif, widocznego po skończeniu dobrej szkoły.

– Panno Saeger, czy mogłaby pani zdjąć woalkę z twarzy? Lubię widzieć, kto mnie zatrudnia, zanim podejmę się pracy.

Przez chwilę wahała się, a potem zdjęła woalkę. Tak jak podejrzewałem, była jeszcze dzieciakiem, który teraz powinien siedzieć w domu i się uczyć, ale jej oczy były zaczerwienione, a wyraz twarzy bardzo poważny.

- Tak lepiej. W czym mogę pomóc?

– Moja starsza siostra Flora organizuje dziś seans spirytystyczny.

Desperacko chce porozmawiać ze swoim zmarłym mężem. Zatrudniła do tego medium, które ją wykorzystuje. Ono chce tylko jej pieniędzy i nic więcej.

– Fałszywe medium?

– A czy są jakieś prawdziwe?

Uśmiechnąłem się, czując do niej sympatię.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć tak, jakby zrobiła to pani przed panem Escottem.

– Pomoże mi pan?

– Najpierw muszę wiedzieć trochę więcej – powiedziałem, żeby wykazać, że jestem zainteresowany.

Zagłębiła się w opowieści, mówiąc dość szybko, ale byłem w stanie robić notatki. Panna Saeger i jej starsza siostra Flora były samotne. Ich rodzice zmarli wiele lat temu. Flora miała pieniądze w funduszu. Wyszła za mąż za Jamesa Weisingera juniora, który wcześniej odziedziczył niezłą fortunę. Wielki kryzys raczej ich nie dotknął. Flora owdowiała w sierpniu, kiedy jej młody mąż zginął w wypadku podczas żeglugi na jeziorze Michigan. Ja tam zostałem zamordowany.

– Jest pani pewna, że to był wypadek?

– Wiatr sprawił, że bom obrócił się i uderzył go w głowę. Nadal śnią mi się koszmary, w których słyszę ten głuchy dźwięk. Flora znacznie gorzej to przeżyła. Ona siedziała wtedy przy sterze i obwinia się za ten wypadek. Nikt inny tego nie robi. Na łodzi było jeszcze kilka osób, które umiały żeglować. Takie rzeczy się zdarzają.

Mglisto pamiętałem, że czytałem o tym w jakiejś gazecie. Nic lepiej nie podnosi sprzedaży niż historia śmierci jakiegoś bogacza, który oddawał się przyjemnościom zarezerwowanym dla bogaczy.

– Biedny James nawet nie wiedział, co go trafiło. To stało się tak szybko. Flora wpadła w histerię i musiała przyjmować różne leki tygodniami. Potem nie ruszała się z łóżka przez prawie miesiąc. Przeczytała w gazecie jakiś

głupi artykuł o tablicy Ouija, za pośrednictwem której można się kontaktować ze zmarłymi. Wbiła sobie do głowy, że chce się skontaktować z Jamesem i przeprosić go.

– Czy udało się otworzyć drzwi?

– James nie żyje. Jeżeli nie popełniał złych uczynków, to jest w niebie i tam powinien być pozostawiony w spokoju – odburknęła panna Saeger z obrzydzeniem. – Przeprowadziłam pastora, żeby przemówił jej do rozsądku, ale nie chciała go słuchać. Próbowałam z nią rozmawiać, ale skończyło się na krzykach i płaczu. Nie da sobie nic wytłumaczyć, a ja jestem tylko jej młodszą siostrą i nic nie rozumiem. Widzi pan, że sytuacja jest trudna.

– Ale co jest w tym złego?

– Jej obsesja. To nie jest zdrowe. Myślałam, że po jakimś czasie jej zainteresowanie osłabnie, ale tylko się pogłębiło. Co tydzień przychodzą te podejrzane typy z Towarzystwa. Ustawiają tę tablicę, zapalają świece i zadają pytania, patrząc na zdjęcie Jamesa. To nie ma sensu, jest nienormalne. To czysta profanacja.

Teraz to ją naprawdę polubiłem.

– Jakie Towarzystwo?

– Parapsychiczne Towarzystwo Chicago.

Słyszałem o nich. Badali nawiedzone domy i organizowali posiedzenia, jak nazywali seanse spirytystyczne. Swoje spostrzeżenia zapisywali i umieszczali w archiwach. Escott był członkiem tego Towarzystwa. Za dolca rocznie, który pokrywał koszty wysyłki, dostawał co miesiąc ich gazetę, z której czytał mi co lepsze fragmenty.

– Najgorsze jest to – powiedziała panna Saeger – że oni są zupełnie szczerzy. Kiedy ktoś naprawdę w to wierzy, zawsze będzie osiągał jakieś wyniki.

– O jakich rezultatach pani mówi?

– Udało im się wymienić imiona wszystkich osób, które zmarły w tym domu. Był to kompletny idiotyzm, bo ten dom nie jest aż tak stary.

Mężczyzna, który przewodniczy tym posiedzeniom, mówi, że budynek został zbudowany na miejscu innego i tamci zmarli są połączeni z tym miejscem. Nie ma możliwości, żeby podważyć jego słowa, bo on ma na wszystko wyjaśnienia, które, co gorsza, są zawsze jakoś uzasadnione.

– Czy to on jest medium?

– Nie, ale on go sprowadził. Medium nazywa się Alistair Bradford – w głosie Abigaile było tyle jadu, że podziękowałem opatrzości za to, że już nie żyłem. – Wygląda tak, jak ktoś żywcem wzięty z jakiegoś filmu.

– Co? Może jeszcze nosi turban jak magik Chandu?

Jej duże ciemne oczy rozbłysły wesołością, a potem zaśmiała się perliście. Po chwili doszła do siebie i powiedziała: – Dziękuję. Dobrze jest porozmawiać z kimś, kto ma podobną do mojej ocenę sytuacji.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Nie ma turbanu, ale przekłute uszy i kiedy wchodzi do pokoju, wszyscy na niego patrzą. Jest nawet przystojny... jak na kogoś starszego.

– Ile ma lat?

– Przynajmniej czterdzieści.

– To staruszek.

– Proszę się ze mnie nie śmiać. Wystarczy, że zarówno on, jak i cała reszta robią to przez cały czas.

– Przepraszam, panno Saeger. Czy jest pani jedyną osobą w domu, której pozostała odrobina zdrowego rozsądku?

– Tak – wyrzuciła to z siebie, prawie płacząc, ale szybko wzięła się w garść.

Ten dzieciak ledwo się trzymał. Usłyszałem, jak jej serce bije szybko i powoli zwalnia.

– Nawet służba jest pod ich wpływem. Mam przyjaciół, ale nie mogę z nimi o tym rozmawiać. To jest zbyt upokarzające.

– Jest pani sama od sierpnia?

Kiwnęła głową.

– Pomaga mi pastor, ale on nie może być u nas codziennie. Mówi mi, żebym się modliła za Florę, co robię, ale cała sytuacja staje się z dnia na dzień coraz gorsza. Ja też tęsknię za Jamesem. Był naprawdę miłym człowiekiem. Zasługuje na więcej niż to...

– Co sprawiło, że postanowiła pani przerwać milczenie?

– Zanim sprowadzili Alistaira Bradforda, bawili się tylko tymi głupimi tablicami. Palłam je, ale oni zawsze przynosili nowe. Odkąd on się pojawił, zaczęli organizować prawdziwe seanse. Ja nie wierzę w takie rzeczy, ale on mnie nieźle nastraszył. Wydaje się, jakby robił się większy, a jego głos ulegał zmianie. W prawie zupełnie ciemnym pokoju łatwo mu uwierzyć.

– Pozwalają się pani przyłączyć?

– Tylko raz, dopóki siedziałam cicho. Kiedy zapaliłam światło w środku seansu, Flora wypędziła mnie z pokoju. Powiedziała, że moje negatywne myśli uniemożliwiały pojawianie się duchów i że narażałam życie Bradforda. Ponoć nie powinno się przerywać medium, gdy jest w transie, bo to może go zabić. Nie przeszkadzałoby mi to, co robią, ale ja wiem, że on oszukiwał. Kiedy wszyscy na mnie krzyczeli, patrzyłam na niego, a on patrzył na mnie z czystą nienawiścią i się uśmiechał. Chciał mnie nastraszyć i szczerze mówiąc, udało mu się. Zamknęłam drzwi do swojego pokoju na klucz, ale za wiele nie spałam tej nocy.

– Nie winię pani. Czy ktoś pani wierzy?

– Nikt. Już nie należę do ich małego klubu, a poza tym jestem tylko dzieckiem. Co ja mogę wiedzieć?

– Dzieci mają instynkty i dobrze im ufać. Czy on mieszka z wami w domu?

– Wspomniał coś na ten temat, ale Flora akurat uznała to za nieodpowiednie.

– Czy on z nią romansuje?

W oczach panny Saeger pojawiła się stanowczość.

– Powoli. Jest zbyt mądry, żeby naciskać, ale widzę, jak dumnie stąpa,

przyglądając się wszystkiemu. Jeśli dotknie Flory, to...

Podniosłem dłoń, żeby ją powstrzymać.

– Rozumiem. Chce pani ochronić Florę, a jego zdyskredytować?

– Albo połamać mu nogi i roztrzaskać jego uśmiechniętą twarz.

To było coś, co akurat mogłem załatwić. Znam odpowiednich ludzi.

– Lepiej chyba będzie, jeśli pani siostra sama się go pozbędzie.

– Nie wiem tylko jak. Może za późno się tym zajęłam. Zadzwoiłam tu w sobotę, żeby umówić się na spotkanie, ale... – Jej twarz zaczerwieniła się. – Mogłabym go po prostu zabić.

– Co zrobił?

– Na ostatnim seansie, który zawsze odbywa się w niedzielę, co jest bardzo złą rzeczą, stało się coś strasznego. Wszyscy zebrali się w dużej bawialni, jak zwykle, zapalili świece i zgasili światło. Chwilę po tym, gdy zrobiło się ciemno, wślizgnęłam się do pokoju. W rogu stoi chiński parawan, za którym się chowam podczas ich seansów. Nikt mnie jeszcze nie zauważył, nawet Bradford, więc wszystko widziałam.

– Co się stało?

– Wprowadził się w trans w odpowiednim momencie. Zwykle zajmuje mu to około pięciu minut. Czuje się wtedy oczekiwanie zebranych. Bradford zaczyna zawsze od głośnego jęknięcia i ciężko oddycha. Wtedy też jego przewodnik przejmuje kontrolę. Jego głos staje się głębszy i zaczyna mówić z francuskim akcentem. Nazywa siebie ojcem Leonem, który ma być mnichem podróżującym z Joanną d'Arc.

– I mówi świetnie po angielsku?

– Oczywiście. Nikt nigdy nie pomyślał, że powinien mówić po francusku. Wątpię, czy Bradford zna więcej słów niż *mon Dieu* czy *sang sacre*.

Bez wątpienia chodziła do właściwej szkoły. Poprawnie akcentowała wyrazy. Nasłuchałem się francuskiego, kiedy walczyłem w ostatniej wojnie w piechocie. Większość z tego byłaby pewnie nieodpowiednia dla uszu panny Saeger.

– I co takiego straszego się wydarzyło?

– To się stało pod koniec. On zawsze udaje, że ojciec Leon ma dla Flory jakąś wiadomość od Jamesa. Nie może podszyć się pod niego, bo mógłby się zdemaskować. Nie przekazuje też zbyt wielu wiadomości, tylko jakieś ogólniki, że po drugiej stronie jest pięknie. Ona próbuje z nim rozmawiać i pytać go o różne rzeczy. Później jest tak załamana, że zawsze płacze i chce jeszcze. To jest okrutne. Tym razem miał dla niej wskazówkę, co powinna zrobić.

– Zrobić?

– Nie wiedziałam, co to znaczyło, dopóki... cóż. Bradford na tym zakończył i udawał, że wychodzi z transu. Wtedy też zorientowali się, co położył na stole. To była obrączka Jamesa, z którą został pochowany.

Przez chwilę nic nie powiedziałem.

– Nie był to duplikat?

Raptownie pokręciła głową. Jej głos był przytłumiony.

– W środku było wygrawerowane *Dla J. od F. – na wieczną miłość*. Nigdy jej nie zdejmował. Poza tym była charakterystyczna – miała dwie rysy i nie była idealnym kołem. Flora pokazała mi to jako dowód, że Alistair nie jest oszustem. Nie chciała słyszeć, jak jej powiedziałam, że... że on mógł zbezczęścić grób Jamesa i ukraść ją. Myślałam, że uderzy mnie w twarz. Ona oszalała, panie...

– Fleming. Mów mi Jack.

– Jack. Flora nigdy nie podniosła na mnie ręki, nawet jak byliśmy dziećmi, a ja potrafiłam być czasami nieznośna. Ona się zmieniła. Miałam nadzieję, że pan Escott będzie w stanie znaleźć coś, co dowiedzie, że Bradford jest oszustem, albo że przyjdzie na seans i coś zrobi, żeby przerwać ten koszmar. Teraz jednak nie wydaje mi się, żeby to pomogło. Ostatnią rzeczą, jaką powiedział Bradford przed wyjściem z transu, było: „Masz jego błogosławieństwo”. Wiem, że jeśli zapyta Florę, czy wyszłaby za niego za męża, ona zgodzi się, ponieważ będzie myślała, że tego chciałby James.

– Nie przesadzaj. Nie może przecież być tak...

– Głupia? Niemądra? Ona jest pod jego wpływem. Właśnie to doprowadza mnie do szaleństwa. Powinna zdawać sobie z tego sprawę.

– Żaloba może sprawić, że przestaje się rozsądnie myśleć. Poczucie winy może sprawić, że człowiek będzie czuł się znacznie gorzej. Założę się, że twoja siostra czuje się bardzo samotna. Powinna była pójść raczej do psychiatry, niż łapać się za tablice Ouija. Czy Bradford bierze od niej jakieś pieniądze?

– On nazywa to datkiem. Za każdym razem dostaje pięćdziesiąt dolarów. Dostaje tyle za każde posiedzenie, a ma ich jakieś trzydzieści czy czterdzieści w miesiącu. Moja siostra nie jest jedyną uzależnioną w mieście.

Zaschło mi w ustach. Pięćdziesiąt tygodniowo było dużym zarobkiem, ale mnożąc to przez czterdzieści? Zdecydowanie byłem nie w tym biznesie, co trzeba. Kiedy pracowałem w Nowym Jorku jako dziennikarz i wyciągałem dwadzieścia pięć tygodniowo, uważałem się za szczęściarza.

– To bezpieczniejsze niż napadanie na banki. Czy pani siostra może mu dać więcej poprzez ślub?

– Tak. Jej fundusz oraz posiadłości Jamesa. Bradford dostałby dom i nie musiałby więcej pracować. Czy mógłby mi pan pomóc?

Pomyślałem o znanych mi ludziach, którzy mogli połamać kości jak zapalki czy sprawić, że człowiek zniknąłby za dwa razy tyle.

– Muszę to sprawdzić. Znam tylko pani wersję.

– A ja jestem tylko dzieckiem.

– Panno Saeger, to samo powiedziałbym Eleonorze Roosevelt, gdyby siedziała w tym krześle. Podzwonię w kilka miejsc. Czy ktoś będzie się niepokoił, że pani nie ma?

– Wymknęłam się i złapałam taksówkę. Pokłóciłam się z Florą i pewnie myśli, że dąsam się w pokoju. Poza tym ona jest dziś zajęta – nowy seans.

– Aha – powiedziałem.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Gordy'ego z klubu Nightcrawler

z pytaniem, czy ma jakieś haki na Alistaira Bradforda, zawodowe medium.

– Jakie medium? – zapytał sennym głosem Gordy.

– Swami, no wiesz, seanse spirytystyczne, przewidywanie przyszłości. To do sprawy. Zastępuję Charlesa.

Odburknął, ale wydawał się rozbawiony.

– Jesteś w biurze? Dziesięć minut – powiedział i odłożył słuchawkę.

Jako że Nightcrawler oddalony był od biura o więcej niż dziesięć minut, wiedziałem, że raczej oddzwoni, a nie wpadnie.

– Dziesięć minut – powtórzyłem pannie Saeger. – A proszę mi powiedzieć, o co chodzi z tą czernią? Nadal jest pani w żałobie po szwagrze?

– To był jedyny sposób, na jaki wpadłam, żeby zakryć swoją twarz. Jestem już dorosła, ale wyglądam tak, że każdy, kto na mnie spojrzy, daje mi jakieś piętnaście lat.

– A ma pani...

– Szesnaście.

– Powiem, że jest pani najodważniejszą i najbardziej bystrą szesnastolatką, więc z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że jutro szkoła.

– Moja siostra jest ważniejsza niż to, ale dziękuję za przypomnienie – ta spełniająca wszelkie formalne wymogi odpowiedź z pewnością zadowoliłaby nawet wymagającego Escotta. Za kilka lat z pewnością wyrośnie na wspaniałą młodą kobietę.

– O której odbywają się seanse?

– Zawsze o dziewiątej.

– Nie o północy?

– Niektórzy ze starszych członków Towarzystwa robią się senni, jeśli seans przeciąga się poza dziesiątą.

– Dlaczego dziś zamiast następnej soboty?

– Urodziny Jamesa. Bradford powiedział, że odbywanie seansu w dniu urodzin ukochanego zawsze oznacza coś specjalnego.

– Na przykład?

– Nie chce powiedzieć. Po prostu się uśmiecha. Sprawia, że ciarki przebiegają mi po plecach. Przysięgam, że jeśli nie zostanie powstrzymany, wezmę jeden z kijów golfowych Jamesa i... – Zaczerwieniła się.

Wstała i zaczęła chodzić po biurze. Też tak robiłem, gdy nie mogłem sobie poradzić z nadmiarem wrażeń.

Próbowałem wyciągnąć od niej więcej informacji odnośnie dzisiejszego seansu, ale to było wszystko, co wiedziała. Miała natomiast sporo do powiedzenia na temat wybryków Bradforda. Spotykałem już facetów jego pokroju. Potrafią patrzeć ci prosto w oczy i zapewniać, że są uczciwi, zanim w ogóle zaczniesz się nad tym zastanawiać.

Telefon zadzwonił po siedmiu minutach. Abigaile Saeger zatrzymała się, usiadła na krześle i pochyliła się w moim kierunku, gdy przyłożyłem słuchawkę do ucha. Gordy był jak biblioteka posiadająca informacje na temat większości lewych interesów w wielkim mieście Chicago. Jeśli on w czymś takim nie uczestniczył, wiedział, kto jest w to zamieszany i gdzie go znaleźć. Podał mi tylko kilka ciekawostek o Bradfordzie, ale wystarczyło, żeby potwierdzić opinię Abigaile. Wcześniej gość pod pseudonimem Alister Wielki pracował jako iluzjonista, dopóki nie zorientował się, że przywoływanie zmarłych jest lepszym interesem niż wyciąganie królików z kapelusza. Wolał zgromadzić w krótkim czasie dużo pieniędzy, a potem zniknąć. Bogata wdowa Weisinger była wystarczającą pokusą dla człowieka, który szukał sposobu na łatwą emeryturę.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Gordy.

– Dzięki. Jeśli będę potrzebował pomocy, dam ci znać.

– I? – zapytała panna Saeger. Odłożyłem słuchawkę.

– Może panienka na mnie liczyć.

– To brzmi tak staroświecko. Nazywam się Abby.

– Doskonale. Proszę jeszcze tylko tutaj podpisać. – Wyciągnąłem jeden ze standardowych kontraktów Escotta. Był krótki i zwięzły. Takie oświadczenie, że agencja Escotta została wynajęta przez daną osobę plus miejsce na datę i

podpis.

– Ile to będzie kosztować?

– Pięć dolców powinno wystarczyć.

– Chyba więcej? Czytam powieści detektywistyczne.

– Specjalna promocja, tylko dziś wieczór. Jeśli przyjdzie tu ktokolwiek o imieniu Abby, zapłaci pięć dolców. Ni mniej, ni więcej.

Przez chwilę myślałem, że mnie pocałuje, i byłem już gotów zwiększyć dystans. Gdyby moja dziewczyna dowiedziała się, że całowała mnie, nieważne, jak krótko czy jak niewinnie, szesnastolatka, stałbym się naprawdę martwy.

Abigaile westchnęła. Wyciągnęła z torebki pięć dolarów i wzięła pokwitowanie. Położyłem pieniądze razem z kontraktem i moimi notatkami na wierzchu szafki Escotta. Jutro rano będzie miał niezły ubaw, próbując to rozgryźć. Zabrałem płaszcz i filcowy kapelusz z wieszaka i wyprowadziłem swojego nowego klienta, po czym zamknąłem biuro. Zeszła na dół i zakryła ponownie twarz.

– Boisz się, że ktoś cię rozpozna? – zapytałem.

Ulica była zupełnie pusta.

– Nie ma sensu ryzykować.

Teraz naprawdę ją polubiłem. Otworzyłem drzwi swojego studebakera i wpuściłem ją do środka. Spojrzałem na niebo. Zapowiadało się na śnieg z deszczem, ale miałem nadzieję, że nie będzie padać.

– Fajny samochód – powiedziała.

Najfajniejszy, jaki kiedykolwiek posiadałem. Mój wierny buick rocznik 1934, niestety, źle skończył, ale ta sportowa bryka pozwoliła mi ukoić ból po stracie.

– Gdzie jest pochowany twój szwagier?

Zobaczyłem, jak szczęka jej opada.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Chciałbym oddać mu hołd.

– Cmentarz będzie zamknięty.

– Który? Gdzie?

W końcu mi powiedziała i zawróciłem. Kiedy przemierzaliśmy Lincolnwood, ruch w Chicago nie był gorszy niż zazwyczaj. Abby wskazywała mi drogę, aż znaleźliśmy się na North Ravenswood Avenue. Nasyp kolejowy po naszej lewej stronie przesłaniał cmentarz. Skręciłem w pierwszą przecnicę, przeciąłem tory i zatrzymałem się przed jasnym kamiennym budynkiem z blankami, gotyckimi oknami i dwupiętrową kwadratową wieżą. Brama zwieńczona łukiem była zamknięta.

– A nie mówiłam – powiedziała Abby.

– Czy pan Weisinger pochowany jest gdzieś niedaleko?

Cmentarz wyglądał na ogromny. Takie wymyślne budynki stawiają zwykle przed naprawdę wielkimi nekropoliami.

– Pojedź na południe i skręć w Bryn Mawr. Powiem ci, gdzie się zatrzymać.

Zrobiłem to, co powiedziała. Trochę czasu zajęło mi znalezienie dyskretnego miejsca do parkowania. Abby wytłumaczyła bardzo dokładnie, jak trafić do grobu, który, jak się okazało, był całkiem blisko ogrodzenia.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

Miałem na końcu języka, że nie chciałyby wiedzieć, ale wolałem nie ryzykować reprimendy, że nie traktuję jej jak osoby dorosłej.

– Mam zamiar sprawdzić, czy grób został na tyle naruszony, że mogę wezwać policję.

– Ale policja, papiery...

– Konieczne zło. Jeżeli zjawią się i zaczną wypytywać Bradforda, jak zdobył obrączkę, jak sądzisz, ile czasu będzie się jeszcze kręcił przy twojej siostrze?

– Wsadzą go do więzienia? – Spojrzała z nadzieją.

– Zobaczymy. Będzie ci wystarczająco ciepło? Wrócę niedługo.

– Nie chcesz, żebym szła z tobą?

– Sądzę, że dałabyś radę, ale nie jesteś ubrana odpowiednio, żeby wspiąć się po płotach.

Chyba jej ulżyło.

Zatrzasnąłem drzwi. Otworzyłem bagażnik i ze skrzynki na narzędzia, którą tam trzymałem, wyjąłem łom. Nie chciałem, żeby Abby go zobaczyła i zaczęła się zastanawiać, do czego jest mi potrzebny, więc ukryłem go pod płaszczem. Ogrodzenie wykonane było z żelaznych prętów, które rozwidlały się na górze. Średnio zwinna osoba nie miałaby najmniejszych problemów z pokonaniem tej przeszkody.

Byłem zwinny, ale darowałem sobie wspinaczkę, po prostu przeszedłem przez pręty. Jednym z bardziej przydatnych talentów, jakie zyskałem po śmierci, była możliwość przenikania przez przeszkody lub przelatywania nad nimi. Było ciemno, a odległość od auta spora, więc uznałem, że Abby nic nie zauważy. W mgnieniu oka byłem po drugiej stronie.

Ziemia na cmentarzu pokryta była nietkniętym śniegiem. Drzewa, krzewy i grobowce rzucały cienie. Udałem się w stronę większej, uprzątniętej alejki, szukając punktu orientacyjnego, który wskazała mi Abby – granitowego mauzoleum z marmurowymi kolumnami od przodu. Za nim znalazłem miejsce pochówku Weisingera. Na bogato zdobionej płycie wykuto daty narodzin i śmierci. Facet był trzy lata młodszy ode mnie. Na sąsiedniej, identycznej, wyryto imię wdowy oraz dzień jej urodzin.

Śnieg na tym grobie był inny. Zbity i nie tak biały, z odcisniętymi dookoła śladami butów, ale ponieważ nie byłem indiańskim myśliwym, nie mogłem wiele z nich wyczytać z wyjątkiem tego, że ktoś coś tu kombinował i nosił kalosze. Wbiłem łom. Wszedł dość głęboko. Ciekawe, pogrzeb odbył się siedem miesięcy temu, wystarczająco dawno, żeby ziemia była twarda i zmrożona, a moje działania utrudnione. Bez wątplenia Bradford albo ktoś, kto dla niego pracował, odkopał trumnę, otworzył ją, zabrał obrączkę i ponownie zakopał. Potem zadał sobie wystarczająco dużo trudu, żeby zamaskować ślady. Sprawca miał pewnie nadzieję, że niedługo spadnie

śnieg, który zakryje dowody przestępstwa. Zdałem sobie sprawę z bezczelności tego przedsięwzięcia. Poziom chciwości wzbudził we mnie ogromne obrzydzenie. Znam kilku twardych ludzi, którzy pracują dla Gordy'ego, ale nawet oni by się przed czymś takim wzdragali.

Kiedy Abigaile Saeger powiedziała mi o wypadku Weisingera na jeziorze, stwierdziłem, że podejmę się tej roboty. Miałem jakieś przeczucie. Połączyłem tę śmierć z moją własną i tym cholernym utworem *Gloomy Sunday* lejącym w radiu. Nie chciałem wierzyć w jakieś dziwne zbiegi okoliczności. Wróżby i znaki były zarezerwowane dla osób przepowiadających przyszłość w budkach w wesołym miasteczku. Ale... Miałem jakieś przeczucie. Nie była to może gęsia skórka, która pojawia się, kiedy ktoś przechodzi nad twoim grobem. Trudno byłoby mi to porównać, nie miałem grobu, tylko jezioro. Ludzie, którzy mnie zamordowali, pozbawili mnie również prawa do pochówku. Weisinger miał miejsce swojego spoczynku, a Bradford je zbeczczył. To było niegodziwe.

I w chwili, kiedy ta myśl przebiegła mi przez głowę, zerwał się silny wiatr. Złowróżbnie poruszające się gałęzie sprawiały wrażenie, że drzewa ruszyły w moim kierunku. Zaczęły trzeszczeć i skrzypieć, a ja za wszelką cenę starałem się nie myśleć o tym, że taki dźwięk wydają kości; niestety, było już za późno.

– No dobra. Trzymaj się ode mnie z daleka – powiedziałem na wszelki wypadek.

Odsunąłem się od grobu z prawie stuprocentową pewnością, że nie jestem tu sam. Byłem martwy (no, prawie) i otoczony akrami naprawdę martwych ludzi. Wiatr nawiał świeży śnieg na ścieżkę. Wyobraźnia podsunęła mi myśl, że zostało to zrobione celowo. Duży sopel lodu spadł z wysoka i rozbił się głośno jakieś dwie stopy ode mnie, wydając przy tym dźwięk podobny do wystrzału pistoletu. Gdyby moje serce biło, teraz na pewno by się zatrzymało.

Łatwo jest nie przejmować się takimi rzeczami, jeśli akurat nie przebywa

się w nocy na cmentarzu, ja jednak przebywałem, uznałem więc, że nadszedł czas, żeby stąd jak najszybciej zniknąć. Narzuciłem na siebie niewidzialność i pomknąłem w stronę ogrodzenia szybciej niż oparzony kot. Mówiłem sobie, że Abby i ja musimy dostać się do jej domu przed dziewiątą, gdy szybko szedłem w stronę samochodu. Na wszelki wypadek nie oglądałem się za siebie.



Bogaci ludzie mieszkają w naprawdę dziwnych domach. Rezydencja Weisingerów była pomieszaniem różnych stylów. Parter był typowy dla architektury Franka Lloyd Wrighta – dużo miejscowego kamienia i szkła, natomiast reszta wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu *Prywatne życie Henryka VIII*. Oczami wyobraźni widziałem, jak Charles Laughton macha do nas z jednego z okien na piętrze.

– Jest okropny, ale przestronny – powiedziała Abby, gdy parkowałem na ulicy w niewielkiej odległości od rezydencji.

– Uda ci się wrócić tak, żeby nikt cię nie zauważył?

– Tak, ale ty nie wchodzisz?

– Teraz będę musiał powęszyć.

– Złapią cię i pomyślą, że jesteś złodziejem!

– Przecież wynajęłaś profesjonalistę. Posłuchaj. Nie mogę wejść frontowymi drzwiami, a ty nie możesz mnie tak po prostu wszystkim przedstawić. To zaalarmowałoby Bradforda, a twoja siostra miałaby pełne prawo, żeby mnie wyrzucić z domu.

– Co masz zamiar zrobić?

– Dokładnie to, co potrzeba, żeby się go pozbyć. Ty musisz mieć alibi,

żeby cię o nic nie podejrzewali. Znaczy to, że nie będziesz mogła siedzieć za parawanem. Mówiłaś, że macie służących. Czy oni kiedykolwiek podsłuchują? Świetnie. Czy możesz do nich dołączyć?

– Nie byłby to pierwszy raz.

– To dobrze. Cokolwiek się wydarzy, chcę, żebyś miała świadków, co robiłaś przez cały czas. To pozwoli uniknąć kłótni z Florą. Będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby Bradford wypadł źle, a ty musisz być poza wszelkimi podejrzewaniem. Czy potrafisz udawać niewiniątko? Nieważne, masz do tego talent. – Spojrzałem na zegarek Była za dwadzieścia dziewięć.
– Potrzebuję planu parteru.

Ze schowka na rękawiczki wyjąłem notatnik i wręczyłem jej ołówek. Latarnia dawała wystarczająco dużo światła, żeby Abby mogła naszkicować rozkład pomieszczeń. Znakiem X zaznaczyła bawialnię.

– To jest parter – mówiła, oddając mi notes. – Kuchnia, jadalnia, pokój karciany, pokój muzyczny, mała bawialnia i duża bawialnia. Tu się spotykają na swoje seanse. Jak ty...

– Tajemnica handlowa. Dostaniesz to, za co zapłaciłaś. A teraz zmiataj stąd i pamiętaj, że musisz mieć dookoła siebie jakichś świadków. Nie możesz być sama nawet przez minutę.

Szybko wysiadła z samochodu i podeszła od strony kierowcy. Otworzyłem okno.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

– Kiedy wszystko ucichnie, nie mów do siostry: „A nie mówiłam”, dobra?

Twarz Abby rozpromieniła się i miałem wrażenie, że zada mi po raz kolejny pytanie, co mam zamiar zrobić, tak jakbym miał jakiś plan. Ku mojemu zaskoczeniu porządnie pocałowała mnie w usta. Byłem w szoku, bo tego nie przewidziałem.

– Powodzenia – szepnęła i popędziła do domu.

Nie było sensu ścierać szminki z ust, bo jej nie używała. Niebezpieczna

dziewczyna, przemknęło mi przez głowę. Poczułem się staro.

Objechałem posiadłość dookoła i znalazłem wolne miejsce w pobliżu innych zaparkowanych samochodów. Rząd aut różnych marek stał wzdłuż posiadłości. Uczestnicy seansu, pomyślałem, kiedy dwójka ludzi wynurzyła się z ciemności i poszła w stronę rezydencji. Zaczekałem do za pięć dziesiąta, wyszedłem z samochodu i udałem się w stronę domu.

W większości okien zasłony były opuszczone, więc nie było widać, co się dzieje wewnątrz. Dochodziły mnie jedynie liczne głosy, co sugerowało, że w środku odbywa się jakieś zebranie. Rozważałem możliwość wtopienia się w tłum gości, ale odrzuciłem ten pomysł jako zbyt ryzykowny. Osoby należące do takich stowarzyszeń jak Parapsychiczne Towarzystwo Chicago były zżyte ze sobą i szybko wyłapałyby intruza. Może jakoś udałoby się wejść Escottowi, który posiadał kartę członkowską, ale ja nie miałem szans. Poza tym lepiej, żeby w ogóle mnie nie widzieli.

Obszedłem budynek dookoła, żeby porównać go ze szkicem. Abby nie zaznaczyła, niestety, okien. Nie chodziło o otwarcie żadnego z nich. Łatwiej było mi przeniknąć przez okno niż przez tynk i deski. Wybrałem w końcu jedno, ale na górze. Stałem się niewidzialny, uniosłem się w powietrze i przeniknąłem do środka.

Żałowałem, że nie poprosiłem o plan piętra. Pokój był duży i wyczuwałem znaczną ilość mebli. W tym stanie słuch miałem przytłumiony, jednak nie usłyszałem niczyjej obecności. Powoli wróciłem więc do właściwej postaci. Byłem w sypialni. Na łóżku czekała męska koszula nocna, a obok niego ustawiono parę kapci. Wszędzie panował idealny porządek, rzeczy osobiste leżały na sekretarzyku i nigdzie nie było nawet pyłku. Miałem pewność, że nikt tutaj nie mieszka. Niemożliwe jest utrzymanie bowiem takiego ładu w normalnie użytkowanym pokoju.

Włosy stanęły mi dęba. Te rzeczy były zbyt drogie, by należały do kamerdynera. Wygrawerowane inicjały *J.W.* na ciężkiej srebrnej szczotce potwierdziły moje przypuszczenie. Ten pokój był kaplicą, a Flora Weisinger

desperacko potrzebowała pomocy specjalisty, żeby uporać się z rozpaczą i winą. Na pewno nie tych kretynów z tablicą Ouija.

Piętro wydawało się zupełnie puste, ale i tak poruszałem się bardzo ostrożnie, gotów zniknąć w każdej chwili. Z parteru natomiast dobiegał gwar rozmów, tak jakby odbywało się tam przyjęcie. Brakowało tylko muzyki i śmiechów.

Wiedziony ciekawością postanowiłem zwiedzić pozostałe pomieszczenia. Sąsiadujące z sypialnią Weisingera, sądząc z kwiecistego wystroju i różnych książek metafizycznych, musiało należeć do Flory. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego bogacze spali w dwóch oddzielnych sypialniach, nawet wtedy, gdy się lubili. Garderobę zapełniały ciemne suknie, wszystkie kolorowe wepchnięto w kąt. Owszem, zimą kobiety ubierały się w ciemniejsze stroje, ale tego było aż nadto. Na łóżku stał przenośny adapter, z jedną płytą – *Gloomy Sunday* Kempa. Wystarczy. Wyszedłem, zanim pojawiło się kolejne przeczucie.

Następne drzwi prowadziły do schowka na obrusy, firanki i bieliznę. Wszedłem do niego i włączyłem światło. Wprawdzie nocą widziałem równie dobrze jak za dnia, ale nie w zamkniętych pomieszczeniach pozbawionych okien. W podobnym sypiam w biurze Escotta, gdy na zewnątrz świeci słońce. Zdjąłem płaszcz i kapelusz, po czym położyłem je w głębi jednej z półek. Chciałem zapewnić sobie jak największą swobodę ruchów.

Regały wypełnione były pościelą, ręcznikami i jakąś śliską tkaniną; dotknąłem jej. Firanki. Podobnych używała moja mama. Kiedy byłem dzieckiem, zaciągała mnie do pomocy przy zmianie zimowych na letnie i na odwrót. Nie miało znaczenia, że była to praca dla kobiet. Ja byłem najmłodszy i zawsze pod ręką.

To mogło się przydać. W oświetlonym pokoju materiał by prześwitywał, ale tam, gdzie jedynym źródłem światła będą świece, nie będzie nic widać. Wziąłem jedną ze zwiniętych firanek i włożyłem za pasek na plecach. Jednak potrzebowałem jeszcze czegoś, nie chodziło przecież o to, żeby ich

postraszyć. Potrzebowałem do tego osobistych rzeczy Weisingera.

Wróciłem do jego sypialni. Z sekretarzyka zabrałem szczotkę, fajkę i kilka kluczy. Zainteresowałem się wodą kolońską. Dla mnie Aqua Velva była niezła, ale najwyraźniej bogacze musieli się czymś wyróżniać. Skropiłem trochę twarz, szyję, ręce i kłapy w marynarce. Niezły zapach.

Na dole nagle zrobiło się cicho. Seans musiał się już zacząć. Nie miałem czasu na żadne poprawki. Zniknąłem i przeszedłem przez podłogę. Krążyłem pod sufitem.

Śpiewali *Sto lat*.

Gdy piosenka się już skończyła, jeden z mężczyzn delikatnie zasugerował: – Pomyśl życzenie za niego, Flora, i zdmuchnij świece.

Subtelny aplauz sugerował, że przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Po krótkiej chwili ludzie zaczęli siadać. Nikt nic nie mówił, co było dość dziwne, bo na wszelakich spotkaniach rozmowy były rzeczą naturalną.

W bawialni zapadła kompletna cisza. Skorzystałem ze sposobności i zbadałem cały pokój. Ludzie drżeli, gdy przelatywałem przez nich, nikt jednak nie przełamał ciszy. Bez najmniejszego problemu odnalazłem kryjówkę Abby. Nie było jej tam, więc mogłem powrócić do swojej normalnej postaci.

Chiński parawan był większy, niż myślałem, wysoki na siedem stóp i wystarczająco szeroki, żeby ukryć pokaźnej wielkości stół. Podczas oficjalnych przyjęć goście nie widzieli, jak służba zajmuje się brudnymi naczyniami. Pomędzy pomalowanymi panelami parawanu były szczeliny, przez które mogłem obserwować. Każda z nich pozwalała patrzeć pod innym kątem.

Duża bawialnia była faktycznie duża. Na środku stał długi stół, który mógł pomieścić z osiem osób przy każdym z boków. Wszystkie krzesła były zajęte. Niektórzy z siedzących nosili ubiory bardziej formalne, część natomiast miała na sobie stroje w stylu bohemy.

Starsza, bardziej ułożona i bardziej mroczna wersja Abby zajmowała

miejsce przy jednym końcu stołu, dokładnie naprzeciw mnie. To była Flora Weisinger. Obok niej ustawiono portret młodego mężczyzny w kwiecie wieku – jej zmarłego męża, a przed nią stał tort urodzinowy ze zdmuchniętymi świeczkami. W jednej ręce kurczowo trzymała chusteczkę, zaś w drugiej, pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem, ścisnęła złotą obrączkę, jakby była jakąś ofiarą. Domyśliłem się, do kogo należała. Kobieta była spięta i kierowała spojrzenie w stronę mężczyzny siedzącego obok.

Miejsce u szczytu stołu zajmował Alistair Bradford, po którym było widać, że przewodniczy całemu zgromadzeniu. W swoim dziwnym życiu widziałem już różne media: kobiety udające damy w koronkach, słodkich próżniaków z ulizanymi włosami i takich gości, którzy woleli trzymać się w cieniu. Bradford był dumny, dystyngowany i na swój sposób przystojny. Zbyt długie włosy zaczesywał do tyłu, jak jakiś dyrygent, ale pasowało to do poważnych rysów twarzy i ciemnoszarych oczu, które wyglądały na groźne.

– A teraz, drodzy przyjaciele – powiedział pięknym, czystym i miękkim głosem – pochylcie, proszę, głowy w modlitwie za bezpieczną i oświecającą podróż w tę bardzo wyjątkową noc.

Ten zaskakująco brzmiący głos tak na mnie zadziałał, że również pochylłem głowę. Żeby się wyzwolić spod jego czaru musiałem sobie przypomnieć, że ten oto człowiek bez żadnych skrupułów zbeczczył grób. Kiedy po chwili powiedział „Amen”, miałem się już na bacności.

W całym pokoju paliły się tylko dwie świece. Dla zgromadzonych było prawie kompletnie ciemno, dla mnie jasno jak w dzień.

– A teraz poproszę, żeby wszyscy zachowali milczenie, podczas gdy ja spróbuję nawiązać kontakt – powiedział, uśmiechając się ciepło.

Spodziewałem się, że złapią się za ręce albo będą dotykać się palcami czy coś w tym stylu. No cóż, tak przynajmniej działo się w filmach. Bradford usiadł, położył dłonie płasko na stole i zamknął oczy. Zaczerpnął powietrza i głośno wypuścił je z płuc. W przeciwieństwie do niego nikt się nie poruszył. Flora spoglądała nań z takim wyczekiwaniem, że aż żal było patrzeć.

Charczący oddech medium stawał się głośniejszy. Facet wiedział, jak stopniować napięcie.

A ja wiedziałem, jak mu przerwać.

Odgłos stał się bardziej gardłowy, domyślałem się więc, że zaraz pojawi się ojciec Leon. Stałem się ponownie niewidzialny i poszybowałem do Bradforda. Stałem dokładnie za jego krzesłem, ukląknęłam i przybrałem materialną postać, a potem w przerwie między kolejnymi oddechami wydałem z siebie najgłośniejszy gwizd, na jaki było mnie stać, i ponownie zniknąłem.

W pokoju, w którym emocje sięgały zenitu, wywołało to odpowiedni efekt. Wróciłem za parawan, stałem się widzialny i obserwowałem. Oddech Bradforda załamał się. Zaczął się rozglądać dookoła, tak samo jak i inni. Część zebranych wyglądała na oburzonych, kilka osób było rozbawionych. Ktoś zasugerował, że w pokoju jest jakiś skory do psot duch. Jeden z mężczyzn wstał z krzesła, podszedł do parawanu i oświadczył, że nikogo tam nie ma.

Kilka osób wyczuło zapach wody kolońskiej i powiedziało o tym. Ku ich radości Flora potwierdziła, że jest to zapach wody kolońskiej Jamesa. Jej głos brzmiał strasznie. Bradford nie skomentował tego wydarzenia.

Po chwili rozmów, które prowadziły donikąd, wszyscy ponownie usiedli, a Bradford znów zaczął swoje przedstawienie. Czekałem i patrzyłem.

Ojciec Leon wreszcie zdecydował się przemówić. Muszę przyznać, że jego francuski akcent był świetnie udawany, a głos brzmiał teraz ostrzej, głębiej i w ciemności bardzo efektywnie.

Ponownie opuściłem swoją kryjówkę. Podczas gdy Bradford opowiadał, jaka jest pogoda po drugiej stronie, stanąłem za jego krzesłem i zmaterializowałem się na chwilę, żeby zaprezentować, czego nauczyłem się po francusku podczas mojego pobytu w Paryżu, a nie było tego wiele. W wolnym tłumaczeniu brzmiało to: „Ile kosztuje u ciebie godzinka, moja mała kapustko?”. Albo coś w tym stylu. W Paryżu to wystarczyło, żebym został

spoliczkowany.

Potem walnąłem go w łeb srebrną szczotką, upuściłem ją i znowu zniknąłem.

Wróciłem za parawan i zmaterializowałem się akurat w momencie, kiedy wszystko zaczęło się rozpadać. Kilka osób w pokoju zrozumiało, co powiedziałem. Część z nich była zdumiona, a część bardzo się starała nie śmiać. Trans Bradforda został przerwany. Wstał raptownie i obrócił się zaskoczony, tak samo jak reszta. Przypomnił sobie swoją rolę i zaczął się zataczać, gotowy w każdej chwili upaść. Wszyscy zaczęli drżeć nad nim i zapalono światło.

W czasie tego zamieszania Flora spostrzegła szczotkę. Zdrętwiała, krzyknęła i gwałtownie usiadła, wskazując na podłogę. Była blada jak ściana.

To wyraźnie odwróciło uwagę od Bradforda i założyłem się, że nie był zbyt zadowolony. Uderzenie go zaniepokoiło i cały czas pocierał głowę. Walnąłem tak, żeby zabolalo, a nie żeby zrobić mu krzywdę. Tak w ogóle to zasłużył na to. Postanowiłem na jakiś czas zniknąć z pokoju i uniosłem się piętro wyżej. Znikanie, niestety, pozbawiało mnie energii i wiedziałem, że będę musiał napić się dzisiaj krwi, inaczej jutro wieczorem będę się czuł koszmarnie.

Jeden mężczyzna, który wydawał się stać na czele Towarzystwa, stwierdził, że należy odwołać posiedzenie, ale Bradford zapewnił wszystkich, że czuje się dobrze. Powiedział, że niekiedy psotne duchy lubią przeszkadzać, ale mogło istnieć jakieś bardziej przyziemne wytłumaczenie całej sytuacji. Za pozwoleniem Flory przeszukano cały parter w poszukiwaniu nieproszonych gości. Nie było mnie na dole przez kilka minut, ale nie miało to znaczenia.

Gdzieś w domu, najprawdopodobniej w kuchni, słychać było głośne zaprzeczenia, między innymi słyszałem Abby. Jej udawane oburzenie było wprost idealne. Zuch dziewczyna.

Tym razem zajęcie przez zgromadzonych miejsc przy stole trwało trochę

dłużej. Pomimo że zbliżała się dziesiąta, nikt nie wydawał się na tyle senny, by opuścić posiedzenie. Zabawa robiła się coraz lepsza. Zegar zdążył wybić dziesięć razy, zanim wszyscy ponownie zebrali się w bawialni. Na stole pojawiły się nowe świece i zgaszono światło.

Siedząc za parawanem, próbowałem odgadnąć, jaka była reakcja Flory na moje poczynania. Wpatrywała się w leżącą na stole srebrną szczotkę i mimo że starała się zachowywać, jak na gospodynię przystało, to nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Szarpała chusteczkę i byłem pewien, że zaraz ją podrze. Zajęła swoje miejsce obok Bradforda, ponownie ściskając w palcach obrączkę. Dawno nie widziałem, żeby komuś tak trzęsły się ręce.

Do trzech razy sztuka, pomyślałem i czekałem dalej.

Bradford zaczął ponownie swoje przedstawienie i chwilę później pojawił się dobrze znany ojciec Leon. Przekazał wszystkim swoje pozdrowienia i przestrzegł jednocześnie przed hołdowaniem złym duchom, bo mogą one sprowadzić z właściwej ścieżki.

Tak to nazwał. Pokręciłem głową, rozłożyłem swoją broń na stoliku i zawiązałem ją w serwetkę tak, żeby nie wydawała żadnego dźwięku.

Flora formalnie przywitała ojca Leona i zapytała, czy jej mąż jest z nim.

– Jest, *ma petit*. Promienieje i mówi o miłości do ciebie – ojciec Leon odpowiedział z francuskim akcentem.

Flora wydała z siebie westchnienie ulgi, które brzmiało prawie jak szloch.

– Co jeszcze James mówi? Jesteś pewien? Powiedz, co mam zrobić?

Mnich Bradforda potorturował ją jeszcze trochę, nie dając odpowiedzi. Oświadczył, że nie słyszał za dobrze, bo złe duchy przeszkadzają. Wreszcie powiedział: – Ach. Wreszcie mówi wyraźnie. On mówi, że jego miłość jest głęboka i że chce, żebyś była szczęśliwa w swoim świecie. Masz otworzyć serce dla nowej miłości, że czeka cię wielkie szczęście. Uśmiecha się. Tyle radości dla ciebie, moje dziecko.

Flora pokręciła lekko głową. Jakaś jej część musiała wiedzieć, co tu jest mocno nie tak. Nadszedł czas, żeby to potwierdzić.

Naciągnąłem na głowę firankę, przygotowaną serwetkę umocowałem tak, żeby jej zawartość nie wypadła. Wiedziałem, że wyglądam jak przebieraniec, ale wierzyłem, że w ciemności nikt tego nie dostrzeże. Podniosłem rzeczy Weisingera i wysunąłem się zza parawanu. Wszyscy patrzyli na Bradforda, który mógłby mnie zauważyć w cieniu świec, ale oczy miał zamknięte.

Rzuciłem w jego głowę kluczami. To był cholernie celny rzut. Za kluczami poleciał grzebień, który wylądował w torcie, i fajka, która potoczyła się po stole i spadła na kolana Flory. Wrzasnęła i poderwała się.

Ojciec Leon miał dobre *entree*, ale to było nic w porównaniu z tym, które stało się udziałem Jacka Fleminga, fałszywego ducha do wynajęcia. Zniknąłem i od pasa w górę pojawiłem się pośrodku stołu. Nie czułem się komfortowo, ale było to takie spektakularne. Krzyki zebranych utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Z pewnym trudem zacząłem się poruszać do przodu, w kierunku Bradforda, który teraz miał oczy szeroko otwarte. Porzucił swój trans, żeby zobaczyć, co mu znów przeszkadza. Kiedy wyciągnąłem bladą, obleczoną w firankę dłoń i wskazałem na niego, miałem wrażenie, że połknie swój język. Potem wzbilem się nad stół i zacząłem swobodnie unosić się w powietrzu. Okrążyłem pokój i upadłem na Bradforda, materializując się. Wydałem z siebie przerażający ryk i solidnie go uderzyłem. Żadnemu z nas nie sprawiło to przyjemności, ale ja mogłem przynajmniej w każdej chwili zniknąć. Wszyscy zaczęli krzyczeć.

Utrzymywanie niewidzialności sprawiało mi trochę kłopotu, ale było niezbędne. Przyłgnąłem do Bradforda, żeby czuł zimno, jakie wydzielałem w tym stanie. Szczękając zębami, wydusił z siebie jakieś głupoty o złych duchach, które się zmówiły przeciwko niemu, i że musi opuścić to miejsce, zanim po raz kolejny się pokażą. Ktoś zasugerował, że powinni się pomodlić, żeby odpędzić złe moce, ale Bradford już gnał do drzwi.

Trzymałem się go, dopóki nie wsiadł do samochodu, i wtedy zmaterializowałem się na tylnym siedzeniu. Pisnął jak kobieta, kiedy

założyłem mu nelsona. Jestem cholernie silny, więc nie mógł się uwolnić. Kiedy przestał piszczeć, zauważyłem, że patrzy się w wewnętrzne lustro. Było oczywiście puste. Zbliżyłem się do jego ucha i szepnąłem, jak najlepiej starając się imitować głos Cienia: – Gra się skończyła, Svengali. Zbezczeszczenie grobu wkurzyło pewne potężne duchy. Śledzimy cię i jesteśmy głodni. Chcesz doczekać kolejnego świtu?

Zaskomlał. Dźwięk jego galopującego serca wypełnił samochód. Potraktowałem to jako potwierdzenie.

– Wynoś się z miasta i przestań oszukiwać. Wróć na scenę. Lepiej, żebyś był żywym magikiem niż martwym medium. Załapałeś?

Nie czekając na odpowiedź, wyostałem się z samochodu. Bradford zapalił silnik i odjechał, jakby chciał pobić jakiś nowy rekord szybkości.



Kiedy katastrofalny wieczór dobiegał końca w bawialni, powróciłem do schowka na bieliznę. Potrzebowałem trochę odpoczynku.

W domu zrobiło się cicho. Ostatni goście już wyszli. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru będą przez miesiące, a może nawet lata pojawiać się w gazecie Towarzystwa. Escott będzie miał mi co czytać. Wprawdzie część gości twierdziła, iż należy kontynuować posiedzenia, odniosłem jednak wrażenie, że Flora nie będzie chciała organizować kolejnych spotkań.

Mieszkańcy rezydencji po kolei udali się na górę. Flora Weisinger poszła do pokoju Jamesa, gdzie płakała przez dłuższy czas. Abby przyszła do niej i rozmawiały chwilę ściszonymi głosami. Flora ciągle płakała. Nie było mi jej żal. Lepiej, że stało się to teraz, zanim poślubiła tę pijawkę. Siostry wyszły z sypialni Jamesa i udały się do swoich pokoi. Część służby obeszła jeszcze

budynek, sprawdzając, czy wszystkie okna są zamknięte. W domu nastała cisza.

Zdjąłem z siebie przebranie, dokładnie złożyłem firankę i serwetkę, a potem odłożyłem je na właściwą półkę. Wziąłem swój kapelusz i płaszcz i już miałem wychodzić z domu, kiedy w oddali usłyszałem *Gloomy Sunday*.

Cholera.

Ta noc była druzgocącą klęską Bradforda, ale Flora jeszcze nie zwyciężyła. Ktoś musiał jej przemówić do rozsądku, ja byłem chyba najmniej odpowiednią do tego osobą, ale kiedy ponownie usłyszałem ten cholerny utwór, znowu poczułem się dziwnie. Zniknąłem więc i przeszedłem przez ścianę do pokoju Flory.

Muzyka stała się głośniejsza, gdy znalazłem się w środku. Światła były zgaszone, ale zza zasłon docierało wystarczająco światła z latarni, żebym mógł poruszać się po pokoju, nie będąc zauważonym. Zmaterializowałem się najszybciej jak potrafiłem. Podniosłem ramię gramofonu i wyjąłem płytę, która wydała straszny dźwięk, kiedy ją łamałem.

Ze strony łóżka dobiegł odgłos spazmatycznego łapania powietrza i Flora zapaliła światło. Zdążyłem stać się niewidzialny, ale poczułem, jak idzie w moją stronę. Po raz kolejny złapała powietrze i powiedziała: – James? – Jej głos drżał, ale słyhać było nadzieję. – James? Och, proszę, kochanie, porozmawiaj ze mną. Wiem, że tutaj jesteś.

Poczuła zapach wody kolońskiej.

– James. Proszę...

To będzie ciężkie. Przeleciałem przez ścianę i zacząłem przyjmować normalną formę. Specjalnie robiłem to powoli, żeby miała czas przyzwyczać się do mojego widoku i nie zaczęła krzyczeć.

Przyłożyła ręce do ust, jej oczy zrobiły się wielkie i stała się blada jak ściana. To było okrutne z mojej strony. Było to co innego niż zagranie Bradforda, ale nadal było okrutne.

– Przysłał mnie James – powiedziałem delikatnie. – Proszę, nie bój się.

Zamarła i nie byłem pewien, czy mnie zrozumiała. Powtórzyłem, a ona wreszcie kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Gdzie on jest? – zapytała również łagodnym głosem.

– Jest u Boga – wydawało mi się, że najlepiej będzie wszystko mówić prosto. – Wszystko, co ci powiedział tamten mężczyzna, było kłamstwem. Wiesz o tym, prawda?

Znów kiwnęła głową.

– Proszę, pozwól mi porozmawiać z Jamesem.

– On już wie. Prosił, żebym ci powiedział, że to nie była twoja wina. Nie ma czego wybaczać. Po prostu nadszedł jego czas. To nie była twoja wina.

– Ale była.

– Nie – powiedziałem, podnosząc prawą rękę. – Przysięgam na Boga, a ja powinienem to wiedzieć.

To ją zaskoczyło.

– Czym... kim jesteś?

– Przyjacielem.

– Ta woda kolońska, ona jest jego.

– Żebyś wiedziała, że to on mnie przysłał. Floro, on cię kocha i wie, że ty jego też kochasz. Ale to, co robisz, to nie jest dobry sposób, żeby czcić jego pamięć. On chce, żebyś przestała się zadreć, zanim cię to zniszczy. Ty żyjesz, on już nie. Jest powód, dla którego tu jesteś.

– Co? Powiedz mi!

– To nie działa na takiej zasadzie. Musisz sama to odkryć. Nie znajdziesz żadnych odpowiedzi w tablicy Ouija.

Flora niepewnie zbliżyła się do mnie.

– Wyglądasz prawdziwie.

– Dziękuję. Staram się, ale nie mogę pozostać tak dłużej. To zabronione. Muszę się tylko upewnić, że zaczęłaś myśleć rozsądnie. Żadnej winy, bo nikt nie jest winny. Pozbądź się tych śmieci i zacznij normalnie żyć. James chce, żebyś znowu była szczęśliwa. Jeśli nie teraz, to pewnego dnia.

– To wszystko?

– Flora... to jest całe twoje życie. I będzie ono dobre, jeśli tak zdecydujesz.

– Ja... no dobrze. Czy mógłbyś powiedzieć Jamesowi, że...

– On wie. A teraz prześpij się. Jutro będzie nowy dzień. Ciesz się nim. – Już chciałem ponownie zacząć znikać, kiedy sobie przypominałem. – Jeszcze jedna rzecz. Obrączka Jamesa – powiedziałem, wyciągając rękę.

– Och nie, nie mogę.

– Możesz. Ona należy do niego i ty to wiesz.

Łzy popłynęły jej po twarzy. Obrączka wisiała na złotym łańcuszku na szyi. Zdjęła ją, przeczytała jeszcze raz inskrypcję. Ucałowała obrączkę i podała mi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem. – To jest od Jamesa. – Nie wydawało mi się, żeby miał coś przeciwko. Nachyliłem się i bardzo delikatnie pocałowałem ją w czoło. Zniknąłem, zanim zdążyła otworzyć oczy.



Przez kilka godzin jeździłem po Chicago i miałem nadzieję, że nie zrobiłem Florze większej krzywdy niż Bradford. Znalazłem drogę na cmentarz i po chwili szedłem znaną mi już ścieżką w stronę grobu Jamesa. Byłem cholernie zmęczony, ale miałem jeszcze coś do zrobienia za te pięć dolców od Abby Saeger.

Trzymałem obrączkę w palcach tak, jak Flora podczas seansu, wyciągnąłem rękę i znów stałem się niewidzialny, ale tym razem zanurzyłem się w ziemię. Bardzo niemiłe odczucie. Dotarłem wreszcie do czegoś, co

stawiało większy opór. To musiała być trumna Jamesa.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałem, ale byłem pewny, że da się to zrobić. To był idealny sposób, żeby udowodnić moje twierdzenie.

Przepchnąłem się jeszcze kawałek i nagle ręka natrafiła na pustkę. Nie zastanawiając się, co to może dokładnie znaczyć, skoncentrowałem się i sprawiłem, że moja ręka stała się materialna. Musiało zadziałać, bo czułem, jakby moja dłoń była odpiłowywana w przegubie. Zanim ból stał się nie do zniesienia, poczułem, jak obrączka wysuwa mi się z dłoni.

Chwilę wcześniej znajdowałem się sześć stóp pod ziemią, a teraz szedłem po śniegu, pocierając nadgarstek. Starłem się za głośno nie krzyczeć. Nadal miałem dłoń, co było dobrym znakiem. Poruszałem palcami, dopóki nie przestały wyglądać jak pazury, i wtedy oparłem się o drzewo.

Co za noc.

Wróciłem do samochodu w momencie, gdy zaczął padać śnieg. Było trochę strasznie. Chciałem posłuchać jakiejś muzyki, żeby się rozweselić, ale stwierdziłem, że mogą znowu grać *Gloomy Sunday*.

A co mi tam. Muzyka była jakimś rodzajem towarzystwa i zawsze przecież mogłem zmienić stację. Kiedy włączyłem radio, akurat zaczęło się *Pennies from Heaven* Billa Crosby'ego. Ktoś w radiu zauważył pewnie, że zaczął padać śnieg, i utwór miał być rodzajem żartu.

Znowu miałem przecucie, ale tym razem się uśmiechnąłem.



Rachel Caine

Znana głównie jako autorka serii *Strażnik pogody (Weather Warden)* oraz *Wampiry z Morganville (The Morganville Vampires)*. Napisała wiele opowiadań i powieści, między innymi w serii *Silhouette Bombshell*. Publikuje także jako Julie Fortune. Jest również profesjonalnym muzykiem, grała między innymi z takimi sławami, jak Henry Mancini czy Peter Nero. Mieszka wraz z mężem w północnym Teksasie.

Więcej wiadomości na jej temat znajdziecie na jej stronie www.rachel-caine.com

.

Pierwszy dzień reszty mojego życia



Osiemnastkę obchodzi się w Morganville zwykle na dwa sposoby. Albo urznieś się ze swoimi przyjaciółmi, albo podejmiesz życiową decyzję co do twojego dalszego istnienia.

Można też połączyć jedno i drugie.

Moje przyjęcie z tej okazji odbyło się z tyłu zardzewiałej furgonetki marki Good Times z lat siedemdziesiątych. Uczestnicy to najmniej popularne osoby w Morganville, Teksas, USA. Na przykład Eve Rosser, czyli ja. Ilość wpisów do mojego rocznego albumu ^[5] – pięć. Dwa wpisy typu: *Do zobaczenia, ofermo*. Ilość osób, które chciałam, żeby mi się wpisały – zero. Ja już chyba taka jestem.

Lista gości obejmowała też moją najlepszą przyjaciółkę Jane i jej siostrę Mirandę. Zaprosiłam Jane, ale nie Mirandę. Jane była w porządku. Może

trochę nudna, ale kto z takim imieniem mógłby być interesujący. Została przez nie przeklęta w dniu narodzin. Lubiła trochę fajnych rzeczy, ale innych niż ja. Na przykład pokręconą muzykę lat osiemdziesiątych, perfumy BPAL (Black Phoenix Alchemy Lab), a zwłaszcza te z linii Dark Element (ja osobiście wolałam Oleje Pogrzebowe). Dodatkowo Jane była gotką i można powiedzieć, że miała jakiś styl.

Miranda, ta która oficjalnie nie została zaproszona, była jeszcze dzieckiem i do tego dziwnym. Starła się przekonać ludzi, że jest chora psychicznie. Nie zaprosiłam jej na imprezę, bo nie sądziłam, że będzie dobrym towarzystwem, a poza tym raczej nie przyniosłaby piwa. Jej preferencje co do perfum były mi nieznane głównie dlatego, że zachowywała się, jakby żyła na innej planecie.

Pozostali nam jeszcze Guy i Trent, moi kumple od kupowania piwa. Przyjaźniłam się z nimi głównie dlatego, że Guy miał fałszywy dowód, który sfabrykował na zajęciach z malarstwa, a Trent był właścicielem furgonetki, w której się ukrywaliśmy. Niewiele o nich wiedziałam poza tym, że lubili się mądrzyć, byli zabawni i można było się z nimi bezpiecznie upić. Chłopaki byli jedyną parą gejowską, jaką znałam, a nie było ich wiele, bo w naszym miasteczku w środku Teksasu niezbyt przychylnym okiem patrzono na ludzi o odmiennej orientacji seksualnej.

Wszyscy żyliśmy tak, jakby nie dotyczyły nas „wartości rodzinne”.

Wieczór minął mniej więcej tak, jak zazwyczaj takie wieczory mijały – chłopaki kupowali jakieś tanie piwo, dawali część nieletnim kobietom, jechali w jakieś odosobnione miejsce (w naszym przypadku był to parking przed szkołą), aby móc słuchać głośno jakiejś łomocącej muzyki i robić z siebie idiotów. Jedyna rzecz, jakiej brakowało, to całowanie się, ale to mi osobiście nie przeszkadzało. Większość facetów w Morganville była niewarta zachodu. Podobało mi się tylko dwóch chłopaków – Shane Collins i Michael Glass. Pierwszy z nich wyjechał z naszego miasteczka, a drugi... no cóż, jego nie widziano już od dłuższego czasu.

Jane przyniosła prezent, który mi się spodobał. Była to składanka różnych piosenek o martwych ludziach na płycie CD. Jane wiedziała, co lubię.

Guy i Trent nie mogli mnie rozgryźć. Morganville jest małym miastem i wszyscy nieudacznicy się znają. Porządek dziobania wyglądał następująco – maniacy, dziwacy, sztywniaki, ćpuny, geje i goci. Ci ostatni znajdowali się na końcu łańcucha, ponieważ nieumarli uważali osoby, które naprawdę chciały się do nich upodobnić, za odrażające, a jeśli nie chciały, ale mimo to na nich pozowały – za zuchwałe. Ja taka nie byłam. Przeważnie.

Och. Zapomniałam wspomnieć o wampirach. Miasto jest przez nie zarządzane. Ludzie mogą w nim łaskawie mieszkać, ale pod pewnymi warunkami.

Wiecie już, co mam na myśli, mówiąc o "wartościach rodzinnych".

Widziałam, że Guy kombinuje, jakby tu pociągnąć mnie za język, ale ponieważ zdążyliśmy już wypić pół zgrzewki piwa, walnął prosto z mostu.

– Więc zapisujesz się czy jak? – zapytał. – Mam na myśli jutro.

Czy ja miałam zamiar się zapisać? To ważne pytanie każdy z nas musiał zadać sobie, kiedy kończył osiemnaście lat. Spojrzałam na skórzaną bransoletkę opinającą moją rękę. Symbol, jaki na niej widniał, nikomu spoza miasta nic by nie powiedział, ale w Morganville wskazywał wampira, który był oficjalnym stróżem rodziny. Jutro rano nie będę już musiała całować w tyłek Brandona, żeby w ogóle móc oddychać.

Nie będę miała już żadnej umowy ani ochrony ze strony jakiegokolwiek wampira w Morganville.

Guyowi chodziło o to, czy zamierzam wybrać jakiegoś innego patrona. Tradycja nakazywała zapisanie się do tego, któremu rodzina już podlegała, ale nie miałam zamiaru pozwolić, żeby Brandon przejął nade mną kontrolę. Mogłam się rozejrzeć, czy jakiś wampir będzie chciał i mógł mnie przyjąć, albo... Mogłam żyć na własny rachunek bez żadnych kontraktów.

Było to bardzo kuszące, ale równocześnie strasznie ryzykowne. Zazwyczaj wampiry z Morganville nie zabijają swoich własnych ludzi, bo to

znacznie skomplikowałyby życie innym. Inaczej sprawa ma się z tymi, którzy nie są przez nikogo chronieni. Nikt się nie przejmuje ich losem, bo zwykle są samotni, biedni. Często też znikają bez śladu. Są tylko kolejnym potencjalnym wolnym etatem przy frytkownicy w Chicken Fry.

Wszyscy spoglądali teraz na mnie – Jane, Miranda, Guy i Trent. Czekali, co powie Eve Rosser, profesjonalny buntownik.

Nie mogłam ich zawieść. Wychyliłam piwo, beknęłam i powiedziałam: – Do diabła z tym. Nie zapisuję się. Nie będę się przed nikim korzyć. Żyjmy szybko, umrzyjmy młodo.

Przybiliśmy z Guyem pijackie piątki. Trent przewrócił tylko oczami i stuknął się piwem z Jane.

– Wszyscy tak mówią – powiedział. – Wszyscy tak mówią, dopóki nie przyjdą wyniki testu na AIDS. Potem jest tylko płacz i zgrzytanie zębami.

– Chryste, Trent. Jesteś normalnie duszą towarzystwa.

– Takie jest życie, kochani. Ale chwila, masz rację. W Morganville tak to nie wygląda, nieprawdaż?

Dobry Boże, Trent był nadmiernie pobudzony, co było dziwne jak na kolesia, który wypił tyle piw. Może on po prostu taki był? Może ritalin ^[6] przestawał działać? Trochę mnie to niepokoiło.

– Buhahaha. Czy to jest w ogóle śmieszne w jakiegokolwiek półciążarówce w tym mieście? – zapytała Jane. – Bo w tej to nie jest śmieszne, dupku.

– Ty powinnaś wiedzieć lepiej, księżniczko. Leżałaś na plecach w każdej z nich – odgryzł się Trent.

– Ty suko. – Jane cisnęła w niego pustą butelką. Trent ją złapał i wrzucił do plastikowego kosza na śmieci, który stał w rogu.

Nie zdziwił mnie jego refleks, miał mocną głowę, był liderem, jeśli chodzi o ilości wypitego alkoholu.

– A tak na serio, Eve. Co zamierzasz zrobić?

Nie myślałam o tym. To znaczy myślałam, ale raczej w kategorii, co będzie, jeśli tego nie zrobię, i takie tam... Ale od momentu, w którym słońce

wzeszło dzisiejszego ranka, sprowadzało się to do tego, czy to zrobię, czy nie. Będę musiała wybrać, a ten wybór zaważy na moim przyszłym życiu.

Biorąc pod uwagę okoliczności, chyba nie powinnam była się tak urznąć.

– Na pewno nie zapisuję się do Brandona – powiedziałam wolno. – Może poszukam sobie jakiegoś innego protektora.

– Czy naprawdę sądzisz, że ktoś inny zgodzi się na to, skoro Brandon cię naznaczył? – zapytał Guy. – Dziewczyno, podpisujesz na siebie wyrok śmierci.

– Jakby to była jakaś nowość – powiedziała Jane. – Zobacz, jak ona się ubiera!

Nic złego nie było w tym, jak się ubieram. Koszulka z trupią czaszką, pasek nabijany ćwiekami, który spoczywał nisko na biodrach, krótkie spodenki, siateczkowa bluzka i czerwono-czarne buty Mary Janes. Może chodziło jej o mój makijaż? Dziś miałam pełen gotycki make-up – biały puder na twarzy, czarne owale wokół oczu i niebieskie usta. Było to trochę zabawne i trochę nie.

– To nie ma znaczenia – powiedział cichutki głos, któremu jakoś się udało przebić przez muzykę.

Prawie zapomniałam o Mirandzie. Dzieciak siedział w narożniku wozu z podkurczonymi nogami i wzrokiem wpatrzonym w dal.

– To mówi – powiedział Trent, śmiejąc się maniakalnie. – Już zaczynałem się martwić, że wzięłaś ze sobą tego dzieciaka, żeby bronił twojej cnoty. – Patrzył na Jane, komicznie trzepocząc rzęsami.

Miranda nadal mówiła, a może tylko poruszała ustami, bo właśnie zaczął się ostry gitarowy kawałek i nic nie było słychać.

– Co? – krzyknęłam i pochyliłam się w jej stronę. – Co masz na myśli?

Jasnoniebieskie oczy Mirandy wpatrzyły się we mnie i od razu tego pożałowałam. Było w tej dziewczynie naprawdę coś dziwnego, nawet jeśli jej reputacja miejskiej Cassandry była dość przesadzona. Ponoć wiedziała o pożarze w domu Collinsów z zeszłego roku, a ludzie nawet mówili, że

przewidziała, że Alyssa Collins zginie w ogniu. Jane powiedziała, że Miranda to wszystko wymyśliła po fakcie, ale ktoś tam wiedział. Dziewczyna była dziwaczna i trochę straszna.

– Nie ma znaczenia, jaką podejmiesz decyzję – powiedziała głośniej. – Naprawdę. To nie ma znaczenia.

– Tak? – zapytał Trent, sięgając po kolejne piwo z lodówki stojącej na środku wozu. Odkręcił kapsel i obracał go w palcach. – A dlaczegóż to, o Pani Zniszczenia? Czy ktoś z nas umrze dzisiejszej nocy? – Wszyscy wydali z siebie śmieszne pijackie „oooooooooo”, a Trent postawił butelkę i wybuchnął śmiechem.

– Tak – szepnęła, ale nikt oprócz mnie jej nie usłyszał.

Oczy Mirandy uciekły w głąb czaszki, tak że widać było same białka, i dziewczynka osunęła się na brudny dywanik.

– Chryste! – wymamrotał Guy i podpełzł do niej. Sprawdził puls i odetchnął z ulgą. – Wydaje mi się, że żyje.

Jane się nie poruszyła. Wyglądała na bardziej wkurzoną niż zaniepokojoną.

– Nic jej nie jest – powiedziała. – Ona ma jakieś wizje. To się czasem zdarza. Ocknie się z tego.

Trent powiedział: – Cholera, a ja już zacząłem się martwić, że to przez piwo.

– Ona nic nie piła, baranie.

– Widzisz? Poważny brak piwa. Nic dziwnego, że zemdlą.

– Czy nie powinniśmy czegoś zrobić? – zapytał zaniepokojony Guy.

Kołysał bezwładną niczym lalka Mirandę w swoich ramionach. Miała teraz opuszczone powieki, ale widać było pod nimi poruszające się gałki oczne, tak jakby próbowała patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

– Może zawieziemy ją do szpitala?

Szpital w Morganville był miejscem neutralnym i żaden wampir nie mógł tam polować. Było to najbezpieczniejsze miejsce dla tych, którzy nie byli w

pełni sprawni. Jane pokiwała przecząco głową.

– Powiedziałałam wam, że to się ciągle dzieje. Za kilka minut dojdzie do siebie. To jest jak napad padaczki czy coś w tym stylu. – Jane spojrzała na mnie z zaciekawieniem. – Co, co powiedziała?

Nie byłam w stanie powtórzyć słów Mirandy, więc po prostu dopiłam swoje piwo i zachowałam milczenie.

Był to pewnie błąd.

Jane miała rację. Atak trwał kilka minut. Gdy Miranda się ocknęła, oczy miała puste i nie mogła skoncentrować na niczym wzroku. Ciężko było jej się podnieść, pomimo że Guy objął ją ramionami. Trzymała się go przez chwilę, a potem puściła. Odczołgała się i usiadła w narożniku samochodu obok pustych butelek. Ręce założyła na głowę. Jane westchnęła, oddała mi swoje piwo, podeszła do siostry i zaczęła, głaszcząc ją po głowie, szeptać jej coś do ucha.

– No – powiedział Trent. – To chyba problem mamy z głowy. Piwa?

– Nie – powiedziałałam i opróżniłam swoją ostatnią butelkę. Miałam już nieźle w czubie i wiedziałam, że rano będę żałować tego wieczoru. Rano? Już było rano. Gdzieś koło drugiej w nocy. Świetnie.

– Trent, muszę wracać do domu.

– Ale noc jeszcze młoda.

– Trent, stary, muszę iść.

– Sztywniaczka. No dobra. – Trent spojrzał na mnie z wyrzutem i kiwnął głową w stronę Guya.

– Pomożesz mi prowadzić, OK?

– Chcesz prowadzić? – Guy wyglądał na zaniepokojonego.

Trent wypił naprawdę dużo. Chyba tego nie czuł, bo miał mocną głowę, ale jednak... Ja nie byłam w stanie prowadzić, Guy wyglądał na bardziej wciętego ode mnie. A Jane... Wydudliła prawie tyle co Trent, pozwolić zaś prowadzić czternastoletniej epilepticzce nie było lepszym rozwiązaniem.

– Jakoś nie mogę iść – powiedziałałam błyskotliwie. – Jedź powoli, dobrze?

Wolno i ostrożnie.

Trent pokazał mi znak OK i zasalutował. Nie wyglądał na pijanego. Przełknęłam ślinę i poszłam do tyłu, do Jane i Mirandy.

– Jedziemy do domu – powiedziałam. – Najpierw was odstawimy, a potem ja pojedę.

Miranda kiwnęła głową.

– Usiądź tutaj – powiedziała. – Dokładnie tutaj. – Poklepała miejsce przy swoim boku.

Przewróciłam oczami.

– Wygodnie mi tutaj, dzięki.

– Nie! Usiądź tu!

Spojrzałam na Jane i zmarszczyłam brwi.

– Jesteś pewna, że nic jej nie jest? – I wykonałam niezbyt subtelne koła w okolicach skroni.

– Nic jej nie jest – westchnęła Jane. – Znowu miała swoje wizje. Większość z nich to jedna wielka bzdura. Wydaje mi się, że robi to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Jane wyglądała na rozdrażnioną i chyba miała powód. Jeżeli Miranda była takim świetnym towarzystwem na przyjęciach, to mogę sobie wyobrazić, jaka zabawna była w domu. Miranda wyglądała na coraz bardziej zaniepokojoną. Jane srogo zmarszczyła brwi i powiedziała: – Na Boga. Po prostu zrób to, Eve. Nie chcę, żeby znowu miała kolejny atak czy coś.

Podpełzałam do Mirandy i usadowiłam się niezbyt wygodnie w miejscu, które wskazała. No, świetnie. Dobrze, że droga będzie krótka. Bałam się tego, co znajduje się na jej końcu. Brandon, decyzje, początek dorosłego życia.

Guy włączył silnik i wyjechał ze szkolnego parkingu. Po bokach furgonetki nie było okien, ale w tylnej szybie widziałam znikającą w ciemnościach wielką bryłę budynku z lat trzydziestych, ozdobioną greckimi kolumnami. W Morganville nie było dużo latarni, za to była masa kamer.

Gliniarze doskonale wiedzieli, gdzie byliśmy. Wiedzieli prawie wszystko, co działo się w Morganville, a połowa z nich była wampirami.

Chciałam złożyć swoje papiery i wynieść się jak najdalej stąd, ale to była strata czasu. Było mi potrzebne zaświadczenie, że zostałam przyjęta na pozastanowy uniwersytet, albo przepustka z biura burmistrza. Nie mogłam liczyć ani na jedno, ani na drugie, zwłaszcza że mam kiepskie oceny. Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. Byłam skazana na Morganville i na to, że świat obejdzie się bez mojej osoby. Chyba że wcześniej ktoś mnie wykluczy ze stada i stanę się jego przekąską.

Trent jechał szybciej, niż to ustaliliśmy, ale nie było to jedynym problemem. Samochód trochę zbaczał z trasy.

– Ej, T. – krzyknęłam. – Patrz się na drogę, co?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego źrenice były wielkie i ciemne, a on chichotał. Zdążyłam pomyśleć: „O Chryste. On nie jest pijany, tylko naćpany” i wtedy docisnął gaz.

Miranda położyła dłoń na moim ramieniu i powiedziała: – Ja nie chcę, żeby oni zginęli. Nie chcę.

– Na litość boską, Mir, przestań – rzuciła Jane i odepchnęła tę jej rękę. – Histeryczka.

Popatrzyłam na Mirandę, a ona na mnie i powoli kiwnęła głową.

– Już nadchodzi – powiedziała i przeniosła wzrok na siostrę. – Kocham cię i jest mi przykro.

I stało się coś złego, i świat się skończył.



Odeszłam od dymiącego wraku. Zataczałam się, niosąc bezwładne ciało

Mirandy, i kaszlałam. Głowa Mirandy krwawiła, ale nadal żyła.

Mój mózg nie chciał dopuścić do siebie myśli o Trencie, Jane i Guyu. Nic. Po prostu... zbuntował się.

Szłam, dopóki nie usłyszałam syren i nie zobaczyłam w oddali kogutów, a potem upadłam na kolana.

Pierwszym policjantem na miejscu był Richard Moreli, syn burmistrza. Zawsze uważałam go za miłego faceta, pomimo że jego rodzina była toksyczna. Był dla mnie miły, kiedy musiałam zeznawać przeciwko mojemu bratu, kiedy Jason... Zrobił to, co zrobił. Richard znowu dobrze się zachował. Zabrał ode mnie Mirandę i ułożył ją delikatnie na ziemi, uważając, żeby jej głowa nie walnęła w chodnik. Jego ciepła dłoń dotknęła mojego ramienia.

– Eve. Czy ktoś tam jeszcze jest?

Wolno kiwnęłam głową: – Jane. Trent. Guy.

Może byłam w błędzie, może sobie to wszystko wyobraziłam. Może oni zdołali się wyczołgać z tej pogniecionej masy metalu i ognia... Zbyt bujna wyobraźnia. Wyobraziłam sobie, jak ich zakrwawione ciała wyczołgują się z wraku samochodu. Prawie zemdlałam. Richard uspokajał mnie.

– Spokojnie – powiedział. – Spokojnie, dzieciaku. Zostań ze mną.

Tak też zrobiłam. Jakoś pozostałam świadoma, nawet gdy sanitariusze przebiegli obok mnie z noszami. Mirandę oczywiście zabrali jako pierwszą i pognali do szpitala w blasku kogutów i dźwięku syren.

Z pozostałymi już się tak nie spieszyli. Załadowali tylko czarne zasunięte worki do karetki i odjechali. Chcieli, żebym pojechała z nimi, ale powiedziałam im, że dobrze się czuję. Nie chciałam towarzyszyć moim przyjaciołom. Nie potrafiłam.

Strażacy zgasili wrak i rozszedł się smród alkoholu, krwi, spalonego metalu i plastiku...

Nadal klęczałam na chodniku zupełnie zapomniana, kiedy Richard podszedł do mnie. Wyglądał na wkurzonego.

– Nikt z twojej rodziny po ciebie nie przyjechał?

– Zadzwoił pan do nich?

– Tak, zadzwoniłem – powiedział. – Chodź. Zabiorę cię do domu.

Wytarłam twarz. Biały makijaż prawie zniknął, a moja skóra była mokra. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płakałam.

Nic mi się nie stało.

„Usiądź tu”, powiedziała do mnie Miranda. „Dokładnie tu”. Tak jakby wiedziała. Jakby wybrała mnie zamiast swojej siostry.

Nie mogłam przestać się trząść. Oficer Moreli znalazł w samochodzie koc i zarzucił mi go na ramiona. Wpakował mnie do samochodu i zawiózł pięć mil do mojego domu. Wszystkie światła były zapalone, ale dom nie wyglądał przytulnie. Sprawdziłam godzinę na komórce. Trzecia nad ranem.

– Cześć – powiedział Richard. – Dziś jest ten wielki dzień, zgadza się? Przykro mi z powodu twoich znajomych, ale musisz się teraz skupić. Musisz podjąć właściwą decyzję, Eve. Rozumiesz mnie?

Starał się być na tyle miły, na ile mógł, ale musiało to być dla niego trudne, biorąc pod uwagę, ile dupnych genów odziedziczył. Starałam się wyobrazić sobie, co w takiej sytuacji powiedziałaby jego siostra Monica: „Co za banda śmieci. Nie powinni nawet zostać pochowani na naszym cmentarzu. Mamy przecież bardzo dobre składowisko odpadów”.

Zbyt dobrze znałam Monicę, ale to nie była wina Richarda. Pokiwałam do niego drętwo, oddałam koc i pokonałam dziesięć stopni do domu moich rodziców.

Drzwi otworzyły się, zanim sięgnęłam do klamki, i stanął przede mną Brandon, wampirzy patron rodziny.

– Czekałem na ciebie, Eve – powiedział i cofnął się o krok. – Wejdz.

Ugryzłam się w język i nie zaserwowałam mu typowej porcji wredności, jaką w normalnej sytuacji bym powiedziała, tylko spojrzałam przez ramię. Richard Moreli patrzył na mnie przez okno, przyjaźnie do mnie zamachał, tak jakbym była w dobrych rękach, i pojechał.

Znacie te wszystkie romantyczne stereotypy o melancholijnych

wampirach? Taki właśnie był nasz patron. Mroczny, melancholijny, słodkie oczy i skórzane ubrania w czarnym kolorze. Lubiłam myśleć, że jest naprawdę zły, ale co ja mogłam wiedzieć. Może i był. Był na tyle odrażający, żeby odstraszać dzieci tymi swoimi słodkimi oczami i okrutnymi rękami. Psychol.

Nienawidziłam go za to i on o tym wiedział.

– Kochanie! – Mama krążyła za plecami Brandona i wyglądała na zdenerwowaną. – Lepiej będzie, jeśli wejdiesz do środka. Wiesz, że nie powinnaś być na dworze, kiedy jest ciemno.

Taty nigdzie nie było widać. Przeszłam przez próg, nic nie mówiąc. Gdy Brandon zamknął drzwi, czułam się tak, jakby zatrasnął drzwi klatki.

– To był wypadek – powiedziałam.

Mama spojrzała na mnie. Nie byłyśmy podobne do siebie nawet wtedy, kiedy nie nosiłam makijażu. Ona miała jasne brązowe włosy i zielone oczy, a ja odziedziczyłam po tacie ciemniejszą karnację.

– Ach tak. Dzwonił oficer Moreli – rzekła. – Ale powiedział, że nic ci nie jest, a my mieliśmy gościa i nie mogliśmy tak po prostu wyjść. – Uśmiechnęła się do Brandona.

Chciałam krzyknąć, widząc ten przymilny uśmiech na jej twarzy.

– Zginęło trzech moich przyjaciół – rzuciłam.

Nie wiem, czemu w ogóle to powiedziałam, bo i tak nikogo to nie obchodziło. Ale choć raz chciałam zobaczyć, że moja matka coś do mnie czuje.

Po raz kolejny zawiodła mnie.

– Naprawdę – powiedziała. – To musiało być straszne.

Jeszcze raz, z większym uczuciem, mamo. Czasami wydawało mi się, że to jest jakiś rodzaj przedstawienia, a mama była niezbyt dobrą aktorką.

– Ktoś z moich? – zapytał niedbale Brandon.

Zacisnęłam zęby, bo chciałam wyć i uderzyć go, ale wiedziałam, że nie będzie to dla mnie dobrą rzeczą.

– N-nie – wyjęczałam, starając się kontrolować. – Jane Bunt, Trent Garvey i Guy... – Jak on miał, do cholery, na nazwisko? Teraz chciało mi się płakać, ale wiedziałam, że jeśli zacznę, to nie będę mogła przestać. – Guy Finelli.

Brandon uśmiechnął się.

– Zdaje się, że Charles miał kiepską noc.

Charles był jego rywalem. Wiedziałam, że był patronem rodziny Jane, ale nie wiedziałam, że był odpowiedzialny także za rodziny chłopaków. Charles był zupełnym przeciwieństwem Brandona. Był spokojny i miły, choć tylko do momentu, kiedy przeciągnęło się strunę. Nie byłby to zły wybór, gdybym musiała szukać patrona. Boże, jak ja tego nienawidziłam. Chciałabym to mieć za sobą.

– Po prostu zrobmy to – powiedziałam i przeszłam do dużego pokoju.

Ojciec siedział na swoim fotelu z otwartą puszką piwa, najprawdopodobniej rozpracowywał kolejny sześciopak. Był pijacką wizją tego, co się ze mną stanie w przyszłości. Dwieście pięćdziesiąt funtów cielska pełnego złości, której nie mógł nigdzie z siebie wyrzucić, z wyjątkiem własnego domu. Zarządzał największym, ładnym i czystym barem w mieście, który był oczywiście własnością patrona. Brandon był również właścicielem naszej hipoteki, naszych samochodów. Brandon był po prostu naszym właścicielem.

A teraz Brandon się do mnie uśmiechał, cały gładki i przerażający ze swoimi głodnymi oczami. Wyciągnął z kieszeni swojego czarnego płaszcza plik papierów.

– Nosisz go tylko dlatego, że widziałeś to w serialu *Angel* – powiedziałam i wyrwałam mu papiery z ręki. Przeczytałam kilka pierwszych zdań: – *Ja, Eve Evangeline Walker Rosser, oświadczam, że oddaję swoje życie, swoją krew i swoje usługi mojemu protektorowi Brandonowi po wsze czasy i że mój protektor będzie mógł zarządzać wszystkimi moimi rzeczami...*

To było to. W rękach trzymałam swoją przyszłość.

Brandon wyciągnął pióro. Ojciec odwrócił wzrok od telewizora i napił się piwa, patrząc na mnie z wściekłością. Moja matka natomiast wyglądała na zdenerwowaną i wykonywała nerwowe ruchy, podczas gdy ja patrzyłam się tępo na pióro montblanc, które wampir trzymał przede mną.

– Tak w ogóle to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział Brandon. – Za zapisanie się jest dodatkowy bonus. Dziesięć tysięcy dolarów.

– Mogłabym z klasą pochować swoich znajomych – powiedziałam.

– Nie musisz się tym martwić. – Brandon wzruszył ramionami. – Kontrakty ich rodzin też to obejmują.

Mama chyba wyczuła, co mi chodziło po głowie, bo wymamrotała: – Eve, kochanie, pospiesz się. Brandon musi być dziś w różnych miejscach. – Zachęciła mnie ruchem dłoni, a w jej oczach było widać panikę.

Wzięłam głęboki oddech i przedarłam papier na pół. Moja matka westchnęła, a ojciec zgniótł swoją puszkę z piwem.

– Ty mała, niewdzięczna... – powiedział ojciec. – Jak możesz okazywać taki brak szacunku swojemu protektorowi, i to jeszcze w jego obecności.

– Po prostu mogę – powiedziałam. Przedarłam kontrakt jeszcze raz i rzuciłam go wampirowi w twarz. Papier poleciał jak konfetti, lądując na ramionach Brandona. – Odpieprz się ode mnie, Brandon. Nie zapisuję się do ciebie.

– Nikt inny cię nie weźmie – powiedział. – Jesteś moja, Eve. Zawsze byłaś moja. Nie zapomnij o tym.

Ojciec podniósł się z fotela i chwycił moje ramię.

– Podpiszesz ten papier – powiedział i potrząsnął mną jak lalką. – Nie bądź głupia. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz? Ile to będzie kosztować twoją rodzinę?

– Nic nie podpiszę – wykrzyczałam mu prosto w twarz. Wzięłam drogie pióro Brandona, rzuciłam je na ziemię i zaczęłam rozgniatać, dopóki atrament nie zaczął się wysączać na dywan. – Możecie być niewolnikami, jeśli chcecie, ale nie ja! Nigdy więcej!

Brandon nie wyglądał na zdenerwowanego. Był raczej rozbawiony tą sytuacją, co dobrze nie wróżyło. Ojciec odepchnął mnie, a ja się zachwiałam.

– W takim razie nie ma cię – powiedział. – Nie chcę, żebyś była w moim domu, jadła moje jedzenie i kradła mi pieniądze. Jeżeli nie chcesz być chroniona, to twoja sprawa. Zobaczymy, jak długo dasz radę. – Odwrócił się do Brandona. – Nasza umowa pozostaje nadal ważna, jeśli ona odejdzie?

Brandon skinął głową i uśmiechnął się.

Byłam w lekkim szoku. Ojciec nigdy jeszcze tak nie zareagował. Odsunęłam się od niego i poszłam w stronę mamy. Cofnęła się, ale przecież i tak zawsze to robiła. Siła jej charakteru była jak trzcinka na wietrze.

Unikała mojego wzroku.

– Lepiej będzie, jeśli już pójdziesz, kochanie – powiedziała. – Dokonałaś wyboru.

Odwróciłam się, pobiegłam do swojego pokoju i trzasnęłam drzwiami. Wyciągnęłam spod łóżka największą walizkę, jaką miałam. Nie mogłam wiele zabrać. Nawet ta walizka nie była dobrym pomysłem, bo będzie mnie spowalniać. Nie mogłam czekać do świtu. Musiałam uciec stąd, zanim Brandon mnie zatrzyma. Teoretycznie nie mógł mnie do niczego zmusić, ale nie oznacza to, że nie może próbować.

Wypełniłam walizkę bielizną, butami, ubraniami i kilkoma pamiątkami, których nie mogłam zostawić, na wypadek gdyby tata chciał zrobić wielkie ognisko z moich rzeczy chwilę po tym, jak zniknę za drzwiami. Zostawiłam rodzinne zdjęcia, nawet te z czasów, kiedy byłam mała i nasza rodzina jeszcze nie była bandą wariatów. Nie chciałam mieć tych wspomnień i nie chciałam zdjęć mojego brata Jasona, któremu było obecnie lepiej w więzieniu, gdzie gnił. Kiedy patrzyłam na jego twarz, zrobiło mi się niedobrze.

Wyszłam z domu tylnymi drzwiami, bo Brandon rozmawiał jeszcze z moimi rodzicami od frontu. Ciągnęłam walizkę przez ogródek najdelikatniej jak potrafiłam i po chwili znalazłam się w alejce, która nocą jest przerażająca

i bardzo niebezpieczna. Nie miałam jednak zbyt dużego wyboru. Spieszyłam się, targając bagaż, dopóki nie znalazłam się na ulicy.

I wtedy dotarło do mnie, że nie mam dokąd pójść. Wszyscy moi przyjaciele byli martwi, zginęli dzisiejszej nocy, a ja nawet nie byłam w stanie rozpaczać po ich stracie. Nie miałam na to czasu. Ratowanie własnego życia ma pierwszeństwo, prawda? Muszę to sobie powtarzać. Rany, po co ja to wszystko zabrałam!

Taksówki w nocy nie jeździły, bo taksówkarze wiedzieli, czym to może grozić. Poza tym w mieście były tylko dwie taryfy i żadnej komunikacji autobusowej. Nocą albo jechałeś własnym samochodem, albo siedziałeś w domu. Nawet jazda samochodem była niebezpieczna, jeśli nie było się chronionym.

Mogłam pójść do miejscowego motelu, ale znajdował się on o dobre dwadzieścia minut stąd. Aż tyle czasu nie miałam. Nie dziś w nocy. Oficjalnie utraciłam ochronę Brandona, gdy podałam umowę. Oznaczało to, że stałam się darmowym bufetem, dopóki ktoś mnie nie przygarnie. Domy miały automatyczną ochronę. Wszystkie domy.

Michael. Michael Glass.

Michael mieszkał tylko kilka przecznic stąd. Chodziliśmy razem do szkoły i kochałam się w nim. Chodziłam nawet na każdy jego występ gitarowy organizowany w Morganville. Michael był naprawdę dobry i kochany. I do tego zabójczo przystojny. I miał swój własny dom.

Znałam dom Glassów. To był jeden ze starszych domów w Morganville, w stylu gotyckim. Rodzice Michaela wyprowadzili się z miasta dwa lata temu, dzięki zrzeczeniu się roszczeń. Z tego, co wiedziałam, Michael mieszkał sam.

Tylko trzy przecznice stąd.

Nie miałam pojęcia, czy zastanę do w domu ani czy będzie na tyle głupi, żeby mnie wpuścić, ale próbowałam uratować swoje życie, więc warto było zaryzykować. Zaczęłam biec. Kółka walizki głośno toczyły się po chodniku.

Noc była ciemna, bez światła księżyca. Świeciły tylko gwiazdy. Powietrze pachniało pyłem, jak na cmentarzu. Na moim cmentarzu.

Pomyślałam o Trencie, Guyu i Jane, którzy leżeli cicho w czarnych torbach. Chociaż może teraz leżeli w metalowych szufladach w kostnicy. Ich życie dobiegło już końca.

Ja nie chciałam umrzeć. Biegłam więc, taszcząc za sobą walizkę. Na ulicy nie było żywej duszy. Żadnych samochodów, żadnych świateł w oknach, żadnych cieni podążających za mną. Było dziwnie cicho na zewnątrz, ale moje serce łomotało jak szalone. Żałowałam, że nie mam żadnej broni, ale w Morganville ciężko było dostać jakąkolwiek. A poza tym rodzice regularnie przeczesywali mój pokój, szukając jakichś zakazanych rzeczy. Koszmarnie jest mieć mniej niż osiemnaście lat.

Skończenie osiemnastego roku życia nie poprawiało widoków na przyszłość.

Ponad dźwiękiem bijącego serca usłyszałam silnik samochodu. Obejrzałam się, mając nadzieję, że to Richard Moreli, który śledzi mnie w policyjnym radiowozie, ale, niestety, nie miałam takiego szczęścia. To był czarny sportowy samochód z przyciemnianymi szybami.

Samochód wampirów. Nie miałam najmniejszej wątpliwości.

Jeszcze tylko dwie przecznice.

Samochód powoli jechał za mną, a ja miałam wystarczająco dużo czasu, żeby panicznie zastanawiać się, kto może być w środku. Brandon pewnie siedział z tyłu. Jeździ sobie zapewne ze swoimi znajomymi i kiedy mnie dopadnie, zrobi to przy świadkach.

Kółka natrafiły na pęknięcie w asfalcie i walizka przechyliła się, sprawiając, że straciłam równowagę. Zobaczyłam światło w oknie jednego z domów, obok którego właśnie biegłam. Ktoś odchylił firankę, a następnie błyskawicznie zaciągnął zasłony i zgasił światło. Nikt mi stamtąd nie pomoże. Ale to nic nadzwyczajnego w Morganville.

Płakałam, ale byłam już blisko celu. Czułam, jak łyzy mnie palą, a panika

skręca mi wnętrzości.

– To był twój wybór – powiedziałam sobie. – Nie mogłaś zrobić nic innego.

W tej chwili nie było to zbyt pocieszające.

Zobaczyłam przed sobą bryłę domu Glassów. Jeszcze tylko jedna przecznica. Nadal mogłam zdążyć. Musiałam zdążyć. Nie było już ani Jane, ani Trenta, ani Guya. Byłam im to winna. Samochód przyspieszył, gdy przebiegłam na drugą stronę ulicy. Jeszcze tylko cztery domy – wszystkie spokojne i bez świateł.

Weranda budynku numer 716 była oświetlona przez padające z wnętrza domu światło. Gdy się zbliżyłam, zobaczyłam, że ktoś właśnie przeszedł koło okna.

– Michael! – krzyknęłam i włożyłam całą siłę w ostatni bieg.

Samochód zahamował gwałtownie i wjechał na krawężnik. Drzwi się otworzyły, żeby zablokować chodnik, a ja złapałam moją walizkę i przerzuciłam ją przez płot. Ważyła około pięćdziesięciu funtów, ale jakoś udało mi się ją podnieść i rzucić. Źle ją złapałam i przerzucając przez płot, rozdarłam koszulkę. Później się będę tym martwić. Złapałam ją za uchwyt i zaczęłam ciągnąć w stronę światła. Jeszcze raz krzyknęłam, tym razem bardziej przerażona: – Michael! To ja, Eve! Otwórz drzwi!

Byli tuż za mną. Wiedziałam to, chociaż nie odważyłam się spojrzeć za siebie. Czułam ich. Poczułam, jak coś łapie za moją walizkę, prawie wykręcając mi ramię, i puściłam ją, potykając się o schody na werandzie. Dom rozciągał się przede mną szary, straszny, ale było w nim życie.

Coś złapało mnie za nogę. Krzyknęłam i kopnęłam, aby się uwolnić, ale upadłam na kolana. Moje palce szukały czegoś, czego mogłabym się złapać, i znów poczułam pył. A byłam już tak blisko...

Drzwi otworzyły się i ciepłe żółte światło padło na mnie. Za późno. Próbowalam się nadal czegoś złapać, ale byłam ciągnięta do tyłu... i już prawie wyczuwałam czyjś oddech na karku. Zimny, nieświeży oddech.

Coś przeleciało nad moją głową i uderzyło w wampira, który mnie ciągnął. Podpełzłam do przodu i złapałam się ręką progu.

Michael Glass chwycił mnie za ręce i szybko wciągnął do środka. Znalazłam się w domu sekundę po tym, jak inny wampir walnął w niewidzialną barierę ochronną.

Tym wampirem był Brandon. O cholera, ale on był wściekły. Naprawdę wściekły. Nasze wampiry nie okazywały emocji, ale jego najwyraźniej nie obchodziło to, że go widzimy. Oczy przybrały kolor czerwieni, a twarz stała się bledsza niż moja kiedykolwiek w najmocniejszym gockim makijażu. A kły, których kobra mogłaby mu pozazdrościć, wysunęły się w niemej groźbie.

Mimo to Michael Glass się nie cofnął. On się... uśmiechnął.

– Nie wejdiesz do środka, więc daj sobie spokój, Brandon – powiedział.
– Odejdź.

Wyglądał dokładnie tak, jak w liceum, ale... jakoś lepiej. Był silniejszy. Wysoki, dobrze zbudowany, kręcone blond włosy. Jego niebieskie oczy były wpatrzone w Brandona. Czujnie, ale zdecydowanie, bez lęku.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Kiwnęłam tylko głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. – W takim razie zejź z drogi.

– Co?

– Zabierz, proszę, nogi.

Przyciągnęłam je do siebie, a on po prostu zamknął drzwi Brandonowi przed nosem. Siedziałam tak na drewnianej podłodze, z nogami przy klatce piersiowej i starałam się uspokoić oddech.

– Boże! – wyszeptałam i położyłam głowę na kolanach. – Było blisko.

Usłyszałam szelest materiału. Michael podpełzł do ściany naprzeciw mnie i usiadł. Miał na sobie jakieś wygodne jeansy, zielony podkoszulek i był boso.

– Eve Rosser, zgadza się? – zapytał. – Cześć.

– Cześć, Michael! – Nadal miałam problem z oddychaniem.

– Jak się miewałaś?

– Nieźle. A ty?

– Nieźle. Co się, do diabła, dzieje?

– Hmm... Moje osiemnaste urodziny. – Trzęsłam się i zdałam sobie sprawę, że rozdarta koszulka ukazuje znacznie więcej, niż chciałabym pokazać. Widać było mój stanik od Victoria's Secret. Nie był to już specjalny sekret, więc się nie przejęłam.

– Brandon jest wkurzony, bo się do niego nie zapisałam.

Michael oparł głowę o ścianę i spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Nie zapisałaś się. No, ładnie.

Kiwnęłam głową, nie będąc w stanie nic więcej powiedzieć. Wiedziałam, co myśli, i wiedziałam, że ma rację – przyniosłam kłopoty do jego domu. Ale przyjaciel, ale znajomość! Wszystko jedno. Mój kuzyn Bob zwykł mawiać: „Żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary”. W Morganville ta zasada się sprawdzała.

Michael powiedział: – Masz gdzie się podziać? Jakichś krewnych?

Wyglądałam żałośnie i łzy zaczęły gromadzić się w moich oczach. Na co ja liczyłam? Że jakiś gorący rycerz na białym koniu mnie uratuje? No cóż, tego nie dostanę od Michaela. Nawet nie wyszedł na zewnątrz, żeby mnie zabrać. Rzucił tylko krzesło czy coś. Ale otworzył drzwi, a tego nie zrobił nikt na ulicy.

– Okej – powiedział łagodnie. Wyciągnął rękę i poklepał mnie po kolanie.

– Hej. Nic ci tu nie grozi. Jesteś tu bezpieczna. Nie płacz.

Nie chciałam płakać, ale właśnie w ten sposób dawałam upust swoim emocjom i bardzo mi teraz tego było trzeba. Cała złość, żal, wściekłość i zamęt po prostu się we mnie gotowały i domagały ujścia. Szlochałam jak dziecko i po chwili poczułam, jak Michael się do mnie przysuwa, jak mnie obejmuje i jak moczę mu łzami koszulkę. Chciałam mu powiedzieć wszystko o wszystkich złych rzeczach... o półciężarówce, moich przyjaciołach, Brandonie. Powiedziałabym mu, jak ojciec dostał podwyżkę od Brandona w

zamian za pełny dostęp do mnie i Jasona, kiedy miałam piętnaście lat. Powiedziałabym mu wszystko.

Na szczęście dla niego nie byłam w stanie nic z siebie wykrztusić.

Michael był dobry w uspokajaniu. Wiedział, jak mówić i w jaki sposób gładzić po włosach. Uspokajał mnie, póki nie zaczęłam już normalnie oddychać i póki nie zdałam sobie sprawy z tego, że miał świetny widok na mój stanik.

– Hej! – powiedziałam i próbowałam jakoś się zasłonić. Michael miał dziwny wyraz twarzy. – Darmowy spektakl dobiegł końca, Glass.

Trent na pewno odgryzłby się w jakiś mało przyjemny sposób, ale nie Michael. On wyglądał na zmieszanego i zaczął się ode mnie odsuwać.

– Przepraszam – powiedział. – Ja nie...

Nawet jeśli on nie chciał, ja i tak czułam się urażona. A miałam czym oddychać, nosząc stanik 34B.

Musiał to wyczytać w mojej twarzy, bo podniósł ręce w geście poddania i powiedział: – No dobra, patrzyłem. Jestem draniem, tak?

– Nie, facetem i do tego hetero – powiedziałam. Czy to źle, że poczułam ulgę? – Muszę zmienić... Cholera! Moja walizka. Ona nadal jest na zewnątrz...

– Chodź! – Michael wstał i poszedł wzdłuż wypolerowanego korytarza. Dom był ciepły, ale dziwnie stary i dość klaustrofobiczny pomimo dużych, otwartych pokoi. Miałam takie wrażenie, jakby dom mnie... obserwował. Nie wiem dlaczego, ale czułam się z tym dobrze i podobało mi się to. Dziwne, nietypowe, ale właściwe.

W dużym pokoju były zwyczajne meble – kanapa, krzesła, regały i dywany. Na stole dostrzegłam otwarty pokrowiec na gitarę, a sam instrument leżał na kanapie, jakby został porzucony, bo ktoś chciał zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Słyszałam wcześniej, jak Michael gra, ale nie ostatnimi czasami. Ludzie mówili, że przestał, ale najwyraźniej byli w błędzie. Może po prostu już nie występował.

Michael rozsunął zasłony i spojrzął przez okno.

– Jest na trawniku – powiedział. – Właśnie ją przeglądają.

– Co? – Odepchnęłam go od okna i sama próbowałam zobaczyć, ale dla mnie było za ciemno. – Przeglądają moje rzeczy? Sukinsyny!

Miałam tam trochę bielizny, nie chciałam, żeby ktoś ją oglądał. No, może mogłabym pokazać ją jednej osobie, ale na osobności. Otworzyłam okno, wychyliłam się i krzyknęłam.

– Hej, dupki! Jeśli którykolwiek z was dotknie mojej bielizny, to...

Michael wciągnął mnie do środka i zatrzasnął okno tuż przed tym, jak pojawiła się za nim twarz Brandona.

– Może nie nabijaj się ze wściekłych wampirów – powiedział. – Ja tu muszę mieszkać.

Oddychaj głęboko, Eve. Walizka nie jest tak ważna, jak twoja tętnica szyjna. Usiadłam na jednym z krzeseł i starałam się zebrać myśli. Nie wiedziałam właściwie, kim dokładnie jestem. Tyle się zmieniło w ciągu ostatnich pięciu godzin... Byłam teraz dorosła i sama w mieście, w którym oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko odroczenie egzekucji. Zrobiłam sobie wroga, w dodatku z premedytacją. Zostałam wyrzucona ze swojej rodziny, ale ona i tak nie miała wiele wspólnego z normalną rodziną.

– Mam przesrane – powiedziałam.

Michael nic nie odpowiedział.

– Wyglądasz na miłego, zdrowego psychicznie faceta. Może szukałeś niestabilnej emocjonalnie współlokatorki z dużą ilością wrogów? – powiedziałam, a potem spróbowałam się uśmiechnąć zawiadacko.

Michael zawahał się chwilę, sięgnął po gitarę, a potem usiadł na kanapie z instrumentem na kolanach, jakby to była jego ulubiona maskotka. Wyjął jakieś notatki i przechylił głowę.

– Przepraszam, to był zły pomysł.

– Nie, wcale nie – powiedział. – Tak ogólnie to... Mógłbym się nad tym zastanowić.

– Co?

– Ja też się do nikogo nie zapisałem – powiedział.

Nieźle. Tego nie wiedziałam. Nie pamiętałam, kto był protektorem jego rodziny, a ponieważ Michael nie nosił skórzanej opaski na nadgarstku, nie mogłam nic z niej wywnioskować.

– Myślałem – mówił dalej – że ci z nas, którzy nie mają kontraktów, powinni trzymać się razem. Poza tym dobrze nam się układało w szkole. Mam na myśli to, że nie znaliśmy się tak dobrze, ale...

Nikt nie znał Michaela naprawdę dobrze oprócz jego kumpla Shane’a Collinsa, który wyjechał z rodzicami z miasta po śmierci swojej siostry. Każdy chciał znać Michaela, ale on był skryty, a może nawet nieśmiały.

– To jest duży dom. Cztery sypialnie, dwie łazienki. Ciężko mi go samemu utrzymać, rachunki i te sprawy.

Czy on naprawdę składał mi propozycję?

Pochyliłam się do przodu. Moja koszulka zaczęła odsłaniać to, co chciałam zakryć, ale nie przejmowałam się tym, bo potrzebowałam każdego dodatkowego atutu.

– Przysięgam, że jestem dobra w płaceniu rachunków. Znajdę pracę gdzieś w jakimś neutralnym miejscu. I jestem demonem sprzątaniam.

– A gotowanie?

Widziałam nadzieję w jego oczach, ale pokręciłam głową.

– Cholera. W tym nie jestem dobra.

– Musisz być lepsza ode mnie, bo ja nie potrafię nawet porządnie zagotować wody.

Uśmiechnął się. To był jeden z tych uśmiechów, który sprawia, że dziewczyny w najbliższej okolicy zaczynają mięknać. Najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę z tego, iż jego uśmiech może sprawić, że jakaś dziewczyna zemdleje, a inna będzie chciała szybko zrzucić z siebie całe ubranie.

– Pomyślimy o tym jutro wieczorem – powiedział. – Wybierz sobie jakiś

pokój, oprócz pierwszego, bo ten jest mój. Pościel jest w schowku, a ręczniki są w łazience.

– Moja walizka...

– Po świetle. – Popatrzył w dół i zaczął wygrywać jakąś słodką melodię. – Posłuchaj, muszę skoczyć w pewne miejsce, ale ty będziesz bezpieczna tylko wtedy, jeśli weźmiesz z dworu walizkę i od razu wrócisz. Nie wydaje mi się, żeby Brandon był na tyle wkurzony, aby szwendać się w dzień.

– Ale ty nie możesz stąd wyjść! On mógłby...

– Brandon? Nie, nie mógłby. Zaufaj mi.

On nie. Włączył mi się ostrzegawczy dzwonek.

– Nie jesteś chyba...

Spojrzał gwałtownie.

– Nie jestem czym?

Pokazałam kły.

Michael westchnął.

– Nie, nie jestem.

– No wiesz, całe to wyjście w dzień...

– Mam pracę, może słyszałaś o czymś takim? Wychodzi się z domu i zarabia pieniądze. Jeszcze jakieś pytania?

– Tak. W takim razie dlaczego nie śpisz tak późno w nocy, skoro musisz wcześniej wstać?

Spojrzał na mnie zdziwiony, jakby nie mógł uwierzyć, że zadałam to pytanie.

– No cóż – powiedział powoli – wstaję, żeby zjeść, wziąć prysznic i inne takie. A co? Ty tego nie robisz?

Och. Jeżeli tak to się ujmie, nie brzmi to bardzo wampirycznie. Z trudem przełknęłam ślinę, zastanawiając się, czy mogę mu zaufać. Czy powinnam mu zaufać. No cóż, idiotko. A jaki masz wybór?

Wzięłam do ręki srebrny łańcuszek z krzyżykiem, który miałam na szyi.

– Dotknij go – powiedziałam.

– Co? – Teraz na pewno podejrzewał, że jestem stuknięta.

– Dotknij krzyża, Michael.

– Na miłość boską...

– Muszę mieć pewność.

Wyciągnął palec i położył go na krzyżyku, a potem zacisnął na nim dłoń.

Jego ręka znalazła się przyjemnie blisko moich piersi. Nie było to to, co zamierzałam, ale i tak nieźle. Dostałam mały bonus.

Staliśmy tak przez chwilę, a potem Michael chrząknął i usiadł.

– Zadowolona? – Zdał sobie sprawę, że to było dwuznaczne pytanie i nie czekał na odpowiedź. – Wróć, zanim się ściemni. Wtedy porozmawiamy o czynszu. A teraz powinnaś – jego wzrok powędrował w górę, dotarł do mojej klatki piersiowej i znowu uciekł w dół – założyć jakąś koszulkę czy coś takiego.

– No cóż, chciałabym, ale wszystkie moje rzeczy są w walizce, którą teraz przeczesuje Brandon ze swoimi kolegami. – Wskazałam palcem w stronę okna, na wypadek gdyby nas obserwowali.

– Weź coś z mojej szafy – powiedział.

Zagrał. Wydawało mi się, że to coś z repertuaru Coldplay, coś delikatnego i kontemplacyjnego.

– Przepraszam za to, że się gapiłem. Wiem, że miałaś ciężką noc.

Było w tym coś tak cholernie słodkiego, że znowu chciało mi się płakać. Odpędziłam od siebie łzy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odpowiedziałam.

Tym razem spojrzał na mnie, jego wzrok zatrzymał się na mojej twarzy i tam też pozostał.

– Jak się domyślam, było źle?

– I to całkiem źle. Ale nie chciałbyś o tym usłyszeć.

– Ale powiedziałaś mi, gdybym był twoim przyjacielem, prawda? A nie jakimś chłopakiem, do którego przypadkowo zapukałaś w środku nocy?

Pomyślałam o biednej Jane, mojej najlepszej i jedynej przyjaciółce. Trent i

Guy najprawdopodobniej nic wielkiego by nie osiągnęli, ale jakkolwiek by patrzeć, byli moimi najlepszymi kumplami.

– Jestem pechowa dla swoich przyjaciół – oświadczyłam. – Chyba powinnam cię po prostu nazwać miłym nieznajomym. – Zaczerpnęłam głęboko tchu. – Straciłam dziś trzy bliskie mi osoby i to była moja wina.

On nadal na mnie patrzył. Naprawdę na mnie patrzył. Zaczęło mi się robić gorąco i trochę się zaniepokoiłam.

– A opowiedziałabyś o tym naprawdę miłemu nieznajomemu przez jakieś... – spojrzał na zegarek – czterdzieści minut? Wtedy będę musiał wyjść, ale chciałbym, żebyś dobrze się poczuła, zanim zostaniesz tu sama.

Opowiedzenie mu mojej historii zajęło mi jakieś pół godziny. Michael nie mówił zbyt wiele, a ja byłam potem tak zmęczona, że nie zorientowałam się, kiedy wstał i poszedł do kuchni. Musiałam się zdrzemnąć, bo kiedy się obudziłam, Michael klęczał obok mnie z talerzykiem z ciastem, w które wbita była nadpalona różowa świeczka.

– To są resztki – ostrzegł mnie. – Od początku mi nie smakowało, więc nie wiem, jak będzie teraz. Ale wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Obiecuję ci, że teraz będzie tylko lepiej.

Miałam dla niego dobrą wiadomość. Już było lepiej.

Kiedy wzejdzie słońce, będę miała masę kłopotów. Największy z nich to znalezienie pracodawcy, który będzie chciał zatrudnić dziewczynę mającą poważne problemy z wampirami oraz z koszmarną garderobą.

Ale teraz?

Ugryzłam kawałek ciasta, uśmiechnęłam się do swojego współlokatora i świętowałam wolność.



Jeanne C. Stein

Autorka serii o czarownicy Annie Strong, której pierwsza część pt. *Stawanie się* (*The Becoming*) została wydana w grudniu 2006 roku. *Zew krwi* (*Blood Drive*) – druga część ukazała się w lipcu następnego roku. Autorka mieszka w Kolorado, gdzie redaguje biuletyn dla jednego z eksporterów piwa oraz trenuje kick boxing, żeby nie wyjść z formy. Więcej o niej znajdziecie na stronie www.jeannestein.com

.

Czarownica i wampir



Pomysł wpadł Sophie do głowy w trakcie sto pięćdziesiątych urodzin Jonathona Deveraux. Nie uczestniczyła w tym przyjęciu jako gość. Takie jak ona rzadko zapraszano na wampirze ceremonie. Magia wiedźm uznawana była w tych kręgach za sztuczki dla mas. Przygotowywała jedzenie. Jej firma „Dziwny i wspaniały catering”, uznana przez czytelników „Supernatural Hot Ticket” za najlepszą, jeśli chodzi o obsługę „specjalnych okazji”, była jedyną, która mogłaby sprostać tak ważnemu wydarzeniu. Przynajmniej w takich sytuacjach choć na chwilę zapominano o tym, że była wiedźmą.

Sophie dmuchnęła na koniuszek palca i wymamrotała: *Extinguisha*. Mały płomyk ognia błysnął i zgasł. Pomachała ręką i spojrzała na tort z zapalonymi świeczkami.

– Cholerne wampiry – powiedziała do siebie, bo nikogo oprócz niej w kuchni nie było, co i tak nie przeszkodziło jej w zrządzeniu. – Dlaczego ja się na to zgodziłam? Prawie sobie zwęgliłam palec, próbując zapalić te wszystkie cholerne świece.

Odwróciła się od stołu tak energicznie, że bordowa jedwabna sukienka zatańczyła wokół jej nóg. Nie była taką starą wiedźmą. Raptem osiemdziesiąt lat. Nadal trzymała się prosto, a na ciemnych włosach prawie nie było widać siwizny. Nikt nie dawał jej więcej niż czterdziestkę. Miała dobre geny i jeszcze lepsze kosmetyki własnej roboty.

Pochuchała jeszcze na bolący palec. Powinna była zająć się wypromowaniem swojej linii kosmetyków, zamiast robić to, co robiła teraz. Osoby zajmujące się cate-ringiem były zawsze nisko opłacane i przepracowane. Poza tym wszyscy je ignorowali, chyba że coś poszło nie tak. Wtedy człowiek lądował w centrum niechcianej i czasami niebezpiecznej uwagi. Zwłaszcza w przypadku nietypowej klienteli.

Drzwi do kuchni otworzyły się.

– Czy tort jest gotowy, Sophie?

Pytanie padło z ust kobiety, która wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, ale Sophie podejrzewała, że mogła być trochę starsza. Ciężko to stwierdzić w tym przypadku. Piękna, pewna siebie gospodyni, żona bardzo dystyngowanego wampira, była wystrojona w suknię od jakiegoś znanego projektanta, a jej szyja i uszy błyszczały od klejnotów. Plotka głosiła, że pan Deveraux zamienił ją w wampira w czasie ich nocy poślubnej, która miała miejsce sześć miesięcy temu. Teraz zachowywała się dokładnie tak, jak na panią domu przystało.

Sophie powstrzymała falę zazdrości i odpowiedziała: – Tak, proszę pani. Czy chciałaby pani, żebym wniosła tort?

– Och nie, sama to zrobię. – Na twarzy kobiety widać było wyczekiwanie. – Jonathon będzie zaskoczony.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Musi pani bardzo uważać – powiedziała. – Na tym torcie pali się sto pięćdziesiąt świeczek. Jeżeli pani suknia otrze się choć o jedną z nich...

Jej zaniepokojenie zostało rozwiane machnięciem ozdobionej klejnotami ręki.

– Proszę się nie martwić. Umiem się obchodzić z ogniem. To jest moja niespodzianka i ja chcę ją dostarczyć.

Sophie odsunęła się od stolika: – Jak sobie pani życzy.

Kobieta pchnęła barek na kółkach, na którym umieszczony był tort. Sophie otworzyła drzwi, uważając, żeby jej własna suknia i włosy nie znalazły się na drodze płomieni. Powietrze mieniło się od blasku i ciepła świec. Dlaczego wampir, zwłaszcza w takim wieku, chciał mieć świeczki na swoim torcie urodzinowym? Dziwne. Wystarczy przecież tylko jedna iskierka, a jubilat od razu zapłonie jak bożonarodzeniowa choinka.

Sophie nie poznała dzisiejszego solenizanta, ale widziała jego portret wiszący nad kominkiem, kiedy była tu, dokonując ostatnich ustaleń odnośnie przyjęcia. Wysoki, przystojny mężczyzna, który musiał zostać zamieniony w wampira w okolicach trzydziestki, bo jego twarzy nie poznały jeszcze zmarszczki, a włosy miał nadal mocne i ciemne. O tym, że była to podobizna wykonana współcześnie, świadczył strój – zwykła koszula i lniane spodnie. W tle widać było stadninę koni w posiadłości pana Deveraux. Nie sprawiał wrażenia kogoś, komu zależałoby na tak pretensjonalnym pokazie jak tort urodzinowy przypominający wesołe miasteczko.

No cóż. Sophie spojrzała na stertę brudnych naczyń i przyborów kuchennych. Trzeba posprzątać. Machnęła ręką i powiedziała: – *Lavato*.

Naczynia zanurzały się kolejno w zlewie wypełnionym wodą z mydłem, po czym przenosiły się do drugiego, z bieżącą wodą, a potem na stos, gdzie osuszał je łagodny prąd ciepłego powietrza. Wszystko zrobione zostało w mgnieniu oka.

Wreszcie mogła odpocząć. Tort został już podany, kuchnia posprzątana. Nie miała nic innego do roboty, jak czekać, aż goście sobie pójdą.

Teoretycznie wampiry obsługiwało się najłatwiej, choć lubiły robić wrażenie na innych takimi rzeczami, jak na przykład tort urodzinowy. Największym wyzwaniem, jakiemu musiała podołać, było przyjęcie, na które musiała wymyślić nowe sposoby podania krwi, jak na przykład prawdziwe krwawe Mary (znalezienie trzydziestu kobiet o imieniu Mary, które chciałyby oddać krew, było nie lada wyzwaniem). Dziś zadała sobie wiele trudu, żeby znaleźć coś naprawdę wyjątkowego – skrzynkę Nothschildów, oczywiście od prawdziwych Rothschildów. Miała nadzieję, że goście docenią jej wysiłek, skoro ona za to zapłaciła. Ale pewnie, jak zwykle, nawet tego nie zauważą, podobnie jak wiedźmy mieszającej w garach i robiącej prezenty.

Ta praca była niewdzięczna.

Sophie usiadła na taborecie i oparła łokcie na granitowym blacie. Jej myśli zaczęły krążyć wokół ulubionego tematu – własnej firmy kosmetycznej. Siedziała naprzeciwko chromowanego tosterka i pochyliła się, żeby zobaczyć swoje odbicie.

Czysta skóra, drobne kurze łapki w kącikach niebieskich oczu, duże usta bez śladów widocznych pęknięć na wargach, charakterystycznych dla kobiet w średnim wieku i sprawiających, że szminka się rozmazywała. Zdecydowanie nie wyglądała na swoje lata. Nie tak jak wampiry, które odwracały fizyczny proces starzenia się, ale prawie tak samo dobrze. Jej kosmetyki sprawiały, że czas znacznie zwalniał. Poza tym zmieniały kogoś typowego w... Przyjrzała się swojej twarzy. Jej tusz sprawił, że jasne rzęsy stały się ciemne i długie, jej róż nadał policzkom koloryt, jakiego naturalnie nie posiadały.

Dotknęła czubka nosa. Nic poza operacją by go nie naprawiło, ale odpowiednio dobrany fluid, ciemniejszy po bokach i jaśniejszy na górze, optycznie go zmniejszał.

Musiała przyznać, że nie była jakąś piękną, ale w poprawianiu urody była dobra. Pora pokazać innym, jak dobra.

Nagły hałas i krzyki sprawiły, że Sophie spadła ze stołka.

Do licha, pomyślała. Ta idiotka się zapaliła.

Stało się to, czego się obawiała. Sophie wiedziała, że pomimo ostrzeżeń, jakich udzieliła, i tak cała wina spadnie na nią. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie uciec, ale byłaby to tylko strata czasu. Jeżeli nie przeniesie się do alternatywnego świata, pan Deveraux ją znajdzie.

Sophie równie dobrze może stawić mu czoła teraz. Teleportacja będzie jej ostatnią deską ratunku. Słuchając, jak goście powoli wychodzą z szoku i składają kondolencje świeżemu wdowcowi, czekała, aż drzwi w kuchni się otworzą i wpadnie przez nie ogarnięty żądzą zemsty jubilat.

Zajęło to trochę więcej czasu, niż przypuszczała. Goście wcale nie wychodzili tak szybko, a pan Deveraux ich nie popędzał. To zbiło Sophie z pantałyku, ale zachowania wampirów były dla niej ogólnie zagadką. Nigdy nie robili tego, czego się oczekiwało ani na co pozwalały dobre obyczaje. Widocznie życie sięgające setek lat usprawiedliwia niestosowanie się do ludzkich praw.

Rozluźniła się. Najwyraźniej pan Deveraux nie był zdruzgotany śmiercią żony. Być może zdążył się już nią zmęczyć. Poza tym ile mógł mieć wspólnego z tak młodą kobietą? Dzisiejsza młodzież (dla Sophie każdy poniżej trzydziestki był nastolatkiem) nie wie nic i nie obchodzi jej nic, co dotyczyłoby zamierzchłej przeszłości.

Fakt, że pan Deveraux jeszcze nie próbował odebrać jej życia, Sophie przyjęła jako dobry znak i stwierdziła, że to jest odpowiedni moment na przemyślenie własnej kariery.

Kiedy upewniła się, że przyjęcie toczy się nadal, usiadła na stołku, wyciągnęła notatnik z kieszeni tuniki i zaczęła sporządzać plan. Pomyślała, że najlepiej będzie zacząć od kremu na noc. Kiedy kobiety zobaczą rezultat, będą chciały też coś na dzień. Potem wprowadzi inne kosmetyki, jak fluidy, róże, tusze do rzęs. Wszystkie będą zawierać ten sam wspaniały składnik, który spowolni spustoszenia dokonywane przez czas.

Hmmmm. Zachwycający. To może być odpowiednia nazwa dla linii jej

produktów. *Od zniszczenia do zachwytu.* Voila. Już miała slogan.

Poczuła, jak narastają w niej emocje. Zrobi to. Catering był biznesem jednoosobowym, ale ten będzie inny. Jej kremy robione były ręcznie, starymi technikami. Będzie musiała znaleźć odpowiednie miejsce i robić kosmetyki w odpowiednio dużych partiach, aby sprostać zapotrzebowaniu. Do tego dochodziło jeszcze pakowanie i marketing. Znała jednego czarodzieja, który zajmował się marketingiem. On mógłby jej pomóc znaleźć odpowiednich ludzi...

Drzwi do kuchni otworzyły się. Sophie, pogrążona w rozmyślaniach, znów prawie spadła ze stołka. Odzyskała równowagę i była gotowa stawić czoło panu Deveraux.

– Tak mi przykro, proszę pana – zaczęła, odwracając twarz w stronę, jak sądziła, zdenerwowanego gospodarza.

Słowa zamarły jej na ustach.

– Nie ma czym się martwić, Sophie – powiedziała gospodyni. – Pan Deveraux miał długie i ciekawe życie. Odszedł w płomieniach chwały, jak przystało na wampira w jego wieku i o jego pozycji.

Sophie była zbyt zszokowana, żeby cokolwiek powiedzieć. W jaki sposób wampir tak stary jak pan Deveraux mógł być tak nieuważny, żeby się zapalić? Jej świece były magiczne. Zdmuchnięcie przynajmniej jednej z nich powodowało, że reszta gasła. To była bezpieczna atrakcja jej własnego pomysłu, zaprojektowana specjalnie dla wampirów. Zagrożenie istniało tylko podczas prezentacji tortu.

Zmrużyła oczy i powiedziała: – Nie rozumiem.

Pani Deveraux machnęła ręką.

– Nie masz się czym martwić. Nie mam zamiaru żądać od ciebie rekompensaty. – Spuściła głowę i dokładnie zaczęła się przyglądać swoim zadbanym paznokciom. – To była całkowicie moja wina. Potknęłam się na dywanie i tort zsunął się na pana Deveraux. Zapaliła się jego marynarka. To był nieszczęśliwy wypadek.

Spojrzała na Sophie.

– Jestem pewna, że cieszysz się, iż nie uważam, abyś w jakikolwiek sposób zawiniła.

Sophie była wystarczająco bystra, żeby zauważyć groźbę w jej słowach. Wzruszyła ramionami.

– Tak, bardzo się cieszę z tego powodu.

Promienny uśmiech powrócił na usta pani Deveraux.

– Czy mogłabyś w takim razie przyjść i trochę posprzątać? Na torcie jest nieco popiołu, ale jestem pewna, że twoja magia będzie go w stanie usunąć. Dzięki temu będziemy mogli się nim delectować. Zarówno ja, jak i moi goście wiele słyszeliśmy o twoich wspaniałych wypiekach. Szkoda byłoby go wyrzucać. Czy przyjdiesz i usuniesz popiół? Proszę.

Sophie machnęła ręką i z szafki wyfrunęła szpatułka. Poszła za panią Deveraux do salonu, rzucając tylko pobieżnie okiem na osoby znajdujące się na przyjęciu. Wbrew temu, czego się spodziewała, wszyscy obecni jakoś szybko wyszli z szoku po niedawnej tragedii. Na sali słychać było rozmowy, śmiechy i brzęk szkła, tak jakby to, co miała teraz zrobić Sophie, było tuszowaniem jakiejś kulinarnej wpadki, a nie pozbywaniem się resztek gospodarza.

Sophie przyjrzała się tortowi. Faktycznie, tylko połowa pokryta była popiołem. Na ziemi leżała mała, jakby diamentowa, mieniąca się kupka czegoś podobnego do piasku. Zaczęła usuwać ślady pana Deveraux z tortu i świeczek, kiedy nagle wdowa położyła jej rękę na ramieniu.

– Proszę się też pozbyć tych świeczek. Są koszmarnym wspomnieniem... no, wiesz czego.

Sophie przytaknęła. Pani Deveraux okazała więcej smutku po swoim zmarłym mężu niż którykolwiek z gości. Cieszyła się, że nie poznała solenizanta osobiście. Musiał być bardzo niemiłą osobą, skoro jego odejście zostało przyjęte z taką obojętnością.

Sophie wymówiła zaklęcie i świeczki zniknęły. To sprawiło, że łatwiej

było załatać lukier. Kiedy skończyła z tortem, wypowiedziała kolejne zaklęcie i pojawiła się szczotka ze zmiotką. Zebrała z podłogi resztki gospodarza zmieszane z lukrem, który odpadł, i kiwnęła w stronę pani Deveraux, udając się ponownie do kuchni.

Wsypała śmieci do kosza i przez chwilę patrzyła na jego zawartość. To był pierwszy raz, kiedy coś takiego jej się przydarzyło. Słyszała różne historie o wampirach, które ginęły w głupi sposób. Zdarzało im się to częściej, niż ludzie sobie wyobrażali. Wampiry bardzo lekko podchodziły do sprawy swojej nieśmiertelności i nie słuchały głosu rozsądku.

Sophie wzięła pozostałości pana Deveraux do ręki i pozwoliła, żeby przesypały jej się przez palce. Pomyślała o portrecie, który wisiał nad kominkiem. Pan Deveraux umarł w dniu swoich sto pięćdziesiątych urodzin, ale wyglądał jak trzydziestokilkulatek. To był maksymalny spowalnicz starzenia.

Wyprostowała się. Jak to robiły? Jak to robiły, że nie starzały się pomimo upływającego czasu?

Po pierwsze piły krew.

Sophie zmarszczyła brwi, koncentrując się. Próbowwała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o fizjologii wampirów. Pamiętała, że gdzieś czytała, iż krew dostarczała im niezbędnych wartości odżywczych, które nie mogły być czerpane z normalnego jedzenia. Wampiry miały też wszystkie organy wewnętrzne, ale te nie funkcjonowały, były jakby zamrożone w ich ciele. Sophie podejrzewała, że pozwalało im to zachować wygląd normalnego człowieka.

Co w takim razie czyniło ich nieśmiertelnymi? Organy, które nie ulegały atrofii, które nie chorowały i nie starzały się? Czy to powstrzymywało proces starzenia?

Nie wiedziała. Nie znała też nikogo, kogo mogłaby spytać. Wiedźmy i wampiry raczej się unikały. Ona była wyjątkiem, tak jak inne czarownice pracujące w sektorze usług.

Spoglądała nieustannie na popioły. To była jego esencja, pomyślała. Co by się stało, jakbym dodała tego trochę do swoich kremów? Poczła dreszcz podniecenia. A może tak bym spróbowała? A jeśli to nie tyle zwolni proces starzenia, ale również go odwróci? Byłoby to rewolucyjne odkrycie i należałoby do niej.

Sophie powoli przesyłała prochy do zamykanej plastikowej torebki i włożyła ją do kieszeni. Stała się niespokojna, bardzo chciała iść do domu, żeby przeprowadzić eksperyment. Rzuciła okiem na zegarek. Jeszcze nie było pierwszej. Cholera. Odkąd wampiry uodporniły się na światło słoneczne i nie musiały wracać do domu przed brzaskiem, mogły się rozejść nawet w południe.

Jak się stąd wyrwać wcześniej?

Czy mogłaby poprosić panią Deveraux, żeby pozwoliła jej już wyjść? Naturalnym wytłumaczeniem byłoby, że jest zdruzgotana wypadkiem. Mogłaby powiedzieć, że wróci jutro, żeby posprzątać, a może nawet zaoferuje, że zorganizuje cocktail w czasie odpowiadającym gospodyni. Wampiry były strasznie skąpe i cały czas kumulowały swoje bogactwo. Gospodyni mogłaby się skusić na ten darmowy cocktail.

Sophie zamknęła oczy i życzyła sobie, żeby pani Deveraux przyszła do kuchni. Czekala niecałą minutę. Wdowa zjawila się w drzwiach i wygladała na lekko zdziwioną.

Spojrzała na Sophie, marszcząc brwi: – A to dziwne. Zupełnie zapomniałam, po co tu przyszłam. – Zaśmiała się. – Wydaje mi się, że wydarzenia dzisiejszego wieczoru miały na mnie większy wpływ, niż myślałam.

Sophie wygladała na zupełnie przybitą. Zaczęła nerwowo bawić się rękami, jakby była jakąś niesforną uczennicą stojącą przed surową dyrektorką, i sprawiała, że jej odczucia przelewały się do świadomości pani Deveraux.

Gospodyni natychmiast odebrała sygnały wysyłane przez wiedźmę.

Wyciągnęła w jej stronę rękę, ale nie dotknęła jej. W końcu Sophie to tylko czarownica, a do tego była tu w charakterze służby.

– Proszę, Sophie – powiedziała. – Widzę, jak bardzo jesteś roztrzęsiona. Zapewniam cię, że wypadek dzisiejszego wieczoru nie odbije się szerokim echem.

Sophie uroniła łzę.

– Po prostu strasznie się czuję. To wszystko chyba źle na mnie wpływa. – Żeby dodać całej sytuacji więcej dramatyzmu, przycisnęła pięść do ust.

Pani Deveraux cofnęła się kilka kroków zaalarmowana jej zachowaniem.

– Może powinnaś iść do domu – powiedziała szybko. – Nie wzięłam pod uwagę, jak takie wydarzenie może wpłynąć na kobietę w twoim wieku. Moja służba posprząta jutro. Nie musisz zostawać – powiedziała, ale zaraz dodała: – Oczywiście, oczekuję okresu przedłużonej spłaty...

Wampiry były takie przewidywalne. Sophie utrzymywała maskę nieszczęścia na twarzy.

– Oczywiście.

Po tej bezczelnej uwadze o "kobiecie w jej wieku" (nie było możliwe, żeby pani Deveraux wiedziała, ile Sophie naprawdę ma lat) miała ochotę zapomnieć o ofercie zorganizowania kolejnego przyjęcia. Nie miała jednak zbyt wielu kontaktów z wampirami, gdyby eksperyment się powiódł... Skinęła głową w podziękowaniu dla pani Deveraux i rzekła: – W ramach rekompensaty mogłabym zorganizować cocktail w przyszłości. Bez zapłaty.

To załatwiło sprawę. Pani Deveraux praktycznie wypchnęła Sophie ze swojego domu, radząc jej, żeby zapomniała o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru i żeby jechała ostrożnie.

Sophie poczekała, aż drzwi się za nią zamkną, i uśmiechnęła się. Nie jeździła samochodem. Przyzwała swój transport telepatycznie. Często się teleportowała. Tej sztuczki nauczyła się od starszej siostry. Niezbyt wiele czarownic potrafiło to robić, bo teleportacja wymagała dużej koncentracji. Jeżeli była podekscytowana lub rozkojarzona, mogła znaleźć się w innym

stanie lub kraju. Dziś wieczór była zarówno podekscytowana, jak i rozkojarzona. Lepiej nie ryzykować.

Poza tym lubiła wspierać miejscowe firmy. Ta, z której usług korzystała, była własnością jednego czarodzieja. Dla osób nadnaturalnych były specjalne zniżki na transport w nietypowych godzinach. Czasami trzeba było czekać na samochód dość długo, ale tym razem Sophie miała szczęście.

Taksówka pojawiła się na podjeździe. Sophie weszła do samochodu, pozdrowiła kierowcę i podała adres. Taksówkarz nie zwrócił uwagi na powitanie, tylko ruszył z piskiem opon, zanim pasażerka zdążyła zamknąć drzwi. Sophie uderzyła potylicą o zagłówek.

Mieliśmy ciężki dzień, co? – pomyślała i zaczęła rozważać czy nie mogłaby uczynić go jeszcze gorszym, sprawiając, żeby kierowca dostał kurzajek.

Szybko jednak jej myśli stały się weselsze. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w domu i wymiesza swój krem z tym, co pozostało po panu Deveraux. Wyjęła torebkę z kieszeni i stwierdziła, że nie ma tam za dużo popiołu, włączając nawet to, co zeskrobała z tortu. Stwierdziła, że całość wypełni może z pół miarki. Będzie musiało być bardzo skoncentrowane.

Samochód zatrzymał się przed jej domem z podobną gwałtownością, z jaką ruszył sprzed posiadłości państwa Deveraux. Głowa Sophie odskoczyła. Zapłonął w niej gniew. Podniosła rękę i już miała sprawić, że na nosie taksówkarza pojawi się wielka kurzajka, ale kiedy ten się odwrócił, urwała w pół gestu. Świetnie. Spośród wszystkich kierowców w tym mieście ja oczywiście muszę trafić na trolla. Jego włochata twarz była już pokryta kurzajkami. Poza tym każdy wiedział, że trolle były fatalnymi szoferami.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani. Poproszę dwadzieścia dolców – powiedział gardłowym głosem.

Wyjęła dwadzieścia dolarów i dorzuciła jeszcze piątkę, chociaż nie zasługiwał na napiwek. Miała słabość do trolli. Nie mogły nic poradzić na swój wygląd czy koszmarny temperament. U nich to była sprawa genów.

Tym razem poczekał, aż wysiądzie z taksówki, i dopiero wtedy ruszył z piskiem opon.

Sophie weszła do domu. Mieszkała na obrzeżach miasta, na tyle blisko od centrum, żeby móc chodzić do swoich ukochanych teatrów i muzeów, a jednocześnie na tyle daleko, aby w spokoju i bez wzbudzania zainteresowania sąsiadów uprawiać magię. Jej azyl był mały, ale wygodny, pełen różnych drobiazgów, takich jak kamienie, muszle, rośliny i kwiaty.

Najlepszym miejscem do pracy była piwnica. I tam właśnie Sophie skierowała swe kroki. Zatrzymała się tylko po to, żeby włączyć światło na korytarzu. Na dole urządziła sobie warsztat wyposażony w potrzebne sprzęty, kociołki i zioła, kuchenkę i ogromny zlew. Na licznych półkach znajdowały się składniki potrzebne do produkcji kosmetyków. Wszystko poukładane tak, żeby ułatwić jej pracę.

Sophie nie mogła pracować, jeśli nie była zorganizowana.

Związała włosy, założyła czepek i zabrała się do eksperymentu. Po czterdziestu minutach kociołek pełen ingrediencji bulgotał na kuchence i Sophie uznała, że nadszedł czas, aby dodać nowy składnik i zobaczyć, co się stanie. Jej dłoń trzęsła się z podniecenia, gdy odmierzała pół łyżeczki pana Deveraux. Wbrew pozorom nie wiedziała, jaki będzie wpływ popiołów na kosmetyk. A skoro miała być królikiem doświadczalnym, stwierdziła, że musi zachować ostrożność. Zawsze przecież będzie mogła dodać ich więcej do następnej partii.

Zamieszała w kociołku i popioły niemal natychmiast rozpuściły się w kremie. Teraz musi tylko poczekać, aż masa przestygnie. Nie mogła ustać w miejscu. Niecierpliwość buzowała w niej tak, jak bąbelki w butelce szampana, który ma właśnie zostać otwarty. Co chwila wkładała palec do kociołka, sprawdzając, czy jego zawartość jest już chłodna, ale za każdym razem tylko się parzyła. Dlaczego to cholerstwo tak długo stygnie? Znała liczne zaklęcia, żeby coś rozgrzać do czerwoności, ale żadnego, żeby zmrozić. Będzie musiała nad tym popracować, ale to później.

Wreszcie mikstura osiągnęła właściwą temperaturę i Sophie mogła przełożyć jej część na szklany talerz. Zamieszała palcem, sprawdzając teksturę. Nie była ani za tłusta, ani za lekka. Podniosła talerz i powąchała. Interesujący aromat cytrusów... Z lekką nutą piżma? Powąchała jeszcze raz. Mikstura powinna pachnieć cytrusami, ale piżmo? Była zbyt podniecona, ale wreszcie zdała sobie sprawę, że był to zapach pana Deveraux. W końcu był mężczyzną. Być może w następnej partii doda esencji jaśminu albo plumerii, żeby to przytłumić.

To nie miało zresztą teraz znaczenia. Nadszedł czas, żeby wypróbować kosmetyk i zobaczyć, czy spełni jej oczekiwania.

Lekko trzęsącą się ręką nabrała krem na palce. Podeszła do lustra i nałożyła go na twarz. Bardzo szybko się wchłonął, nie pozostawiając tłustych smug na skórze. Bardzo dobrze. Poczuła lekkie mrowienie na policzkach. To dobra rzecz, jeśli chciała sprzedać swój produkt. Czuło się, że są jakieś aktywne składniki w kremie i naprawdę coś robił z jej twarzą. Było to zasługą jego oryginalnej formuły. Wszystko było zasługą formuły.

Jak na razie nie poczuła i nie zobaczyła niczego. Żadnego rozkwitu młodości. Nie czuła napięcia skóry, które byłoby sygnałem powrotu do młodzieńczego wyglądu.

Może potrzeba było więcej czasu.

Patrzyła na swoje odbicie i czekała.

Poddała się po piętnastu minutach. Odwróciła się od lustra, wzruszając ramionami. Postanowiła, że nie będzie czuć się zawiedziona. To była dopiero pierwsza próba. Spojrzała na kociołek i zastanowiła się, czy powinna dziś wieczór powtórzyć eksperyment, ale jej zmęczone ciało wreszcie doszło do głosu i udała się na górę, żeby odpocząć.

Tuż po przebudzeniu pobiegła do łazienki, żeby przejrzeć się w lusterku. Śniła, że krem zadziałał, a jej sny były często zapowiedzią przyszłych wydarzeń.

Niestety, nie zauważyła żadnych zmian. Nadal miała kurze łapki w

kącikach oczu. Pomimo że nie wierzyła, iż krem może zadziałać także na jej siwe włosy w okolicach skroni, tam również go wtarła. Zbeształa się za tak bezsensowne pomysły. Gdyby chciała zmienić kolor włosów, miała przecież tysiące konwencjonalnych ludzkich sposobów, żeby tego dokonać. Tyle że ona szukała czegoś innego. Czegoś, co ujęłoby jej lat, a nie je zatuszowało.

Powróciła ponownie do swojej piwnicy. Tym razem dodała pełną łyżeczkę popiołu do nowej porcji kremu. Nałożyła go na twarz i zajęła się codziennymi obowiązkami.

Jako że była aktywna zawodowo, nie mogła pozwolić sobie na lenistwo. Oprócz firmy cateringowej miała też klientów, którzy przychodzili po wróżby i zaklęcia. Musiała pozbierać zioła, odprawić rytuały związane z magią ziemi. Miała dość wysoką pozycję w tej części kraju i dużo czasu poświęcała na korespondencję z równymi sobie z całego świata. Zwykle dzień mijał szybko, z czego była zadowolona.

Dzisiaj jednak Sophie czuła się nieswojo, a zniecierpliwienie brało górę. Nie mogła się skoncentrować na wróżbach, nie interesowały jej zaklęcia. Zupełnie zignorowała prace w ogrodzie i nawet nie odpowiedziała na e-maile, chociaż wiadomość od siostry oznakowana była jako ważna.

Kiedy nadszedł wreszcie wieczór, spojrzała w lustro. Nie zauważyła żadnych raptownych zmian. W zasadzie nie zobaczyła żadnych zmian w ogóle. Patrzyła na swoje odbicie i zmarszczyła brwi.

Chwilę później wściekła się na siebie. Zdała sobie sprawę, dlaczego jej dzień był taki bezproduktywny i jaki był powód jej zniecierpliwienia. Była samolubna i pobłażała sobie. Były to cechy zupełnie niezgodne z jej charakterem. Dała się złapać w pułapkę bezsensownego marzenia. Wiedziała, że nic poza przemianą w wampira nie mogło odwrócić efektów starzenia. Co ją opętało, że tak zaczęła myśleć? Przecież jej formuły i tak były magiczne. Nie musiała polegać na czyichś popiołach, żeby działały.

Lepiej, żeby trzymała się swoich oryginalnych metod. I tak były cholernie dobre. Wystarczyło na nią spojrzeć, przecież miała osiemdziesiątkę. Nikt jej

nie wierzył, kiedy mówiła, ile ma lat. Poza tym nawet jeśli formuła by zadziałała, to skąd miałyby wziąć więcej popiołów wampira? Więcej wypadków ze świeczkami na urodzinach? Raczej mało prawdopodobne.

Popędziła do piwnicy zdeterminowana, żeby wyrzucić pozostałości pana Deveraux. Otworzyła szufladę i wyjęła torebkę. Miała już nawet nogę na podnośniku kłapy kosza na śmieci, ale coś ją powstrzymało.

Sen. Sen, który miała zeszłej nocy. Zamknęła oczy i przywołała obraz. We śnie stała dokładnie w tym samym miejscu i kiedy spojrzała w lustro, jej odbicie wyglądało nie tylko na znacznie młodsze, ale i ładniejsze. Miała długie, ciemne rzęsy, pełne usta i jędrne ciało. Była idealna i piękna. Krem zmienił nie tylko jej twarz, ale i całą resztę.

Dla kobiety, która zawsze uważała się za przeciętną (ale nie nieatrakcyjną), to był czarujący i kuszący miraż. W rzeczywistości ona nie chciała go porzucić.

Sophie podjęła decyzję, że spróbuje jeszcze raz. Tym razem postanowiła dodać całą resztkę pana Deveraux do kociołka. Gdy krem ostygł, nałożyła go na twarz.

Nie czekała, aż coś się stanie, i poszła od razu do łóżka. Jeśli po przebudzeniu nie dostrzeże żadnej zmiany, nie będzie już więcej o tym myśleć. Skontaktuje się natomiast z czarownicą, która była agentem nieruchomości, i poprosi ją o poszukanie jakiegoś lokalu, w którym mogłaby zacząć produkcję swojego kremu na noc. Jej kremu, bez żadnych wampirzych dodatków.

Głos usłyszała o 2.30 rano. Przynajmniej tak jej się wydawało. Sprawił, że usiadła na łóżku z walącym sercem. Rozejrzała się dookoła. Była tak przerażona, że wskoczyła pod kołdrę i machnięciem ręki zapaliła wszystkie światła. Kiedy cały dom był rozświetlony, odważyła się wyrzeć.

Była sama. Wyszła z łóżka i po kolei sprawdziła każdy pokój, żeby upewnić się, iż naprawdę nikogo obcego nie ma. Spenetrowała wszelkie możliwe zakamarki, prawie wczołgała się pod łóżko i każdy większy mebel.

Kiedy już skończyła, czuła się bardziej zażenowana niż przestraszona.

Co się z nią działo?

Zupełnie rozbudzona podreptała do piwnicy. Stwierdziła, że w zasadzie może posprzątać cały ten bałagan, który wczoraj zrobiła. Dobrze, że nie widziała jej żadna z koleżanek po fachu. Gdyby tak się stało, mogłaby wylecieć z zarządu Towarzystwa Pomocy Wiedźmom. Nikogo nie powierzono by jej opiece, gdyby jej tchórzostwo wyszło na jaw. I to dlaczego? Przez jakiś szept w głupim śnie. Sophie rozejrzała się, gdy wszystko zostało już posprzątane. Zdawała sobie jednak sprawę, że w głębi serca czai się wąż, który tylko czeka na wpompowanie jadu do jej duszy, oczywiście, jeśli mu na to pozwoli. Naprawdę bardzo chciała, żeby krem zadziałał. Wreszcie świat by ją zauważył i docenił. Zawsze o tym marzyła. Krem byłby jej przepustką do sławy. Byłaby witana w każdym towarzystwie, ponieważ mogłaby zaoferować coś, czego jeszcze nikomu nie udało się osiągnąć – stworzyć fontannę młodości. To byłoby...

– Mój Boże, jak długo będę jeszcze musiał słuchać tych bzdur?

Głos pojawił się tuż przy uchu Sophie. Zaskowyczała zaszokowana. Okręciła się z zaciśniętymi pięściami, gotowa do rzucenia zaklęcia ochronnego.

Była sama. Jak to było możliwe? Jej serce waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Kto tutaj jest? – krzyknęła, a adrenalina sprawiła, że jej głos brzmiał bardzo szorstko. – Jestem potężną czarownicą. Jeśli się zaraz nie pokażesz, wyślę cię do Hadesu w milionach kawałków.

Usłyszała chichot. Dokładnie przy uchu.

– Obawiam się, że już to załatwiłaś, więc mogę się ujawnić. Jednakże jeśli spojrzysz w tamto lustro, będziemy to mogli łatwiej wyjaśnić.

To był męski, władczy głos z odrobiną brytyjskiego akcentu.

Sophie nie poruszyła się. Obawiała się, że to może być jakaś sztuczka. W końcu było wiele niewidocznych stworzeń na tym świecie i nie wszystkie

przyjazne. Żeby walczyć, musiała się dowiedzieć, z czym dokładnie ma do czynienia.

– Nie mam zielonego pojęcia, czym teraz jestem – odpowiedział głos, jakby czytał w jej myślach. – To też załatwiłaś. A teraz podejdź do lustra, bo chciałbym się dowiedzieć, nawet jeśli ty nie masz na to ochoty.

Potem nogi Sophie mimowolnie poruszyły się w kierunku lustra. Próbowwała jakoś temu zapobiec, wbijając stopy w posadzkę i łapiąc się blatu, ale nie mogła. Coś ciągnęło ją do lustra jak jakąś kukiełkę. Gniew w niej zapłonął. Czymkolwiek to było, nie zmusi jej do otwarcia oczu. Zaciśnęła powieki i zakryła je dłońmi.

– Na miłość wszystkiego nadnaturalnego na tym i tamtym świecie, czy przestaniesz się zachowywać jak jakieś dziecko? Ty to zrobiłaś. Przynajmniej pozwól mi zobaczyć, w jakim więzieniu mnie zamknęłaś.

Zaczęła panikować. Głos miał rację. Czymkolwiek było, zagnieździło się w niej. Jak to możliwe? Wiedziała o opętaniach, ale to, co w niej było, nie było diabłem. A poza tym jeszcze nie lewitowała i nie bluzgała...

– Jeszcze nie – powiedział głos. – Ale jeśli nie otworzysz oczu za dziesięć sekund, będziesz z siebie wyrzucać coś więcej niż tylko bluźnierstwa. Obiecuję ci to.

Sophie z trudem przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

Otworzyła jedno oko. Drugie otworzyło się samo.

Dobry Boże! Na co ona patrzyła?!

Potała oczy i jeszcze raz spojrzała w lustro.

– Co, do...

W głosie słyhać było zarówno przerażenie, jak i rozbawienie.

Prawa ręka Sophie sięgnęła do podbródka i obróciła go w prawo, a potem w lewo.

– Jesteś dziewczyną – powiedział przerażony głos. Dziewczyną.

Sophie nie mogła zignorować podniecenia, jakie przeszło przez jej ciało. Twarz w lustrze była jej, ale nie do końca. Wyglądała znów na dwadzieścia

lat. Skóra tej młodej kobiety była gładka, bez zmarszczek, jej rzęsy były długie, a usta pełne.

Cofnęła się o krok, żeby zobaczyć całą resztę. Ciało było jędrne i idealne. To było ciało z jej snu!

Sophie westchnęła. Krem zadziałał!

– Krem? Jaki krem? Co się dzieje?

Podniecenie Sophie przerodziło się w irytację. Wtargnięcie głosu do jej myśli przyniosło inny rodzaj emocji, które były różne od jej własnych. Miała dwie oddzielne i różne osobowości zamieszkujące w jej idealnym ciele. I ona wiedziała, do kogo należała ta druga.

– Pan Deveraux? – wyszeptała.

– Skąd wiesz, kim jestem?

Kiwnęła do lustra.

– Wydaje mi się, że to jest moja вина.

– Wydaje ci się? – zahuczał. – Co zrobiłaś, wiedźmo?

Ramiona Sophie trochę opadły, kiedy opowiadała. Poczowała jego gniew i frustrację, która wymieszała się z jej poczuciem winy. Kiedy skończyła, nastąpiła zmiana. Jego furię zastąpiło rozbawienie absurdalnością całej sytuacji.

– A więc to jest rezultat eksperymentu, który się nie udał?

Sophie najeżyła się.

– Nie do końca. Eksperyment jak najbardziej się udał.

– Naprawdę? Jestem uwięziony w ciele czarownicy. Tak to miało wyglądać?

Sophie wzruszyła ramionami.

– No cóż. Nie do końca. Pana resztki miały sprawić, że będę... – zrobiła piruet przed lustrem – właśnie taka jak teraz. Ale pan nie miał być we mnie. Mam na myśli pana mentalną część.

Pan Deveraux parsknął.

– Jakie to typowe dla kobiety. Pragnie mężczyzny tylko ze względu na

jego ciało.

Sophie poczuła, że się czerwieni.

– Nie to miałam na myśli. Myślałam, że pańskie prochy...

– Co jest kolejną rzeczą, którą musisz mi wyjaśnić – przerwał jej. – Co ty myślałaś, pozwalając mojej żonie zająć się taką rzeczą jak płonący tort? Co z ciebie za człowiek od cateringu? Czy to było twoje pierwsze wampirze przyjęcie?

Teraz Sophie mu przerwała: – Chwileczkę. Ostrzegłam ją o niebezpieczeństwie i proponowałam, że sama zaprezentuję tort. Nie chciała o tym w ogóle słyszeć. A, szczerze mówiąc, nalegała, że sama to zrobi, bo to była jej niespodzianka.

W momencie, gdy te słowa zostały wypowiedziane, ta sama myśl pojawiła się w głowie Sophie i umyśle pana Deveraux.

Sophie była zszokowana, ale uczucia pana Deveraux były całkiem inne. Przez ciało Sophie przetoczył się jego gniew.

– To nie był wypadek.

Powiedzieli te słowa jako jedno. Niezbyt głośno, ale ich echo odbijało się w ich podświadomości.

Sophie bała się zadać następne pytanie, ale czuła, że jest to winna zarówno sobie, jak i panu Deveraux.

– Ale dlaczego miałyby zrobić taką rzecz?

Pan Deveraux nie odpowiedział. Sophie czuła kłębiącą się burzę jego różnorodnych emocji. Ogromny żal przerodził się w zawód, który następnie przeszedł w furię i poczucie zdrady.

Przez jej wspomnienia tamtej nocy pan Deveraux zobaczył zachowanie swojej żony i zinterpretował je. Sophie miała wrażenie, że wózek został na niego popchnięty specjalnie. Gospodyni nie potknęła się. Kiedy pan Deveraux odwrócił się w jej stronę, gdy jego marynarka płonęła, na twarzy pani Deveraux widniał uśmiech. Oddaliła się od niego w objęcia młodego mężczyzny, który wyciągnął do niej dłoń.

Teraz pan Deveraux zaczął pałać chęcią zemsty.

– Co ma pan zamiar zrobić? – zapytała.

To wywołało chichot, który sprawił, że Sophie dostała gęziej skórki.

– Chcesz powiedzieć, co my mamy zamiar zrobić, nieprawdaż?

Pokręciła głową.

– Ja nie mogę być częścią zła. Jestem dobrą czarownicą.

Pan Deveraux zamilkł, a Sophie zaczęła się dziwnie z tym czuć. W końcu zapytał: – Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Nagła zmiana tematu sprawiła, że Sophie stała się ostrożna. Obróciła się dookoła tak, żeby jej oczy przeczesaly okolicę.

– To jest mój dom.

– Mieszkasz w... – zatrzymał się, szukając właściwego słowa – magazynie?

Pokręciła głową.

– To jest piwnica. Tutaj robię moje... – przerwała.

Może nie powinnam mu mówić, co robię. To może spowodować powrót do tematu, jak zaczęła się ta cała sytuacja.

Nie wydawało się to mieć większego znaczenia dla pana Deveraux, gdyż dalej nie pytał.

– Pokaż mi resztę domu – powiedział. – Mam nadzieję, że jest ładniejszy niż to pomieszczenie.

Sophie opanowała jego protekcyjny ton.

– To jest bardzo ładny dom. Uwielbiam go.

– Więc mi go pokaż.

Sophie zaczęła powoli wspinać się po schodach. W duchu przygotowała się na zniewagi, zdawała sobie bowiem sprawę, że pan Deveraux był właścicielem przepięknej posiadłości w najlepszej części miasta. Ona natomiast mieszkała w wiejskim domku na jego obrzeżach. Pomimo że kochała swój azyl, pan Deveraux może go nie docenić.

I nie docenił.

Kiedy zakończyła oprowadzanie, które trwało jakąś minutę, pan Deveraux zamilkł.

Po chwili powiedział: – No dobrze. Coś z tym możemy zrobić. W tej chwili przenosimy się do mojej posiadłości. W końcu do mnie należy.

– A co z panią Deveraux? – zapytała Sophie, starając się wykazać istnienie drobnego problemu.

Pan Deveraux prychnął.

– Jak to co z nią? Sprawi mi ogromną przyjemność, jak kopnę moją żonę w jej piękny tyłek. Powinna znaleźć sobie ze swoim chłopakiem jakieś miejsce do mieszkania.

Przez ciało Sophie przeszedł dreszcz. Nie pytała, jak zamierza to osiągnąć, ponieważ знаła odpowiedź na to pytanie. Pan Deveraux nie miał zamiaru wyrzucać swojej żony. Miał bardziej złowieszcze plany wobec niej i jej chłopaka.

– To nie będzie przyjęcie, żeby zabić? – spytała Sophie.

Spodziewała się wybuchu, lecz zamiast tego pan Deveraux zmienił temat.

– Chyba jestem głodny – powiedział, a w jego głosie słychać było zmieszanie i grozę. – Mam ochotę na jedzenie. Ludzkie jedzenie.

Sophie spanikowała. Czy on łaknął ludzi? Czy zamienił picie krwi na jedzenie ludzkiego mięsa? Czy było to skutkiem połączenia ich gatunków? Nie miała czasu, żeby zastanowić się nad tymi wszystkimi problemami. I tak było wystarczająco źle.

Pan Deveraux zaczął się śmiać.

– Nie, głuptasie. Mam ochotę na stek. Na stek z frytkami i może piwo.

Sophie pokręciła głową.

– Nie mam ani steku, ani piwa. Jestem wegetarianką i nie piję alkoholu. Mogę ci upiec ziemniaki.

Długie westchnienie pełne irytacji wydostało się z ust... pana Deveraux?

– Po raz pierwszy od półtora wieku mogę delektować się jedzeniem i zostaję zamknięty w ciele niepijącej wegetarianki. A teraz wyjaśnijmy sobie

jedną rzecz, panienko. Jeżeli mam żyć jako kobieta, będziesz musiała pójść na kilka ustępstw. Pierwszym z nich jest znalezienie dla mnie steku i piwa.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić – odrzekła Sophie. – Powiedziałam panu, że nie jem mięsa. Nie jestem nawet w stanie go dotknąć. Musi się pan nauczyć...

Sophie nie dokończyła zdania, bo nie była w stanie. Została pozbawiona powietrza. Czowała, jakby pan Deveraux napompował balon wetknięty koło jej serca, odcinając dopływ tlenu. Dusząc się, upadła na kolana. Ból się nasilił, wzrok zasnuła mgła. Czowała, że zaczyna tracić świadomość. Ciemność zaczęła ją otaczać i Sophie wiedziała już, jak to jest, kiedy się umiera.

I wtedy się skończyło.

Przetoczyła się na plecy, łapiąc oddech.

Głos pana Deveraux przebił się przez jej strach: – Musimy współgrać, Sophie. Postarajmy się, żeby wyszło to nam jak najlepiej.

Po raz pierwszy użył jej imienia i to ją zmroziło. Pozbierała się w sobie i usiadła. Jej koszula nocna podwinęła się do pasa i Sophie wygładzała ją, zażenowana, że pokazała swoje ciało. Pan Deveraux wydawał się dziwnie oddalony od jej umysłu, jakby dawał jej czas, żeby doszła do siebie.

To jej nie pocieszyło. Ta demonstracja sprawiła, że to on pokazał, kto tu rządzi. Dał jej fizyczne piękno, ale odebrał zarazem wolną wolę.

– Czy teraz dobrze się już czujesz?

Sophie wstała.

– A jak się panu wydaje?

Zignorował sarkazm w jej głosie.

– Mieszkasz sama?

Kolejna zmiana tematu przetoczyła się przez jej żyły jak lód.

– Tak.

– Żadnego chłopaka, męża?

Sophie wzruszyła ramionami.

– Nie.

– W takim razie wdowa?

– Nie.

Sophie poczuła lekkie sondowanie umysłu i, bardziej niepokojące, ciała. Potem poczuła zaskoczenie pana Deveraux.

– Jesteś dziewicą? Żyłaś prawie osiemdziesiąt ludzkich lat i nigdy nie uprawiałaś seksu?

Sophie poczuła się tak, jakby to była jakaś straszna rzecz i jakby właśnie go zawiodła.

– No nie. To się staje coraz lepsze – jęknął. – Zero czerwonego mięsa, zero alkoholu, zero seksu. Co to, do jasnej cholery, znaczy?

– Chciałam pozostać czysta – powiedziała. – Dla mężczyzny, którego pokocham.

– Serio? I jak na tym wyszłaś?

Jego pogarda cięła jak bat.

– Przynajmniej moja żona nie podpaliła mnie osobiście, żeby się mnie pozbyć – odgryzła się.

Pan Deveraux ponownie zamilkł. Sophie pogratulowała sobie tego małego zwycięstwa i poszła do kuchni. Filiżanka herbaty dobrze by jej zrobiła.

– Kawy – poprawił ją pan Deveraux.

– Nie – odpowiedziała Sophie. – Herbaty.

Czekała, aż coś się wydarzy, że pan Deveraux znowu ją jakoś skrzywdzi, ale nic takiego się nie stało. Ponownie był dziwnie nieobecny. Wydawało się, że ma podobne odczucia jak ona. Być może jego okrucieństwo odbiło się także na nim i ból, który jej zadał, jego także dotknął.

Zaparzyła herbatę i usiadła przy stole kuchennym. W głowie kłębiły jej się różne myśli. Nie miała bladego pojęcia, co powinna zrobić. Z jednej strony mogła spełnić swoje marzenie. Miała teraz ciało ponętnej dwudziestolatki. Ale niestety, musiała je dzielić z mężczyzną, który nie wahał się sprawiać jej bólu. Z mężczyzną, który nie był zbyt miły i który mógł być nawet nikczemny.

Bardzo chciała z kimś porozmawiać o swoim problemie. Pomyślała o Belindzie, swojej siostrze. Ale ona mieszkała w San Diego, a poza tym zawsze miała jakieś sprawy na głowie. No i Belinda balansowała na granicy białej i czarnej magii, więc nie zawsze można było ufać jej wskazówkom.

Piła herbatę i patrzyła na swoje odbicie w kuchennym oknie. Włosy opadły jej na ramiona, a oczy lśniły w oczekiwaniu. Gdyby zobaczyła taką kobietę w kawiarni czy restauracji, pewnie by jej zazdrościła. Pięknym kobietom przytrafiały się wspaniałe rzeczy. Partnerzy, mężowie i rodziny, które zalewały je miłością. Piękne kobiety szybko uczyły się, kiedy mogą dostać coś za czarujący uśmiech.

Sophie nigdy nie miała czarującego uśmiechu.

Pan Deveraux śmiał się z niej, kiedy mówiła, że zachowała czystość. Sophie zdała sobie sprawę z tego, że pewnie znał prawdę. Nigdy nie miała okazji, bo nigdy nie miała chłopaka.

– Na to coś poradzimy.

Pan Deveraux powrócił. Tym razem ton jego głosu nie był zgryźliwy, ale wesoły.

– Właśnie odbywałem wycieczkę po okolicy – powiedział radośnie. – Nie jest tu tak źle. Masz bystry umysł, i to naprawdę bystry jak na kobietę. Masz też smykałkę do interesów i zniewalające ciało. Sophie, masz naprawdę niezłe możliwości.

Sophie aż się bała zadać to pytanie: – Możliwości do czego?

– W zasadzie do wszystkiego. Na przykład ten krem na noc. Świetny pomysł. Coś z nim możemy zrobić.

Sophie pokręciła głową.

– Myślałam o tym. Posłuchaj, to, co mi się przydarzyło, to znaczy nam... Jeśli będziemy chodzić po okolicy, podpalając wampiry, na pewno wzbudzi to niepotrzebną uwagę ze strony społeczności. Raz czy dwa może być wypadkiem, więcej oznacza wojnę.

Cmoknął.

– Nie rozumiesz mnie. Nie będziemy używać popiołów.

– A co?

– Krew.

– Krew?

– Tak. Miałaś rację, przypuszczając, że popiół jest skoncentrowaną esencją wampira. Krew jednakże jest źródłem energii fizycznej wampira. Krew sprawia, że wampir jest silny i kontroluje upływ czasu. Rozumiesz?

Sophie przytaknęła. To miało sens. Jeśli dodaliby do kremu krwi, osoba, która go używa, miałaby korzyści z bycia młodzieńczo pięknym bez...

O czym ona myśli?

Sophie pisnęła na znak protestu.

– Jeśli stwierdziliśmy, że podpalanie wampirów stanowiłoby problem, to co się będzie działo, jeśli będziemy pozbawiać ich krwi?

– No cóż. Muszę przyznać, że jest kilka szczegółów do dopracowania.

Powiedział to tak lekko, że Sophie stała się czujna.

– Co pan znowu kombinuje? – zapytała.

– Jesteśmy połączeni od niespełna dwudziestu czterech godzin, a ty już mnie rozgryźłaś. No dobrze, przyznam się. Potrzebujemy osobnika do testów, zgadza się?

Sophie przytaknęła.

– Pewna osoba chodzi mi po głowie.

Ponieważ była to głowa Sophie, ta doskonale wiedziała, kogo pan Deveraux ma na myśli.

– Jak pan sobie wyobraża, że pani Deveraux się zgodzi...

Fala spokoju zalała jaźń Sophie, która jednak nie utraciła czujności. Wzdrygnęła się.

– Nie będę czynić nic złego – powiedziała Sophie jakby po raz tysięczny.

Tym razem zalała ją fala oburzenia pana Deveraux.

– Już wzięłaś udział w czymś złym. Zrobiłaś ten cholerny tort, który mnie zabił.

– Przecież nie będziemy musieli jej zabić, prawda?

– Oczywiście, że nie – ton głosu pana Deveraux raptownie się zmienił. – Co dobrego przyniesie nam jej zabicie? Musimy utrzymać ją przy życiu, żeby mieć jej krew. A jeśli nasz plan się powiedzie, weźmiemy najbardziej niegodziwego wampira i z niego wyssimy esencję. Bogowie wiedzą, że jest ich masa dookoła. Pomyśl o tym, Sophie. Będziemy oddawać przysługę społeczeństwu. Będziemy oczyszczać świat ze złych wampirów i w zamian dawać śmiertelnym kobietom piękno. To jest idealne rozwiązanie.

Sophie westchnęła. Nie mogła uwierzyć, że na poważnie rozważała plan pana Deveraux. Ale część z tego miała sens. Pani Deveraux miała co nieco na sumieniu, a na świecie była ogromna liczba wampirów, które odbierały życie niewinnym ludziom. Sprawiłoby to, że wypadliby z obiegu.

Poza tym ona była jednym z partnerów w tym przedsięwzięciu. Swoim dobrem będzie równoważyć zło pana Deveraux, które będzie chciał przez nią czynić. Takie jak zemsta na gościach z przyjęcia urodzinowego, którzy po jego śmierci dalej się bawili.

Sophie wiedziała, że pan Deveraux wyczuwa ewolucję w jej myśleniu. Poznała to po zmianie jego nastawienia. Zalała ją fala ciepła.

– Jak ma pan zamiar ją podejść? – zapytała Sophie.

Pan Deveraux powitał jej pytanie mentalnym kłaśnięciem rąk.

– Zuch-dziewczyna. Sophie, to będzie początek wspaniałej przygody, obiecuję ci to. A teraz idź się ubrać i spakuj kilka rzeczy do walizki.

– Walizki?

– Powiedziałem ci, że przenosimy się do mojej posiadłości.

Sophie zeskoczyła ze stołu i zaczęła się rozglądać dookoła.

– Ale ja tu tyle lat mieszkałam! Czy musimy się przenosić?

Wydał z siebie prychnięcie niezadowolenia.

– Widziałas przecież moją posiadłość. Chyba nie uważasz, że zamierzam mieszkać u ciebie.

Kiedy jednak wyczuł jej gniew, dodał: – Ale zatrzymamy to miejsce.

Będziesz mogła je odwiedzać, kiedy będziesz chciała. Co ty na to?

Sophie pomyślała przez chwilę. Fakt, widziała całą posiadłość i samochody. Co to szkodzi korzystać z tego przez jakiś czas?

Poszła w stronę sypialni.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – powiedziała. – Jak ma pan zamiar podejść panią Deveraux?

Pan Deveraux nic nie mówił, kiedy Sophie się pakowała. Początkowo czuła się zawstydzona, ubierając się przy nim, ale stała z daleka od luster. Podeszła do jednego tylko po to, żeby rozczesać włosy. Widok odbicia sprawił, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Była naprawdę piękna.

Ale w sukience wyglądała teraz jak strach na wróble.

Pan Deveraux cmoknął.

– Musimy iść na zakupy. Twój gust sięga zamierzchłych czasów.

Sophie nie zamierzała się kłócić, bo miał rację.

Uśmiechnęła się, patrząc na swoje odbicie. Po prostu nie mogła się powstrzymać. Tak samo jak nie była w stanie opanować dreszczu podniecenia przebiegającego po jej ciele. Pan Deveraux powiedział, że wyruszają na spotkanie wspaniałej przygody, a ona jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła.

Odwróciła się od lustra, zamknęła walizkę i powiedziała: – OK. Jaki jest plan?

Sophie czuła, że pan Deveraux się uśmiecha.

– Obiecałaś mojej żonie przyjęcie?

Sophie przytaknęła.

– Tak się składa, że pani Deveraux ma w przyszłym tygodniu urodziny.

– Myśli pan, że mnie pozna? – zapytała Sophie, rzucając spojrzenie w lustro.

– To nie ma znaczenia. Możesz powiedzieć, że jesteś wnuczką Sophie. Jej managerem.

Sophie uśmiechnęła się. To może się udać.

– Oczywiście, że się uda, Sophie – powiedział pan Deveraux. – Wszystko się uda. A teraz chodźmy zobaczyć się z pewną kobietą w sprawie pewnego przyjęcia.



Tanya Huff

Kanadyjska pisarka, mieszka i pracuje w głuszy w południowym Ontario. Tematyka wydanych do tej pory dwudziestu dwóch powieści sięga od heroic fantasy aż po space opera. Największą sławę przyniosły jej jednak książki z serii *Krew Vicki Nelson (Vicky Nelson Blood)*, które zostały zaadaptowane na potrzeby serialu telewizyjnego *Więzy krwi*, wyświetlanego w amerykańskiej i kanadyjskiej telewizji publicznej. Jej dwudziesta trzecia powieść pt. *Serce Valora (Heart of Valor)* została wydana w czerwcu 2007 roku. Wiosną 2008 roku ukazała się jej kontynuacja pt. *Próba Valora (Valor's Trail)*. Poniższa historia ma miejsce w świecie książek z serii *Dym (Smoke)* – *Dym i cienie (Smoke and Shadows)*, *Dym i lustra (Smoke and Mirrors)* oraz *Dym i popioły (Smoke and Ashes)*.

Nakładem Fabryki Słów ukazały się: *Cena krwi* i *Ślad krwi*.

Czerwony kalosz



- Co o tym sądzisz?
- O wystawie?
- O szalu!

Henry podszedł bliżej wystawy *Skarbów Tajlandii* i obejrzał zielonkawy szal, który był w mniej lub bardziej artystyczny sposób udrapowany na szczycie góry zrobionej z papier mache.

– Niezły – powiedział po chwili – ale to nie jest twój kolor. Dla ciebie lepszy będzie turkusowy. – Wskazał drugi szal, imitujący niebo.

– To nie dla mnie – powiedział Tony Foster, patrząc z wyrzutem na swojego towarzysza.

– Ach, dla Lee. W takim razie potrzebujesz jakiegoś głębszego odcienia zieleni.

- To dla Vicki.
- Vicki? – Henry odwrócił się, marszcząc brwi.

Tony wpatrywał się w niego na poły z absolutną niewiarą, na poły z przerażeniem.

– Nie zapomniłeś. Powiedz mi, że nie zapomniłeś. Musiałeś dostać e-maila od Celluciego.

– Chciałeś powiedzieć e-maile.

Henry przez kilka ostatnich tygodni dostawał liczne wiadomości od detektywa sierżanta Michaela Celluciego.

Każda była bezpośrednia w stylu tak charakterystycznym dla adresata, że trudno było orzec, czy jest tylko lakoniczna, czy może już niegrzeczna, i każda po przeczytaniu była od razu kasowana.

– W sprawie urodzin Vicki?

– Tak. Więc... – Tony z wyraźną ulgą po raz kolejny wskazał szal – co o nim myślisz?

– Myślę, że niepotrzebnie się martwisz – odpowiedział mu Henry. – To tylko urodziny.

Tony stanął na środku chodnika i gapił się na bękarta Henryka VIII, kiedyś diuka Richmond i Somerset oraz marszałka Północy, teraz wampira i autora romansów, jakby właśnie wyrosła mu druga głowa.

– Zwariowałeś?!



Tony upił trochę swojej kawy latte i powoli odstawił kubek na drewniany blat kawiarnianego stolika. A potem pochylił się i spojrzał Henry’emu prosto w oczy. Niewiele osób było w stanie to zrobić. Jeszcze mniej miało w ogóle ochotę, sam Tony też nie ośmielał się robić tego zbyt często, jednak teraz chciał mieć pewność, że jego przyjaciel rozumie powagę sytuacji.

– Ona kończy czterdzieści lat.

– Jest nieśmiertelna – przypomniał mu Henry; mimo prowokującej obecności ludzi udawało mu się utrzymywać głód na wodzy.

– Jaką to robi różnicę?

– Będzie miała nieskończenie wiele urodzin. – Henry rozłożył ręce.

– I co z tego? – Tony wykorzystał okazję, by zerwać kontakt wzrokowy, ale tak, by nikt nie posądził go o rejteradę. Przewrócił oczyma. – Skończy czterdziestkę tylko raz.

– I pewnego dnia, jak Bóg pozwoli, skończy sto czterdzieści lat, dwieście czterdzieści...

– Ty tego nie rozumiesz, prawda?

– Najwyraźniej nie. – Henry sięgnął po butelkę z wodą. Lubił to, szczególnie od czasu, gdy picie wody stało się trendy i wielu mieszkańców Vancouver nie tykało innych napojów, zwłaszcza tych zawierających kofeinę lub alkohol. W ten sposób upodobanie do czystej wody czyniło z Henry’ego osobą modną, o publicznie akceptowanych przyzwyczajeniach.

Był to współczesny gest, który sobie cenił, odkąd okazało się, że jest dobrze widziany i nie wyróżnia go z tłumu. Henry obserwował przez chwilę uczucia malujące się na twarzy Tony’ego i pokręcił głową.

– Najwyraźniej nie – powtórzył.

Ciężko mu było uwierzyć, że Vicki Nelson, jego pierwsze dziecko od prawie czterystu siedemdziesięciu lat, mogła przejmować się czymś tak nieistotnym jak urodziny. Tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę, jaka była przed przemianą. Obdarzona silną wolą, uparta i zdeterminowana jak terier. Nie, nie terier, bo one były małe i głośne. Vicki nie. Przypominała raczej pitbulla. Bywały agresywne, to prawda, ale zazwyczaj wynikało to ze złego traktowania i braku zrozumienia. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, że ktokolwiek próbuje założyć kaganiec Vicki Nelson.

– O co chodzi? Znowu uśmiewasz się, jakbyś chciał powiedzieć: jaki ja jestem mądry – odezwał się Tony i Henry wrócił myślami do kawiarni. – Czy

zastanawiałeś się, co jej kupić?

Lepiej nie wspominać o kagańcu.

Vicki i Toronto znajdowały się teraz setki mil stąd, ale myśl o spotkaniu z nią sprawiała, że miał dreszcze, jakich nie czuł od ponad czterech wieków.

– Znam ją od lat i ani razu nie dałem jej prezentu urodzinowego.

– Czterdziestka, Henry.

– I czym to się niby tak różni od trzydziestych dziewiątych urodzin?

Tony westchnął.

– Piszesz romansidła, Henry. Nie wierzę, żebyś tak mało wiedział o kobietach!

– Żadna moja bohaterka nawet nie zbliżyła się do czterdziestki.

Właściwie nie potrzebował kasy na jedzenie, ale za coś trzeba było opłacić mieszkanie i ubezpieczenie, a bohaterki w średnim wieku nie były dochodowe.

– Taa. A twoje fanki?

Jeśli wziąć pod uwagę pocztę, jaką Henry dostawał, jego fanki były zdecydowanie w średnim wieku. Nie wiedział, jak jest w rzeczywistości, ponieważ odrzucał wszystkie zaproszenia na złoty wielbiciel romansów. Jego czytelniczki były pewne, że jest rudą trzydziestopięcioletnią kobietą o imieniu Elizabeth Fitzroy.

– W zasadzie to ja z nimi nie rozmawiam.

– Może powinienes. Słuchaj... – Tony oparł łokcie na stole i nachylił się. – Czterdziestka to duża sprawa dla kobiety. To jest wiek, kiedy muszą przestać udawać albo zacząć starać się jeszcze bardziej.

– Co udawać?

– Młodość, Henry.

– Vicki będzie zawsze młoda.

– Nie. – Tony pokręcił głową. – Ty będziesz zawsze młody, bo z ciebie zrobili wampira, gdy miałeś siedemnaście lat. Vicki miała trzydzieści cztery, kiedy przeciągnąłeś ją na ciemną stronę. No wiesz, dosłownie ciemną.

Gdy Henry zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, o co mu chodzi, Tony machnął ręką w stronę okna kafeterii i nocnego nieba, ledwie widocznego nad światłami Davis Street.

– Nieważne. Chodzi o to, że była człowiekiem dwa razy dłużej niż ty, a poza tym była już po trzydziestce. Jest kobietą i uwierz mi, że czterdzieste urodziny są ważne. Jeśli mi nie ufasz, zaufaj Celluciemu, on z nią mieszka.

Wampiry nie dzieliły terytorium. Przemieniając Vicki, Henry stracił ją na rzecz swojego rywala śmiertelnika. To już brzmiało jak wers z kiepskiego romansu. Potarł czoło i zaczął się zastanawiać, co takiego się wydarzyło, że jego życie tak się skomplikowało. Głupie pytanie. Pojawiła się w nim Vicki Nelson, była superbohaterka z policji w Toronto. Przejrzała wszystkie jego maski i wciągnęła go w życie, jakiego nie miał od setek lat. Sprawiała też, że w jego życiu pojawił się Tony, i to ona była też winna temu, że obydwaj siedzieli teraz w Vancouver. Czterdzieste urodziny dla takiej kobiety nie powinny nic oznaczać.

– Spójrz na to w ten sposób, Henry – Tony przerwał rozmyślenia przyjaciela. – Vicki jest nieśmiertelna. I przez cały ten długi czas będzie na ciebie wkurzona.

Z drugiej strony kim on był, żeby mówić, co znaczą czterdzieste urodziny dla takiej kobiety? Henry przesunął butelkę wody, sprawiając, że jej zawartość zaczęła się bujać.

– A co ty jej kupujesz?

Tony, do niedawna dziecko ulicy, były informator policji, trzeci asystent reżysera najbardziej popularnego serialu o wampirach i jedyny czynny czarodziej w Kolumbii Brytyjskiej, odchylił się na zrobionym z kutego żelaza krześle i powiedział: – Nie mam bladego pojęcia.



Gdy następnego wieczora Henry obudził się, na jego automatycznej sekretarce były dwie wiadomości, obydwie od Tony'ego. Pierwsza, tak jak przypuszczał, dotyczyła urodzin Vicki. Według opinii scenarzysty *Najciemniejszej nocy* kobiety w wieku Vicki doceniały prezenty, dzięki którym mogły poczuć się młodo, ale zarazem nie życzyły sobie przypominania o tym, że przybyło im lat. Biorąc pod uwagę, że Vicki już właściwie nie przybywało lat, Henry za bardzo nie miał pojęcia, o co mogłoby chodzić.

Chciał już skasować drugą wiadomość, zakładając, że jest ona podobnej treści, ale zawahał się.

– W Lytton zaginęła jakaś mała dziewczynka i tą sprawą zajmuje się ktoś, kto nazywa się Kelvin Groves.

Kelvin Groves, reporter lokalnego tabloidu „The Western Star”, miał niewygodną umiejętność dochodzenia do prawdy. Choć jeśli wziąć pod uwagę, że jego nazwisko pojawiło się raz przy tytule *Komitet olimpijski przenosi rodzinę Wielkiej Stopy*, dar Grovesa był zasadniczo bardziej niewygodny dla tych, którzy byli świadomi jego talentu, niż dla niego samego. Przez ostatnie lata cały czas informował w tabloidach o wzmożonej aktywności istot nadnaturalnych w okolicach Vancouver i w Kolumbii Brytyjskiej.

Podobieństwa się przyciągały. W swoim długim życiu Henry przekonywał się nieustannie o prawdziwości tego powiedzenia. Zaś od czasu, gdy Tony nauczył się lepiej kontrolować swą całkiem pokaźną moc, Henry pozbył się jakichkolwiek wątpliwości w zakresie teorii przyciągających się przeciwieństw. Poruszyłyby niebo i ziemię dla tych, których uważał za swoich. Reszta ludzkości mało go obchodziła. Jednak Tony był pewien, że z wielką mocą przychodziła też wielka odpowiedzialność, a to dawało mu status kogoś w rodzaju miejscowego obrońcy uciśnionych.

Henry, który uważał Tony'ego za jednego ze swoich, coraz częściej odkrywał, że przyszło mu grać rolę ochroniarza młodego czarodzieja. Vicki

nazywała ich na zmianę to Batmanem i Robinem, to nowymi Rycerzami Jedi. Już tym tylko zasłużyła sobie, żeby zapomnieć o jej urodzinach.

Czasami Henry zastanawiał się, czy nie używa Tony'ego jako wymówki, aby się zaangażować. Celluci nazwał go raz wampirem ze straży obywatelskiej i nie był to komplement, ale kiedy Henry pomyślał o małej zaginionej dziewczynce, stwierdził, że detektyw był bardziej spostrzegawczy, niż mu się to wydawało.

Wszedł do dużego pokoju i szybko włączył telewizor.

– ...kiedy bawiła się w ogródku, jej mama robiła porządki w ogrodzie dosłownie kilka metrów od niej. Okoliczni mieszkańcy zaczynają się obawiać, że niedźwiedź, puma lub inny drapieżnik zszedł z gór i teraz będzie polował na dzieci.

Henry podejrzewał, że możliwość wypowiedzenia ostatniego zdania na antenie była dla reporterki życiową okazją.

Młoda kobieta gapiła się w kamerę z rozszerzonymi oczami, jakby wiedząc, że właśnie ma swoje pięć minut.

– Ojciec Julie Martin powiedział, że rozprawi się z kimś lub czymś, co porwało jego córeczkę. Rzecznik prasowy Ministerstwa Zasobów Naturalnych zasugerował, że grupy poszukiwawcze, które miałyby przeczesywać lasy, mogą znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, o ile nie będzie im towarzyszył odpowiednio wyszkolony personel, ale, niestety, urząd nie jest go w stanie teraz zapewnić.

To brzmi, jakby ministerstwo powinno mieć tropicieli, którzy mogliby od razu zacząć działać w takich sytuacjach. Henry dowiedział się jeszcze, że czteroletnia Julie Martin zniknęła bez śladu w biały dzień. Kiedy pokazano rozwścieczony i bliski hysterii tłum stojący przed budynkiem policji konnej i wymyślający dwóm na oko mocno już zastraszoną policjantom, wyłączył telewizor.

Jeżeli Kelvin Groves wiedział coś o zniknięciu Julie Martin i uznał, że jest to wystarczająco ważne, żeby zadzwonić do Tony'ego, to raczej nie była to

sprawa dla policji czy ministerstwa.

O 18.47 Tony będzie prawdopodobnie na planie, więc zamiast dzwonić do niego, Henry postanowił skontaktować się ze źródłem.

– „Western Star”, Kelvin Groves przy telefonie.

– Tu Henry.

Henry usłyszał, jak tętno reportera przyśpiesza. Mózg każdego człowieka miał zakodowany zestaw bezwarunkowych reakcji na okoliczność kontaktu z wampirem, w pierwszej kolejności wyłączał zdolność konstruowania składnych wypowiedzi, uruchamiając w zamian opcję pełnego przerażenia bełkotu. Kelvin Groves wiedział, dlaczego tak się działo.

– A więc czy jesteś... To znaczy... Dzwonisz w sprawie zaginionej dziewczynki Martinów?

– Tak.

– Wilkołaki.

– Słucham?

– Słyszałem, że w górach są ponoć wilkołaki. Faktycznie było jedno stado pracujące w starej kopalni tuż za Ashcroft.

– I wierzysz, że to wilkołaki porwały Julie Martin? – Bywały przypadki, że wilkołak okazywał się naprawdę podłym draniem. Jakkolwiek by patrzeć, byli mniej lub bardziej ludźmi.

– Nie. Chodzą słuchy, że w górach są wilkołaki, i jeśli tak się sprawa ma, to wtedy...

– Wtedy co? – ponaglił Henry.

– No wiesz. Wilkołaki!

– I to tyle?

– Jedna z sąsiadek Martinów widziała, jak coś dużego i włochatego niosło małe ciało.

– W pysku?

– Nie, ale...

– Wilkołaki nie mają stanu pośredniego. Wyglądają jak wilki albo jak

ludzie. – Z grubsza jak wilki i z grubsza jak ludzie. – To nie były wilkołaki.

– Starsza pani była pewna, że to nie była Wielka Stopa.

Jeszcze sześć miesięcy temu Henry uwierzyłby, że to nie była Wielka Stopa. Po prostu zapytał: – Duże i włochate?

– Tak powiedziała.

Nie mogli uratować każdego dziecka, które ginęło w Kolumbii Brytyjskiej, ale „duże i włochate” wskazywało, że policja może sobie z tym nie poradzić.

– Daj mi jej imię i adres. Sprawdzimy to.



– A więc gdzie jest Lee? – zapytał Henry, wymijając ciężarówkę swoim BMW rocznik 1976.

– W Los Angeles. Pojechał na casting do filmu.

– Odchodzi z *Najciemniejszej nocy*? – Lee Nicholas był partnerem Tony’ego i jednym z najpopularniejszych aktorów w serialu o wampirach.

– Co? Nie. – To pytanie odciągnęło uwagę Tony’ego od laptopa. – Film będzie kręcony w Vancouver i wydaje mu się, że będzie w stanie podjąć obydwa przedsięwzięciom. Chester Bane ma zamiar dopasować grafik zdjęć, jeśli będzie to konieczne.

– To do niego niepodobne.

Chester Bane był notorycznie nieustępliwy w sytuacjach, w których mógłby stracić jakieś pieniądze.

– Ma nadzieję, że załatwi to serialowi trochę darmowej reklamy.

Henry parsknął.

– Chyba że. Co cię tak fascynuje? – zapytał Henry po kilku kilometrach,

gdy oczywiste się stało, że Tony nie będzie dalej drążył tego tematu.

– Przepraszam. Przeglądałem właśnie listę możliwych... stworów?

– Stworów?

– Podejrzanych, którzy mogli porwać dzieciaka, a którzy nie do końca są ludźmi.

Henry niemal zamknął oczy, oślepiiony światłami samochodu nadjeżdżającego z naprzeciwka.

– Zamieniam się w słuch.

– No więc mógł to być Postrach, taki włochaty, wielki goblin, albo Chimera, ponieważ te części jej ciała, które są lwie lub kozie, niewątpliwie są też włochate, a świadek wcale nie musiał widzieć tego stworzenia w całości. Mogły to być różnego rodzaju demony, ale najpierw musielibyśmy ustalić, kto je przyzywa. Dalej... – Przesunął spis na ekranie palmtopa. – Złudna Bestia – one wyglądają jak pумы, z tą różnicą, że są czarne i mają macki, też nie musiałyby nosić dziecka w pysku. Ettiny, czyli dwugłowe giganty, które mieszkają na wyludnionych obszarach i...

– Tony, skąd masz tę listę?

– Tak jakby od Kevina Grovesa.

– Tak jakby?

– Pożyczył mi indeks potworów RPG. No wiesz, to są takie gry fabularne.

– Przedłużające się milczenie powiedziało Tony’emu, że Henry nie wie, o co chodzi, więc dodał: – No wiesz, takie jak *Dungeons and Dragons*.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Serio? A to dziwne, bo one są stare. Nawet przestarzałe.

Henry nadal milczał. Tony westchnął.

– Chciałem zdobyć więcej informacji na temat jakiegoś włochatego stwora, który zjada dzieci i nie jest wilkołakiem.

– Tak więc sięgnąłeś do gry?

Tony parsknął ze zniecierpliwieniem. Obrócił się na siedzeniu, wsunął palmtop do kieszeni plecaka.

– Czy chcesz wierzyć czy nie, ale po wpisaniu w Google *duże, włochate i je dzieci* nie wyskakuje nic użytecznego.

– Ale zmyślane...

– Henry, cokolwiek to jest, gwarantuję, że będzie uznane za zmyślane przez większość świata. Do diaska, my jesteśmy uważani za coś zmyślanego przez resztę świata.

– Jestem pewien, że więcej ludzi, niż ci się wydaje, wierzy w istnienie trzeciego asystenta reżysera.

– Byłbyś zdziwiony. – Tony zsunął się z fotela, na ile pozwalał mu na to pas bezpieczeństwa, i oparł się kolanami o deskę rozdzielczą. – Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi żyje, zaprzeczając czemuś. Na przykład weźmy ciebie.

Henry spojrzał na Tony'ego.

– Mnie?

– Cały czas zaprzeczasz potrzebie dania prezentu Vicki.

– Powiedziałem, że coś jej kupię.

– Tak, ale to musi być coś naprawdę fajnego. Nie wydaje mi się, żebyś dużo myślał na ten temat.

– Zaginęła dziewczynka...

– Chcesz o tym rozmawiać całą drogę do Lytton? Ja nie.

– Dobrze – powiedział i wyprzedził dwie ciężarówki. – A może bon towarowy na prezent?

– Stary, dobrze, że tak trudno cię zabić.



Miasteczko Lytton znajdowało się jakieś dwie godziny jazdy od

Vancouver. Henry zabrał Tony'ego z jego apartamentu przed ósmą i przed jedenastą jechali już główną ulicą.

– Sądziś, że ulice tutaj zawsze pustoszeją o tak wczesnych godzinach – zastanawiał się Tony, patrząc przez okno – czy jest to reakcja na zniknięcie dzieciaka Martinów?

– Jedno i drugie po trosze.

– Mam wrażenie, że obserwują nas zza koronkowych firan.

– Dlaczego koronkowych? – zapytał Henry.

– Nie wiem. – Tony zaczął poruszać palcami lewej ręki przed twarzą Henry'ego, nakreślając subtelny wzorek w powietrzu, który po sekundzie zniknął. – Tak jest chyba mroczniej.

– Nie wiem nic o koronkach, ale jesteśmy zdecydowanie obserwowani. – Henry czuł strach i złość, które przetaczały się przez miasteczko. Czuł też, że część tych uczuć kieruje się w ich stronę. W miejscowości, w której mieszka trzysta osiemdziesiąt osób i w której zaginęło dziecko, każdy nieznajomy staje się podejrzany. – Będzie chyba lepiej, jeśli będziemy... niezauważeni.

– Czy musisz mówić o tym w taki sposób? – wymamrotał Tony, kładąc dwa palce na kawałku metalu pomiędzy przednim i tylnym oknem. Przez ostatnie miesiące nabrał wprawy z zaklęciem *Nie widzisz mnie* i nie potrzebował już sprawdzać go w swoim laptopie. Było jednak nadal wiele zaklęć, których nie opanował perfekcyjnie, więc laptop musiał mieć zawsze pod ręką.

Z ich perspektywy nic się nie zmieniło, ale Henry poczuł, że zainteresowanie patrzących oddaliło się od nich.

– Pod mostem kolejowym może być troll.

– Julie Martin nie znajdowała się w pobliżu mostu – przypomniał mu Henry. – Poza tym troll nie polowałby tak daleko od domu. Mają liczne nawyki, których nie zmieniają.

Grace Alton, świadek, która rozmawiała z Kelvinem Grovesem, mieszkała trzy posesje bliżej Lytton niż Martinowie. Jej dom wyglądał tak, jak

wyglądają domki w takich miasteczkach – był biały, znajdował się w głębi działki i prowadził do niego długi podjazd.

Henry zaparkował koło starego buicka.

– Światła się palą, co znaczy, że jeszcze nie śpi.

– Jest dopiero dziesiąta. Dlaczego miałyby już spać? – Tony wzruszył ramionami, gdy Henry odwrócił się w jego stronę i uniósł jedną brew. – No tak. Jesteśmy na wsi.



Kiedy stali na ganku, Tony rzucił czar *Nie widzisz mnie* na samochód. Ponieważ dokładnie wiedział, gdzie go zaparkował, mógł niemalże dostrzec jego zarys. Ktoś inny musiałby wpaść na auto, żeby je odkryć. Zresztą w ten właśnie sposób sam na początku znajdował swój wóz. Prawe kolano nadal boleśnie mu o tym przypominało.

– Jedno bijące serce. Jest sama.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Na pewno będzie łatwiej – oznajmił Henry, otwierając drzwi.

– Drzwi są na pewno... Jasne. Jesteśmy przecież na wsi – powiedział Tony, podążając za Henrym do domu.

W momencie, gdy wszedł do salonu, Henry już klęczał przy starszej pani, trzymając jej rękę. Kobieta patrzyła na niego tak, jak patrzy się na coś, co wciąga nieodparcie. Cały dom śmierdział kocim moczem i po krótkiej chwili udało się Tony’emu namierzyć przyczynę. Był nią gruby biało-czarny kocur, bardzo uważnie wpatrujący się właśnie w Henry’ego.

W przeciwieństwie do psów koty nie przejmowały się wampirami. Ani czarodziejami, jak stwierdził Tony, gdy poczuł na sobie nieruchome zielone

spojrzenie. Jeśli istniał jakiś czar, na który koty raczyły reagować, to on go jeszcze nie odkrył.

– Powiedz mi, co widziałaś – powiedział delikatnie Henry.

Tony poznał po sposobie, w jaki starszka się pochyliła, że oczy Henry’ego stały się teraz ciemne i hipnotyzujące.

– Byłam z tyłu domu i sprawdzałam, czy pergola od strony kuchni przetrwała zimę. Hoduję latem róże, takie różowe i one rosną aż do dachu. Zobaczyłam, jak coś się poruszało wzdłuż rzeki. Z moimi oczami jest wszystko w porządku. – Zaciśnęła usta. – Nie obchodzi mnie, co powiedział policjant. Dobrze widzę na odległość. No dobrze, może z bliska jest gorzej i powinnam nosić swoje okulary, ale na odległość widzę tak dobrze, jak zawsze.

– Co widziałaś, Grace?

Napuszyła się lekko. Był to mimowolny odruch na uwagę Henry’ego, co, biorąc pod uwagę różnicę wieku pomiędzy nimi, Tony’emu wydało się z lekka obrzydliwe.

– To przechodziło obok dwóch krzaków lilii. Teraz nie są takie okazałe, ale gdybyś je widział wiosną. Są wspaniałe. A jak pachną! Jakiś młodziak z ministerstwa chciał je wyrwać. Ja mu pokazałam, co myślę na ten temat. Te lilie są starsze od niego.

Tony nawet współczuł facetowi z ministerstwa, bez względu na to, o które ministerstwo chodziło.

– Co przechodziło pomiędzy liliami, Grace?

– Widziałam coś większego od człowieka i bardziej zgarbionego. I miało duży, włochaty garb. Kształt tego czegoś był nienaturalny. Wyglądało jak jakieś... zło! – ostatnie słowo wypowiedziała z taką rozkoszą. Tony, który przez ostatnie lata naoglądał się naprawdę przerażających rzeczy, z trudem stłumił dreszcz. – To coś się szybko poruszało, ale ja widziałam. Widziałam, jak trzyma dziecko. Widziałam, jak kopnęło nóżką, na której miało czerwony kalosz. Julie Martin miała na sobie czerwone kalosze, kiedy zaginęła.

Krzyknęłam, żeby się zatrzymało, ale szybko zniknęło, więc weszłam do domu i zadzwoniłam na policję konną, ale oni mi nie uwierzyli. Och, byli bardzo mili, ale i tak mi nie uwierzyli. Pytali się, czy byłam pewna, że bucik był czerwony. Tak jakbym nie była w stanie zobaczyć czerwonego bucika na tle włochatej kreatury. Powiedziałam im, że to nie była Wielka Stopa, ale biedaki mnie źle zrozumieli. To było coś zaniedbanego, nędznego. Nie chcę nikomu narzucać opinii, ale to zdecydowanie wyglądało jak jakaś zła istota, która zeszła z gór na żer. Zapytali mnie, jakiego rodzaju istota, ale skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy? Czy wyglądam na znawcę? A oni powiedzieli, że to światło mogło się jakoś dziwnie załamywać. Powiedziałam im, że wtedy światło było o wiele lepsze niż teraz, ale oni nie śpieszyli się, żeby przyjechać. Kiedy poszli, powiedziałam do Aleksandra... – wskazała na kota, który wyglądał na wyraźnie znudzonego – powiedziałam, że zaangażujemy w to piątą władzę, i wtedy zadzwoniłam do gazety.

Sterna tabloidów, z "Western Star" na wierzchu, leżała koło krzesła. Jedyne widoczne tytuły krzyczały: *To nie był szop!* Tony potarł gojące się ugryzienie na łydce.

To nie był szop, tylko pekińczyk z paskudnym charakterem.

– Ten człowiek w gazecie uwierzył mi.

– Ja ci wierzę, Grace.

Poklepała Henry'ego po policzku wolną ręką.

– Wiem, mój drogi.

Zabawnie było widzieć, jak ktoś w taki sposób traktuje wampira Henry'ego Fitzroya, ale Tony nie sądził, żeby ułatwiło im to odnalezienie Julie Martin. Takie same informacje uzyskali od Kelvina.

Wtedy Henry przysunął się jeszcze bliżej.

– A co usłyszałaś, Grace?

Jej oczy się rozszerzyły.

– Co usłyszałam?

– Tak, co usłyszałaś?

Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę.

– Słyszałam szelest krzaków, ale to mógł być wiatr, i oczywiście słyszałam też rzekę. I... – wyglądała na zdziwioną – słyszałam trzaśnięcie drzwiami samochodu.



– Wilkołaki umieją prowadzić.

– Owszem, niektóre – przyznał Henry, kiedy przechodzili przez ogródek.
– Ale niezbyt dobrze.

– To była długa zima, a na dzieci łatwiej polować niż na łosie. Może zabierają je do reszty stada.

– To jest możliwe, ale też mało prawdopodobne, żeby jakieś samotne wilkołaki uformowały stado.

– Ty chyba nie chcesz, żeby to wilkołaki stały za tym porwaniem? – wymamrotał Tony, gapiąc się w przestrzeń pomiędzy krzakami lilii, która była tylko minimalnie ciemniejsza od samych krzaków. Niebo się zachmurzyło i nie widział nawet na wyciągnięcie ręki. – Musisz pomóc mi tam dojść. Nie chcę na razie ryzykować z zapalaniem jakiegokolwiek światła. *Nie widzisz mnie* narzuca światłom pewne ograniczenia... Powiedziałem: poprowadź mnie – dodał chwilę po tym, gdy Henry postawił go na ziemi – a nie przenieś mnie.

– Tak było szybciej. Musisz popracować nad zaklęciem, które umożliwi ci widzenie w ciemnościach.

– Jasne. – Tony włączył latarkę. – Zajmę się tym w tych rozlicznych godzinach pomiędzy pracą a ratowaniem świata. Znalazłeś coś?

Henry przykucnął i przeczesnął ręką po ugniecionej trawie.

– Na nasze nieszczęście policja uwierzyła Grace na tyle, żeby tu przyjść. Teraz czuję tylko ich zapach.

Policja zrobiła w tym miejscu straszny bałagan. Nawet Tony to widział. Ślady na ziemi, wiodące za krzaki lilii, zostawione zostały przez jelenia albo inne zwierzę, które zdecydowanie nie zjada dzieci. Policjanci dotarli do śladów opon, które między domami prowadziły do głównej drogi, i zaprzestali poszukiwań.

– Czy sądzisz, że pani Alton powiedziała policji konnej o trzaśnięciu drzwiami?

– Nie. Nie pamiętała o tym, dopóki nie zapytałem jej, co usłyszała. Wydaje mi się, że to – wskazał na drogę – jest oczywistym miejscem dla samochodu, ale wtedy nie jechał nikt tej wiosny, więc policja stwierdziła, że Grace...

– ...wymyśliła to wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę? – dokończył Tony.

– Jest to prawdopodobne. Nie można ich za to winić. Targanie tu porwanego dziecka nie miałyby najmniejszego sensu, chyba że niosłoby się je do samochodu, a ślady – wskazał ponownie ręką na nieużywaną drogę – a raczej ich brak, dowodzą, że samochodu tu nie było. My jednak wiemy, że jakiś był, musimy więc znaleźć inne miejsce, do którego można by nim dojechać. Zaczekaj tutaj.

– Dlaczego...

– Ponieważ ja poruszam się szybciej i nie chcę, żebyś wpadł do rzeki.

Tony westchnął i wyłączył latarkę. Nie widział rzeki, której stromy brzeg znajdował się jakieś trzy metry dalej, ale dźwięk rwącej wody był w nocnej ciszy wyraźnie słyszalny.

Pięć minut. Blizna na lewej dłoni swędziała i zastanawiał się, czy nie zapalić czarodziejskiej lampy. Dziesięć minut. Kiedy dostał swoją pierwszą porządną pracę w Vancouver, kupił sobie tani zegarek z fosforyzującą tarczą, bo był zmęczony spędzaniem nieokreślonej ilości minut w ciemności.

Piętnaście minut. Ziewnął i o mało co nie połknął swojego języka, gdy blada twarz Henry'ego nagle wynurzyła się z ciemności.

– Za tymi cedrami jest lita skała. Istnieje możliwość, że jakiś pojazd jechał wzdłuż rzeki, a potem z powrotem po moście na autostradę numer 12.

– To, że jest taka możliwość, nie oznacza, że samochód tam był – zauważył Tony, gdy kierowali się w stronę podjazdu i ich samochodu. – Raczej wątpię, żeby pani Alton słyszała cokolwiek innego niż dźwięk rzeki, Henry. Ta droga pewnie nie ma nic wspólnego z...

Henry pokazał mu mały czerwony kalosz.



Z butem w jednym ręku i laptopem na kolanach Tony przeglądał swój katalog zaklęć.

– Już mam. *Łączenie par* – łączenie dwóch części w całość. Rzucam zaklęcie na kalosz, a on jak kompas prowadzi do drugiego. – Wyjął czarny marker z plecaka, który znajdował się teraz pomiędzy jego stopami, i narysował runę na podeszwie.

– Cokolwiek porwało to dziecko, śmierdzi starą krwią, starymi zabójstwami – warknął Henry, wjeżdżając na most. – Smród ukrywa jego prawdziwą naturę.

– Jeśli nie jest to jakiś wilkołak – drań, to nie znaczy, że któryś z mniejszych gigantów nie potrafi prowadzić. Oczywiście, o ile samochód jest odpowiednio duży.

Po chwili szperania w plecaku Tony wyjął z niego reklamówkę z ziołami, z której wybrał owoce takiego samego koloru, jaki miał bucik, i wsypał je do niego.

– Belladona – wyjaśnił. – Aby oczyścić drogę. Używam aspektu magii współczulnej. To jest diuretyk, który sprawia, że chce ci się po nim szczać, i na tym polega oczyszczanie drogi.

– Przecież nie pytałem.

Bucik balansował na dłoni Tony’ego. Czarodziej sięgnął po moc i ostrożnie przeczytał słowa zaklęcia.

Bucik wałnął w środek przedniej szyby.

Henry poruszył nozdrzami.

Tony westchnął, wyłączył laptopa i rzucił szybkie zaklęcie oczyszczające.

– Tak, zsikałem się – wymamrotał w swojej obronie, a jego policzki były całe czerwone. – Tak jak powiedziałem, to jest diuretyk, ale przynajmniej bucik nie wybuchł ani nie stopił się, ani nie zbił szyby.

– Nadal używasz zbyt dużo mocy.

– Nieprawda. Nowe zaklęcia potrzebują trochę dostrojenia.

– Dostrojenia? Mój samochód...

– Jest czysty. Już się tym zająłem. – Tony zsunął się na siedzeniu. – Niezależnie od tego, czy uwierzyli pani Alton czy nie, policja musiała przecież przeszukać brzeg rzeki. Dlaczego więc nie znaleźli buta?

– Znalazłem go po zapachu. Leżał w dużym zagłębieniu. Policja musiałaby przejść na drugą stronę i bardzo dokładnie wszystko przeczesać, a raczej wątpię, czy mają wystarczającą ilość ludzi po ostatnich cięciach w budżecie.

– Gadasz jak Vicki, tylko ona bardziej klnie przy takich tematach.

Vicki przestała być policjantką, zanim Henry zamienił ją w wampira, ale kwestie niedofinansowania branży nadal brała bardzo osobiście.

– Wracając do Vicki... – zmienił temat, ponieważ rozmowa o buciku, dziecku czy czymkolwiek, co je uprowadziło, podsycałaby tylko jego gniew, a to mogło okazać się mało bezpieczne dla Tony’ego, który siedział z nim w jednym samochodzie – czy będą się jej podobać takie fioletowe roślinki?

– Fioletowe roślinki?

– Takie jak te, co Grace ma w mieszkaniu?

– Czy będzie jej się podobać afrykański fiołek? Na miłość boską, Henry, ona kończy czterdzieści lat, a nie osiemdziesiąt.

Henry wyciągnął rękę i palnął go w tył głowy.

– Nie bluźnij.

Tuż przed tablicą z napisem *Rezerwat Nohomeen* pojawiła się zwirowa droga, która prowadziła na wschód, w stronę gór. Kalosz przeleciał tak szybko w kierunku okna pasażera, że prawie walnął Tony’ego w głowę. Kiedy Henry zjechał z autostrady, kalosz powrócił na swoje miejsce pośrodku przedniej szyby.

– Nie jest to za bardzo droga dla BMW – powiedział Tony, gdy o mało nie odgryzł sobie języka, kiedy samochód wpadł do jednej z dziur.

– Jakoś sobie poradzimy.

Droga biegła teraz za wschodnim krańcem rezerwatu Keetelcut, dokładnie na północ i dalej w głąb głuszy.

Minęli polankę po prawej stronie, która rozciągała się jak jakaś szrama na zboczu góry, i po kolejnych trzech kilometrach kalosz przesunął się raptownie w lewą stronę, uderzając o szybę.

Tony pochylił się w stronę Henry’ego, próbując dostrzec cokolwiek w ciemności.

– Nie widzę drogi.

– Jest leśny trakt.

– Jasne. – Tony chwycił kurczowo siedzenie. – Pamiętasz, co wcześniej mówiłem o prześwitach i pojazdach czterokołowych? Chwileczkę! – prawie pisnął, gdy Henry wyłączył światła. – Światła!

– Chyba nie chcemy, żeby nas zobaczyli?

– A tobie nie wydaje się, że wystarczy odgłos silnika? Albo dźwięk moich szczękających zębów?

Chwilę później, kiedy Henry zatrzymał samochód, Tony pożałował ostatnich słów. Owszem, nie chciał, żeby hałas ich zdradził, ale wspinaczka

w ciemnym lesie też nie była jego marzeniem. Z drugiej strony Julie Martin też nie chciała być porwana ze swojego ogródka. W porównaniu z tym, co się z nią stało, nie było to nic takiego, na co powinien narzekać.

Tony poupychał garści różnego rodzaju ziół do kieszeni plecaka, po czym zaczął siłować się z kaloszem, żeby włożyć go do reklamówki. Torebka, którą trzymał, zaczęła zachowywać się jak różdżka. Ciągnęła go przed siebie z taką mocą, że musiał obwiązać ją dookoła nadgarstka. Kiedy sięgnął do samochodu po swój plecak, zaczęło padać.

– Świetnie – wymamrotał i zatrzasnął drzwi. – Nie ma to jak marzec w Kolumbii Brytyjskiej. Henry, jest prawie pierwsza, a wschód słońca o 6.06. Jeśli nie chcesz spać zawinięty w zasłony w swoim bagażniku, musimy tu wrócić koło trzeciej. Czy mamy czas...

– Tak – ta pojedyncza sylaba zawierała pięćsetletnią pewność siebie.

– Też nie chcę jej tu zostawić, ale...

– Mamy czas.

Błysk zębów, zbyt białych w otaczającej ich ciemności, zasugerował Tony'emu, żeby przestał dyskutować. Zresztą zasadniczo nie miał powodów, żeby się upierać przy swoim zdaniu, ale to nie on był narażony na spontaniczny samozapłon w promieniach słońca i to nie on narzekał później długimi miesiącami, że musiał spać zawinięty w koc obok zapasowego koła. Rozbicie namiotu też nie załatwiało sprawy. Tony zasugerował, że może Henry uda się do swojego schronienia, a on pójdzie sam.

– Nie jestem taki zupełnie bezradny, wiesz? – dąsał się.

– Tylko marnujesz nasz czas – odburknął Henry.



Zło, które porwało dziecko, było blisko. Bębnienie deszczu sprawiało, że Henry nie słyszał uderzeń serca (jeśli te stwory je w ogóle miały), a strumienie wody zmyły ewentualne zapachy. Wiedział jednak, że są blisko. Vicki nazwałaby to przeczuciem i podążyłaby za nim, nie potrafiąc wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Henry postanowił zrobić to samo. Przez jakieś dwadzieścia minut podążali leśnym traktem. Henry trzymał za łokieć Tony’ego nie widzącego drogi. Reklamówka, w której znajdował się kalosz z belladoną, ciągnęła rękę czarodzieja, jakby była psem gończym, który złapał trop. W pewnym momencie tak mocno szarpnęła w prawo, że Tony potknął się i upadłby, gdyby przyjaciel go nie podtrzymał.

Trakt zamienił się w dwie linie na trawie, prowadzące prosto do światła widocznego pomiędzy drzewami. Wyglądało jak jakaś latarenka za oknem.

– Wilkołaki budują schronienia? – wymamrotał Tony, schylając się pod mokrą iglastą gałęzią. – Może stado siedzi w opuszczonej leśniczówce.

– Nie słyszę nic, co wskazywałoby, że to są wilkołaki. Nie słyszał też nic, co mogłoby dowodzić, że nie są.

Deszcz nadal maskował wszelkie zapachy i dźwięki, ale to się zmieniło, gdy podeszli bliżej budynku i dwóch czarnych SUV-ów. Dom był dość prymitywny i nie mógł się równać z pojazdami stojącymi obok. Henry wyrwał kawałek futra, które sterczało przy futrynie.

– Pies. I zapach jakiegoś starego zabójstwa, które wyczułem nad rzeką.

– To coś miało na sobie skórę psa? No dobra. – Przez chwilę Tony trawił informacje. – To nadal mogą być giganty. Te wozy – wskazał na SUV-y – są cholernie duże. Poczekaj chwilę. – Tony włożył rękę do torebki i zmasał palcem runę z podeszwy buta. Kiedy zaklęcie przestało działać, schował zawiązaną reklamówkę do plecaka. – Pewnie przydadzą mi się obydwie ręce.

Runa na lewej dłoni pulsowała w rytm bicia jego serca.

Kiedy stanęli pod okapem, poza zasięgiem lejącego deszczu, Henry poczuł, jak coś umiera. Na pewno nie poszukiwana dziewczynka, gdyż bicie jej serca słyszał dobrze, mimo że było słabe, jakby została czymś odurzona,

ale zwierzęcia, które zmarło przerażone i w wielkich cierpieniach. Warknął i zajrzał przez okno.

Jakieś pół tuzina lamp naftowych zwisało z belki stropowej. Dawały bardzo jasne światło. Przez okno doskonale było widać dwóch dobrze odżywionych mężczyzn w średnim wieku. Stali naprzeciw siebie, rozdzieleni stołem, który pokryty był krwią. Henry zobaczył gwoździe i młotki, więcej już mu nie było trzeba. Przez wieki widział wystarczająco dużo miejsc tortur, żeby w mgnieniu oka zorientować się w sytuacji. Obydwaj mężczyźni uśmiechali się, oddychali ciężko i patrzyli na swoje dzieło z ogromną satysfakcją.

Taki sam wyraz twarzy widział u inkwizytorów.

Mogli zacząć przez przypadek, zadając ból upolowanemu zwierzakowi, który jeszcze nie był martwy. Po jakimś czasie przestało im to wystarczać, musieli poszukać czegoś innego, a raczej kogoś. Julie Martin. Dziewczynka leżała skulona na sofie, z kaloszem na jednej nodze i brudną różową skarpetką na drugiej. Miała umorusaną buzię, ale wydawała się cała i zdrowa. Henry z doświadczenia wiedział, że tacy ludzie jak ci w środku odurzali swoje ofiary, żeby nikogo nie zaalarmowały. Póki środek działał, dziewczynce nic nie groziło. Zadawanie bólu nie miało sensu, jeśli ofiara nie była w pełni świadoma.

Surowe skóry, najprawdopodobniej przebranie porywaczy, zwisały z oparcia krzesła. Grace Alton naprawdę widziała zło. Widziała wyraźniej, niż ktokolwiek byłby skłonny w to uwierzyć.

– To tylko ludzie – nawet Tony wydawał się zaskoczony tym faktem.

– Nie ma czegoś takiego jak TYLKO ludzie – warknął Henry, ledwie trzymając w ryzach instynkt myśliwego. – Anioły i demony pochodzą od ludzi. Mówiąc, że tych dwóch to tylko ludzie, jest zaprzeczeniem tego. Przede wszystkim chcę, żeby dziewczynka była bezpieczna.

– Zabiorę ją. Tylko otwórz drzwi.

Henry nie otworzył drzwi, tylko wyrwał je z zawiasów przy wtórze jęku

gwoździ wydzieranych z drewna. Wyczuł bardziej, niż zobaczył, że Tony unosi dłoń naznaczoną blizną. Chwilę później młody czarodziej wyszedł z pomieszczenia, uginając się pod ciężarem dziecka, i mruknął: – Już.

Henry uśmiechnął się.

I wtedy dwóch mężczyzn przy stole dowiedziało się, co to znaczy trwoga.



Tony wsunął kalosz na nogę śpiącej dziewczynki, wziął ją na ręce i przytulił. Kiedy jechali w stronę Lytton, działanie narkotyków zaczynało słabnąć i żeby mała się nie obudziła, zaczął śpiewać jej kołysankę, której słowa miał w laptopie. Nie miało znaczenia, że były w języku, jakiego nigdy nie słyszała i nigdy nie usłyszy. Uśmiechnęła się, westchnęła leciutko i wsunęła kciuk do buzi.

Gdy dojechali na miejsce, rzucił na siebie i dziecko zaklęcie *nie widzisz mnie*, po czym zaniósł małą do jej domu. Pomimo że było po drugiej w nocy, wszystkie światła były zapalone. Delikatnie położył dziewczynkę na macie przed drzwiami i zadzwonił.

Odchodząc, słyszał płacz i śmiech oraz podziękowania jej rodziców. Dźwięk leczonych serc i uratowana niewinność – to będzie świetny prezent dla Vicki.



– Myślisz, że coś będzie pamiętać?

Henry jechał w stronę Vancouver ze znacznie większą prędkością niż dozwolona.

– Mam nadzieję, że nie.

– Sądysz, że znajdą kiedyś ciała?

Wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że ktoś kiedyś może się na nie natknąć.

– Nie zostawiłeś chyba żadnych śladów, które naprowadziłyby na ciebie gliny? Chodzi mi o to, że to byli ludzie.

Henry odwrócił się tak, że Tony mógł zobaczyć głód i cień prawdziwej bestii w jego oczach.

– Wolałbyś, żebyśmy pozostawili ich prawu?

– Oczywiście, że nie. – Czarodziej zaczął zdrapywać błoto ze swoich jeansów. – Oni jeszcze nic nie zrobili temu dziecku, ale mieli zamiar. Po prostu potwory to jedna rzecz, a oni...

– Byli potworami. Znowu będziesz wymiotować?

Torsje były reakcją Tony’ego na to, czemu zapobiegli, a nie na to, co zrobił Henry. Nic dziwnego w tej sytuacji, niemniej bardzo go to krępowało. Na szczęście deszcz zmył smród z jego butów.

– Nie.

– Dobrze. Tony, nie ma znaczenia, czy lub kiedy znajdą ciała. Nic nie może ich naprowadzić na ciebie czy na mnie. – Zęby Henry’ego były zbyt białe w świetle jadącego z naprzeciwka samochodu, a oczy zbyt ciemne. – I tak nikt nie wierzy w wampiry.

Tony popatrzył na twarz łowcy i wstrząsnął nim dreszcz.

– Stary, jedziemy ponad sto pięćdziesiąt na godzinę. Mógłbyś patrzeć na drogę?



– Dobra. Nadal nie rozumiem, dlaczego czterdzieste urodziny są ważniejsze niż na przykład sto czterdzieste, ale wydaje mi się, że mam już prezent dla Vicki. – Henry wyjął gustowne etui z kieszeni i otworzył. – Para półkaratowych diamentowych kolczyków.

Tony odsunął się od drzwi, żeby wpuścić przyjaciela do środka. Spojrzał na kamienie i powiedział: – Dobry wybór. Diamenty są wieczne, tak jak ona.

– A teraz przeczytaj karteczkę.

– Ach. Dołączyłeś wycinek z gazety o cudownym powrocie do domu Julie Martin. Bardzo mądrze. Prawie łagodzi te różowe świecące różyczki na przedzie tego czegoś. Bla, bla, bla, jako że wkraczasz w najwspanialszy okres w swoim życiu, bla, bla, obyś zawsze była tak młoda, bla, w twoim imieniu dwóch złych ludzi zostało wysłanych do piekła, czyli tam, gdzie było ich miejsce. – Tony spojrział na niego i uśmiechnął się. – Widzę, że robią teraz kartki na każdą okazję.

– Ostatni fragment sam dodałem.

– Serio? Nie wpadłbym na to. A tak naprawdę to jest idealny prezent, Henry. Nie musisz go nawet pakować. A Vicki nie będzie musiała szukać na niego miejsca i nie może się dąsać na życzenia.

– Sądysz, że się jej spodoba?

– Spodoba? – Tony parsknął i położył kartkę na stole kuchennym. – Wydaje mi się, że będzie chciała dokupić resztę kompletu. Powinieneś zacząć myśleć, co jej dasz na pięćdziesiąte urodziny.

– Pięćdziesiąte? – Henry zamarł.

– Pięćdziesiąte, sześćdziesiąte piąte, siedemdziesiąte piąte, dziewięćdziesiąte, setne i sto dwudzieste siódme...

– Sto dwudzieste siódme?

– Żartowałem. Daj jej coś naprawdę ładnego na setkę i pewnie będziesz miał spokój do sto pięćdziesiątych urodzin.



Carolyn Haines

Napisała ponad pięćdziesiąt książek. Ostatnią z serii *Delta Missisipi* (*Delta Missisipi*) jest *Kości Ham* (*Ham Bones*). Pisuje również pojedyncze utwory. Jej powieści *Poświęcone kości* (*Hallowed Bones*) i *Penumbra* (*Penumbra*) zostały uznane za jedne z pięciu najlepszych powieści grozy w roku 2004 i 2006 przez magazyn „Library Journal”. Carolyn Haines otrzymała też członkostwo w radzie stanu Alabama ds. sztuki (Alabama State Council on the Arts). Jest zapaloną obrończynią praw zwierząt. Dzieli swój dom z dziewięcioma kotami, sześcioma psami i ośmioma końmi. Jako że wyznaje zasadę, że każda minuta powinna być wykorzystana, wykląda beletrystykę na Uniwersytecie Południowej Alabamy. Jej strona internetowa to www.caro-lynhaines.com

.

Życzenie



Nie padało od tygodni, nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak było. Podmuchy wiatru niosły ze sobą maleńkie kawałki gleby, która wędrowała z miejsca na miejsce, przekraczając granice trawników, hrabstw i stanów. Ziemia uciekała, jakby straciła wiarę w Stany Zjednoczone i postanowiła osiedlić się na Północy. A droga z Mobile w stanie Alabama do Kanady jest daleka.

Pogoda zdominowała rozmowy w sklepach, przedszkolach, na poczcie, czyli w miejscach, gdzie prowadzę swoje interesy. Starzy ludzie, wysuszeni przez słońce i pomarszczeni jak trawa, stojąc przed Hickory Pit czy salonem sprzedającym traktory, z uwagą przyglądali się niebu, bardziej przypominającemu to, które wiosną można ujrzeć w Minnesocie. To nie jest

dobrze. Klimat się zmienia i farmerzy zaczynają to odczuwać. Choć w głębi serca są hazardzistami, nie za bardzo wiedzą, które numery obstawiać na loterii, jaką stało się Południe opanowane przez suszę i huragany.

Czekałam w mojej półcięzarówce, aż załadują mi obornik i nawozy, i patrzyłam na kłębiące się chmury pomarańczowego pyłu na autostradzie numer 54. Po drugiej stronie jezdni, na terenie opuszczonego przedszkola, kołysało się na zimnym, suchym wietrze fioletowe drzewo tulipanowca amerykańskiego.

Silny lutowy wiatr poderwał płatki tulipanowca i nagle zobaczyłam jej postać, tak wyrazistą na pokrytej szronem trawie. Kubek z kawą, który trzymałam w ręku, wyslizgnął mi się z palców i upadł na podłogę. Nie usłyszałam dźwięku roztrzaskującego się naczynia ani gwizdzącego w zimnych kominach przedszkola wiatru. Mój świat zamilkł.

Stała pod drzewem obok bezlistnych hortensji i błyszczących miniaturowych gardenii, których zapach tak cudownie nasycił powietrze. Jakże łatwo założyłam, że doczekam wiosny. Czekanie stało się moją jedyną grą. Nie byłam u lekarza przez piętnaście lat, ale przecież nie było potrzeby. Choroba nie jest moim przeznaczeniem. To ona mnie tego nauczyła.

Kiwnęła na mnie głową, jakby na potwierdzenie naszego paktu, a potem znikła. Pogniecione płatki spadły delikatnie na odmarzającą ziemię, a Bosco, mój ogar leżący na tylnym siedzeniu, wydał z siebie bardzo długi skowyt. On rozumiał, kim i czym była – wrogiem.

Mobile nie jest centrum niczego. Jest małym portem w miejscu, gdzie łączą się dwie leniwe rzeki w ostatniej nieskażonej enklawie na południowym wschodzie. To senne miasteczko, z politykami niewiele różniącymi się od koniokradów i handlarzy niewolników, którzy jako pierwsi zabrali tę ziemię plemieniu Choctaw. Miasto jest ładne, ale brak mu wyrafinowania Nowego Orleanu sprzed huraganu Kathrina. Moral Majority^[7], rządząca w Mobile, przeciwstawia się radości życia, która

sprawiła, że Nowy Orlean był taki wyjątkowy.

Powinnam była opuścić Mobile, ale tylko ze względu na nią pozostałam tu przez tyle lat. Z jej powodu i z powodu pewnego kapitana statku, który upodobał sobie puste centrum naszego miasteczka. Nie jest on żadną disneyowską postacią i zna rozwiązanie mojego dylematu.

Pewnej nocy, kiedy żal znów nie pozwalał mi spać, spacerowałam po pustych ulicach. Przez przypadek zobaczyłam, co robi w ciemnej alejce, i postanowiłam dowiedzieć się o nim wszystkiego. Od tego zależy moja przyszłość. Brukowane ulice starej części Mobile są dla niego idealnym łowiskiem, ponieważ w Mobile w ciemności księżycy można znaleźć naprawdę wszystko, czego się pożąda.

Kiedy dostarczę obornik i nawozy, zacznę działać. Do wschodu księżycy znajdę mężczyznę, chociaż niektórzy nazwaliby go potworem, który mi pomoże.

Aby zrozumieć, jak doszłam do tego miejsca, trzeba dobrze poznać całą moją przeszłość i cofnąć się jakieś dwadzieścia lat, do pewnego gorącego sierpniowego dnia. Czasami zapominam, że byłam kiedyś inną osobą – żoną i matką. Kobieta, która miała swoje marzenia.

To jest ironia losu, bo ja naprawdę nie chcę pamiętać. Wspomnienia są tak ostre, że nawet opary alkoholu, którym zabijałam swój ból, nie mogą ich przesłonić. Ludzie mówią mi, że żyję przeszłością, jakby to świadczyło o moralnym upadku. „Żyjesz w przeszłości” w ich umysłach równa się stwierdzeniu: „Zabiłaś swoje dzieci”. Każdy z nas ma jakąś przeszłość i terażniejszość, ale nie wszyscy mamy przyszłość.

Dawno temu miałam przyszłość. Miałam rodzinę, pracę i zwyczajne nudne rzeczy, które mieszkańcy środkowych stanów uważają za coś normalnego. Miałam także kredyt na dom, mandaty samochodowe i noce, podczas których kochaliśmy się namiętnie z mężem, zapominając o naczyniach w zlewie, stertach rzeczy do prania, sprzeczkach dotyczących wysokości rachunków i złego zachowania dzieci. Dziś nic z tego mnie nie

obchodzi. To wszystko pozostało w przeszłości razem z moim sercem.

Pewnego ranka dwadzieścia lat temu obudziłam się dotknięta jakąś gorączką nieznanego pochodzenia. Dzień był za gorący nawet jak na południową Alabamę, a pot pokrywał moje ciało jak wełniane ubranie. Nastął właśnie okres letnich upałów, kiedy każdego popołudnia pada deszcz i wszędzie widać soczystą zieleń jakby z tropików. Dennis miał śniadanie biznesowe i pomimo że czułam się strasznie, postanowiłam zabrać Kalę i Kelvina do przedszkola. Chciałam wrócić później do domu, wziąć prysznic i iść do pracy. Miałam spotkanie z bardzo ważnym klientem, którego rezultat oznaczałoby dla mnie dużą premię.

Lek antyhistaminowy, który wzięłam, żeby wreszcie przestało lecieć mi z nosa, sprawił, że byłam zdezorientowana i oszołomiona. Bliźniaki, o dziwo, zachowywały się cicho, kiedy zapinałam im pasy. Wyjechaliśmy z domu, a ja trzymałam w ręku kubek gorącej kawy. Przedszkole znajdowało się o osiem przecznic od naszego domu. Tylko osiem przecznic w zabudowanym terenie.

Byliśmy prawie na miejscu. Widziałam już znak, na którym kolorowe litery układały się w nazwę przedszkola. Wtedy też dostrzegłam ją w ogródku Darcych. Wydawało mi się, że mam jakieś omamy, więc zwolniłam, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Wyglądała jak widmo, ukształtowane z gałązek i liści, ale nim nie była. Nie była także gremlinem, wróżką czy chochlikiem. Zatrzymałam samochód zupełnie zaskoczona tym czymś, uformowanym ze szczątków i prądów wiatru, które machało na mnie z cienia. Wtedy nie wiedziałam, kim jest, ale teraz wiem.

Jest aniołem, ciemnym aniołem z listą imion. A na górze tej listy znajdowały się imiona Kelvina i Kali.

Nawet nie zauważyłam tego samochodu dostarczającego wodę, który wjechał na nas. Nie zdążyłam spojrzeć w tylne lusterko i po raz ostatni popatrzeć na dzieci. Pas bezpieczeństwa powstrzymał moje ciało pędzące na spotkanie z kierownicą, ale i tak walnęłam w nią czołem tak mocno, aż pękła. Wtedy też straciłam przytomność, a przynajmniej tak mi powiedzieli w

szpitalu, kiedy próbowałam opisać, co widziałam. Nikt mi nie uwierzył. Nie oznacza to, że mieli rację.

Jakby z daleka słyszałam odgłos patyków i piasku bębniących o szyby. Instynktownie toczyłam walkę z niewładnym ciałem – czułam, że muszę się obudzić i chronić dzieci. Jakiś mężczyzna krzyczał do mnie, ale nie zwracałam na niego uwagi. Widziałam, jak stała po stronie pasażera. Jej zupełnie realne, delikatne ręce wyciągnęły się w stronę dzieci. Pierwsza wzięła ją za rękę Kala, potem Kelvin. W ogóle się nie bali.

– Nie! Nie! Kala! Kelvin! – próbowałam je wołać. – Nie zostawiajcie mnie! Nie odchodźcie!

Trzymała moje dzieci za dłonie i powiedziała: – Po ciebie jeszcze wrócę.

– Nie zabieraj ich – błagałam. – Proszę. To są tylko dzieci. Weź mnie.

– Twój czas jeszcze nie nadszedł.

Chyba rzeczywiście nie nadszedł, choć chciałam umrzeć miliony razy.

– Weź mnie. Daj moim dzieciom szansę dorosnąć. Kala chce być weterynarzem, chce leczyć zwierzęta. A Kelvin – mój głos załamał się i nie byłam w stanie mówić dalej. – Dennis będzie dobrym ojcem. Poradzą sobie beze mnie. Zabierz mnie. – Wyciągnęłam rękę, żeby rozciąła moje żyły o rozbite szkło.

– Twój czas jeszcze nie nadszedł. – Jej twarz była blada, oczy ciemne i smutne.

– Spraw zatem, żeby tak się stało. Zamienię się z nimi. – Panika zaczęła narastać w moim brzuchu, poczułam ucisk na sercu i miałam nadzieję, że jest to pierwszy rezultat targu, który został dobity.

– Nie możesz targować się ze śmiercią – powiedziała. – Jest twój czas lub nie. To nie jest twój czas.

Wbrew bólowi w klatce piersiowej próbowałam się wyswobodzić z pasów bezpieczeństwa.

– Nie! – Walczyłam, ale pas był silnie zaciśnięty. – Nie!

Odeszli od samochodu. Promienie słońca dotknęły kasztanowych loków

Kali. W oczach miała łzy.

– Mamo! – Wyciągnęła do mnie rękę.

Kelvin zagryzł wargę.

– Błagam! – Zignorowałam mężczyznę, który próbował szarpać drzwi kierowcy. Jego twarz wyrażała panikę i przerażenie. – Błagam, nie zabieraj ich.

– Nadszedł ich czas.

– To ma mnie niby pocieszyć? – Chciałam ją zabić. Rozszarpać zębami. Wszystko, byle tylko ochronić dzieci.

– Ich przeznaczenie się dopełniło. Pozwól im iść dalej.

Ucisk na klatkę piersiową stał się nie do zniesienia, ale ja wiedziałam, że to nie jest zawał. To był żal. Mój nowy lokator, który obdarował mnie tonami bólu.

– Na litość boską, wołałabym zginąć. Błagam, weź mnie!

Pokręciła głową.

– Kiedyś nadejdzie twój czas, wtedy powrócę.

Wyszli ze słońca i powoli zniknęli w cieniu rzucanym przez dęby.

– Proszę!

Nadal krzyczałam, kiedy mężczyzna otworzył drzwi i pani Darcy chwyciła moje ręce, które łąpały powietrze. Próbowała mnie uspokoić aż do przyjazdu karetki, ale łzy na jej twarzy mówiły, że moje dzieci odeszły. Tak po prostu odeszły.

Pogrzebu w ogóle nie pamiętam. Przez rok Dennis próbował pogodzić się z tym, co się stało, ale w wypadku stracił nie tylko swoje dzieci, ale także i żonę. Mieszkał z zombie i choć próbował, nie był w stanie przywrócić mnie do życia. Jadłam, kiedy mi kazano, siedziałam na słońcu, jeśli ktoś mnie na nim posadził, kąpałam się wtedy, kiedy ktoś mi przygotował kąpiel. Zwykle siadałam na krześle bujanym przed oknem i czekałam na nią. Wiedziałam, że wróci.

Kiedy Dennis ode mnie odszedł, podciąłam sobie żyły w wannie z ciepłą

wodą. Zabawne jest to, że zawsze sobie wyobrażałam, że to nie będzie boleć. Wykrwawianie się na śmierć było straszne. Ciało chce żyć, niezależnie od tego, czego domaga się umysł czy dusza. Płuca żądały tlenu, a niedokrwione serce cierpiało męki. Czułam agonię, ale wiedziałam, że niedługo to się skończy.

Wtedy znowu ją zobaczyłam. Stała w drzwiach łazienki. Niewyraźny twór, utkany z wirów powietrza, energii i zasyпки. Przez chwilę widziałam straszne piękno jej twarzy. Pokręciła głową.

– Twój czas jeszcze nie nadszedł, Sandro. – Wyjęła listę imion, które wyglądały, jakby były zapisane krwią. – Twojego imienia tutaj nie ma.

– Wal się – ciężko jest być dowcipnym, kiedy człowiek wykrwawia się na śmierć.

– Nie oszukasz śmierci – wyszeptała. – I nie możesz jej przyspieszyć.

– Gdzie są moje dzieci?

– Ich przeznaczenie nie jest już twoim zmartwieniem. Są tam, gdzie powinny być.

Słyszając te słowa, wiedziałam, że Kala i Kelvin byli już dla mnie na zawsze straceni. Moja śmierć nie mogła nic zmienić.

– Nienawidzę cię. Nie wygrasz! Zrobię wszystko, co trzeba – mój głos słabł.

Podeszła bliżej wanny, która była pełna krwi.

– To nie jest jeszcze twój czas.

Zniknęła, a ja usłyszałam kroki. Dennis przyszedł na ratunek. Dlaczego nie może mnie zostawić w spokoju? Dostałby pieniądze z ubezpieczenia i nie miałyby problemów. Ale nie. On musiał sprawdzić, co u mnie. Nie wyglądałam dobrze. Martwił się, miał złe przeczucia i wyrzuty sumienia z powodu rozwodu, więc przyszedł, żeby się upewnić, czy ze mną wszystko w porządku. Ale oczywiście nie było w porządku. Daleka byłam od tego.

Dwa lata później rany na przegubach były prawie niewidoczne. Moje nowe podejście do życia sprawiło, że zwolniono mnie z zakładu West Briar.

Miejsca, gdzie wariaci mają dwudziestoczerogodzinną opiekę i dostają legalnie środki zamazujące rzeczywistość. Nigdy nie rób tego błędu i nie mów psychiatrze, że rozmawiałeś ze śmiercią. To gwarantuje pobyt w odosobnionym miejscu. Ja pod bacznym okiem personelu medycznego zaczęłam knuć swoją zemstę.

Udawałam, że się uśmiecham, i udawałam zainteresowanie odwiedzinami moich siostrzenic i siostrzeńców. W zasadzie to interesowały mnie tylko wiadomości w telewizji. Zaczęłam ją zauważać w reportażach ze slumsów, na zapyłonych drogach Bliskiego Wschodu, w błotnych wioskach Ameryki Środkowej, gdy powódź zmiatała domy z fundamentów. Zawsze tam była. Na poły uformowana twarz z liści lub pustynnego pyłu. Nikt jej tam nie szukał. Oprócz mnie. Tropiłam ją, gromadząc fragmenty wiedzy, która stanie się moim arsenałem.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi West Briar, zamieszkałam w ładnym starym domku z akrem ziemi, który kupił dla mnie Dennis. Ożenił się ponownie, a jego żona była w ciąży. Obydwoje przyszli mnie odwiedzić, żeby włączyć mnie w rytm życia rodzinnego. Bardzo się starali, więc udawałam zainteresowanie. Zaczęłam również zajmować się ogrodem, który stał się naprawdę wspaniały. Paranoja. Jak ktoś, kto wypatruje śmierci, może cokolwiek hodować?

Lata mijały, a ja czekałam, żeby ją ujrzeć, i mój plan zaczął nabierać kształtu. Ona skazała mnie na półżycie, kiedy zabrała mi dzieci i moją radość. Nie pozwoliła mi umrzeć. Powiedziała, że nie nadszedł jeszcze mój czas, tak jakby to był rozkład jazdy pociągów. A ja na nią czekałam i przygotowywałam małą niespodziankę.

Zaczynam dziś i jest to symboliczny początek, bo w moje urodziny. Nocą, kiedy spacerowałam po ulicach bez żadnego lęku, bo jeszcze przecież nie nadszedł mój czas, widziałam w porcie jego statek.

Dziś skończę czterdzieści trzy lata. Jestem matką dwójki zmarłych dzieci, rozwódką i niedoszłą samobójczynią. Jednym słowem – zwyciężcą.

Zimowe dni są krótkie. Patrzyłam, jak słońce schodzi coraz niżej, a wydatna tarcza księżyca pojawia się nieśmiało. Pomyślałam, że chyba jest w pełni. Zbyt dużo legend i zabobonów miałam w głowie.

Mój dom znajduje się niedaleko centrum, więc droga nie zajęła mi dużo czasu. Dzięki Bogu, dziś był środek tygodnia. W weekendy młodzi ludzie tłoczą się na Dauphin Street, żeby imprezować. Dzisiaj, czyli we wtorek, centrum miasta będzie ciche i spokojne. Myśliwi będą polować.

Kiedy zaparkowałam swoje volvo obok parkomatu, którego obecność zignorowałam, nad miastem zapadł zmrok, a w powietrzu czuć było zapach rzeki. Ostatni biznesmeni zamykali swoje firmy i pędzili do domów, jakby byli zaprogramowani, podobnie jak ja kiedyś.

Bary wabią kolorowymi neonami; kieruję się do jednego z nich, o nazwie Barnacle Bill. Wystarczająco długo obserwowałam mojego pirata, żeby wiedzieć, że tu go zastanę. Gdy otwieram drzwi, powiew wiatru na placu Bienville odsłania jej postać. Oprócz wiewiórek i bezdomnych, którzy śpią na ławkach w parku, jest tam tylko jej niewyraźny kontur. Idzie koło starszego mężczyzny, ale on jej nie wyczuwa. Wiem dokładnie, co by powiedziała. Jeszcze nie nadszedł jego czas.

Nigdy nie brałam pod uwagę, że może czytać mi w myślach. Czy byłaby w stanie ścisnąć moje serce na odległość? Czy mogłaby spowodować zator, który zatka mi tętnicę? Zawsze zakładałam, że musiałaby mnie dotknąć, ale mogę się mylić. Byłby to straszny błąd, mówiąc ogólnie.

Wchodzę do ciemnego wnętrza Barnacle Bill, zapach dymu papierosowego oraz rozlanego piwa wręcz odrzuca. Stary mężczyzna stoi przy kontuarze i zbiera kufle po piwie. Jestem tu jedyną kobietą i to na jakieś dziesięć sekund przykuwa uwagę klientów. Jeden z nich patrzy na moją twarz, ale widać, że nie szukam towarzystwa, więc nie wzbudzam zainteresowania.

Kłęby dymu w kącie lokalu są tak gęste, że prawie całkowicie przesłaniają siedzącego. Jest dokładnie tam, gdzie chciałam, żeby był. Podchodzę do

stolika i siadam niezaproszona.

– Nazywam się Sandra i dziś są moje urodziny – mówię. – I mam życzenie.

– Fascynujące. – Jego akcent był niemożliwy do określenia. Był mieszanką hiszpańskiego, francuskiego i trochę południowego. Piękny i uwodzicielski. Nie spodziewałam się, że będę coś takiego czuła.

– Spełnisz moje życzenie? – Musiałam dwa razy odchrząknąć, zanim zadałam to pytanie. Boję się, do diaska. Po takim długim okresie planowania wciąż się boję.

– To zależy.

– Wiem, kim jesteś. Odrobiłam swoją pracę domową. Mobile Bay 1823, statek *Esmeralda*. Kiedyś pewnej nocy spacerowałeś w dokach. Poczułeś, jak ktoś dotyka twego ramienia, a potem jak gryzie cię w szyję. Powracasz do Mobile, żeby uczcić swoje stworzenie i żeby polować.

Pochyla się w moją stronę. Jego oczy są tak ciemne, jakby pochodziły z jakiejś piekielnej otchłani.

– I co jeszcze wydaje ci się, że wiesz?

– Wiem, że możesz dać mi ukojenie. Możesz odebrać moje życie i dać mi w zamian wieczność.

Zimne palce głaszczą moją szyję. Jego dotyk jest delikatny, ale zarazem przerażający. To jest dłoń śmierci, której szukałam przez połowę swojego życia, ale jest to śmierć na moich warunkach.

– To tak nie działa. Ta nieśmiertelność, o którą prosisz, ma swoją cenę, którą trzeba zapłacić.

Kiedy się uśmiecha, widzę czubki jego kłów. Ma ciemną twarz koloru kawy lub orzecha, białe zęby, a jego długie włosy są kruczoczarne. Nie dałabym mu więcej niż czterdzieści pięć lat. A może dwieście czterdzieści pięć.

– Śmierć po mnie przysłała i mówi, że teraz nadszedł mój czas. Po dwudziestu latach błagania o to, żeby mnie zabrała, odmawiam zrobienia

tego według jej planu. Ukradła mi dzieci, tym samym odbierając mi życie. – Złość zamienia moje słowa w kamienie, które mu rzucam. – Ma swoją listę z moim imieniem na górze, ale nie wygra tym razem.

Jego śmiech wnika w przesiąknięty piwem blat stołu. Rozbawiłam go.

– Chcesz przechytrzyć śmierć?

– Tak, właśnie – odpowiadam bez wahania. Wyciągam swoje nadgarstki.

– Chciałam umrzeć dawno temu. Teraz nie zgadzam się tylko dlatego, że jej tak właśnie pasuje.

– Chcesz więc ukąszenie nieśmiertelności.

– Ty trzymasz moc życia i śmierci. Jesteś jej rywalem. Chcę, żebyś wygrał.

Uśmiecha się obłąkańczo, ale nie odpowiada od razu. Ze stolika obok unosi się wir serwetek. Już tutaj jest. Stoi obok mnie i wyciąga po mnie rękę.

– Proszę, pomóż mi.

Ignoruję ją i przywołuję całą swoją siłę perswazji. Wydaje mi się, że nie powinnam była czekać do ostatniej chwili, że należało przyjść wcześniej. Nim zdążyłam mrugnąć, bierze mnie w swoje ramiona i porywa na zewnątrz baru. Po chwili jesteśmy w ciemnej alejce.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Sandro – mówi i wbija zęby w moją szyję.

Tym razem utrata krwi jest podniecająca, a nie bolesna. Czuję, jak moje ciało staje się bezwładne. Zaraz zasnę, a potem obudzę się w nowym świecie, gdzie śmierć nie ma nade mną władzy.



Tate Hallaway

Jest autorką wielu powieści, w których występują bohaterowie tego opowiadania, m. in.: *Wysoki, mroczny i martwy (Tall, Dark & Dead)* wydanej w maju 2006r. i *Atrakcyjny martwy (Dead Sexy)* z maja 2007r. Srogie zimy są jej doskonale znane, wychowała się bowiem na środkowym zachodzie w Lacrosse w Wisconsin. Obecnie mieszka w Saint Paul w Minnesocie z pięcioma kotami i uroczym synkiem Masonem.

Pechowe urodziny



Sebastian powiedział mi, że jego urodziny zostały przeklęte. Nie wierzyłam mu, dopóki nie znalazłam się po kolana w śniegu na poboczu stanowej drogi numer 5, podczas gdy Sebastian gapił się w silnik naszego zepsutego samochodu.

Utknęliśmy. Złamany trzonek miotły przytrzymał otwartą maskę hondy civic rocznik '90. Sebastian zwykle jeździł jakimś klasycznym samochodem w idealnym stanie, lecz takie auta na ogół nie miały ogrzewania i nie bardzo nadawały się na zimy w Wisconsin. Honda była pożyczona od Jansena, właściciela warsztatu samochodowego, w którym pracował Sebastian. Miał ją użytkować do momentu, aż pogoda się polepszy.

Sebastian trzymał głowicę rozdzielczą i robił coś moim pilniczkiem do paznokci. Ubrany był tak, jakby było plus, a nie minus dwadzieścia stopni – bez szalika, czapki i rękawiczek. Jedyne, co chroniło go przed wiatrem, była kurtka, luźne jeansy i kowbojskie buty. Wyglądał bardziej jak mechanik

samochodowy niż jak wampir. Oczywiście był mechanikiem samochodowym, ale to była jego dzienna praca. Tak, dobrze mnie usłyszeliście. Dzienna praca. Sebastian został zamieniony za pomocą magii, a nie krwi, mógł więc bez żadnych problemów spacerować w promieniach słonecznych, których teraz było zresztą niewiele.

Zachód słońca pokrył niebo różem i błękitem. Sople lodu zwisające z dachu opuszczonej farmy migotały jak świąteczne lampki. Jakiś pies zawył w oddali. Byłoby pięknie, gdyby nie było tak piekielnie zimno.

Sebastian pracował niespiesznie, nieczuły na temperaturę. Koniuszki jego uszu nawet się nie zaczerwieniły, podczas gdy moje, mimo czapki ze sztucznego futra naciągniętej prawie na czubek nosa, paliły żywym ogniem. Ta obojętność na przenikliwe zimno sprawiała, że wydawał się bardzo nienaturalny. Ja, wdychając to lodowate powietrze, nie mogłam się powstrzymać od szczękania zębami.

Bycie martwym musi być przyjemne.

A żywi niech sobie w tym czasie odmrażają tyłki. Świetnie wyglądałam w upolowanym na wyprzedazy wełnianym płaszczu Harris Tweed, puszystej rosyjskiej czapce i butach ze sztucznym futerkiem i byłoby mi w tym wszystkim ciepło, gdyby nie fakt, że miałam tak niewiele pod spodem. Zwykle kiedy prognoza pogody zapowiadała, że temperatura spadnie poniżej zera, modny wygląd przestawał mnie interesować, ale dziś były urodziny Sebastiana i chciałam go trochę olśnić. Pod wszystkimi warstwami ubrań zimowych wyglądałam oszałamiająco, ale nie było mi z tego powodu choć odrobinę ciepłej. Tak bardzo się trzęsłam, że stukałam kolanem o kolano.

Ciemne cienie wydłużyły się w słabnym różowym świetle zachodzącego słońca i nad naszymi głowami zaświeciły się latarnie. Sebastian spojrzał w górę, doszukując się przyczyny tej nagłej iluminacji, a potem popatrzył na mnie przez moment i wrócił do naprawy.

Nie powiedział wiele od momentu, kiedy jakieś dwadzieścia minut temu samochód się rozkraczył, ale ja wiedziałam, że gotował się w środku. Nie

chciał nigdzie się dziś ruszać. Powiedział, że nie świętował urodzin i nie zamierza teraz zacząć. To nie była dla niego radosna okazja.

Uważał, że to właśnie jego urodziny sprawiły, że został wampirem.

Dziś była Wigilia.

Najwyraźniej w czasach, kiedy Sebastian się urodził, panował przesąd, że przyjscie na świat tego samego dnia co Jezus Chrystus było skażone złą mocą. Chodziło chyba o to, że jego rodzice oddawali się ziemskim uciechom w tym samym czasie, kiedy doszło do niepokalanego poczęcia. Nieważne. Dla mnie to nie miało żadnego sensu, ale dla Sebastiana to było ważne. Każdego roku w dzień urodzin przypominano mu o jego skalaniu. Powiedział mi, że ta klątwa stała się samospełniającą przepowiednią, bo zaczął praktykować czarną magię częściowo dlatego, że ludzie tego właśnie się po nim spodziewali. Gdyby tak nie uczynił, nigdy nie odkryłby formuły, która zrobiła z niego wampira.

– Spróbuj teraz, Garnet – krzyknął Sebastian gdzieś spod maski samochodu.

Przeszłam na stronę kierowcy, grzęznąc w śniegu. Usiadłam na siedzeniu i zamknęłam drzwi. Położyłam rękę na kluczyku w stacyjce i wygłosiłam szybką modlitwę do Pele, hawajskiej bogini ognia. Zamknęłam oczy i szepnęłam: „Proszę, daj nam iskierkę”.

Kiedy silnik zaskoczył, pomyślałam, że moja modlitwa została wysłuchana. Jednak dźwięk metalu trącego o metal, skrzypienie i cisza powiedziały mi, że nic z tego. Odniosłam wrażenie, że tym razem coś zepsuło się kompletnie.

– Nic – krzyknęłam niepotrzebnie.

Jako że zimy na środkowym zachodzie nie były mi obce, wiedziałam, że muszę teraz zrobić wszystko, aby służby, które były odpowiedzialne za ratowanie ludzi z ich zepsutych samochodów w taką pogodę jak teraz, wypatrzyły nasz samochód.

Czekałam, aż Sebastian coś powie. Zamiast tego zamknął delikatnie

maskę, jakby zamykał trumnę. Opuściłam szybę, gdy podszedł do mnie. Uśmiechnęłam się z nadzieją, ale on pokręcił głową i powiedział: – Zupełnie zepsute.

Staralam się zachować pewność siebie.

– Nadal jest wcześnie – powiedziałam. – Możemy zadzwonić po taksówkę.

Sebastian oparł się o drzwi, unikając mojego spojrzenia. Pomimo że miał kurtkę na sobie, zaczął pocierać rękami o ramiona, patrząc w ciemność.

– Czy ktoś będzie dzisiaj pracował?

– Restauracja jest otwarta – przypomniałam mu. – Tak jak kino.

Madison, skrajnie lewicujące miasteczko uniwersyteckie, mimo że niewielkie, miało sporą grupę mieszkańców, dla których Wigilia była zwyczajnym dniem. Sama długo się zastanawiałam, czy nie otworzyć swojego sklepu okultystycznego, ale zdecydowałam, że będzie zamknięty, żeby uszanować urodziny Sebastiana. Trwała przerwa świąteczna i studenci, których zatrudniałam, byli w domach i pewnie delektowali się pieczonym indykiem, podczas gdy ja musiałabym siedzieć w sklepie sama. Chciałam mieć dzień wolny, żeby spędzić go z Sebastianem.

Sebastian zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu komórki, ale jej nie znalazł.

– No tak – westchnął, gdy przeszukiwaliśmy samochód. – Benjamin musiał ją znowu zabrać.

Benjamin to mieszkający w domu Sebastiana duch, a dokładniej poltergeist, który kiedy coś go zirytowało, miał tendencję do rzucania tym, co było pod ręką. Dziwne jednak, że zabierał rzeczy Sebastiana, zwykle był bardzo lojalny i starał się bronić domu przed różnymi intruzami, łącznie ze mną.

– Co go mogło tak wkurzyć?

– Zastanawiałem się nad zmianą tapety w pokoju Vivian.

– Czyś ty oszalał? – Vivian była żoną Benjamina, którą, jak

podejrzewamy, zarąbał siekierą w tym właśnie pokoju. Dostawał szału, kiedy coś zmieniano w jej sypialni. Obsesyjnie chciał, żeby wszystko zostało dokładnie tak, jak jest. Sebastianowi czasami udawało się go podejść i przenosił rzeczy Vivian w inne części domu, żeby Benjamin posprzątał.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Może pójdziemy po prostu do domu?

Zapaliłabym się nawet do tego pomysłu, gdyby nie sposób, w jaki propozycja została ogłoszona. Aż czułam defetyzm wyciekający z każdej sylaby. W zasadzie to część mnie chciała się poddać (dokładnie moje zmarznęte na kość palce stóp), ale wypełniałam misję otrząśnięcia Sebastiana z urodzinowej melancholii. Nosił tę nienawiść do swoich urodzin przez prawie tysiąc lat. Nadszedł najwyższy czas na zmianę nastawienia.

Farma Sebastiana była mniej więcej w takiej samej odległości od nas, jak restauracja Portobello, gdzie mieliśmy rezerwację za dwadzieścia minut. Nadal moglibyśmy zdążyć.

– Jestem pewna, że jest tu gdzieś jakaś farma – powiedziałam, poprawiając czapkę tak, żeby bardziej zakrywała uszy. – Stamtąd możemy wezwać taksówkę.

– Do domu.

– Do restauracji.

Zaczęliśmy jedną ze swoich wojen na wzrok, w których normalna osoba pozwoliłaby wygrać wampirowi.

Wyraz tych orzechowych oczu, z niesamowitą złotą obwódką wokół źrenic, mówił: „Cofnij się”. Ja jednakże, jako uparta czarownica, nie miałam za bardzo wyrobionego instynktu samozachowawczego.

– No, chodź. – Przykleiłam sobie radosny uśmiech na twarzy, pomimo straszego mrozu. Zostawiając otwarte drzwi w samochodzie, ruszyłam dziarskim krokiem w pustkowie. – To będzie wielka przygoda.

Przez kilka chwil obawiałam się, że Sebastian uzna, iż powinnam przeżyć tę przygodę samotnie, ale potem cichutko podszedł do mnie.

– Jesteś niemożliwa – wymamrotał, ale w jego głosie dało się słyszeć radosną nutkę. Wygrałam.



Nie trwało długo, bym zaczęła żałować swojej decyzji. Minus dwadzieścia to naprawdę niebezpieczna temperatura, a ja byłam niewłaściwie ubrana. Nie czułam twarzy, a palce u stóp zamarzły mi prawie na kość. Zaczynałam się poważnie zastanawiać, czy nie poprosić Sebastiana, żeby zamienił mnie w wampira, abym nie musiała myśleć, czy zamarznę na śmierć, ale zobaczyliśmy, że w naszym kierunku zbliża się półciężarówka.

Na początku zauważyłam tylko dwa światła, jakby były oczami jakiegoś dużego zwierza, potem usłyszałam warkot silnika. Zaczęłam energicznie machać ręką, mając nadzieję, że nas zauważą. Moją jedyną myślą było ogrzewanie.

Na szczęście samochód się zatrzymał.

Za kółkiem lśniącego forda siedziała kobieta po pięćdziesiątce. Jej białe kręcone włosy wystawały spod wełnianej czapki Elmera Fund. Policzki miała czerwone od wiatru i zimna. Rzut okiem na jej stosowną do pogody kurtkę, ocieplane rękawiczki, narciarskie spodnie i ciężkie buty podpowiedział mi, że jest farmerem.

Wnętrze samochodu było cudownie ciepłe i pachniało kawą oraz mokrym psem.

– Dziękujemy, że się pani zatrzymała – powiedziałam, wdrapując się do środka.

Pokiwała głową w ten typowo wiejski sposób, który jednocześnie mówił: „Nie ma za co” i ”Powinnam sobie przebadać głowę, że wzięłam dwoje ludzi

w środku nocy do samochodu”.

– Powinniście być w samochodzie w taką noc jak ta – powiedziała kobieta, kiedy sadowiłam się na środkowym siedzeniu.

Miała oczywiście rację, bo do mrozu dołączył w międzyczasie silny wiatr, który sprawiał, że było jeszcze zimniej. Wóz zabezpieczał przynajmniej przed wiatrem. W aucie można się było chociażby ogrzać, chuchając na ręce. Nie wspominając już o tym, że nie wiem, ile musielibyśmy jeszcze przejść, żeby znaleźć jakąś farmę. A do tego zawsze istniało ryzyko, że się zgubimy. Policja i osoby odśnieżające drogi są przeszkoleni, żeby zatrzymywać się przy samochodach, które mają zawiązaną czerwoną wstążkę na antenie na znak, że potrzebna jest pomoc.

Byłam rdzenną mieszkanką Minnesoty i doskonale o tym wiedziałam. Już miałam przyznać się do zignorowania procedury, kiedy kobieta dodała: – Żadne z was nie ma telefonu?

– Nie. – Uśmiechnęłam się marnie.

Sebastian tylko pokręcił głową.

– I nie sędzę, żeby pani go miała. Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Oczywiście, że mam.

Z kieszonki swojej kurtki wyjęła etui w cekiny. Zaskoczona szerzej rozwarłam oczy i podałam lśniący futerał Sebastianowi. Otworzył go i zmarszczył brwi.

– Nie ma sygnału.

A chwilę później dodał: – A teraz padła bateria.

Oddając mi telefon, powiedział: – Przeklęty.

– To dziwne – rzekła kobieta, kiedy oddałam jej telefon. – Działał jeszcze jakieś pół godziny temu.

– Ja jestem przeklęty – powiedział Sebastian, ale tym razem głośniej.

Kobieta spojrzała na niego dziwnie i skierowała wzrok na drogę.

– Więc – powiedziała, jakby pragnęła się nas pozbyć – gdzie chcecie jechać?

Nie wzięłam tego do siebie. Jestem pewna, że dziwnie razem wyglądaliśmy. Ja tragicznie, niczym mieszanka rosyjskiej babuszki z modelką w stylu gothic. Natomiast Sebastian sprawiał wrażenie posępnego, a do tego ubrany był bardzo lekko.

Spojrzałam na Sebastiana, żeby odpowiedział na to pytanie, ale on gapił się na szare niebo. Musiałam go wyciągnąć z tego stanu. Był strasznie nietowarzystki, a do tego nieuprzejmy.

– Jeśli jedzie pani do miasta... – zaczęłam, a kiedy nie zaprzeczyła, dodałam: – Okolice State Street by nam pasowały.

Kiwnęła głową, patrząc przed siebie. Wiatr nawiewał śnieg na szosę, wirując nad jezdnią, żeby potem zniknąć w zaspach po jednej stronie drogi.

– Jesteście na randce?

– Dziś są jego urodziny.

Kiwnęła głową, jakby coś rozważała. Przygotowałam się na jakiś kawał albo komentarz, ale ona po prostu odrzekła: – Niezły dzień, jak na takie święto.

Zagrzmiało w momencie, gdy to mówiła. Sebastian obudził się wystarczająco, żeby zapytać: – Czy na dziś zapowiadali burzę śnieżną?

– Tak – powiedziała kobieta z idealnym akcentem mieszkańca Minnesoty.
– Instytut meteorologii wydał dziś ostrzeżenie.

– To się robi jeszcze ciekawsze – wymamrotał Sebastian.

Dałam mu kuksańca, jakbym chciała powiedzieć: „Bądź miły”.

– Czuję się głupio – powiedziałam. – Powinnam była się przedstawić. Nazywam się Garnet Lacey, a ten czarujący mężczyzna to mój chłopak Sebastian von Traum.

Kiwnęła głową na powitanie i powiedziała: – Fonn Hyrokkin. – W błysku świateł mijającego nas samochodu coś zamigotało w jej oczach niczym lód.

Hyrokkin brzmiało jak jakieś skandynawskie nazwisko, z którymi często się spotykałam, dorastając w północnej części stanu, ale coś w sposobie, w jaki je wymówiła, jak gdyby był to jakiś tytuł, sprawiło, że zamilkłam.

Patrzyłam swoim magicznym wzrokiem, ale było zbyt ciemno, żeby dobrze rozpoznać jej aurę. Aura jest jak efekt halo, rozprasza światło wokół danej osoby, ale nie można jej dostrzec, jeśli nie ma się jakiegoś źródła światła. Odkryłam, że najlepiej sprawdza się sztuczne oświetlenie, ale poświata bijąca od deski rozdzielczej była niewystarczająca.

Rosnący niepokój spowodował, że jechaliśmy w ciszy.

Nie możesz mieszkać na środkowym zachodzie, nie stykając się z ciszą. Wychowywałam się w Minnesocie, więc powinnam być do tego przyzwyczajona, ale jestem straszną gadułą. Popełniam nawet ten niewybaczalny grzech i zdarza mi się zagadywać ludzi w windzie. Kiedy nie mogę rozmawiać, to tupię nogami i bębnię palcami o jakąś powierzchnię. Jest to dziwne, ale jedną z rzeczy, jaką lubię w moim adoptowanym stanie Wisconsin, jest fakt, że ludzi znacznie łatwiej tu zagadywać. Że też jedyna Norweżka w całym stanie musiała nas właśnie podwozić.

Spojrzałam na Sebastiana, szukając jakiegoś wsparcia, kiedy moje stopy zaczęły swój nerwowy taniec, ale on po prostu gapił się w ciemność za oknem.

Naciągając rękawiczki na palce, zaczęłam obserwować Fonn, która patrzyła przed siebie. Nasze barki zderzały się ze sobą na wyboistej drodze i za każdym razem, kiedy tak się działo, mogłam przysiąc, że coraz mocniej czułam zapach psa. Tłumaczyłam sobie, że może jej golden retriever lubił spać na jej kurtce. Byłam pewna, że część moich ubrań pachniała kotem, ponieważ Barney polubił drzemki w mojej szafie, od kiedy przez przypadek zostawiłam ją otwartą. I w ogóle dlaczego miałoby mnie to martwić? Jako osoba sama mająca zwierzaka, uważałam jego posiadanie za pozytywną cechę osobowości. Ludzie, którzy nie mieli zwierząt, a mieli taką możliwość, zawsze wydawali mi się podejrzani. Co w takim razie mnie niepokoiło? Czy to, że psa nigdzie nie było widać?

Kiedy jechaliśmy po pustej wiejskiej drodze, słuchałam pracy silnika. Chciałam zapytać Fonn o psa, którego wyczułam, ale stwierdziłam, że nie

byłoby to uprzejme z mojej strony. Słowa pokroju: „Zauważyłam, że twój samochód śmierdzi mokrym psiakiem. Jaka to rasa i gdzie on w ogóle jest? Och, to jest zapach twojego ciała? Przepraszam” nie byłyby taktowne.

Minęliśmy świątecznie udekorowaną farmę. Trawnik zdołały świecące renifery, elfy, bałwan i plastikowy żłobek. Trzy pary oczu zgodnie podziwiała tę ekstrawagancję, ale tak jak to było w stylu mieszkańców środkowego zachodu, każdy zatrzymał opinię dla siebie.

Przez niebo przeleciała błyskawica. Śnieg zaczął się skrzyć na przedniej szybie.

– Co, do jasnej cholery? – powiedziałam. – Jest za zimno na śnieg.

Być może nie zdałam egzaminu z zimowego bezpieczeństwa, ale wiedziałam, że są temperatury, w których śnieg nie mógł się formować. To było po prostu niemożliwe. Coś dziwnego działo się na zewnątrz. Coś nienaturalnego.

– Burza – powiedziała nabożnie Fonn. – Będzie potężna.

Głęboko wewnątrz mnie warknęła Lilith.

Dzielenie ciała z Lilith oznaczało, że czasami coś komentowała. To warknięcie zaskoczyło mnie. Sprawiało wrażenie groźby. Pomimo że wiedziałam, iż nikt nie mógł tego usłyszeć, położyłam uspokajająco rękę na swoim brzuchu.

Spojrzałam na Sebastiana, żeby sprawdzić, czy zarejestrował skargę Lilith, bo dzięki zaklęciu, które mnie z nią połączyło, mógł wyczuć jej nastroje.

Zaczął się przyglądać Fonn z nagłym zainteresowaniem. Podążyłam za jego wzrokiem, żeby zobaczyć, co go nagle tak bardzo w niej zafascynowało i zaniepokoiło. W błękitnej poświacie tablicy rozdzielczej rysy jej twarzy były ostre i jednocześnie płaskie, a policzki ciasno opinała skóra. Było w niej coś królewskiego, ale też nic, czego nie widziałabym wcześniej w twarzach farmerów z Finlayson w Minnesocie, gdzie dorastałam.

Jedyną rzeczą, która wydała mi się dziwna, był nikły uśmiech na ustach.

Patrzyła na śnieg i wiatr, jakby coś jej się w tym podobało albo... sprawiało, że czuła się dumna. Tak, to było to. Patrzyła na zbliżającą się burzę tak, jak matka patrzy na dziecko, które właśnie stawia pierwsze kroki.

Przeróżające.

Spojrzeliliśmy na siebie z Sebastianem, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Coś tu nie gra”. Po całej tej ciszy byłam wdzięczna, że wreszcie mogę się jakoś z nim porozumieć, nawet jeśli dotyczyło to dziwaczności tej sytuacji. Uśmiechnął się do mnie krzywo, jakby chciał powiedzieć: „Czy to nie jest nasz pech?”. Kiwnęłam głową, zgadzając się z nim.

Wiatr silnie wiał od tyłu i samochód zjechał bliżej środka drogi. Fonn skorygowała tor jazdy błyskawicznie.

Moja pierwsza myśl była taka, że Fonn była jakimś pokreconym łowcą burz, ale Lilith rzadko dawała znać o sobie przy zupełnie normalnych ludziach. Gdyby tak było, często by mnie szturchała, bo miałam tendencję do przyciągania dziwnych typów. Nie, tutaj musiało dziać się coś nienaturalnego, ale co?

Jeśli Fonn nie była zdegenerowanym meteorologiem, kim mogła być? Parszywa pogoda wprawiała ją w podniecenie. W tę zimną noc była sama, a jej samochód pachniał psem. Według mnie nadszedł czas na grę w dziesięć pytań do... Ale jak ją przepytac, nie wzbudzając podejrzeń?

– A więc, Fonn – zaczęłam, starając się, żeby moje pytanie brzmiało jak najbardziej naturalnie. – Pochodzisz stąd?

– Nie.

Cholera! Trafiłam na osobę, która odpowiada tylko „tak” lub „nie”.

– A skąd jesteś? – zapytał Sebastian, odbijając piłeczkę.

– Pochodzę ze Starego Świata.

– Ja też – powiedział Sebastian. – Urodziłem się w Austrii. A ty?

– W Norwegii.

No to coś na nią mieliśmy. Nie za wiele to pomogło, ale zawsze coś. Spojrzałam na Sebastiana, ale on po prostu wzruszył ramionami. Nie

wiedział, jaką magiczną postacią mogłaby być.

Wiatr dał wokół samochodu. Powiewy wiatru uderzały o okna. To była kolejna dziwna rzecz. Śnieg też się zmienił. Zamiast kaszki padały teraz wielkie płatki. Temperatura na zewnątrz musiała wzrosnąć drastycznie. Dziwne było, że stało się to w ciągu kilku minut.

Burza rozbudziła moje wyostrzone zmysły. Ta sytuacja naprawdę mnie przerażała. W jakiś sposób stała za tym Fonn. Byłam tego pewna.

No dobrze. Może Fonn posiadała jakąś magię związaną z pogodą. Czy ja znałam jakieś stare norweskie stworzenia, które kontrolowały śnieg? Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to była walkiria, ale to jakoś nie pasowało do Fonn. O ile dobrze pamiętam, to trzeba było umrzeć podczas bitwy, żeby się z jakąś spotkać, a poza tym trzeba było być wikingiem. Jeżeli nic się w tej kwestii nie zmieniło, to ani ja, ani Sebastian nie pasujemy do schematu. No dobrze, Sebastian był już martwy i zginął podczas jakiejś krucjaty czy walcząc przeciwko Hunom, ale to było dawno temu i zdecydowanie nie był Norwegiem.

Fonn skręciła na główną drogę. Widoczność stawała się coraz gorsza. Pomimo że jechaliśmy teraz większą i bardziej uczęszczaną drogą, wszystko, co mogłam dostrzec, to był niewyraźny zarys linii oddzielającej pasy ruchu i kryształki lodu skrzące się w blasku reflektorów. Samochód pędził pewnie przed siebie, ale ja chwyciłam dłoń Sebastiana i ścisnęłam ją mocno.

Lilith zmarszczyła mój brzuch. To było ostrzeżenie.

No dobra. Fonn była jakąś szaloną postacią magiczną, ale co Lilith chciała mi powiedzieć? Czy Fonn była również niebezpieczna? A jeśli tak, to jak?

Pomimo ogrzewania poczułam zimny powiew na szyi. Zadrzałam i przysunęłam się bliżej Sebastiana, któremu też zrobiło się chłodniej, bo ręka, którą mnie objął, delikatnie się trzęsła.

– Zimno ci? – zapytałam.

– Tak – powiedział, podnosząc ramiona, jakby chciał się ochronić przed wiatrem – jakoś teraz zrobiło mi się zimno.

– Burza się nasila – powiedziała Fonn, tak jakby to mogło mieć jakikolwiek wpływ na mojego wampirzego kochanka. – Może będziemy musieli znaleźć schronienie – dodała, zwiększając szybkość, z jaką pracowały wycieraczki.

– Powinniśmy zbliżyć się już do miasta – odparłam pod nosem.

Farma Sebastiana nie znajdowała się dalej niż dziesięć minut od przedmieść Madison. Wydawało się, że jedziemy już dwa razy dłużej, a samochód zepsuł się przecież w połowie drogi.

– Musiałam przejechać jakiś skręt – odpowiedziała Fonn. – Widoczność jest koszmarna. Wydaje mi się, że zawróciliśmy i chyba trochę się zgubiliśmy.

Nie zgubiliśmy się, pomyślałam. Gdzieś nas wieziesz.

Madison, mimo że jest stolicą stanu, nie zasługuje na miano metropolii i nie ma zbyt wielu dróg, które prowadziły do i z miasta. Jeżeli jechało się główną drogą, zgubić się było dość trudno. Fonn dokładnie wiedziała, gdzie jesteśmy. A pewności nabrałam, gdy zobaczyłam na jej ustach ten złośliwy uśmiezek. Właśnie miałam coś powiedzieć, kiedy Sebastian zaczął mówić.

– Trochę zgubieni. Czy to nie jest taki sam przypadek, jak być trochę w ciąży? – zapytał, ale to było pytanie retoryczne i w dodatku przesiąknięte sarkazmem. – Zgubiliśmy się. No, po prostu świetnie.

Przewróciłam oczami i wyswobodziłam się spod jego ramienia.

– To nie jest twoja klątwa – powiedziałam, wzdychając.

– Raczysz żartować? – wystrzelił. – Utknęliśmy w burzy śnieżnej z jakimś stworem z ciemnej strony, a ty nadal uważasz, że to się nie dzieje dlatego, że moi rodzice byli grzesznikami, a ja praktykowałam czarną magię w święte dni?

– Nie uważam tak. Cierpisz dlatego, że twoi rodzice uprawiali seks w dniu, kiedy nie powinni byli tego robić? Czy zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? – I spojrzałam na niego takim wzrokiem, żeby dać mu do zrozumienia, że ona nas słyszy.

– Jestem z Norwegii – dodała Fonn tylko lekko rozdrażniona. Zaczęłam chichotać z jej sprostowania. – I nie jestem jakimś stworem, tylko demonem.

– To świetnie – powiedział sucho Sebastian. – To sprawia, że jest jeszcze lepiej.

Szturchnęłam Sebastiana, jakby chcąc mu powiedzieć: „No dalej, idioto, zadźgaj demona”.

Wycieraczki nieskutecznie próbowały oczyścić szybę. Byliśmy otoczeni bielą. To już prawdziwa zawieja. Fonn zjechała na pobocze i zatrzymała samochód.

– Musimy ją przeczekać.

– No to świetnie – wymamrotał Sebastian. Pomimo że jest demonem, uznałam, że trochę wdzięczności nie zaszkodzi.

– Dzięki, że nas zabrałaś – powiedziałam, próbując dostrzec coś przez szybę. – Gdyby nie ty, już byśmy zginęli.

Fonn uśmiechnęła się.

Lilith zacisnęła mięśnie mojego żołądka, a chłód znowu powędrował wzdłuż kręgosłupa.

– Chryste, jak tu jest zimno – powiedział Sebastian, sięgając do gałki ogrzewania.

Przysunął się bliżej nawiewu i objął ramionami, żeby było mu cieplej. Popatrzyłam na Fonn, która włączyła radio. Dźwięk zalał kabinę samochodu. Było to radio Wisconsin Public, gdzie właśnie leciała audycja o giełdzie, polityce w Bułgarii i jakichś innych tematach dla wtajemniczonych. I tak nie słuchałam. Byłam zbyt przerażona tym, co się z nami dzieje. Sebastian wyglądał fatalnie i strasznie się trząsł. Chciałam go pogłaskać po szyi, żeby dodać mu otuchy. Jego skóra była zupełnie zimna.

Zimna? Coś tu nie gra. Oczywiście był wampirem, a skóra większości z nich jest zimna, ale nie mojego faceta. Jego magia sprawiła, że był gorącokrwisty. Zabrałam rękę zaskoczona.

– Sebastian – zapytałam – czy jest ci zimno?

– Jak cholera. Zamarzam. – Potarł dłońmi o ramiona, żeby wykrzesać trochę ciepła.

Wiatr bębnił w okna samochodu. Wszędzie dookoła było białe. W świetle reflektorów okolica przypominała mi widok podprzestrzeni z *Gwiezdnych wojen*. Sebastianowi nie powinno być zimno, a ta burza nie powinna być taka silna.

– Wysysasz z nas życie, żeby tworzyć tę burzę, prawda? – zapytałam Fonn, która patrzyła, jak śnieg zbiera się na bocznym oknie.

Trzęsąc się z zimna, Sebastian spojrzał na Fonn.

– Hej, ale ja nie mam w sobie nawet odrobiny życia – zaznaczył.

– Energię – poprawiła nas Fonn. – I jeśli mogłabym tak to ująć, macie jej duże pokłady.

To by wyjaśniało, dlaczego Fonn nie spodobała się Lilith. Wysysający energię demon uznałby boginię za szwedzki stół – bierz, ile chcesz.

– To jest zajefantastycznie – powiedział Sebastian. – Wszystkiego najlepszego z okazji moich urodzin!

Coś stuknęło w boczną szybę i wszyscy podskoczyliśmy, nawet Fonn. Otworzyła okno, wpuszczając podmuch arktycznego powietrza. Zauważyłam nikłe niebieskie światło za nami.

– Wszystko w porządku? – zapytał męski głos. Miałam wrażenie, że pod sztucznym futrem kaptura, którym był owinięty, miał wąsy.

Fonn popatrzyła na przybysza w taki sposób, jakby była głodna i chciała go zjeść.

– Przydałaby nam się pomoc – jej głos zmienił się nagle w głos staruszki.

Fonn miała zamiar zjeść także jego! Nagle zrozumiałam, że ona jeździ i szuka ofiar. Oczywiście, tym razem jej się poszczęściło i trafiła na czarownicę, która nosi w sobie boginię, i wampira o zdolnościach magicznych. Dobry dzień dla Fonn, dla nas trochę gorszy.

Lilith wierciła się w moim żołądku jak rozwijający się wąż. Zanim zdążyłam zareagować, przemówił Sebastian.

– Nic nam nie jest. Chcemy przeczekać, aż burza trochę osłabnie – głos Sebastiana był bardzo uprzejmy.

Mogę przysiąc, że przez chwilę wewnątrz samochodu delikatnie pachniało tostami cynamonowymi i gorącą czekoladą. Były to bardzo pocieszające zapachy, takie bardzo domowe. Czułam się dość bezpiecznie i nawet trochę sennie.

Kierowca pługą kiwnął głową, otumaniony przez urok wampira.

– Pogoda jest koszmarna. Trzymajcie się.

Zniknął w bieli, a ja głośno wypuściłam powietrze z płuc, kiedy usłyszałam, jak zapala silnik i odjeżdża.

Fonn natomiast nie wyglądała na zadowoloną.

Temperatura w samochodzie spadła o jakieś dziesięć stopni. Mój oddech zamieniał się w parę. Sebastian w tym samym czasie wziął porządny wdech, jakby też zauważył zmianę. Zimny wiatr, który wleciał przez otwarte okno, rozwiał loki Fonn. Jej szare oczy błyszczały gniewem. Wiatr wył dookoła samochodu jak wilk.

Ciepło uciekało ze mnie falami. Widziałam, że unosi się i zbiera wokół Fonn jak dym. Jej twarz wyrażała triumf. Miała zamiar wyssać z nas całe ciepło i stworzyć matkę śnieżycę.

Kopnęłam ją więc.

Zwykle nie jestem zwolennikiem przemocy, ale ta jej zadowolona mina bardzo mnie zirytowała.

Chciałabym powiedzieć, że po moim kopnięciu Fonn zaczęła zwijać się z bólu, a my ją obezwładniliśmy i na tym się wszystko skończyło, ale ona tylko dziwnie na mnie spojrzała i dalej kradła naszą energię.

Kopnęłam ją ponownie. Tym razem mocniej i obydwoma nogami.

Chyba trafiłam ją pod odpowiednim kątem, bo poleciała do tyłu na klamkę. Drzwi nagle się otworzyły i straciła równowagę. Przez chwilę machała w powietrzu rękami, próbując się czegoś złapać, ale nie udało się i wypadła na zewnątrz.

Usiadłam na miejscu kierowcy i zamknęłam drzwi.

– Jedź! – krzyknął Sebastian, pomimo że jedyną rzeczą, jaką byłam w stanie zobaczyć na zewnątrz, była ściana śniegu. – Uciekajmy stąd.

– Nie możemy. Widziałeś, co kombinowała w stosunku do kierowcy pług – wyjaśniłam. – Znajdzie kolejną osobę, żeby wyssać z niej energię.

Zamknęłam okno i rozkręciłam ogrzewanie na maksa.

– Jasna cholera – powiedział Sebastian. – Najwyraźniej jest jakimś elementalistą. Nie będziemy jej w stanie powstrzymać. Nie jestem nawet pewien, czy Lilith by potrafiła. Siły natury są po prostu... czymś normalnym. Nie możesz zniszczyć kogoś, kto rządzi zimą.

Dlaczego nie? Nie mogłabym zawrócić samochodu i przejechać po niej kilka razy? Nie byłoby już więcej zimy! No, wiecie, o co mi chodzi. Zimy w Wisconsin są do bani. Tu, w amerykańskim rejonie słynącym z produktów mlecznych, było zimno i paskudnie przez prawie pół roku. Oczywiście pierwszy śnieg, taki z dużymi płatkami, wygląda przepięknie, ale po tygodniu leżenia, pokryty wyziewami z rur wydechowych i innymi odpadami miejskimi, przestaje być ładny.

Ale Sebastian miał rację. Globalne ocieplenie już jest problemem. Gdybyśmy przestali mieć zimy, pewnie zniszczylibyśmy jakąś zagrożoną niszę. Populacja zezowatych by się znacznie powiększyła ze względu na brak wędkarstwa podlodowego. Nie byłoby rocznej selekcji komarów i przejęłyby świat. Brak zimy to nie taki świetny pomysł, jak by się mogło wydawać.

Zwłaszcza odkąd staram się mieć jak najmniejszy wpływ na środowisko. Nawet kupuję papier toaletowy z papieru z odzysku.

– Musimy coś zrobić – nalegałam.

Zaczynałam czuć się trochę cieplejsza i bardziej sobą, ale jeszcze niezupełnie. Moje ręce zatrzęsły się, kiedy kładłam je na kierownicy.

– Jedź – powiedział Sebastian. – Daleko stąd, i to szybko.

Opad śniegu zmniejszył się na tyle, by dać mi jaką taką widoczność. Wyrzałam przez okno, mając nadzieję, że zobaczę nieprzytomną Fonn. Nie

miałam szczęścia. Ona gdzieś tam była i się czaiła.

Machnęłam przed siebie ręką, pokazując gęsto padający śnieg, który stawał się bardziej obfity, a do tego mokry.

– Jeśli teraz ruszymy, mamy duże szanse na to, że wpadniemy na jakiś inny samochód. Nic nie widzę!

– Oprócz tego – powiedział sucho Sebastian i wskazał coś palcem.

Wstrzymałam oddech. Fonn przyciskała twarz do szyby od strony pasażera, prezentując naprawdę ostre uzębienie. Jej włosy unosiły się na wietrze, a dłonie uderzały w okno.

– Świetnie – powiedziałam.

– Miałaś jakiś plan, jak się jej pozbyć? – zapytał Sebastian, kiedy na szybie zaczęły pojawiać się pęknięcia. – Jeśli tak, to teraz byłby najlepszy moment na zrealizowanie go.

– A tobie jak się wydaje? – zapytałam, podskakując za każdym razem, gdy pazury waliły o szybę. – Mógłbyś ją załatwić. Masz przecież swoją superwampirzą moc. Może się nią zajmiesz?

– A może nie? Po pierwsze, nie wydaje mi się, żebym mógł ją powalić, a po drugie, co miałbym zrobić, gdy już tego dokonam? Nie mogę jej ugryźć. Może mieć we krwi jakąś substancję, która sprawia, że jej krew nie zamarza. A może ty wypuścisz Lilith?

Okno było już całe popękane i zaczynało powoli ustępować. I to miała być bezpieczna szyba? Jasne!

Lilith była gotowa do walki. Nie było trudno ją wypuścić, ale ona była przecież królową piekła i matką zniszczenia. Co, jeśli Lilith zabiłaby nie tylko Fonn, ale i Sebastiana? Nie dość, że mielibyśmy klęskę środowiska, to jeszcze straciłabym faceta.

Zimno zaczęło się wsączać do środka. Wiedziałam, że Fonn zaraz będzie w kabinie.

Nacisnęłam pedał gazu, a potem ostro zahamowałam. Ześlizgnęła się z szyby i zniknęła w kurzawie.

– Och – powiedział trochę zaskoczony Sebastian. – Dobra robota.

– Ona wróci – przypomniałam mu. – Musimy wymyślić coś bardziej skutecznego, ale nie ostatecznego.

– Wiem, że to będzie bardzo niemęskie, ale wydaje mi się, że ucieczka jest najlepszym rozwiązaniem.

– Może i do tego dojdzie – przyznałam mu rację, ale nie podobała mi się myśl, że zostawimy na pastwę losu jakiegoś biednego człowieka, który akurat znajdzie się w Wigilię poza domem i wpadnie na wysysającego energię demona. – Jesteś pewien, że nie możesz jej ugryźć?

– Mógłbym – powiedział Sebastian, ale chwilę później dodał: – Gdybym chciał umrzeć. Magiczna krew mnie zabije. A jak już powiedziałem, Bóg jeden raczy wiedzieć co płynie w jej żyłach. Widziałas ją. Przecież ona nawet nie przypomina człowieka.

– No tak – zgodziłam się. – Ale skoro żywi się energią, to jak ją pokonać? Zimno też nie ma na nią zbyt dużego wpływu. Wydaje się nawet je kontrolować.

– A co z płynem, który nie zamarza? – zapytał Sebastian. – A może byśmy ją oblali ciepłym płynem z chłodnicy? Może gdyby nic innego nie zadziałało, moglibyśmy ją przeciążyć... To mogłoby się udać. Wyłącz silnik, mam pewien pomysł.

Wyłączenie silnika oznaczało brak ogrzewania. W takich warunkach to nie miało sensu. Kiedy się wahałam, poczułam, że ktoś ciągnie za tylne drzwi samochodu. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, ale drzwi nadal były zamknięte. Sebastian sięgnął natomiast do stacyjki i wyjął kluczyki.

– Odwróć jej uwagę – powiedział, wysiadając.

– Odwrócić jej uwagę? Czym? Moim wspaniałym wyglądem? – krzyknęłam w stronę otwartych drzwi.

Dwie sekundy później mój mózg zarejestrował, że były otwarte.

Pojawiła się Fonn. Najpierw zobaczyłam ciemne oczodoły, a potem włosy targane przez wiatr dookoła nieludzkiej twarzy. Czołgała się po siedzeniu w

moją stronę, jak kot polujący na myszkę. Podmuch lodowatego wiatru uderzył we mnie, sprawiając, że nos i uszy stały się lodowate.

No dobra. Przyznaję się. Zaczęłam strasznie krzyczeć, a potem gmerać przy zamku równie niezdarnie, jak panienki z horrorów, dopóki nie przypomniałam sobie o torebce. Złapałam ją i chwilę później znalazłam rozpylacz gazu pieprzowego, który wisiał przy moich kluczach.

Wyjęłam pojemnik i skierowałam go w stronę coraz bliższych ostrych zębów. Nacisnęłam główkę i wypuściłam solidną porcję gazu.

Fonn cofnęła się, krzycząc z bólu. Próbowwała drapać twarz.

Nie czekałam, żeby zobaczyć, jak szybko może się pozbierać. Poza tym gaz pieprzowy w zamkniętym pomieszczeniu nie wpłynął dobrze na moje oczy – zaczęły łzawić. Tym razem zręcznie otworzyłam zamek i wyostałam się z samochodu. Kiedy byłam już na zewnątrz, trzasnęłam drzwiami. Nie miałam zamiaru walnąć nimi aż tak, ale wiatr wyrwał mi je z ręki.

Śnieżyca szalała dookoła. Momentalnie straciłam półciężarówkę z oczu, pomimo że stałam tuż obok. Przez chwilę myślałam, że dokonałam samoosłepienia. Jednak nagły podmuch wiatru odsłonił wóz. Dotknęłam dłońmi karoserii, żeby znowu nie stracić go z oczu.

– Sebastian – wykrzyknęłam. – Gdzie jesteś?

Próbowalam wychwycić jakieś dźwięki, ale słyszałam tylko gwizd wiatru. Zaczęłam iść w stronę maski. Nie byłoby dobrze, jakbym straciła swojego faceta w dniu jego urodzin. Zaczęłam odczuwać panikę, podczas gdy burza szalała wokół mnie. Śnieg dostawał się do moich butów, gdyż zapadałam się po kolana. Czułam się, jakbym szła w kompletnej pustce.

– Sebastian!

W tym momencie chyba ucieszyłabym się nawet z widoku Fonn. Każdy znak wskazujący, że nie zostałam wepchnięta w nicość, byłby błogosławieństwem. Jakby na zawołanie, pazury wbiły mi się w plecy. Rozdarły mi płaszcz i zadrapały skórę.

Próbowalam biec, ale upadłam i straciłam kontakt z samochodem. Śnieg

miałam w ustach, nosie, oczach. Pokrywał całą moją twarz i ubranie. Czułam, że dławię się zimnem. Zaczęłam krzyczeć, tak jak krzyczy osoba, która boi się o własne życie.

Czyjeś znajome ręce złapały mnie za ramiona i wciągnęły pod półciężarówkę. Przestrzeń pomiędzy drogą a podwoziem była jak mała jaskinia. Ciepło z silnika stworzyło miejsce bez śniegu i leżałam na brzuchu na ciepłej i mokrej nawierzchni. Sebastian wyciągnął się obok mnie, a w dłoni miał jakiś przewód, który był przyczepiony do czegoś, co było nad nami. Jego palce zaciskały koniec przewodu.

– Przewód z odpływu od chłodnicy – wyjaśnił Sebastian. – Czy ona nadchodzi?

Zaczęłam mu wyjaśniać, że miałam Fonn za plecami jeszcze chwilę temu, kiedy usłyszeliśmy, że ktoś kopie. Pazury odgarniały ogromne porcje śniegu. Dodatkowo czułam, że znowu wysysa z nas energię. Zimno zaczęło się sączyć z ziemi. Czułam, że zamarzam.

Jej zęby były pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, i mogłabym przysiąc, że były jakby większe. Wyglądały teraz jak u jakichś potworów rodem z sennych koszmarów. Jej twarz również zdawała się nabrzmiwać i przypominać jeden wielki ludzki przetyk.

Ręka Sebastiana zaczęła drżeć. Lód pokrył jego rzęsy i włosy. Nie zauważyłam, kiedy jego palce zaczęły się zsuwać z rurki, a strumień rozgrzanego płynu wystrzelił. Para unosiła się wszędzie i zaczęłam kaszleć. Jedyne, co mogłam zrobić, to zakryć usta.

Zielony płyn trysnął prosto w usta Fonn. Zaskoczona zamknęła je i gorący płyn zalał jej oczy.

Zaskowyczała jak zraniony pies, ale w naszym schronieniu było zbyt dużo pary, żebym mogła zobaczyć, co się działo. Usłyszałam tylko zgrzytanie zębów i warczenie (to akurat mógł być Sebastian), a potem piekielny skowyt, który prawie rozerwał mi bębenki w uszach. Wiatr sprawił, że samochód zaczął się nierówno podnosić, jakby się odbijał od ziemi.

I wszystko ucichło.

Sebastian zatkał ponownie rurkę. Kiedy zniknęła para, jedynym, co zobaczyłam, była dziura wytopiona przez zielony płyn. Na przednim zderzaku sople lodu zaczęły się topić.

Nie było śladu Fonn. Wstrzymałam oddech, żeby lepiej słyszeć. Sebastian rozglądał się dookoła, widziałam jego obnażone kły.

Nie chciałam robić sobie zbyt wielkiej nadziei, ale od razu poczułam różnicę. Nadal było mi zimno, ale ciało zrobiło się jakby lżejsze. W głowie nie kołatała się już uparta myśl, że stanę się bryłą lodu.

Sebastian położył rękę na przewodzie.

– Myślisz, że ją dorwaliśmy? – zapytał.

Położyłam rękę pomiędzy moim brzuchem a ziemią. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby świadomość opuściła na chwilę ciało. Oczami Lilith zbadałam burzę. Kiedy nie zobaczyłam Fonn w najbliższej okolicy, sięgnęłam dalej. Daleko stąd, na autostradzie 169, zobaczyłam kobietę jadącą na oklep na ogromnym wilku. Obraz był niewyraźny, ale widziałam topiący się śnieg i parę wyciekającą z jej ciała jak krew. Była ranna.

– Dorwaliśmy ją – powiedziałam pewnie.

Potem kichnęłam. Opary płynu i zimno dostały się do mojego nosa. Brud powoli zamarzał na podartym płaszczu i sukience. Sebastian zablokował przewód i spojrzał na mnie. Być może zaśmiał się, widząc przygnębiony wyraz mojej twarzy.

– Zdecydowanie nie jestem przeklęty – uśmiechnął się.

– Jasne, oczywiście, że nie – powiedziałam, a moje słowa zabrzmiały raczej jak: „Ze co?”.

– Po pierwsze, nie jesteśmy martwi – powiedział, wyciągając rurkę z odpływu chłodnicy. – Po drugie, masz brudną smugę na nosie, która wygląda słodko. – Nachylił się i pocałował mnie w nos, a ja musiałam się powstrzymać, żeby znowu nie kichnąć.

Pokręciłam głową: – Nie jesteś przeklęty. To było szalone.

– Chodź – powiedział, śmiejąc się. – Kiedy umieszczę rurkę na miejscu, będziemy mogli ponownie odpalić samochód.

Pokonanie lodowego demona zdecydowanie może poprawić nastrój wampira. Ja nie byłam tak samo radosna jak na początku naszej wyprawy, czułam się kompletnie wyczerpana i zziębnięta.

Zaczęłam się zastanawiać. Ten samochód mógł zostać uznany za skradziony. Co się dzieje, kiedy pożyczasz sobie opuszczony pojazd? Pewnie to też było przestępstwo. A tak w ogóle to zaczęłam się zastanawiać, czy Fonn była właścicielką tego samochodu. Co, jeśli gdzieś na bezdrożach leżało zamrożone ciało, które w jakiś sposób mogłoby zostać połączone z nami?

– Jesteś pewny, że to jest dobry pomysł?

– Bądź praktyczna – powiedział Sebastian, kiedy wyślizgnął się z ciepłej i mokrej groty pod samochodem. – Zamarzniesz bez ogrzewania.

Miał rację. Już byłam zziębnięta do szpiku kości.

– A co z płynem zapobiegającym zamarzaniu?

– Samochód może popracować trochę na wodzie. Próbowałam sobie przypomnieć, czy gdzieś w samochodzie widziałam jakąś butelkę wody.

– A skąd ją weźmiemy?

Sebastian spojrzał na otaczające nas zasy.

– Wydaje mi się, że mamy jej pod dostatkiem.

Kiwnęłam głową. Gwiżdżąc, zabrał się do pracy. Wydawał się naprawdę uradowany, że może naprawić ten samochód. Zostawiłam go samemu sobie. Burza osłabła do tego stopnia, że widać było drogę. Weszłam więc do kabiny i wyciągnęłam się na siedzeniu. W środku unosiły się jeszcze resztki gazu pieprzowego, więc czekając na Sebastiana, kichnęłam kilka razy, dopóki nie otworzyłam okna. Sebastian pracował przy świetle reflektorów, ja posępnie siedziałam w środku.

Piętnaście minut zajęło mu podłączenie przewodu i napełnienie chłodnicy śniegiem. Burza ucichła na tyle, że przez chmury można było dostrzec

pojedyncze gwiazdy.

Dojechaliśmy do miasta. Na szczęście Sebastian stwierdził, że najlepszym sposobem, żeby samochód nie stanął, jest włączenie ogrzewania na maksa.

Czucie w palcach wróciło mi, gdy zatrzymaliśmy się pod zupełnie ciemną restauracją.

– Och, nie – powiedziałam.

Sebastian pokręcił tylko głową i pomimo że zaparkował na parkingu i wyłączył silnik, wrócił cały jego dawny pesymizm.

– No cóż. Możemy przynajmniej wejść i się wymeldować.

Pomimo wszystko poczułam głęboki smutek. Jedyna rzecz, o którą walczyłam dla Sebastiana, czyli porządne wyjście, teraz wydawała się kompletną klapą. Czułam, jak po policzku spływa mi łza. Wytarłam ją rękawem.

– Jasne – powiedziałam, starając się pomimo wzbierających łez nadać głosowi brzmienie pełne nadziei. – Chodźmy się w takim razie wymeldować.

Z trudem ruszyłam przez podwórze, które latem jest jednym z moich ulubionych miejsc w Portobello. Śnieg pokrywał bezlistne teraz winorośle z Wirginii, oplatające ściany jak zamrożone koronki, gdzieś tam pnącza rośliny rudbecika wyłaniały się spod nawianego śniegu. Suche łodygi dziewanny na klombach wyglądały jak wartownicy. Brukowane chodniki zostały niedawno oczyszczone, więc podeszliśmy szybko do ciężkich drewnianych drzwi. Jedno pociągnięcie za uchwyt potwierdziło moje najgorsze obawy. Restauracja była zamknięta.

– Przepraszam – powiedziałam, zaczynając płakać. Pomimo ogromnych wysiłków gorące łzy popłynęły mi po zmarzniętych policzkach.

Sebastian przytulił mnie mocno, a ja znowu poczułam ten zapach cynamonu. Głęboko nabrałam powietrza w płuca.

– Nie ma sprawy – gładko skłamał. – Cieszę się, że obydwójce żyjemy.

Chciałam powiedzieć: „Jasne, a to moja wina, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji”, ale miałam zatkane gardło i nie byłam w stanie nic z siebie

wydusić. Już miałam powiedzieć, że powinniśmy wrócić do domu, kiedy otworzyły się drzwi restauracji. Obydwoje podskoczyliśmy. Z budynku wyszedł mężczyzna w czapce na głowie i opatulony kurtką. Spojrzał na nas dziwnie, że przytulamy się przed jego restauracją.

– Państwo von Traum? – zapytał.

– Tak – powiedziałam, wycierając łzy. – Skąd pan wiedział?

– Tylko wy mieliście rezerwację na dziś wieczór – powiedział. – Kiedy rozpętała się burza, wszyscy się rozeszli. Śnieg dopiero teraz umożliwił mi odśnieżenie chodnika przed restauracją i właśnie miałem jechać do domu.

Chciałam go błagać, żeby został, ale w sumie nie winiłam go, że chce iść do domu po takiej śnieżycy.

– Nie będziemy pana zatrzymywać. Przepraszamy, że musiał pan na nas czekać. Zapomnieliśmy naszych telefonów.

– Nie ma problemu. Jeśli będziecie chcieli zostać i zapłacić, ja z przyjemnością również zostanę.

– Naprawdę? – rozchmurzyłam się.

Machnął ręką ubraną w jednopalczystą rękawicę.

– Widziałem już gorsze zawieruchy, a poza tym są pana urodziny – powiedział do Sebastiana. – Powinno się zrobić coś miłego. Wiem, jak to jest – ja mam urodziny w Święto Dziękczynienia. Zdajecie sobie sprawę, jak ja nienawidzę indyka?

Wszyscy zaczęliśmy się śmiać. Potem zapytałam Sebastiana: – Zgadzasz się? Zrozumiem, jeśli także będziesz chciał iść do domu.

Sebastian się uśmiechnął: – Chodźmy. Umieram z głodu.

Pomimo że moja suknia była rozdarta przez szpony, siedzieliśmy sobie sami w restauracji, popijając wino i jedząc makarony. Kucharz uraczył nas specjalnymi sosami, świeżymi paluszkami chlebowymi, masłem czosnkowym i tiramisu dla dwojga. Pocałunki Sebastiana smakowały bitą śmietaną i czekoladą.

Poszliśmy do naszego apartamentu, trzymając się za ręce, a dookoła nas

królowała cisza. W domu dostał ode mnie prezent. Jak na ironię, była to część do jego zabytkowego samochodu, której bardzo długo szukał, i jeszcze kilka rzeczy.

– Nadal myślisz, że jesteś przeklęty? – zapytałam go później.

Sebastian chwilę pomyślał.

– Zobaczymy. Dziś zepsuł się nam samochód, spotkaliśmy śnieżnego demona, który próbował nas zabić, i jedliśmy wyśmienite makarony. Tak, jestem przeklęty – powiedział. Kiedy miałam zacząć protestować, położył palec na moich ustach. – Ale mam również ciebie. To czyni wszystko możliwym do zniesienia.

A potem znowu powiedział, że jestem niemożliwa, i całowaliśmy się do rana.



Elaine Viets

Amerykańska autorka, znana z dwóch serii sensacyjnych: *Praca w ukryciu* (*Deadend Job*) oraz *Tajemniczy klient Josie Marcus* (*Josie Marcus Mystery Hopper*). Jej opowiadania zdobywały nagrody, m. in. Anthony oraz Agatha. *Pora wampirów* jest pierwszym utworem, jaki poświęciła wampirom. Pisarka mieszka na Florydzie, w Fort Lauderdale, a naprzeciw jej domu, na drugim brzegu rzeki, znajduje się apartament, którego mieszkańcy zainspirowali autorkę do napisania tego opowiadania.

Pora wampirów



– Jest trzecia rano, Katharine. Idź spać.

Mój mąż Eric, chirurg, potrafił rządzić się jak na sali operacyjnej, nawet w środku nocy.

– Nie mogę spać – powiedziałam.

– Muszę być w szpitalu za trzy godziny. Zgaś światło i idź wreszcie do lekarza. Stajesz się nieznośna.

Eric odsunął się ode mnie i nakrył głowę poduszką.

Wyłączyłam lampkę. Byłam w swoim własnym domu, a czułam się jak niegrzeczne dziecko. Słucham chrapania mojego męża od dwudziestu pięciu lat. Eric mógł zasnąć o każdej porze i w każdym miejscu, zwłaszcza kiedy spaliśmy w tym samym łóżku.

Jeśli przycisnę poduszkę do jego twarzy, to go uduszę?

Pewnie nie. Lata telefonów w nagłych przypadkach sprawiły, że był czujny.

Leżałam po swojej stronie, sztywna jak martwe ciało w trumnie. Mój biały peniuar bardziej przypominał całun niż seksowny strój nocny. Moje małżeństwo z Erikiem było martwe i ja doskonale o tym wiedziałam. Chciałam, żeby mnie kochał, i nienawidziłam się za to, że chciałam mężczyzny tak zimnego.

Kiedy się pobraliśmy, nie był taki. Pozdzierał ze mnie tyle koszul nocnych, że kupił mi talon na tysiąc dolarów do Victoria's Secret. Zamawiałam najnowsze modele, ale on i tak je na mnie rwał. Wtedy się nie przejmował, że ma rano operację. Potrafiliśmy uprawiać szaleńczy seks przez całą noc.

Łza spłynęła mi po policzku. Przeklełam ją. Odkąd weszłam w okres menopauzy, płacz pojawiał się zbyt łatwo. „Zmiana”, jak to nazywała moja matka. Kiedyś, gdy teoretycznie wiedziałam, na czym polegają te zmiany, wyczekiwałam menopauzy. Chciałam skończyć z miesiączką, bólami i tym wszystkim.

Ale „zmiana”, niestety, okazała się czymś gorszym. Krwawienie ustało tak, jak powinno. Nikt mnie jednak nie uprzedził, że zacznę tyć niezależnie od tego, jak drakońską dietę będę stosować. Jak można przybrać na wadze, jedząc pieczywo ryżowe i sałatę?

To nie wszystko. Skóra w okolicach szczęki zaczęła zwisać. Linie od nosa do ust zamieniły się w rowy, a moja szyja zaczęła przypominać szyję indyka.

Tymczasem mój mąż, stary kogucik, uganiał się za młodszymi panienkami. Wiedziałam o tym, ale nie miałam odwagi zapytać go o to wprost. Widziałam, co się stało z moimi przyjaciółkami, które stawiały czoła swoim bogatym i wpływowym mężom. Elizabeth na przykład została zniszczona. Przyłapała swojego męża po trzydziestu latach małżeństwa z jakąś panienką w barze. Zrobiła mu awanturę i zawstydziła go przy jego

wiernych towarzyszach. Dobry stary Zack zatrudnił swojego bezwzględnego koleżkę prawnika. Teraz elegancka Elizabeth mieszka w jakiejś klitce z kotem i rozlatującym się klimatyzatorem. Pracuje jako kasjerka w supermarkecie i ledwo jej starcza na czynsz. Stoi przez cały dzień, a żyłaki na nogach są tego wymownym świadectwem.

Zabierałam ją raz w miesiącu na lunch. Taki miły gest. Chodziłyśmy do klubu, w którym spotykałyśmy się, kiedy była jeszcze częścią towarzystwa. Z farbowanymi w domu włosami i brwiami, które wymagały woskowania, wyglądała gorzej niż jej własna matka. Za każdym razem była tak zmęczona, że ledwo mogła mówić.

Mnie też mogło to spotkać. Staralam się odwlec ten moment jak najdłużej. Musiałam się zastanowić, co mogłabym zrobić ze swoim życiem. Jeżeli Eric teraz by mnie rzucił, skończyłabym, zadając swoim przyjaciołom pytanie: „Zapakować w torebkę papierową czy plastikową?”. Byłabym kolejną zużytą, niepotrzebną nikomu kobietą w średnim wieku.

Już prawie nią byłam. Za siedem dni skończę pięćdziesiąt pięć lat. Moja przyszłość nigdy nie wyglądała gorzej. Nie miałam żadnych pieniędzy i żadnych umiejętności. Mój mąż już mnie nie kochał. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Katharine.

– Leż spokojnie – warknął Eric. – Przestań się wiercić.

Nie sądzę, abym się poruszyła. Może mąż poczuł mój wewnętrzny niepokój. Może to, co nas jeszcze łączyło, wystarczyło.

Nie mogłam już dłużej tam leżeć. Nawet jeśli to miałoby mnie uratować. Wyślizgnęłam się z łóżka.

– Co znowu? Gdzie ty się wybierasz o tej godzinie? – warknął ponownie.

– Muszę odetchnąć. Idę na spacer.

Eric usiadł na łóżku. Jego szare włosy były zmierzwiłone, a długie dłonie chirurga trzymały kołdrę przy owłosionej klatce piersiowej.

– Odbiło ci? Chcesz wyjść w środku nocy? Po tym jak ta kobieta została zamordowana dwie ulice stąd?

– W Fort Lauderdale cały czas kogoś mordują – powiedziałam.

– Ale nie w taki sposób. Jakiś szaleniec pozbawił ją całej krwi. Tego małego szczegółu nie zamieścili w gazecie. Rada miasta nie chce straszyć turystów. Dave, patolog, powiedział mi o tym. Kobieta nie miała w sobie ani jednej kropli krwi. Poszła na spacer o trzeciej nad ranem i skończyła martwa, wysuszona z krwi. Na miłość boską, ruszże głową.

– Dobrze – powiedziałam. – Posiedzę sobie na balkonie. Nie chciałam cię obudzić.

Włożyłam szlafrok i podreptałam do salonu. Uwielbiałam widok z naszego apartamentu. Na wschodzie rozciągał się bezkres Oceanu Atlantyckiego, który oświetlony był starożytnymi gwiazdami. Naprzeciwko widziałam ciemne wody Intercoastal Waterway^[8]. Apartamenty Ciemny Port, w tym nasz budynek, usytuowane były wzdłuż małego kanału. Ceny mieszkań zaczynały się tu od trzech milionów dolarów. Jednak to nie ich wartość mnie fascynowała. Na Florydzie można było kupić masę drogich apartamentów, ale Ciemny Port miał w sobie coś. Coś tajemniczego, ekscytującego i egzotycznego, nawet o trzeciej nad ranem.

Odsunęłam cicho szklane drzwi, starając się nie robić hałasu. Ciepłe nocne powietrze owiało moje ciało. Kochałam noc. Tak było zawsze. Blask księżycy był znacznie łagodniejszy od ostrego słońca Florydy. Słyszałam chlupot fal w porcie siedem pięter niżej.

Nad wodą niósł się śmiech i słabe dźwięki jakiejś francuskiej piosenki. To był stary utwór Edith Piaf o miłości i stracie.

W jednym z apartamentów odbywało się wystawne przyjęcie. Mężczyźni mieli na sobie garnitury, a panie były ubrane w lśniące czarne suknie. Wyglądali tak jak ja, ale byli lepsi, gładszy i szczuplejsi. Ci ludzie kontrolowali swoje życie i swoją przyszłość. Nie tracili swych najlepszych lat jako żona do wymiany. Byli bardziej żywi, niż ja kiedykolwiek będę.

Westchnęłam i odwróciłam się od moich pięknych sąsiadów. Udałam się z powrotem do sypialni jak jakaś zagubiona dusza, wślizgnęłam się do łóżka

obok niekochającego mnie męża i mocno zasnęłam.

Eric obudził mnie o piątej trzydzieści, kiedy wychodził do szpitala.

– Do widzenia – powiedziałam.

Odpowiedział trzaśnięciem drzwi.

Następnego wieczoru, kiedy szykowałam się do snu, spojrzałam w lustro i spanikowałam. Zawsze miałam niezłą figurę, ale teraz... Miałam oponki! Skąd one się wzięły? Mogłabym przysiąc, że dwa dni temu ich nie było. Rozpłakałam się i nic na to nie mogłam poradzić. Pobiełam do łazienki, żeby ukryć łzy, bo wiedziałam, że zdenerwują Erica, ale było już za późno.

– Co tym razem? – warknął. – Nie zniosę tych twoich nagłych zmian nastroju. Zaczynj brać hormonalną terapię zastępczą albo coś podobnego.

Zdecydowanie miał kogoś. Znalazłam viagrę w jego szufladzie ze skarpetkami. Opakowanie było w połowie puste. Nie brał tych pigułek dla mnie. Nie kochaliśmy się od miesiący.

Mnie natomiast żadna tabletką nie zdołałaby wyleczyć. Chyba że zażyłabym całą garść na raz i osunęła się w sen. Ta perspektywa wydawała się z dnia na dzień coraz bardziej kusząca. Kto to powiedział: „Rzecz polega na tym, żeby umrzeć młodym najpóźniej jak się da”? Mój czas się kończył.

Spędziłam kolejną bezsenną noc, nawiedzając balkon jak jakiś duch i oglądając przyjęcie naprzeciwko. Po raz kolejny zasnęłam, kiedy Eric szykował się do pracy.

Wtorek był pięknym, słonecznym dniem. Nawet mnie opuściły ponure myśli. Mieszkałam przecież w rajku. Założyłam nowy strój od Escady – czarne obcisłe jeansy i niesamowicie miękką marynarkę. Uśmiechnęłam się do lusterka. Dzięki pierwszorzędnemu krojowi i korygującemu body, które prawie mnie dusiło, wyglądałam nieźle.

Dyskomfort nie miał znaczenia, grunt, że gorset opinał moją talię, podnosił pośladki i wypychał moje piersi. Wyszłam z mieszkania do garażu tak swobodnie, jakbym była modelką na wybiegu. Młoda i seksowna.

Byłam umówiona na lunch w hotelu Aldritch. Teoretycznie wspierałam w

ten sposób szkołę Drexal. Nie miałam dzieci, ale wszyscy z naszego towarzystwa wspierali tę szkołę. Będąc aniołem opiekuńczym Drexal, płaciłam sto dolarów za małą porcję sałatki „Cezar” z kurczakiem i czerstwe rogaliki.

Podjechałam srebrnym jaguarem przed hotel. Parkingowy podbiegł, żeby odebrać ode mnie kluczyki. Popatrzył na moje nogi i wysokie szpilki, a ja poczułam dreszcz, jaki czuje kobieta, kiedy widzi, że podoba się mężczyźnie. Potem spojrzał na moją twarz i widziałam jego rozczarowanie. Nawet nie próbował go ukryć. Byłam stara.

Dałam mu kluczyki, a on odjechał, nie poświęcając mi ani jednego spojrzenia. Czułam się, jakby rozszarpał moje serce. Kiedyś byłam piękną. Ludzie oglądali się za mną, gdy przechodziłam przez pokój. Teraz, jeśli ktokolwiek zwrócił na mnie uwagę, to dlatego, że miałam plamy po zupie na bluzce albo papier toaletowy przyczepiony do buta. Stawałam się niewidoczna.

Spojrzałam na swoje odbicie w szklanych drzwiach hotelu. Kogo ja chciałam oszukać tym drogim strojem? Traciłam wygląd i... męża.

Najpierw udałam się do toalety, żeby poprawić makijaż. Niestety, na wiecznie popękanych ustach szminka fatalnie się trzymała. Użyłam konturówki, a potem weszłam do kabiny, żeby poprawić swoje body korygujące. Na szczęście była zabudowana od podłogi do sufitu.

Usłyszałam, że do łazienki weszły dwie rozmawiające kobiety. Jedna z nich miała głos podobny do mojej najlepszej przyjaciółki Margaret, drugą z nich bez wątplenia była Patricia, moja sąsiadka. Znałam je od wielu lat. Już miałam do nich krzyknąć, ale gadały jak najęte i nie chciałam im przeszkadzać.

– ...to takie typowe.

– A ja nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Patricia. Jej głos brzmiał jak klakson z Nowego Jorku. – Eric posuwa swoją sekretarkę?

Eric? Mój mąż Eric? Panika ścisnęła mnie bardziej niż body. Było wielu

Ericów.

– Osobę, która zarządza biurem – odezwała się Margaret. – Ale to prawie to samo. Ma dwadzieścia pięć lat, blondynka i chce usidlić jakiegoś lekarza. Wygląda na to, że Eric da się złapać.

– Nie mogę go za to winić – stwierdziła Patricia. – Katharine strasznie się zapuściła.

Katharine. Nie było zbyt dużo Ericów, którzy mieli za żony Katharine. Zrobiło mi się słabo. Usiadłam na sedesie i słuchałam dalej.

– Nawet nie zrobiła sobie oczu – powiedziała Patricia. – Przecież jej własny mąż jest chirurgiem plastycznym. Jak ona może to odrzucać? Eric zrobił mi oczy, a potem resztę.

Jej słowa wypełniały pomieszczenie, a ja nie mogłam przed nimi uciec. Nie wiem czemu, ale zabrzmiały dwuznacznie. Nie tylko ja tak je odebrałam.

– Spałaś z nim? – zapytała trochę zaskoczona Margaret.

– Wszystkie to robią – odpowiedziała Patricia.

Prawie słyszałam, jak wzrusza ramionami. Chciałam wyjść z toalety i ją udusić, chciałam podbić te jej oczy po liftingu, ale nie mogłam. Byłam tylko w połowie ubrana, a moje fałdki potwierdziłyby tylko, że ma rację.

– To jest w cenie – powiedziała Patricia. – Moja skóra nigdy nie wyglądała tak dobrze jak wtedy, kiedy dostawałam specjalną kurację doktora Erica.

– Jesteś okropna – powiedziała Margaret, a potem zaczęła się śmiać.

– Taki już mój urok – powiedziała Patricia. – Lepiej niech ktoś jej powie, żeby poszukała sobie jakiegoś dobrego specjalisty od rozwodów, zanim będzie za późno.

– Już jest za późno – powiedziała Margaret. – Eric już był u najlepszego specjalisty od rozwodów w Lauderdale, u Jacka Kellera.

– A ty nie powiedziałaś Katharine, że Eric zatrudnił Kubę Rozpruwacza?

– Jak mogłam? Przecież to mój mąż.

A ty, Margaret, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. A raczej byłaś. Oczy

Margaret też robił Eric. Czy jej również zalecił specjalną kurację?

Czekałam, aż moje byłe przyjaciółki opuszczą toaletę. Byłam zszokowana. Co innego podejrzewać, że mąż cię zdradza, a co innego usłyszeć o tym. I to jeszcze z ust najlepszej przyjaciółki. Byłam pośmiewiskiem. I miałam znacznie mniej czasu, niż sądziłam.

Pozbierałam się, przykleiłam uśmiech do twarzy i znalazłam swój stolik. Kelnerka postawiła przede mną sałatkę. Przyjrzałam się tej kobiecie. Była mniej więcej w moim wieku. Miała zmęczoną twarz, brązowe włosy i kiepskie buty. Czy ja też w przyszłym roku będę podawać sałatki na dobroczynnych lunchach?

Tylko jeśli będę miała dużo szczęścia, a nie sądziłam, żebym miała jakiegokolwiek predyspozycje, żeby zostać kelnerką. Wbiłam widelec w moją porcję, ale nie mogłam nic zjeść. Nikt tego nie zauważył. Takie kobiety jak ja nie jadały zbyt wiele.

Delikatne uderzenie w kieliszek oznajmiło, że dyrektor szkoły jest już na mównicy.

– Wszyscy słyszeliście, że wydział historii Drexal należy do jednego z najlepszych...

Moje myśli szybko poszybowały gdzie indziej.

Menopauza zabiła moje małżeństwo, ale ono i tak umierało od dłuższego czasu. Wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło. Tego dnia, gdy mój mąż poprosił mnie, żebym dała się pokroić.

Miałam trzydzieści pięć lat i mimo że wyglądałam dziesięć lat młodziej, Erica korciło, żeby popracować nad moją twarzą.

– Pozwól mi tylko zrobić ci oczy – powiedział – i uwolnić cię od kilku fałd. Jeśli zaczniesz wcześniej, będziesz dłużej wyglądać młodziej.

– Wyglądam dobrze – powiedziałam.

– Nie ufasz mi? – zapytał.

– Oczywiście, że ci ufam – odrzekłam. – Jesteś najbardziej znanym chirurgiem w hrabstwie Broward.

Ale nie najbardziej utalentowanym. Eric miał rację. Nie ufałam mu. Nigdy nikogo nie zabił, w przeciwieństwie do innych chirurgów z Florydy, ale wszędzie widziałam jego dzieła. Byłam w stanie rozpoznać jego pacjentki – kobiety o kaukaskim typie urody, w pewnym wieku, z wymownymi, lekko skośnymi oczami i naciągniętą skórą.

Eric robił im liftingi, kiedy inni lekarze nie chcieli. Przeprowadzał po sześć, siedem operacji, aż skóra jego pacjentek była tak naciągnięta, że mogły sobie woskiem usunąć włosy nad górną wargą.

Broniłam się strachem przed narkozą. Wymyśliłam nawet jakąś ciotkę, która zmarła podczas jakiejś drobnej operacji, kiedy byłam dzieckiem. Ale Eric znał prawdę. Wiedział, że się go boję. Należałam do niego całkowicie z jednym wyjątkiem. Nie pozwoliłabym mu się pokroić.

Przez dziesięć lat nigdy nie przestawał pytać. Nalegał, żebym zrobiła sobie całą twarz, kiedy skończyłam czterdziestkę. Kiedy miałam czterdzieści pięć lat, zdawałam sobie sprawę, że w sumie to by mi się przydało, ale nie chciałam się poddać.

– Nic nie sprawi, że znowu będę wyglądać jak dwudziestopięciolatka – powiedziałam. – Zaryzykuję ze zmarszczkami.

To było najgorsze odrzucenie, jakiego może doznać chirurg plastyczny. Sprawiał, że tracił wiarygodność, bo każdy widział moje zmarszczki. Te naturalne oznaki starzenia stały się oskarżeniem. Mówiły, że własna żona nie ceni zbyt wysoko jego umiejętności zawodowych.

Kiedy skończyłam pięćdziesiąt lat, Eric przestał pytać. Wtedy też nasze gorące noce stały się letnie. Podejrzywałam, że były inne kobiety, ale nie traktowałam ich poważnie. Teraz wszystko się zmieniło. Eric chciał się ożenić z dwudziestopięcioletnią blondynką. Za jakieś pięć lat pewnie zrobi jej oczy.

Przerwałam te rozważania, gdy przemówienie dyrektora dobiegało końca.

– Starania, by szkoła Drexal stała się najlepszą placówką edukacyjną w hrabstwie Broward, dzięki dzisiejszemu spotkaniu możemy uznać za

zwieńczone sukcesem. Chciałbym z dumą ogłosić powstanie Panter Drexal – naszej drużyny futbolowej. Państwa datki sprawiły, że stało się to możliwe.

Matki zaczęły gromko klaskać.

Spojrzałam na nakrycia przed sobą i zdałam sobie sprawę, że zjadłam cały kawałek ciasta czekoladowego z sosem malinowym. Co gorsza, nie poczułam smaku. Nic dziwnego, że byłam gruba.

W drodze do domu wzięłam kilka katalogów z uczelni. Zrobiłam sobie porządnego drinka, następnie usadowiłam się w swoim ulubionym fotelu w salonie i zaczęłam przeglądać prospekty. Szukałam propozycji dla przyszłych pomocników prawników, asystentów dentystycznych i pielęgniarek. Każdy kolejny kierunek wydawał się bardziej dołujący od wcześniejszego.

Kim chciałam zostać, zanim poznałam Erica?

Nauczycielką angielskiego. Widziałam siebie wykładającą poezję bystrym młodym ludziom, patrzącą, jak otwierają swoje podobne pąkom kwiatów umysły na piękno słowa pisanego. Teraz wiem, że nie byłabym w stanie poradzić sobie nawet z dziećmi w szkole podstawowej. Czy dyrektor zatrudniłby anioła Drexal, któremu uciekło szczęście? Czy dyrektor pamiętałby w ogóle, ile razy byłam obecna na charytatywnych lunchach, żeby powstała jego wymarzona drużyna?

Jeśli nawet wróciłabym na studia, to ile lat potrzebowałabym, żeby zrobić dyplom? Moje doświadczenie życiowe pewnie byłoby niczym. Co ja osiągnęłam przez te pięćdziesiąt pięć lat?

Zasnęłam. Obudziłam się o północy, kiedy usłyszałam, że Eric otwiera drzwi. Próbowałam ukryć szybko prospekty, ale on i tak nie zauważył ani mnie, ani katalogów. Poszedł prosto do łóżka, nie mówiąc nawet dobranoc.

Obudziłam się o trzeciej. Nie mogłam spać w nocy. Stałam się nocnym markiem. Przeszłam przez duży pokój i zaczęłam przyglądać się apartamentowi naprzeciwko. Dziś było kolejne przyjęcie. Tym razem muzyka wydawała się żywsza, goście byli bardziej stłoczeni i bardziej elegancko ubrani, jakby czekali na jakąś specjalną ceremonię.

Poczułam, że nasze mieszkanie staje się dla mnie zbyt ciasne. Włożyłam jeansy i bawełniany podkoszulek. Postanowiłam przejść się wzdłuż kanału, nawet jeśli krył się tam niebezpieczny morderca. Musiałam wyjść, inaczej udusiłabym się we własnym domu.

Nocne powietrze było smakowite. Chłodne, ale nie zimne. Światła przyjęcia w Ciemnym Porcie przyciągały mnie z niezwykłą siłą. Nie wiedzieć kiedy znalazłam się pod oknami obserwowanego apartamentu. Nic nie widziałam, ale czułam, że ludzie byli tam podekscytowani. Ściany wydawały się pulsować życiem.

– Żałujesz, że cię tam nie ma?

Podskoczyłam, gdy usłyszałam ten głos. Bardzo głęboki i bardzo męski.

Mężczyzna, który wyszedł z cienia, ubrany był w strój wieczorowy, a jego skóra w promieniach księżyca wyglądała świetliście. Miał czarne, lekko falowane włosy, zaś twarz znamionowała siłę, ale i odrobinę okrucieństwa. Nie mogłam określić jego wieku. Wydawał się ponad takimi zwykłymi miarami.

– Przepraszam. Nie chciałam państwa nachodzić – powiedziałam.

– Nie nachodzisz nas, Katharine – powiedział. – Spędzasz dużo czasu, przyglądając się nam, nieprawdaż?

– Czy to takie oczywiste? – zapytałam.

– Nie, ale czuję twoją tęsknotę. To cię czyni bardzo piękną i bardzo... bezbronną.

W apartamencie rozległ się krzyk triumfu i łagodne oklaski.

– Przepraszam, ale muszę wrócić do moich gości. Tak w ogóle to nazywam się Michael.

– Czy zobaczę cię znowu? – zapytałam.

– Tylko jeśli będziesz chciała – odrzekł.

I zniknął. Dopiero wtedy zaczęłam się zastanawiać, skąd znał moje imię.

Wróciłam do domu pogrążona w fantazji. Ile czasu minęło, odkąd jakiś mężczyzna nazwał mnie piękną?

Byłam piękna. Michael sprawił, że tak się czułam. Wróciłam do łóżka i u boku męża śniłam o innym mężczyźnie.

Rano obudziłam się wyspana i z uśmiechem na ustach. Po raz pierwszy od miesiący wstałam i nie spojrzałam w lustro w poszukiwaniu kolejnych zniszczeń. Byłam piękna. Michael tak powiedział. Zachowywałam się jak zakochana nastolatka, dopóki około godziny jedenastej nie zadzwonił telefon.

– Katharine, tu Patricia. – Doskonale wiedziałam, kto dzwonił. Przespała się z moim mężem i przyznała się do tego publicznie w toalecie. Poznałabym jej głos wszędzie. Dziś jednak brzmiał dziwnie. Jakby była przybita, a nawet wystraszona. – Słyszałaś o Jacku?

– Jakim Jacku? – zapytałam.

– O Jacku Margaret. Rano znaleźli go na parkingu przed kancelarią.

– Co się stało? – zapytałam. – Został napadnięty?

– Chyba nie – powiedziała. – Policja twierdzi, że morderstwa nie popełniono w tamtym miejscu. Myślą, że został porwany.

– Porwany i zamordowany? Ale dlaczego? – Zaczęłam się zastanawiać, która żona go zabiła. Ileż to opuszczonych kobiet życzyło mu śmierci!

– Nikt nie wie. Ale jest coś jeszcze. Ciało Jacka zostało pozbawione krwi. Było kompletnie wysuszone.

– To okropne – powiedziała. – Od razu pójdę do Margaret.

Odłożyłam szybko słuchawkę, żeby ukryć swoją radość. Kuba Rozpruwacz nie żył i umarł straszną śmiercią. Mój mąż nie miał już prawnika od rozwodów. Poczulałam krótkie uczucie wstydu z powodu swojego samolubstwa, ale ta śmierć była aktem sprawiedliwości. Ktoś wysał krew z największego krwio pijcy w mieście. Ktoś dał mi więcej czasu.

Włożyłam płaszczyk i przyjęłam żałobną minę. Zatrzymałam się w sklepie, żeby kupić sery i butelkę wina. Moja zmarła matka byłaby ze mnie dumna. Zawsze mówiła mi, że powinno się przynosić jedzenie do domu w żałobie.

Przed domem Margaret stało kilka samochodów. Były trzy lexusy i coś,

co wyglądało na nieoznakowany samochód policyjny. Auta prawników.

Margaret była wrakiem. Miała czerwone i podkrążone oczy. Linia jej szczęki wyglądała prawie tak samo fatalnie jak moja. Cała praca Erica poszła na marne. Zrobiło mi się głupio, że to pomyślałam. Ona właśnie została wdową. Okaż trochę współczucia.

– Katharine! – Margaret podbiegła z płaczem, rzuciła mi się w ramiona, wycierając cały makijaż w mój płaszcz.

– Tak mi przykro – powiedziałam, poklepując jej chude plecy. Czułam jej kości. Nawet nie skłamałam. Było mi żal wielu rzeczy, zwłaszcza końca naszej przyjaźni. Kobiety powinny okazywać sobie wsparcie i współczucie, nawet jeśli Margaret zniszczyła to, co sprawiało, że się dobrze czułam.

– Chodźmy do ogrodu, tam możemy spokojnie porozmawiać – powiedziała. – Policja przeszukuje teraz pracownię Jacka. Trzech prawników z firmy i prokurator kłócą się o to, jakie papiery mogą zabrać.

Usiadłyśmy przy okrągłym stole blisko fontanny. Palmy szumiały nad naszymi głowami. Niecierpki rozkwitały pod naszymi stopami. Ogród wyglądał dokładnie tak, jak wiele innych na Florydzie. Hiszpańska służąca przyniosła mrożoną herbatę, plasterki cytryny i dwa rodzaje słodziku.

– Czy mogłabym prosić cukier? – zapytałam.

– Cukier? – powtórzyła służąca, jakby nigdy nie słyszała tego słowa.

– Używasz cukru? – Margaret mogła być otumaniona rozpaczą, ale nadal była zdziwiona moją prośbą. W naszym środowisku spanie z przyjacielem męża uchodziło za nietakt, ale słodzenie herbaty uważane było za grzech.

– Zalecenie lekarza – odpowiedziałam. – Mam szlaban na słodziki. Rak w rodzinie.

W zasadzie to bardzo lubiłam prawdziwy cukier. Łyzeczka od herbaty zawierała tylko osiemnaście kalorii.

– Jak się trzymasz? – zapytałam.

– Nie wiem – odpowiedziała. Dwie łzy popłynęły z jej spuchniętych oczu.
– Wydawało mi się, że Jack miał jutro ważnego klienta i dlatego pracował do

późna ostatnimi czasy. Byłam wściekła, ale nic nie mogłam powiedzieć. Za bardzo się bałam.

– Rozumiem – powiedziałam.

Zalał ją strumień winy.

– Mój mąż był u Jacka – wyjaśniłam – więc wiem dokładnie, jak się czujesz.

Margaret miała na tyle godności, żeby nic nie mówić. Byłam jej za to wdzięczna.

– Wydaje ci się, że zabiła go jego kochanka? – zapytałam.

– Nie wiem. Nawet nie wiem, czy miał jakąś kochankę. Jedna ze współpracowniczek znalazła go na parkingu, kiedy przyszła do pracy o szóstej rano. Może naprawdę pracował do późna? Musiałam go zidentyfikować. Nie wyglądał, jakby był martwy, ale jakby był... pusty. Ktoś pozbawił go całej krwi. Nie, nie miał licznych ran. Tylko dwie dziurki na szyi. Były też siniaki. Straszne siniaki na nadgarstkach, nogach i ramionach.

– Został pobity? – zapytałam.

– Nie. Oni myślą, że ktoś, a może więcej osób trzymało go, kiedy, kiedy...

– Margaret nie mogła kontynuować.

– Czy policja podejrzewa, że był to jakiś seryjny morderca? – zapytałam.

– Nie chcą powiedzieć, ale wydaje mi się, że muszą się tak zachowywać. Wiem, że to jest dziwne. Były już podobne ataki w Lauderdale. Jack nie był jedyną ofiarą tego typu.

– Wiem. Eric powiedział mi, że w okolicach Bayview znaleziono kobietę, która też została pozbawiona krwi. Słyszał to od jednego patologa. Policja ukrywa to przed prasą.

– To jest jak jakiś koszmar – Margaret z wysiłkiem wstrzymywała płacz – z którego nie można się obudzić. Mindy przylatuje dziś do domu. To będzie takie trudne dla naszej córki. Ona wielbiła ojca – dodała ze szlochem.

Nie wiedziałam, jak się zachować. Gdybyśmy nadal były przyjaciółkami, przytuliłabym ją. Ale ona mnie zdradziła. Obydwie o tym wiedziałyśmy.

Zostałam uratowana przez detektywa i prawnika.

– Margaret – powiedział prawnik – przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mamy kilka pytań odnośnie do twojego męża.

– Lepiej będzie, jak pójde – powiedziałam. – Znam drogę do wyjścia. – Ucałowałam powietrze koło jej policzka.

Musiałam się z całych sił powstrzymać, żeby nie pobiec do samochodu.

Kiedyś zadzwoniłabym do mojego męża i przekazałabym mu tę tragiczną wiadomość, ale teraz tego nie zrobię. Co miałabym mu powiedzieć? „Ten prawnik, którego zatrudniłeś, żeby ograbić mnie do ostatniego centa, został właśnie zamordowany. Nie mogło się to przytrafić miłszemu facetowi, nie?”

Podejrzewałam, że Eric i tak wiedział, i najprawdopodobniej już szukał nowego krwiopijcy.

Spędziłam całe popołudnie, odbierając telefony od zszokowanych przyjaciół Margaret. Staralam się robić wrażenie osoby smutnej i zaniepokojonej, ale nie czułam ani jednego, ani drugiego. Wręcz przeciwnie, byłam jakoś dziwnie podekscytowana. Upiekłam kurzą pierś bez skórki, ugotowałam na parze brokuły i czekałam, aż mój mąż wróci do domu.

O jedenastej nadal czekałam. Nawet nie raczył mnie uprzedzić. Ja nie dzwoniłam, żeby się nie poniżyć. A jeśli okaże się, że jest tak samo martwy jak Jack? Wtedy moje problemy same by się rozwiązały. Miałam wyrzuty sumienia, że tak myślałam, ale tak było. I już.

O trzeciej nad ranem obudziłam się w pustym łóżku zupełnie mokra. Nocne pocenie – kolejny objaw menopauzy. Poprawiłam miękką poduszkę i spróbowałam ponownie zasnąć. Poddałam się o trzeciej trzydzieści. Założyłam jeansy, ale potem rozmyśliłam się. Zamiast tego wybrałam prawie prześwitującą suknię, która wyglądała zabójczo w świetle księżyca.

Nie szłam na spacer. Szłam polować na Michaela.

Tej nocy nie było żadnego przyjęcia. O tym, że gospodarz nie śpi, świadczyły zapalone świece i blask bijący z ekranu telewizora. Michael był również sam i również nie mógł spać.

Czekał na mnie przy nabrzeżu Ciemnego Portu. Na początku nie słyszałam nic z wyjątkiem delikatnych uderzeń fal o stojące w porcie łodzie. To był bardzo uspokajający dźwięk. Lekka bryza rozwiała moje włosy, a suknia przylgnęła do ciała.

– Ubrałaś się tak specjalnie dla mnie, prawda?

Pojawił się znikąd. Jego rozpięta pod szyją biała koszula w świetle księżycy wydawała się jeszcze bielsza, a włosy, czarne jak onyks, przywodziły na myśl coś delikatnego. Chciałam ich dotknąć.

– Tak – powiedziałam.

Musnął ręką moje loki, a potem szyję. Cofnęłam się o krok. Nie chciałam, żeby myślał, że jestem zbyt chętna.

Michael uśmiechnął się, jakby czytał w moich myślach.

– Nie musisz przede mną udawać – powiedział.

– Nie udaję – powiedziałam. – Jestem po prostu ostrożna. Nic o tobie nie wiem. Jesteś żonaty?

– Moja żona zmarła wiele lat temu i mieszkam sam.

– Urządzasz takie wspaniałe przyjęcia – nie udało mi się ukryć nuty rozmarzenia w głosie.

– Mam wielu przyjaciół i wszyscy lubimy noc.

– Ja też – powiedziałam. – Jestem zmęczona słońcem Florydy. Ono wszystko wypala.

– Możesz do nas dołączyć – powiedział Michael. – Chciałbym się z tobą jeszcze spotkać, zanim odjadę.

– Odjeżdżasz? – Poczułam ucisk w sercu. – Gdzie się wybierasz?

– Sprzedaję ten apartament. Nikt długo nie zostaje na Florydzie, przecież sama o tym wiesz. Będiesz tu jutro wieczorem? Czy mogę się z tobą znowu zobaczyć?

– O trzeciej – powiedziałam. – W tym samym miejscu.

Zrobiłam to. Umówiłam się na randkę z innym mężczyzną. Moje małżeństwo istniało tylko na papierze. Najwyższa pora spojrzeć w

przyszłość. Może, jeśli będę miała szczęście, w moim życiu pojawi się Michael. Jeśli nie, znajdę sobie kogoś innego. Pokazał mi, że nadal jestem atrakcyjna, i za to byłam mu wdzięczna. Pozwoliłam, żeby Eric zniszczył moją pewność siebie.

Odwróciłam się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Michaela, ale jego już nie było. Dopiero wtedy zorientowałam się, że nie zapytał mnie, czy jestem mężatką. Może wiedział, a może wcale go to nie obchodziło?

W domu czekał na mnie Eric. Stukał stopą w podłogę jak zniecierpliwiony pacjent.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie – powiedziałam.

– Byłem z pacjentem – odrzekł.

– Zalecałeś więcej specjalnych zastrzyków? Patricia mówi, że wspaniale działają na cerę. Nie wiedziałam. To było tak dawno temu, że zapomniałam.

– Jesteś niespełna rozumu – Eric obrócił mój atak przeciwko mnie. Był w tym naprawdę dobry. – Jack nie żyje! Jakiś szaleniec wyssał jego krew. Ty się włóczysz po nocach, jakbyś miała alzheimera. Chyba powinienem zatrudnić strażnika.

Powinieneś zatrudnić zabójcę, pomyślałam. Ale wstrzymałam swoje ostre słowa. Nie potrzebowałam teraz Erica. Miałam Michaela.

– Dobranoc – powiedziałam. – Śpię w sypialni dla gości.

– Nie możesz...

Nie zatrzymałam się, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Zamknęłam za sobą drzwi i rozłożyłam czystą pościel. Co ja robię? Umawiam się o trzeciej nad ranem z jakimś mężczyzną. W okolicy grasuje morderca. A ja nigdy nie byłam spokojniejsza i nie czułam się bardziej bezpieczna. Spałam smacznie do dziesiątej rano.

Wstałam wystarczająco wcześnie, żeby zdążyć na posiedzenie rady oświatowej.

Kiedy wchodziłam do sali, słyszałam urywki rozmów: „...był wysuszony...

nie wiadomo, kiedy będzie pogrzeb... Margaret jest załamana”.

Wszyscy rozmawiali tylko o Jacku, dopóki nie zaczęło się spotkanie. Potem musieliśmy słuchać Nancy, która mówiła o zmianie przepisów. Zajmowała bezsensownie czas rady przez ostatnie osiem miesięcy.

Swego czasu postrzegałam siebie jako filantropa, rozdającego pieniądze, aby polepszyć życie tych, którzy mieli gorzej, teraz jednak, po latach działalności w różnych radach i stowarzyszeniach, wiedziałam, jak mało można zrobić. Siedziałam na kolejnym niekończącym się posiedzeniu, słuchając debaty o tym, czy przewodniczący organizacji powinien pozostać figurantem, czy może głosować na radzie.

Zastanawiałam się, jak ta debata pomoże nauczyć się czytać małym dzieciom.

– Katharine?

Oderwałam wzrok od stołu. Cała rada patrzyła na mnie.

– Jak głosujesz w sprawie tego wniosku – tak czy nie? – zapytała Nancy.

– Tak – to nie miał być mój głos w sprawie wniosku, niezależnie od tego, czego on dotyczył, ale to było „tak” dla mojego nowego życia.

Na szczęście posiedzenie skończyło się do południa. Odrzuciłam wszystkie propozycje zjedzenia lunchu i poszłam prosto do domu. Spędziłam trzy godziny w Internecie, sprawdzając, jaki mogłabym wybrać sobie zawód. Praca nie mogła być gorsza od spotkań rady. Potem zaczęłam się przygotowywać na randkę z Michaeliem.

Do czwartej stwierdziłam, że zostanę bibliotekarką. Potrzebowałabym tylko trzech lat studiów, a płaca była dość dobra. Poza tym stanę się użytecznym członkiem społeczeństwa, co oznacza, że będę bardziej przydatna niż teraz.

Odepchnęłam od siebie wspomnienie potwornego mieszkania Elizabeth i umówiłam się z prawniczką feministką. Na jutro. Dziś chciałam tylko myśleć o mojej randce z Michaeliem.

Umyłam włosy i ułożyłam tak, żeby lekko falowały. Posmarowałam twarz

maseczką z miodu i mango i stwierdziłam, że ogolę sobie nogi maszynką Erica. Nienawidził, kiedy to robiłam. Miałam nadzieję, że zatnie się jutro rano tępym ostrzem. Nałożyłam jego krem do golenia i wzięłam się do dzieła. Wtedy oczywiście ktoś zadzwonił do drzwi.

Kto to mógł być?

Spojrzałam przez wizjer. Przed drzwiami zobaczyłam młodą kobietę z fatalnie ufarbowanymi blond włosami. Miała spódnicę z jakiegoś błyszczącego, taniego materiału, a skąpa bluzka ledwo opinała wielkie piersi. Widziałam ją już wcześniej w biurze Erica.

– Chwileczkę – krzyknęłam i szybko stałam krem z nóg i maseczkę z twarzy.

Kiedy otworzyłam drzwi, uderzył mnie zapach perfum.

– Tak? – powiedziałam. – Jesteś z biura Erica. Czy coś się stało?

– Tak. – Weszła odważnie do mojego mieszkania i usiadła na mojej kanapie. – Nazywam się Dawn i zarządzam biurem Erica.

I jesteś przy okazji jego kochanką. To rozpoznanie było jak uderzenie w twarz. Eric odchodził ode mnie dla tej cycatej laluni. Stałam tak w ciszy, mając nadzieję, że ta, co mi ukradła męża, będzie musiała się wić. Dawn od razu przeszła do rzeczy.

– Chcemy się pobrać – powiedziała.

– My?

– Eric i ja.

– On jest moim mężem.

– I tu mamy problem, nieprawdaż? – Dawn się uśmiechnęła.

Miała małe, zwierzęce zęby i gładką skórę, w której Eric z radością zatopi swój skalpel. On za wszelką cenę chciał poprawiać piękno.

– Jeśli ty sprawisz, że to się stanie dla mnie łatwe, ja sprawię, że tobie będzie łatwiej – powiedziała Dawn. – Zadbam o to, żebyś dostała niezły zasiłek. Zaciągniesz nas do sądu, a będziemy walczyć z tobą na każdym kroku.

– Szantażujesz mnie w moim własnym salonie? – zapytałam.

– Niedługo nie będzie już twój – powiedziała Dawn. Rozejrzała się po moim świetnie zaprojektowanym pokoju. – Nic dziwnego, że Eric nie lubi tu przebywać. To miejsce wygląda jak dom pogrzebowy. Białe kanapy z Florydy? Co to ma być? To jest takie banalne. To miejsce potrzebuje życia. Och, masz jakieś świństwo na czole. Czyżby domowe zabiegi pielęgnacyjne nie skutkowały? Powinnaś była udać się do swojego męża po pomoc. Może nadal byś go miała. A może jednak nie. Niewiele chyba mógłby tu zdziałać.

Siedziałam tam, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, podczas gdy ta mała zdzira wstała i powoli przeszła przed moim nosem. Chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot, jaki był pod ręką, i rzuciłam w nią. Niestety, nie trafiłam. Zdążyła zamknąć drzwi.

Delikatny talerz ze złoceniami od Limoges, jeden z prezentów ślubnych, rozpadł się na drobne kawałki.

W ślad za nim poszły następne, aż marmurowa podłoga pokryła się rozbitą porcelaną i kawałkami szkła. Sprzątanie zajęło mi godzinę. Wiedziałam, że Eric nie zauważy, że wszystko zniknęło. To były rzeczy, które tylko ja kochałam. Zastanawiałam się, czy ta zdzira będzie jadać na mojej najlepszej porcelanie i czy będzie pić z moich kryształów, które dostaliśmy w prezencie ślubnym. Po moim trupie albo najlepiej jej.

Zmyłam resztki maseczki oraz dokończyłam golenie nóg trzęsącą się ręką. Miałam randkę z facetem o trzeciej nad ranem. Co to za godzina? Zacięłam się i patrzyłam na małą kropelkę krwi. Krew.

Trzecia nad ranem była świetną godziną dla wampira.

Tym właśnie był Michael, nieprawdaż? Kto inny mógłby wyssać krew z Jacka, jak nie wampir? Czym innym mogliby być Michael i jego wymuskani przyjaciele?

Spodziewałam się, że będę zszokowana i przerażona, ale nie byłam. Michael i jego przyjaciele wyświadczyli mi przysługę, zabijając Jacka. Dali mi więcej czasu, żebym ułożyła sobie życie, zanim ulegnie unicestwieniu.

Czy Michael był dla mnie zagrożeniem? Nie wydawało mi się. Mógł mnie zabić kilkakrotnie. Chciał czegoś innego, ale czego? Rozmowa z nim była zaproszeniem przesyconym aluzjami.

Czuję twoją tęsknotę.

To cię czyni bardzo piękną i bardzo... bezbronną.

Moja żona zmarła wiele lat temu i mieszkam sam.

Mam wielu przyjaciół i wszyscy lubimy noc.

Może do nas dołączysz.

Michael powiedział mi, czym jest, ale ja nie słuchałam. Czy chciałam należeć do grona jego pięknych przyjaciół? Czy byłabym w stanie zabijać?

To zależałoby od sytuacji. Mogłabym zabijać prawników pokroju Jacka czy lekarzy takich jak mój mąż i takie dziry jak ta, która weszła do mojego domu i zażądała mojego męża jak jakiejś zgubionej walizki.

Zastanawiałam się nad tamtą kobietą, z której wyssano krew. Kim była? Czy zasługiwała na śmierć? Nie znałam jej imienia, ale wiedziałam, kiedy umarła i na jakiej ulicy ją znaleziono – Bayview 47. Zaczęłam szukać w Internecie i znalazłam artykuł z „Sun-Sentine”. Ofiara miała czterdzieści pięć lat, była rozwódką i pracowała jako kontroler w urzędzie podatkowym. Kolejny krwio pijca. Kiedyś, pewnego upalnego lata, mieliśmy z Erikiem kontrolę z urzędu podatkowego. Znaleźli tylko jeden mały błąd, ale rachunek za księgową i prawnika wynajętych do obrony był kolosalny. Więcej praw mielibyśmy pewnie, gdyby oskarżono nas o morderstwo.

Byłabym w stanie zabić kontrolera z urzędu podatkowego. Mogłabym przynosić sprawiedliwość pokrzywdzonym. W moim nowym życiu karałabym niegodziwców. Byłabym superwoman – niewidoczna za dnia, nieustraszona w nocy. To zdecydowanie było lepsze niż mieszkanie w jakiejś klitce i praca bibliotekarki.

Byłam tak podekscytowana, że prawie w ogóle nie tknęłam obiadu. Zresztą nie był nawet smaczny. Dwa kawałeczki chudego kurczaka bez skóry

i kości oraz sałata rzymska z beztłuszczowym sosem.

Na deser miałam dwie uncje ciemnej czekolady i sen na jawie o Michaelu. Dawno żaden mężczyzna mnie nie pożądał, a miałam wiele do zaofiarowania.

Patrzyłam, jak księżyc w pełni wschodzi i wędruje nad mój dom. Eric nie wrócił na noc i wcale mnie to nie martwiło. Nie oczekiwałam, że wróci. Nie byłam w nastroju, żeby z nim walczyć.

Wyjęłam moją ulubioną czarną suknię od Armaniego, która była tak zaprojektowana, żeby maskować niedostatki urody. Wysoki kołnier ukrywał lekko obwisły podbródek, a krótkie rękawy zwiotczały skórę na ramionach, której nie mogły ujędrnić żadne ćwiczenia. Długość sukni ukazywała to, co miałam najlepsze w nogach. Założyłam seksowne sandały na obcasach tak wysokich, że wręcz niebezpiecznych – szczególnie na nabrzeżu. Ale czyż ostatnimi czasy moje życie nie stało się właśnie takie – zagrożone upadkiem?

Michael czekał przed moim apartamentem. Tym razem to on do mnie przyszedł. Jego włosy były czarne jak ocean w nocy. Jego jasna skóra lśniła jak światło księżyca odbijane przez śnieg. Pocałował mnie, a usta miał miękkie i zaskakująco ciepłe.

– Wiesz, kim jesteśmy, nieprawdaż? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam. – Chcę być taka jak wy.

– Musisz być tego pewna. Nie możesz mieć żadnych złudzeń, zanim przyjmiesz nasz sposób życia. Wszystkie pytania musisz mi zadać dzisiejszej nocy.

– Czy jesteście nieśmiertelni? – zapytałam.

– Prawie. Można nas zabić ogniem, światłem słonecznym i wbijając drewniany kołek w serce. Tylko ekologiczne narzędzia – dodał z uśmiechem.

– A krzyż i święcona woda?

Zaśmiał się.

– Wampiry istniały dużo wcześniej, zanim pojawili się chrześcijanie.

– Co się ze mną stanie, jak zostanę jedną z was?

– Uczynię cię wampirem, dając swoją krew. Ja wezmę twoją. Nie bój się, to nie jest bolesne. Zobaczysz, że to jest coś radosnego. Kiedy przemiana się zakończy, będziesz musiała zabrać życie swojej pierwszej ofierze.

– Czy się zmienię? Czy będę inaczej wyglądać?

– Będziesz wyglądać tak samo, ale piękniej. Znikną wszystkie zmarszczki i niedoskonałości. Szybko osiągniesz idealną wagę. Wampiry nie są nigdy grube.

Wampiryzm – najlepsza dieta niskokaloryczna. Chciałam się uśmiechnąć, ale nagle nie byłam w stanie zażartować. Zmiany były głębokie i przerażające. Nigdy nie będę mogła już jeść normalnego jedzenia – poczułam nagłe ukłucie bólu, że będę musiała się tego wyrzec.

– A czy teraz jesz? – zapytał Michael.

To pytanie wydawało się absurdalne.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– Ale co ty teraz jesz? Czy naprawdę masz ochotę na paluszki z marchewki, gotowane brokuły z sałatą rzymską i sosem beztłuszczowym? – Zbliżył się do mojego ucha i szepnął: – Kiedy ostatnio jadłaś to, na co naprawdę miałaś ochotę?

Pomyślałam o jedzeniu, które pochłaniałam w młodości, kiedy mogłam jeść dosłownie wszystko – pieczonego kurczaka i cheeseburgery, chrupiące frytki z solą, lody z owocami i ciepłą bitą śmietaną, chrupiące pieczywo z masłem.

– Nie jadłaś tego od lat, prawda? – zapytał Michael.

Mógł mi czytać w myślach. Teraz to wiedziałam.

– Nigdy już nie będziesz cierpieć z powodu diety – powiedział. – Nie będziesz potrzebować normalnego jedzenia. Będziesz się posilała pokarmem bogów. To właśnie krew składano im w ofierze. Będziesz ją pić dla własnej przyjemności, a jest to doznanie, którego nie jesteś sobie w stanie teraz wyobrazić. Nadal będziesz głodna, ale twój głód będzie zaspokajany. Jesteś teraz głodna, zgadza się? Nawet teraz, po swojej kolacji składającej się z

kurczaka bez skórki.

– Tak. – Kawałek kurczaka podszedł mi do gardła. – Ale mogę też czynić dobro, prawda? – powiedziałam. – Mogę się żywić tymi, którzy zasługują na śmierć.

Jego oczy nagle zrobiły się ciemniejsze i zdałam sobie sprawę, że był zdenerwowany.

– Nie! Musisz przyjąć ciemną stronę tak jak kochanka. Każde dobro, które uczynisz, będzie przypadkowe.

– Ale Jack... – zaczęłam.

– Kiedy Rosette zabiła tego krwiopijcę, uszczęśliwiła wiele pogardzanych żon, ale przecież jego córka rozpacza. Randall zabił tę kobietę z urzędu podatkowego, bo prawie doprowadziła go do szaleństwa swoją kontrolą. Ale ona utrzymywała swoją starą matkę i niezależnie od tego, jak irytująco to brzmi, była uczciwą kobietą. Nie możesz oszukiwać się i wierzyć, że będziesz się karmić tylko seryjnymi zabójcami i pedofilami. Jesteś zła i musisz to świadomie wybrać. Twoje morderstwa nie uczynią świata lepszym. Zabijamy z zemsty, dla sportu i innych tylko nam znanych powodów. Marissa raz zabiła sprzedawczynię w Las Olas, bo ta nie chciała na nią poczekać.

– A więc zabiliście więcej osób w Fort Lauderdale niż tę dwójkę – powiedziałam.

– Znacznie więcej – powiedział Michael. – Informacje o innych ofiarach nigdy nie trafiły do gazet, bo policja ukrywała te wiadomości. Kiedy prawda wychodzi na jaw, nadchodzi czas opuszczenia danego miejsca. Właśnie dlatego wyjeżdżamy jutro wieczorem.

– Co się stało z innymi ciałami?

Michael nic nie powiedział. Nie musiał. Zdałam sobie sprawę, że patrzymy na ocean.

– Gdzie wyjeżdżacie? – zapytałam.

– Na południe Francji – odrzekł. – Mam tam dom nad morzem. Powietrze

pachnie lawendą, a dźwięk fal jest bardzo uspokajający.

Wymsknęło mi się lekkie westchnienie. Oferował mi tak piękne życie.

– Dlaczego ja? – zapytałam. – Są miliony kobiet w podobnej sytuacji – nasz czas przeminął, a mężowie wybrali młodsze.

– Czy ty definiujesz siebie poprzez swojego męża? – zapytał. – Amerykanie mają takie idiotyczne podejście do wieku. Starsze kultury świętują każdy okres życia kobiety. Amerykanie chcą tylko młodości, która najczęściej jest najnudniejszym okresem w życiu. Ja wolę kobiety, które już swoje przeżyły. A ty nie jesteś taka jak inne. Jesteś silna. Oparłaś się bezsensownej modzie na operacje plastyczne. To się stało waszą narodową obsesją, ale ty uporczywie trwałaś przy swoim, kosztem małżeństwa i wygodnego życia. Zdawałaś sobie sprawę z konsekwencji, a to wymagało odwagi. Wiesz dokładnie, kim jesteś. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Po raz pierwszy zrozumiałam, że jestem kimś wyjątkowym.

Wziął mnie za rękę.

– Chciałbym, żebyś do nas dołączyła – powiedział. – Pragnę ciebie. Teraz, kiedy już wiesz, musisz podjąć decyzję – przyłączyć się do nas lub umrzeć.

– Mogę dostać dwadzieścia cztery godziny? Chciałabym zakończyć kilka spraw.

– Tak, ale pamiętaj, że nawet jeśli pójdziesz na policję, to i tak nikt ci nie uwierzy. A my znikniemy, zanim dostaną nakaz rewizji.

– Nie zdradziłabym was – odpowiedziałam. – Już mi pomogliście. Czy zachęciłeś Rosette, aby zabiła dla mnie Jacka?

– Chciałbym przypisać sobie tę zasługę – powiedział Michael. – Jack był jej własnym pomysłem. Jednak cieszę się, że ci to pomogło.

Potem pocałował mnie w dłoń.

– Masz dużo spraw do przemyślenia – powiedział. – Mam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję.

Opuściłam go z dziwnie lekkim sercem, jak na kobietę w mojej sytuacji. Miałam do wyboru dwa rodzaje śmierci – fizyczną śmierć kobiety w średnim

wieku lub śmierć będącą odrodzeniem.

Dobrze spałam tej nocy, choć niewiele jej pozostało. O piątej trzydzieści obudził mnie Eric, który trzasnął drzwiami i zaczął otwierać szuflady. Miał przygotowane cztery białe koszule w plastikowej torbie. Odebrałam je z najlepszej pralni w Lauderdale. Były przygotowane dokładnie tak, jak lubił – wiszące na wieszaku, niekrochmalone.

Chwiejnie usiadłam na łóżku.

– Od teraz – powiedziałam – niech twoja dziwka odbiera twoje pranie. To było ostatnie zadanie, jakie dla ciebie wykonałam.

– Nawet nie waż się tak nazywać Dawn – powiedział Eric.

– Dawn! Co to za imię? Czy doszło do ciebie, jak bardzo jesteś banalny? – moja gorycz nagle wybuchła i krzyczałam jak jakaś przekupka. Mój mąż nie pozostawał mi dłużny.

Przerwało nam walenie w drzwi. Marvin, ochroniarz apartamentowca, stał przed drzwiami naszego mieszkania. Wyglądał na zażenowanego.

– Przepraszam – powiedział. – Ale mieliśmy skargi na hałas.

Przeprosiliśmy ochroniarza. To był akcent kończący moje upodlenie. Eric wyszedł kilka minut później, trzymając w ręku swoje świeżo uprane koszule.

– Odezwie się do ciebie mój prawnik – powiedział.

To było na tyle, jeśli chodzi o nasze trwające ćwierć wieku małżeństwo. Dokładnie na dzień przed moimi urodzinami. Zapomniał o tym, oczywiście. Nawet nie był w stanie powiedzieć: „Przepraszam, ale znalazłem sobie kogoś innego”. Nie było mu przykro, ale jeszcze tego pożałuje.

Patrzyłam na wschód słońca w ostatnim dniu swojego życia. Nowy poranek nadał powietrzu barwę opalizującego różu, a błyszcząca mgła unosiła się nad wodą. Białe ptaki fruwały nad Intercoastal Waterway.

Pomyślałam, że nigdy już nie zobaczę tego piękna, ale nie miałam czasu na roztkliwianie się. Musiałam załatwić kilka spraw. Poszłam do baru na ostatnie obfite śniadanie. Młoda, piersiasta kelnerka była zbyt zajęta flirtowaniem z całym stolikiem biznesmenów, żeby zwrócić na mnie

jakąkolwiek uwagę. Słyszałam, jak kucharz dzwoni w kuchni. Kiedy dziewczyna wreszcie przyniosła moje śniadanie, było niejadalne.

– To jedzenie jest zimne – oświadczyłam kelnerce.

– Co? – powiedziała, tak jakby dopiero co zwróciła na mnie uwagę. Znów byłam niewidoczną kobietą w średnim wieku. – Poproszę, żeby kucharz to podgrzał – odrzekła.

– Nie ma potrzeby. W sumie to nie jestem głodna.

Położyłam jakieś pieniądze na stole. Straciłam apetyt. O godzinie dziesiątej wypłakiwałam się w biurze prawniczki. Łzy przyszły łatwo, bo nie były fałszywe, w przeciwieństwie do oskarżeń.

– Proszę mi pomóc – wyszlochałam. – Mój mąż się ze mną rozwodzi. Ma nową dziewczynę, a mnie nienawidzi. Walczą o to, żeby jak najszybciej się pobrać. Ja im stoję na drodze. Boję się, że Eric może mnie skrzywdzić.

– Skrzywdzić? Jak? – zapytała prawniczka.

Będzie wyglądać świetnie w sądzie jako oskarżyciel w procesie Erica o zabójstwo. Była wystarczająco poważna, żeby uwierzyły jej kobiety, ale też na tyle seksowna, żeby przyciągnąć uwagę mężczyzn. Było coś w jej szytym na zamówienie garniturze, ciasno upiętych włosach i okularach w rogowej oprawie, co sprawiało, że mężczyźni na pewno zastanawiali się, jak wyglądała bez nich.

– Za... Zabić mnie – wykrztusiłam. – Eric nie pozwala, żeby ktokolwiek się mu sprzeciwiał.

– Czy były już jakieś groźby? – zapytała prawniczka.

– Nie w obecności świadków – powiedziałam. – Ale mieliśmy ostrą kłótnię rano i powiedział, że mnie zabije, jeśli nie dam mu rozwodu, aż... Jestem taka zażenowana. Aż ochroniarz z naszego apartamentowca interweniował.

– To dobrze – powiedziała prawniczka. – Znaczy to niedobrze, ale zdecydowanie pomoże.

Planowała wystąpić o zakaz zbliżania się do mnie i powiedziała, żeby

zmieniała zamki w drzwiach. Oczywiście tragicznie zniknę, zanim wykonam jej instrukcje.

Było już po dwunastej, kiedy wyszłam z biura prawniczki. To była najgorsza pora dnia na Florydzie. Parking piekł się w ostrym słońcu. Mocne światło wydobywało bezlitośnie wszystkie rysy na budynkach i chodnikach, na mojej skórze i ustach także. Zdecydowanie nie będę za tym tęsknić.

Chciałam uraczyć się jakąś szalową suknią na dziś wieczór, na moje przemienienie. Przechadzałam się po Las Olas Buolevard, gdzie znajdowały się wszystkie eleganckie butiki. W witrynach sklepów było pełno ubrań wszelkich fasonów i kolorów.

Czarna, pomyślałam. Czarny był dobrym kolorem, kiedy przechodziło się na ciemną stronę.

Weszłam do chłodnego sklepu. Młoda sprzedawczyni, która wyglądała jak chudsza wersja Dawn, rozmawiała z koleżanką. Nie spojrzały na mnie, gdy weszłam, nie zauważyły mnie nawet.

– Przepraszam – powiedziałam. – Czy ktoś mógłby mi pomóc?

Dwie młode kobiety uśmiechnęły się czarująco i przewróciły oczami. Teraz zrozumiałam, dlaczego Marissa zabiła tę pomoc sklepową. Gdybym nie wyjeżdżała z Lauderdale, po te tu na pewno bym wróciła.

Ale nie miałam na to czasu. Kupiłam pierwszą suknię, którą przymierzyłam. Nie leżała na mnie idealnie. W lusterku widziałam opadającą skórę na plecach, fałdki tłuszczu w okolicach talii, ale to wszystko niedługo i tak miało zniknąć. W moim nowym życiu ta suknia będzie spektakularna.

Kiedy wyszłam ze sklepu, wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję. Nie jeśli chodzi o sukienkę, ale o moje życie. Będę niewidoczna, ale to będzie mój wybór.

Będę potężna.

Będę wiecznie piękna.

W moich żyłach znów będzie krążyć krew. Będzie do mnie wpływać, a ja będę czuła ekstazę. Nie będę młoda, ale nie chciałam znowu być młoda, bo to

oznaczało bycie ufnym i bezbronny. Nie chciałam stać się naiwna.

Siedziałam w apartamencie i zastanawiałam się nad resztą nocy i nad początkiem mojego nowego życia. Kiedy niebo zaczęło czerwienieć, przeszłam się jeszcze raz po mieszkaniu, żegnając się ze wszystkimi swoimi rzeczami. Siedziałam na balkonie, dopóki nie zaszło słońce i niebo nie stało się ciemnogrnatowe. Wtedy ubrałam się na swoją ostatnią noc.

O północy spotkałam na wybrzeżu Michaela. Był przerażająco piękny.

– Czy podjęłaś decyzję? – zapytał.

– Wybieram ciebie – odrzekłam.

Pocałował mnie.

– Tak bardzo się cieszę – wyszeptał. – Wszyscy już na ciebie czekają. Kto będzie twoją pierwszą ofiarą?

– Dawn, zarządczyni biura Erica. Policja znajdzie jej pozbawione krwi ciało przed kliniką.

– A co z twoim mężem?

– Pozwolę mu żyć. Muszę zobaczyć, jak będzie się tłumaczył z zaginionej żony i pozbawionej krwi kochanki. Wyjadę, ale nie wezmę nic ze sobą. Żadnych pieniędzy z konta, żadnych akcji, nawet swojej biżuterii. Będę śledzić, co się tu dzieje, przez Internet z południa Francji.

Michael uśmiechnął się.

– Jestem pewny, że wszyscy będziemy cieszyć się tym dramatem – powiedział. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Katharine.



Toni L P. Kelner

Autorka serii *Laura Flemminig Southern* (*Laura Flemminig Southern*) oraz mającej się ukazać serii *Gdzie oni teraz są* (*Where are they now*) o dziennikarzu – wolnym strzelcu, który specjalizuje się w artykułach o byłych gwiazdach. Laureatka Career Achievement Award przyznawanej przez magazyn „Romantic Times”, nominowana do nagród Agatha, Anthony, Macavity Awards oraz nagrody czytelników, „Romantic Timesa”. Mieszka w Massachusetts razem z mężem Stephenem P. Kelnerem Juniorem, który także jest pisarzem, i dwiema córkami. Pomimo że jest wielbicielką powieści o wampirach, publikowane w tej antologii opowiadanie jest jej pierwszym utworem związanym z tym tematem.

Jak Stella odzyskała swój grób



Patrzyli na płytę nagrobną.

– Jesteś pewna, że to tu? – zapytał Mark.

– Oczywiście, że jestem pewna – odpowiedziała Stella.

– Nie było cię tu od jakiegoś czasu, prawda? A okoliczności nie były zbyt sprzyjające, żebyś zapamiętała dokładną lokalizację.

– Jestem pewna – powiedziała. – Nie da się tak po prostu zapomnieć, gdzie znajduje się własny grób. – Wpatrywała się w nagrobek, jakby chciała sprawić, by obecny lokator wstał i odpowiedział na kilka pytań. – To, co chciałabym teraz wiedzieć, to kto, do jasnej cholery, leży w moim grobie!

– Mówiłem ci, że to jest niezdrowe.



Dokładnie godzinę wcześniej Mark zapytał: – Czy nie wydaje ci się, że to jest niezdrowe?

– Jesteśmy wampirami – stwierdziła Stella. – Bardziej niezdrowo już nie będzie.

– Ale odwiedzać własny grób w dzień urodzin? To chyba może cię przyprawić o bladość twarzy – prychnął. – Bladość twarzy. Dobrze. Znaczą już jesteśmy bladzi, nie?

– Nie jest źle – odpowiedziała. – Jeszcze nie jesteś taki blady.

– Prawda.

Był wampirem od roku i jeśli nakładał duże ilości kremu z filtrem 45, mógł nadal wychodzić na światło słoneczne i jego cera nie jaśniała.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Jechali autostradą gdzieś w Karolinie Północnej. Stella prowadziła ze zręcznością, jaką mogą przynieść tylko lata praktyki, i ostrożnością, z której wampiry były znane. Ostrożność ta nie wynikała z wampirzej natury, po prostu była koniecznością. Każda poważniejsza kolizja mogła się skończyć bowiem jeśli nie kontaktem ze zbyt ciekawskim personelem medycznym, to wylądowaniem w więziennej celi z oknami pozbawionymi przesłon. Tak więc wampiry starały się przestrzegać przepisów ruchu drogowego i dlatego prowadziła Stella. Mark był zbyt młodym wampirem.

– Masz urodziny w rocznicę śmierci? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

– Umarłaś w dzień swoich urodzin? To jest okrutne. Ile wtedy miałaś lat?

– Ty mi powiedz.

– O nie. Wiem, że lepiej nie zgadywać wieku kobiety.

– My, wampiry, jesteśmy dumne z tego, ile mamy lat.

– Jasne. Jeśli powiem, że wyglądasz na trzydzieści pięć, a ty przestałaś się starzeć w wieku dwudziestu pięciu lat, wtedy będę wracał do domu na piechotę.

– Myślisz, że wyglądam na trzydzieści pięć lat?

– Myślę, że jesteś ponadczasową pięknością.

Przemiana w wampira miała swoje dobre strony, podkreślała to, co w osobie było najpiękniejsze, ale Mark podejrzewał, że Stella była pięknością jeszcze przed śmiercią. Jej włosy miały kolor błyszczącego orzecha, oczy głębię czekolady, cera delikatność porcelany. No i to zgrabne ciało.

– Wydaje mi się, że jeszcze wypiękniałaś, odkąd cię poznałem.

– Zaakceptuję to. – Uśmiechnęła się. – A tak w ogóle to miałam osiemnaście lat.

– Naprawdę? Powiedziałbym, że raczej trzydzieści pięć.

– Prosiak – zaśmiała się.

Minęli kilka zjazdów z autostrady, zanim Mark wrócił do poprzedniego tematu.

– Inne wampiry nie chodzą na swój grób w dzień urodzin, prawda?

– Inne wampiry nie wrzucają też ziemi do swojego łóżka.

– To nie fair. Ramon przysiągł, że stracę żywotność, jeśli nie będę spał na ziemi ze swoich stron.

– Ciekawe, jak długo byś to jeszcze robił, gdybym tego nie zauważyła?

– Trudno powiedzieć – rzekł. – On mnie tym męczy za każdym razem, kiedy mnie widzi.

– Rozповіда o tym.

– Cholera! Ciekawe, jak długo jeszcze będzie miał ze mnie ubaw.

– Dopóki nie znajdzie kolejnej osoby, która da się zrobić.

– Jasne. Nie znajdzie łatwo drugiego takiego frajera jak ja – powiedział Mark pośepnie, patrząc w ciemność pól przed Allenville. – Poza tym co się kwalifikuje jako ziemia z moich stron? Musi być z miejsca, gdzie się urodziłem czy gdzie umarłem? Czy to ma być ogólnie tylko hrabstwo? A

może stan czy państwo?

Stella włączyła kierunkowskaz i zjechała z autostrady.

– Cóż, ziemia z Allenville załatwiłaby sprawę w moim przypadku. Tu się urodziłam, tu umarłam i jestem pochowana.

– W urodziny. To koszmar. – Powstrzymał się od mówienia wampirzych kawałów, po tym jak ostatnim razem został zamknięty w bagażniku, gdy jakiś opowiedział.

– Chyba żartujesz – powiedziała. – To były moje najlepsze urodziny.

– Ciekawie spędzałaś urodziny w młodości.

Obrzuciła go kosym spojrzeniem.

– Rozejrzyj się po mieście.

– A kiedy będziemy w mieście?

– Już jesteśmy.

Mark wyjrzał za okno. Droga międzystanowa była lepiej oświetlona niż ulica, po której jechali. Było wystarczająco dużo światła, żeby zobaczyć znak *Witamy w Allenville* wykonany przez członków miejscowej społeczności. Istnienie domów zdradzała niebieska poświata ekranów telewizyjnych.

– Chyba za dużo się tu nie dzieje, co?

– Nie. Chyba że masz hopla na punkcie hodowli kurczaków. Czy kiedykolwiek czułeś zapach takiej farmy?

– Czeka! Zaraz będą światła. – Wjechali na wzgórze, ale nie było tam nic bardziej ekscytującego niż McDonald, stacja benzynowa i Wal-Mart. – Nieważne.

– Teraz jest przynajmniej Wal-Mart – powiedziała Stella. – Gdybyśmy mieli coś takiego, kiedy ja dorastałam, byłabym teraz w świńskim niebie.

Mark zdał sobie sprawę z tego, że jej zazwyczaj wyrafinowany ton głosu stawał się bardziej wiejski, ale stwierdził, że nie byłoby miłe, gdyby zwrócił jej na to uwagę, a poza tym niebezpieczne, biorąc pod uwagę szybkość reakcji wampira w wieku Stelli.

– Nie byłaś tu szczęśliwa? – zapytał, gdy zostawili za sobą oazę neonów.

– Moja mama zwykła mawiać, że wcześniej zaczęłam chodzić, żeby szybciej się stąd wydostać.

– Ale nie wyjechałaś.

– Chciałam, i to jak, ale nie miałam dokąd. Byłam bez pieniędzy, wykształcenia i nie znałam nikogo, do kogo mogłabym pojechać. Oszczędzałam każdy grosz, żeby się stąd wyrwać, ale przestałam, kiedy spotkałam Vilmosa. Gdy go zobaczyłam, zdałam sobie sprawę z tego, że to moja przepustka w świat.

– Ale niedokładnie w taki sposób, jaki sobie wyobrażałaś.

– Nie do końca – powiedziała. – W każdym razie sądziłam, że go uwodzę, i potem otworzyłam przed nim swoje serce. Dał mi wybór i ja go zaakceptowałam.

– I nigdy się za siebie nie oglądałaś?

– Ani razu.

Korciło go, by zadać pytanie, dlaczego w takim razie są tutaj tego wieczoru, ale powstrzymał się, dopóki nie zaparkowali w jakimś zarośniętym miejscu, które Stella określiła jako parking przed cmentarzem. Gdy wyszli z samochodu, wdepnął w coś, koło czego nie chciałby się znaleźć nawet za życia, a co dopiero teraz, kiedy miał wyostrzone wampirze zmysły.

– Dlaczego tu jesteśmy? – burknął.

– Bo są moje urodziny – powiedziała.

– To jest kiepski powód.

– A może dlatego, że jestem twoim panem i taki mam kaprys?

– A tak w ogóle to dlaczego jesteś moim panem?

– Ponieważ wypłam twoją krew, a kiedy umierałeś, dałam ci moją. A może pytasz, dlaczego cię przeciągnęłam na ciemną stronę?

– Wiem przecież, że zrobiłaś to, bo nie mogłaś się oprzeć mojemu urokowi. Ale dlaczego jesteś moim panem? Nie powinnaś być moją panią?

– Słucham?

– Pan odnosi się do mężczyzn, dla kobiet jest pani. I niech mnie szlag

trafi, jeśli nie jesteś kobietą.

– Wampiry są zawsze panami – powiedziała bez cienia wahania.

– To dlatego, że środowisko wampirów składa się z szowinistów i takie było, odkąd Dracula polubił nabijanie Turków na pale. Zaserwuję ci lekcję feminizmu. Od teraz jesteś moją panią. Moją Panią Potępionych.

Tak szybko jak tylko potrafiła złapała go za szyję i pocałowała porządnie.

– To – powiedziała, kiedy skończyła maltretować jego usta – jest właśnie powód, dla którego cię ze sobą zabrałam. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Pomimo że Mark nie miał żadnych kompleksów, jeśli chodzi o wygląd, nie z tym świetnym ciałem, zielonymi oczyma i kruczoczarnymi włosami, wiedział doskonale, że powodem tych entuzjastycznych pocałunków było zdenerwowanie. Rozpoznał je, mimo że widział Stellę zdenerwowaną tylko raz i działo się to po jego śmierci, gdy miała powitać go w społeczności wampirów. Tak się bała, że mu się nie spodoba, że aż był na nią zły. Jakiś czas zajęło mu udowodnienie tego, że uważał wybór za coś lepszego niż spędzenie życia w normalnym świecie.

Doszli do wejścia zwieńczonego żelaznym łukiem, na którym widniały kute litery składające się na nazwisko *Spivey*.

– Nazywałaś się *Spivey*? – Jak większość wampirów w jej wieku, Stella wielokrotnie zmieniała nazwisko.

– Nie. *Spivey* to nazwisko panięńskie mojej matki. Moje to *Boyd*. Mamie nie układało się z ludźmi taty, więc pochowała mnie i jego tutaj.

Zawahała się.

– Jesteś pewna, że chcesz wejść?

– Byłoby głupio jechać taki kawał i nie wejść.

– Głupio było też chodzić na wyścigi ciężarówek, ale to mnie jakoś nigdy nie powstrzymywało.

Uśmiechnęła się i weszła. Mark podążył zaraz za nią, bo prawdę mówiąc, w ciemnościach nie widział tak dobrze jak ona.

– Stella Boyd – powiedział. – Nieźle.

– Spróbuj jeszcze raz. Moje stare imię brzmi Estelle – z emfazą wypowiedziała pierwszą sylabę. – Ale tak nikt teraz do mnie nie mówi.

– Przyjąłem do wiadomości.

Stali tak przez kilka minut, podczas gdy Stella czytała napisy na płytach nagrobnych. Mark nie widział żadnych liter. Wreszcie zatrzymała się za szerokim nagrobkiem z dwoma nazwiskami.

– Tu leżą moi rodzice. O śmierci mamy dowiedziałam się znacznie później, ale domyśliłam się, że będzie pogrzebana razem ze mną i z tatą.

Mark podszedł wystarczająco blisko, aby odczytać inskrypcję: *Caleb Boyd. Ukochany mąż i ojciec. Oveda Boyd. Ukochana żona i matka.*

– Mój grób jest przy tamtym drzewie.

– Jakim drzewie?

– Przy tamtym pniaku. Drzewo rosło, kiedy byłam tu ostatnim razem. Co nie zmienia faktu, że tam jest mój nagrobek.

– Jak sądzę, inskrypcja obejmuje słowo *ukochana*?

– Nie wiem. Kiedy stąd odchodziłam, nic jeszcze nie było wyryte. Był po prostu kamień, który zaznaczał miejsce. Pewnie mama musiała trochę zaoszczędzić, żeby zapłacić kamieniarzowi.

Stella podeszła do grobu i zamarła tak, jak tylko wampiry potrafią.

Mark pomyślał, że musi się czuć jak Scrooge, który zdał sobie sprawę, jaką cenę musi zapłacić za swoje grzechy, więc objął ją, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Spojrzał na nagrobek i zamrugał oczami.

– Tu jest wyryte *Jane Doe*^[9] – powiedział. Nie było daty urodzin, tylko dzień zgonu.

– Widzę, co jest napisane.

– Gdzie jest w takim razie twój grób?

– Stoisz przed nim!

– Jesteś pewna, że to tu? – zapytał Mark.

– Oczywiście, że jestem pewna – odpowiedziała Stella.

– Nie było cię tu od jakiegoś czasu, prawda? A okoliczności nie były zbyt sprzyjające, żebyś zapamiętała dokładną lokalizację.

– Jestem pewna. Nie zapomina się, gdzie jest własny grób!

Stała jak wryta, a Mark sprawdzał okoliczne *groby* w poszukiwaniu takiego, na którym byłoby napisane *Estelle Boyd*, ale takiego nie znalazł. Wrócił do Stelli.

– Może twoja mama go gdzieś przeniosła, w... – urwał, zanim zdążył powiedzieć „milsze miejsce”. – Na inny cmentarz?

– Nie powinna mnie przenosić i zostawiać tu taty. Byłam córeczką tatusia od momentu, gdy się urodziłam. Nie rozdzieliłaby nas.

– Może nikt nie wiedział, że jesteś tutaj pochowana? Chodzi mi o to, że powiedziałaś, że nie było tu płyty nagrobnej.

– Nie. Mam na myśli... Do cholery, nie wiem, co mam na myśli. – Rozejrzała się bezradnie dookoła, ale nie było nikogo, kogo mogłaby zapytać.

– Jedźmy do Raleigh. W hotelu poszukam w Google czegoś na temat Jane, OK? Dowiemy się, co się stało.

Na szczęście dziś się już pożywili, mogli więc udać się bezpośrednio do hotelu, gdzie Mark od razu odpalił swój laptop. Wpisał *Allenville. NC* oraz *Jane Doe* i znalazł artykuł w archiwum „Allenville Sentinel”.

– Coś mam – powiedział. – Historia sprzed półtora roku. Jane Doe została pochowana w grobowcu rodzinnym rodziny Spivey. Była bezimienną ofiarą morderstwa. Miała pomiędzy szesnaście a dziewiętnaście lat. Została zgwałcona i uduszona w Allenville sześć miesięcy wcześniej. W budżecie nie było pieniędzy na pochówek, więc posterunkowy Norcomb zaproponował miejsce w rodzinnym grobowcu. Musi być jakimś twoim krewnym.

– Chyba tak. Rodzina Spiveyów zawsze była płodna. Mama zapełniłaby pewnie dom dziećmi, gdyby tata nie umarł tak wcześnie.

Mark czytał dalej.

– Śledztwo nadal trwa. Norcomb nie traci nadziei, że będzie w stanie

zidentyfikować zarówno ofiarę, jak i zabójcę. Jest zdjęcie z pogrzebu, na którym widać, jak lokalni mieszkańcy oddają cześć zamordowanej.

– Nie ma słowa o przeniesieniu wcześniejszego właściciela grobu?

– Nie. Nie powinni znaleźć twojej trumny?

– Nie zostało z niej wiele, kiedy się wydostałam.

– Vilmos cię nie odkopał? – zapytał przerażony.

Stella tak to zorganizowała, że on sam nigdy nie został pochowany, ale czasami pogrzeb był konieczny, ze względu na ludzi. W takich wypadkach pan danego wampira odkopywał go bezzwłocznie.

– Spóźnił się. Dłużej, niż myślał, zabrakło mu znalezienia ludzi, na których mógł wpłynąć, żeby zaczęli kopać. Mogłam poczekać, ale spanikowałam.

– Nic dziwnego. Dlaczego sam cię nie odkopał? Byłoby szybciej.

– Vilmos miałby pobrudzić sobie ręce? Proszę cię.

Mark stwierdził, że wcale go nie dziwi, iż tak bardzo nie lubi pana Stelli.

– W każdym razie – powiedziała – trumna została w znacznym stopniu uszkodzona. Vilmos wrzucił odłamki do grobu i kazał go ponownie zakopać. Nie wiem, ile czasu potrzeba, żeby rozłożyło się drewno i materiał, ale nie wydaje mi się, żeby coś znaleźli, kiedy chowali Jane, bo inaczej wiedzieliby, że jestem tu pochowana. Ale powinno być jakieś oznakowanie. Pokaż mi zdjęcie.

Przesunął laptop w jej stronę.

– Żadnego kamienia, żadnej płyty nagrobnej, nic – powiedziała. – Nie rozumiem tego. Czy mama przesunęłaby jakiś znacznik? Dlaczego nie zrobiła mi prawdziwego nagrobka? Wiem, że były drogie, musiała przecież rok oszczędzać, żeby zrobić taki tacie, ale... Chyba postanowiła nie zawracać sobie tym głowy.

– Hej, ale nie wyciągaj takich wniosków! Powiem ci coś. Jutro pójde i zobaczę, jak wygląda cała sytuacja. Muszą być jakieś dokumenty, kto i gdzie był pochowany.

– Raczej nie. Kiedy tata zmarł, mama po prostu wybrała miejsce i tam go

pochowała. Nie jestem nawet pewna, czyja to była ziemia.

– Jestem pewien, że oficer Norcomb będzie wiedział. Odnajdę go i zapytam.

– Ale to już nie ma znaczenia. Miałeś rację. Powrót był głupim pomysłem.

– Nie powiedziałem, że był głupi, ale niezdrowy. A jutro mam zamiar pojechać do tego faceta i dowiedzieć się, co się stało.

Wzruszyła ramionami i powiedziała: – Jestem trochę ciekawa. – Potem sięgnęła po pilota do telewizora. – Zastanawiam się, co dziś jest w płatnej telewizji.

Wybrali coś brutalnego i durnego, a kiedy film się skończył, Mark wyjął z walizki prezent urodzinowy, który jej kupił. Stella okazała należyte uznanie dla szafirowego naszyjnika, po raz kolejny pokazując, że lata nauczyły ją czegoś więcej niż bezpiecznej jazdy. Mark jednak wiedział, że nie była aż tak zadowolona, jak się spodziewał, ale próby podziękowań, jakie podjęła, zdecydowanie mu się podobały.

Kiedy noc się skończyła, Stella poszła do łóżka, upewniając się wcześniej, czy drzwi są zamknięte, zasłony dobrze zaciągnięte, a wywieszka *Nie przeszkadzać* wisi na klamce od zewnątrz. Mark dołączył do niej. Na chwilę przed świtem poczuł, że dziewczyna płacze. Później zapadli w sen.

W pewnym momencie Mark przeszedł ze snu wampirzego w ludzki i obudził się po jedenastej. Wiedział, że Stella będzie tak leżeć, nie ruszając się, aż do zmierzchu, jednak on nadal walczył z resztkami człowieczeństwa.

Zazwyczaj nie oddalał się od Stelli, kiedy odpoczywała, zwłaszcza gdy byli poza domem, uznał jednak, że znalezienie informacji o jej grobie było ważniejsze. Jego pierwszym celem będzie posterunkowy Norcomb, więc zadzwonił z samochodu na posterunek, żeby ustalić, czy go tam zastanie. Policjant, z którym rozmawiał, stwierdził, że posterunkowy Norcomb ma właśnie przerwę na lunch i skierował Marka do baru Benny's Truck Stop przy autostradzie. Mark zauważył ten bar poprzedniej nocy, kiedy podziwiał magiczne neony wyobrażające hamburgera i puciołowatego szefa kuchni. W

światle dnia były mniej magiczne, ale widać było, że oazy benzyny i oleju napędowego dobrze się trzymały. Mark wysiadł z auta i zapragnął zaczerpnąć świeżego wiejskiego powietrza, ale zamiast tego poczuł okropną mieszankę amoniaku i nieczystości, która pochodziła z budynku na polu.

Norcomba wypatrzył bez trudu, jako że był to jedyny policjant w lokalu. Pomimo tłustego jedzenia, które ten właśnie skończył jeść, nie sprawiał wrażenia zbyt dobrze odżywionego i na tyle, na ile Mark mógł stwierdzić, w niczym nie przypominał Stelli.

Podszedł do jego stolika z najmiłszym uśmiechem, na jaki było go stać, i zapytał: – Posterunkowy Norcomb?

Norcomb przyjrzał mu się tak podejrzliwie, że Mark przejechał językiem po zębach, żeby się upewnić, czy nie wystają mu kły.

– To pan się pytał o mnie na komisariacie? – zapytał.

– Tak, to ja. Czy mogę się przysiąść?

– Jeżeli jest pan w sprawie mandatu drogowego, to może się pan nie trudzić. Nie załatwiam nikomu takich rzeczy.

– Nic w tym stylu – zapewnił go Mark. – Jestem tu w sprawie Jane Doe.

Norcomb usiadł wyprostowany i zapytał: – Wie pan, kim ona jest?

– Nie, niestety nie. Ja tylko chciałem...

– Jest pan dziennikarzem?

– Może zaczniemy od nowa. Nazywam się Mark Anderson – powiedział i wyciągnął rękę, aby się przywitać.

Kiedy ściskali sobie dłonie, ich oczy się spotkały i Mark wysilił całą swoją moc, której wampiry używają do wpłynięcia na swoje ofiary.

Chwilę później Norcomb powiedział: – Puści pan moją rękę czy będzie ją pan tak trzymał?

– Przepraszam – wymamrotał Mark.

Stella zapewniała go, że wykształci w sobie tę zdolność w niedługim czasie, ale jak na razie nic takiego się nie działo. Skoro hipnotyczny wzrok nic nie pomógł, musiał przejść do planu B.

– Jak sędzę, jesteście spokrewnieni – powiedział Mark.

– Naprawdę? – odparł sceptycznie Norcomb. – Nie przypominam sobie, żebym miał jakichś Janesów w rodzinie. Bez obrazu.

– Nie ma problemu. Jesteście spokrewnieni przez małżeństwo. Estelle, siostra babci mojej żony, jest z Allenville i zawsze mówiła, że chciałaby zostać pochowana na rodzinnym cmentarzu Spiveyów. Ponieważ jestem teraz w interesach w Raleigh, żona poprosiła mnie, żebym potwierdził, że cmentarz ten nadal funkcjonuje.

– Słyszałem, że jacyś Spiveyowie wynieśli się na północ. Wiem też, że starsi ludzie chcą być pochowani w rodzinnych stronach.

– Dokładnie. Ciotka Estelle ostatnio zaczyna być coraz słabsza, więc nie wiem, ile jeszcze pożyje.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Norcomb z wystarczającą dozą współczucia, aby Mark zaczął się czuć winny.

– Przynajmniej miała długie życie – rzekł Mark, co było prawdą. – Znalazłem wczoraj cmentarz Spiveyów i kiedy sprawdzałem ostatnie pochówki, natknąłem się na grób Jane Doe. Było to dziwne, więc poszukałem w Internecie i znalazłem informację, że to pan dał zgodę na ten pochówek, i stwierdziłem, że to do pana powinienem się zwrócić w mojej sprawie. Czy musimy wypełnić jakieś papiery?

– Nie. My nie jesteśmy aż takimi formalistami. Jeśli ciotka Estelle jest z rodziny, to jak najbardziej może zostać tu pochowana.

– Żona się ucieszy, jak to usłyszy.

Norcomb zaczął się już zbierać do wyjścia, więc Mark pośpiesznie zadał pytanie: – Wiem, że musi pan już wracać na służbę, ale zastanawiałem się, dlaczego Jane Doe została pochowana na rodzinnym cmentarzu? Czy jest powód, żeby przypuszczać, że jest krewną?

– Nie mamy pojęcia, kim biedaczka była.

– Naprawdę? Zdaję sobie sprawę, że nie może pan mówić o toczącym się śledztwie... – Znowu próbował wpłynąć na tego człowieka i był prawie

pewien, że jakby trochę podziałało. A może Norcomb był po prostu gadatliwy?

– Śledztwo jest nadal otwarte, ale raczej nie mogę powiedzieć, że się toczy. Biedaczka nie żyje już od dwóch lat, a my wiemy niewiele więcej niż tydzień po tym, jak ją znaleźliśmy. Tak w ogóle to odnaleziono ją niedaleko stąd, po drugiej stronie tej szopy na kurczaki, którą widać z parkingu.

– A więc w tym budynku są kurczaki. Co za smród!

– Powinien pan przyjechać w środku lata, wtedy to dopiero śmierdzi. W każdym razie znaleźli ją na polu jacyś chłopcy. Była częściowo przykryta liśćmi i gałęziami. Zabójca tak zmasakrował jej twarz, że nie dało się jej rozpoznać. Nie mamy więc pojęcia, kim była. Nikt się też po nią nie zgłosił.

– Czytałem w sieci, że widziano ją w Wal-Marcie.

– Tak jest. Ponoć manager sklepu, jeśli mu wierzyć, poznał ją po kolorze włosów. Były ufarbowane na czarno i śmiesznie obcięte. Pewnie gotka. W Allenville raczej ich nie spotykamy i pewnie dlatego facet ją zapamiętał. Kupiła tylko kilka rzeczy i zapłaciła gotówką, więc to nam nie pomogło. Była sama. Przejrzałem wszystkie kasety z monitoringu i mieliśmy kilka zdjęć, które umieściliśmy w gazecie, ale nikt nie wie, kim ona jest.

– Jak sądzę, jej zakupy też wiele nie powiedziały.

– Akurat to było dość dziwne. Kupiła nowe ubrania, poszła do łazienki i się przebrała, a wszystkie stare rzeczy wyrzuciła do kosza na śmieci.

– To rzeczywiście dziwne.

– Obstawiam, że miała jakieś problemy, może z narkotykami, i chciała zmienić wygląd. Ale ktokolwiek jej szukał, znalazł ją, a nikt w mieście nie widział nic podejrzanego.

– Czy to nie jest dziwne, jak na tak małe miasteczko? – powiedział taktownie Mark, nie chcąc sugerować, że ktoś z miejscowych mógłby być w to zamieszany.

– Nie aż tak, jak pan myśli. Mamy tu różnych ludzi – uciekinierów i przejezdnych różnej maści. Poza tym obok jest Raleigh. To duże miasto, z

typowymi problemami dla dużych miast, więc u nas od czasu do czasu też pojawiają się problemy.

Mark spędził dość dużo czasu w Nowym Jorku, Bostonie i Londynie, więc Raleigh jakoś nie wydawało mu się aż tak dużym i niebezpiecznym miastem, ale wszystko przecież zależało od perspektywy.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Jane Doe została pochowana na cmentarzu Spiveyów.

– Trzymaliśmy ją przez jakiś czas w chłodni, mając nadzieję, że ktoś się po nią zgłosi, ale po pewnym czasie stwierdziliśmy, że pochowanie jej będzie bardziej właściwe. Bob Henry z domu pogrzebowego ufundował trumnę, ale kiedy nikt nie chciał się podzielić miejscem na rodzinnym cmentarzu, ja się zaofiarowałem.

– To bardzo przyzwoite z pana strony.

Policjant wyglądał na speszonego.

– Mieliśmy dużo miejsca. Cały tamten róg był prawie pusty. Poza tym byłem pierwszym funkcjonariuszem na miejscu zdarzenia i czułem się winny, że nie ustaliliśmy, kim była. Ale niech pan sobie nie myśli, że się poddałem. Nie mam wystarczająco czasu ani pieniędzy, żeby w nieskończoność ciągnąć śledztwo, ale ja jestem jak pies myśliwski – może teraz nie mam tropu, ale jak jakiś znajdę, nie poddam się.

Znów zaczął się podnosić.

– A teraz to ja naprawdę muszę lecieć. Niech pana żona do nas zadzwoni, a na pewno wybierzemy jakieś ładne miejsce dla ciotki Estelle.

– Też tak zrobię. Dziękuję bardzo za poświęcony czas.

– Hej, a od czego są rodziny?

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Norcomb poszedł w stronę drzwi. Mark także chciał się za nim udać, ale poczuł burczenie w żołądku. Stella nie potrzebowała jedzenia z wyjątkiem okazjonalnej porcji gorzkiej czekolady, która, jak twierdziła, była niezbędna wampirom, ale on nadal jadał jeden czy dwa posiłki dziennie. Kiedy kelnerka przyszła, żeby posprzątać ze stolika

Norcomba, zamówił lunch.

W drodze powrotnej do Raleigh Mark zastanawiał się, jak Stella zareaguje. Naprawdę nie miał pojęcia. Ta nieprzewidywalność była cechą, która go w niej zafascynowała na samym początku, jeszcze zanim powiedziała mu prawdę o sobie. Były dni, kiedy wyglądała tak młodo jak w dniu śmierci, ale czasami widać było po niej każdy przeżyty dzień. W większości wypadków cieszył się, że mógł się z nią gdzieś wybrać. Chociaż nie rozumiał, dlaczego chciała pojechać na tę urodzinową pielgrzymkę, postanowił się nie kłócić.

Teraz był jednak pewien jednej rzeczy. Stella chciała odzyskać swój grób.

Mark był w łóżku ze Stellą, kiedy się ocknęła i szybko na niego zareagowała, ale nie w taki sposób, jak chciał.

– Śmierdzisz! – powiedziała z grymasem.

– Cholera, no! – powiedział, wyslizgując się spod kołdry. – Jadłem tylko cheeseburgera! Bez cebuli czy musztardy. Umyłem zęby i użyłem płynu do płukania ust. Dwa razy!

– To nie jedzenie – stwierdziła, wachając go.

– Jadłem obok farmy kurczaków – powiedział Mark.

Wzruszyła ramionami.

– Może to to. Po latach, które spędziłam, mieszkając koło jednej z nich, byłam gotowa przetrzymać się na krew, byleby tylko nie musieć jeść kurczaków.

– Gotowa, żeby usłyszeć o nieboszczyku w twoim grobie?

– Jeszcze nie. Jestem głodna. – Tak długo, jak Mark jadł normalne jedzenie, mógł nie pić krwi przez dwa czy trzy dni, ale Stella musiała pożywiać się codziennie. – Czy znalazłeś jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli bezpiecznie zapolować? Co mam na siebie włożyć?

– Coś do ćwiczeń. Hotelowy polecił ścieżkę do joggingu niedaleko stąd. Biegnie dookoła jeziora i ma wiele zakrętów.

– Wezmę prysznic i będę gotowa do drogi.

– Ja też się jeszcze raz wykąpię, żeby pozbyć się tego koszmarnego zapachu. A jako że troszczę się o zużycie wody...

– Tak. Zdecydowanie należy oszczędzać zasoby wody.

Nie wiedzieć czemu wspólna kąpiel zajęła im więcej czasu, niż gdyby kąpali się osobno.

Gdyby to był jego grób, Mark strasznie by się pieklił, stwierdzając, że ma lokatora, ale starsze wampiry były denerwująco cierpliwe. Stella chciała poczekać, aż się posilą.

O dziwo, nie zajęło im zbyt wiele czasu znalezienie zdrowego mężczyzny i przekonanie go, żeby podążył za Stellą ciemną ścieżką pomiędzy drzewa. Szybko zaspokoiła swój głód, a potem Mark mógł się napić. Biegacz pozostał jeszcze pod wpływem Stelli na tyle długo, by ranki zdążyły się zasklepić, a całe wydarzenie zniknąć z jego pamięci. Jedyne, co będzie pamiętał, to to, że tego dnia biegał dłużej niż zwykle.

Potem poszli do samochodu, a ponieważ Mark nie miał takiej cierpliwości jak Stella, to prawie zalał ją informacjami, ledwie zdążyła zapytać: – I czego się dowiedziałeś?

Powiedział jej słowo w słowo to, co usłyszał od Norcomba, ale nie był aż tak rozkojarzony, żeby nie zauważyć, że Stella jedzie w kierunku cmentarza Spiveyów. Skończył, kiedy dojechali. Zaparkowali i Mark podążył za Stellą.

Stanęli przed nagrobkiem. Pomimo że dzisiejsza noc była znacznie ciemniejsza, Mark nie miał wątpliwości, że Stella może przeczytać każdą literę.

– Możemy ją przenieść na publiczny cmentarz – powiedział.

– Jak to masz zamiar wytłumaczyć policjantowi?

– Powiemy mu, że ciotka Estelle nie chce tutaj żadnych obcych i że chce dokładnie to miejsce. Do diaska, mamy przecież wystarczająco dużo prawników i pieniędzy, żebyśmy nic nie musieli wyjaśniać. Albo możesz na niego wpłynąć – to będzie znacznie tańsze.

– Nie chcę jej tego robić.

– I tak nikt nie wie, kim ona jest. Ona jest martwa, naprawdę martwa. To nie zrani jej uczuć.

– Skąd wiesz?

– Bo nie ma czegoś takiego jak duchy.

– Rok temu powiedziałaś, że nie ma czegoś takiego jak wampiry. Nie masz pewności, co będziesz mówić za rok.

Dreszcz przebiegł po plecach Marka, ale to była rozmowa, na którą nie był gotów.

– Jeśli to widzi, to zrozumie, dlaczego chcesz odzyskać swój grób.

Ale Stella pokręciła głową.

– Nie chcę, żeby ją gdzieś rzucili. Tutaj przynajmniej Norcomb się nią zajmuje. Nie zostanie zapomniana.

– W takim razie przeniesiemy ją w inne miejsce na cmentarzu.

– Nie. Dlaczego miałabym się przejmować, że ktoś tu jest pochowany? I tak nie mam zamiaru korzystać z tego grobu. A kto wie? Może pewnego dnia Norcomb wpadnie na to, kim ona była, i zabiorą ją do domu.

– Może – powiedział Mark, ale wiedział, że większość takich spraw nigdy nie zostaje rozwiązana. Co powiedział Norcomb? Że nie ma wystarczająco dużo czasu ani pieniędzy, żeby wiecznie ciągnąć jakieś dochodzenie. Mark rozważył to. Czas nie był dla niego problemem dzięki nieśmiertelności, jaką zyskał, kiedy został wampirem. Pieniądze też nie. Stella miała kupę kasy i jak nakazywał zwyczaj, dużą ich część przekazała mu, kiedy go przemieniła. – Stella, czy kiedykolwiek czytałaś książki o Nancy Drew?

– Dlaczego pytasz? – I zanim zdążył odpowiedzieć, ona zapytała: – Czy naprawdę sugerujesz, że mamy zacząć węszyć tak jak Nancy Drew, żeby dowiedzieć się, kim była Jane?

– A dlaczego nie? Nie mamy przecież żadnych planów na następne kilka dni.

– Czy wydaje ci się, że będziemy w stanie rozwiązać zagadkę morderstwa w kilka dni, podczas gdy policja nie może tego zrobić od około dwóch lat?

– Nie uważam, żeby to było bardziej absurdalne niż wiara w wampiry.
Spojrzała na niego.

– No dobra, może jest – odrzekł. – Ale co powiesz na to? Powęszymy przez kilka dni i jeśli nic nie ustalimy, wynajmiemy prywatnego detektywa.

– Absurdalny pomysł – powiedziała, a potem się uśmiechnęła. – Zróbmy to.

Mark nadal nie wierzył, że duch Jane Doe ich obserwuje, ale skłonił się przed jej grobem, tak na wszelki wypadek.

– Co najpierw? – spytał, kiedy wsiedli do samochodu.

– Chcesz mi powiedzieć, że pomimo iż to był twój pomysł, nie masz żadnych planów?

– Ja jestem od ogólnej idei, tobie pozostawiam dopracowanie szczegółów.

– Rozumiem – powiedziała sucho Stella. – W takim razie chciałabym poznać mojego kuzyna trzeciego stopnia, czy jakie tam łączy mnie pokrewieństwo z posterunkowym Norcombem.

Stwierdzili, że wykonanie kolejnego telefonu z zapytaniem o posterunkowego Norcomba mogłoby wzbudzić podejrzenia. Pojechali do hotelu, żeby zabrać laptop Marka, a Stella zadzwoniła do Ramona w Bostonie i poprosiła go, żeby odszukał adres Norcomba.

Kiedy się rozłączyła, powiedziała: – A tak w ogóle to Ramon powiedział...

– Wiem, przypomniał mi, że bym włożył ziemię do swojego łóżka. Cholerny drań! Pewnego dnia odpłacę mu pięknym za nadobne.

– A pomoże ci, jeśli ci powiem, że Ramon boi się węży?

– Naprawdę? – zapytał Mark z szatańskim uśmiechem.

Radośnie układał plan zemsty, kiedy podjechali do domu Norcomba. Samochód policyjny stał przed domem, co oznaczało, że kuzyn Stelli jest w budynku.

Stella pojechała kilka domów dalej i zaparkowała przed nieoświetlonym budynkiem.

– Czy on mieszka sam?

– Nie miał obrączki, więc nie jest żonaty i wspomniał, że dzwonił do matki, więc z nią nie mieszka – powiedział Mark.

– Dobrze. Nie chcę, żeby ktokolwiek zobaczył ten samochód, więc będziesz krążył po okolicy. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę cię potrzebować.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Nie zabłądź! – Stella wyszła z samochodu i zniknęła w ciemnościach.

Mark przesiadł się na siedzenie kierowcy i zaczął jeździć po okolicy, mając nadzieję, że nikt go nie zauważy. Po godzinie zadzwonił telefon.

– Stella?

– Nie, tu stara, poczciwa ciotka Estelle. Czy pamiętasz ten duży czerwony dom tuż przy skrócie w ulicę, gdzie mieszka Norcomb?

– Biorąc pod uwagę, że przejeżdżałem tamtędy jakieś dwadzieścia osiem razy dzisiejszego wieczoru, wątpię, czy kiedykolwiek go zapomnę.

– Będę tam na ciebie czekać.

– Tak jest, panie...

– Raz to było zabawne. Za drugim razem to się robi nudne.

– Dobrze, najukochańsza.

– To się nigdy nie zestarzeje.

– Tak jak my – powiedział Mark i przerwał połączenie.

Nie zauważył Stelli, ale kiedy tylko się zatrzymał, pojawiła się koło samochodu.

– Przesuń się. – Wsiadła i ruszyła z miejsca.

Na kolanach Marka wylądowały: żółty notatnik i kasetka wideo.

– Co to jest? – zapytał.

– Moje notatki z rozmowy z Norcombem i kopia nagrania z kamer ochrony z Wal-Martu. A dokładnie kopia kopii, którą miał w domu i którą kazałam mu zrobić. Gdyby miał w domu ksero, zrobiłby mi też kopię akt.

– Miał to wszystko w domu?

– Po pierwsze twoja dzisiejsza rozmowa sprawiła, że znów zaczął myśleć

o tej sprawie, a po drugie ma na jej punkcie lekką obsesję.

– Najwyraźniej. – Nagle w jego głowie zaświtała pewna myśl. – Ale on jej nie zabił, prawda?

– Nancy Drew byłaby z ciebie dumna – powiedziała Stella z aprobatą. – Ale nie, nie zabił jej. Zapytałam go.

– Jesteś pewna? Jak głęboko był pod twoim wpływem?

– Wystarczająco głęboko, że nie będzie pamiętał ani mnie, ani ciebie, ani ciotki Estelle. Mogłam sprawić, że zapomniałby własny adres, ale to byłaby lekka przesada.

– Musisz mnie nauczyć, jak to robić.

– To po prostu kwestia praktyki.

– Co jeszcze ci powiedział?

– Wszystko, co wie o sprawie, ale nie było tego więcej, niż powiedział w barze, chyba że dołączymy do tego dane z sekcji zwłok – rozkład ciała, uszkodzenie tkanek, zasinienia. Byłabym tu pół godziny wcześniej, gdybym nie musiała wyjaśniać terminologii sądowej.

– Będziesz musiała częściej oglądać *Kryminalne zagadki*. Czy masz jakieś poszlaki, które moglibyśmy zbadać?

– Być może. Okazuje się, że Jane była tego samego dnia w barze Benny's Truck Stop.

– Tam też spotkałem się z Norcombem. Czyżby zbieg okoliczności?

– Nie do końca. Jak sądzisz, ile jest restauracji w Allenville?

– Trafna uwaga. Była tam przed zakupami czy po?

– Przed zakupami, kiedy jeszcze jej strój był dość rzucający się w oczy. Była ubrana na czarno, a na palcu miała pierścionek z trupa czaszką.

– Nic dziwnego, że go wyrzuciła.

– Dobrze, że to zrobiła, bo w przeciwnym razie morderca mógłby się pozbyć go razem z jej ubraniami, które miała na sobie w chwili morderstwa.

– Jakie to ma znaczenie?

– Okazuje się, że mój kuzyn jest bardzo dokładnym śledczym. Poszedł na

wysypisko i znalazł ubrania Jane, które nadal znajdowały się w reklamówce.

– Nie mów mi, że miał je w domu.

– Zgadłeś. Posiadanie takiego chłopca w rodzinie sprawia, że moje serce rozpiera duma. Nie przyglądałam im się za dokładnie, bo widziałam wystarczająco dużo odcinków *Kryminalnych zagadek*, żebym wiedziała o zanieczyszczaniu dowodów. Udało mi się je jednak dokładnie obwąchać. Oczywiście smród z wysypiska był straszny, ale udało mi się też zidentyfikować zapach Jane.

– Stella, jak dobry jest twój zmysł węchu? Jakbyś go porównała z psem myśliwskim?

– Nigdy nie robiłam takich porównań – powiedziała. – Ale nawet jak na wampira, uważam, że mam talent.

– Czy twój talent jest wystarczająco silny, że będziesz w stanie wytropić ją po tych dwóch latach?

– Mogę mieć problem, ale skoro i tak już się tego podjęliśmy...

– To chodźmy.

Trochę czasu zajęło im zaparkowanie samochodu, tak żeby nie rzucał się w oczy, ale niezbyt daleko od miejsca znalezienia ciała Jane, a i tak musieli przejść ładny kawałek na piechotę i Mark cieszył się, że byli ubrani na sportowo. Nawet wampirom robią się pęcherze od zbyt długiego chodzenia w niewygodnych butach.

W końcu znaleźli miejsce tuż za drewnianym płotem, które pasowało do opisu z policyjnego raportu. Neon z baru Benny's Truck Stop był widoczny ponad linią drzew.

– Teraz już wiem, dlaczego tak śmierdziałeś, kiedy wszedłeś dziś do łóżka.

Mark wciągnął głęboko powietrze i od razu tego pożałował.

– Już wiem, co miałaś na myśli, mówiąc o farmach kurczaków. One naprawdę śmierdzą.

– To nie jest zapach kurczaków – powiedziała Stella. – Owszem, czuję ich

smród, ale jest też coś innego.

Już miał zapytać, co miała na myśli, ale pochyliła się i zaczęła obwąchiwać ziemię. Mark doszedł do wniosku, że wszelkie odniesienia do psa myśliwskiego nie byłyby dobrze przyjęte, więc skoncentrował się na tym, żeby nie wchodzić jej w drogę i nie stracić z oczu, gdy węszyła dookoła. Czasami musiał zrywać się do biegu i gdyby także nie był wampirem, pewnie by ją zgubił.

Wreszcie po przebiegnięciu jakiegoś ogromnego obszaru Stella zatrzymała się i powiedziała: – Tutaj.

– Namierzyłaś ją? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie. Miałaś rację. Minęło zbyt dużo czasu. Złapałam jej zapach w miejscu, gdzie było ciało, ale tylko tam.

– O czym w takim razie mówisz?

– Wyczułam kogoś innego. Tu jest jakieś inne ciało, Mark. Stoimy na czyimś grobie.

– Jesteś pewna?

– Nic nie czujesz?

– Wiesz, że jestem jeszcze zielony – wymamrotał, ale pochylił się i spróbował jeszcze raz. Miała rację. Można było wyczuć fetor rozkładu, ale zamaskowany był smrodem kurczaków i dodatkowo warstwą ziemi o grubości kilku stóp. – Nie jest świeże.

– Nie, ale jest tu też kolejne. – Wskazała kawałek dalej.

– Kolejne?

– I wydaje mi się, że znacznie więcej.

– Chryste, Stella. W co my się wpakowaliśmy?

Jako że zbliżał się świt, udali się do samochodu i w drodze do hotelu kłócili się o to, co powinni zrobić. Mark chciał wykonać anonimowy telefon do Norcomba, żeby go poinformować o zwłokach. I jeżeli byłoby to konieczne, wpłynąć na niego po raz kolejny, ale Stella nie chciała zaryzykować wyjścia z cienia.

Albo przynajmniej tak tylko mówiła, bo Mark podejrzewał, że nie chciała tak po prostu porzucić ich śledztwa, więc powołała się na swoje starszeństwo, na to, że to ona, jako pan, wydaje rozkazy. Mark sprzeciwił się i gdy dojechali do hotelu, przestali się do siebie w ogóle odzywać.

Mark, kiedy się obudził, nadal był zły. Ignorował Stellę i udawał, że nigdy nie słyszał o Jane Doe. Jego złość minęła tak jak zawsze, kiedy poszedł na lunch i z premedytacją zjadł dużą miskę chili z cebulą. Stella była starsza, bogatsza, silniejsza, znacznie szybsza i posiadała inne wampirze umiejętności, które on dopiero odkrywał, a poza tym nadal czuł się przez nią ochraniający. Nie wiedział, czy to była jakaś zależność pomiędzy mężczyzną a kobietą, czy pomiędzy wampirem a panem, a może po prostu pomiędzy Markiem a Stellą. Czymkolwiek to było, poszedł kupić coś, czego obydwójce będą potrzebowali, i prawie dokończył ustawianie sprzętu, kiedy Stella się obudziła.

Zmarszczyła nos, więc doskonale wiedział, że wyczuła jego lunch, pomimo iż użył całej butelki płynu do płukania ust. Ale wstrzymała się od komentarza.

– Co robisz? – zapytała.

– Kupiłem odtwarzacz wideo, żebyśmy mogli obejrzeć kasetę z kamer ochrony.

Podłączył ostatni kabel, uruchomił oba urządzenia i sięgnął po taśmę.

Stella chwyciła ją pierwsza.

– Nie musimy tego robić – powiedziała. – Ty nie musisz tego robić.

– Wiem.

– Cała ta gadka pod tytułem „Jestem twoim panem i tak mówię” jest głównie warta.

Mark zamrugał oczami na te słowa. Stella rzadko przeklinała.

– Wiem – powiedział.

– Dlaczego więc kupiłeś wideo?

– Traktuj to jako spóźniony prezent urodzinowy.

Uśmiechnęła się.

– Tylko wtedy, jeśli do mnie podejdziesz i pozwolisz sobie wręczyć przyspieszony prezent urodzinowy.

Zaczął iść w stronę łóżka, ale zatrzymał się.

– Mój lunch był dość cuchnący.

– Nie będę cię więc całować. Przynajmniej nie w usta.

Godzinę później zaczęli oglądać kasetę. Norcomb odwalił kawał dobrej roboty, łącząc fragmenty z różnych kamer, które pokazywały Jane. Jakość nagrania była mizerna, ale wystarczająca, żeby mieli ogólny ogląd sytuacji.

Jane przybyła ubrana jak typowy got z miasta – czarne spodnie, czarna koszulka rozdarta przy szyi i zdarte czarne buty. Jej krótkie czarne włosy były kiepsko ufarbowane, a Mark nie mógł stwierdzić, czy nieład na głowie był zasługą starannej stylizacji, czy może wręcz przeciwnie. Musiała zużyć sporo tuszu do rzęs, żeby w taki sposób podkreślić oczy. Dodatkowo miała na sobie jeszcze kilka typowych dla gotów ozdób – pierścionek z trupa czaszka, naszyjnik z nietoperzem i inne mniej lub bardziej widoczne łańcuchy i pierścionki.

– Nie do końca wtapia się w tłum, co? – powiedział Mark.

– Ale i tak nie przeszkadza jej, że się ludzie gapią – skomentowała Stella.

Pomimo że wszyscy patrzyli się na nią, Jane szła pewnie przez centrum handlowe, sprawiając wrażenie, że nie widzi tych spojrzeń. Wyszła spoza zasięgu kamer i pojawił się obraz z kamery w sekcji z ubraniami dla młodzieży. Jane przeszła wzdłuż półek i wybrała parę jeansów i jasnoniebieski sweter. Droga do przymierzalni nie została nagrana. Ale później dziewczyna poszła do stoiska z butami, gdzie wybrała białe tenisówki. Wzięła również skarpetki, bo te, które miała na sobie, były dziurawe. Potem wybrała majtki i stanik.

– Babcine majtki – powiedziała troskliwie Stella.

– Że co? – zapytał Mark.

– Babska nazwa bardziej zabudowanych majtek, które nie są ani

stringami, ani nie mają kroju bikini.

Następne ujęcie pokazało Jane stojącą obok półki z czapkami, gdzie wybrała jeden z niebieskich kapeluszy, który był czymś w rodzaju zmodyfikowanej czapki z daszkiem, bardzo popularnych tego lata wśród dziewcząt.

Poszła do kasy z całym asortymentem, nadal ignorując ciekawskie spojrzenia, i kiedy za wszystko zapłaciła, udała się w stronę toalet. Następne ujęcie pokazało Jane wychodzącą z ubikacji, ubraną już w nowe ciuchy, bez śladu makijażu na twarzy. Jej włosy były starannie schowane pod czapką. Wyglądała teraz jak zupełnie inna osoba. Ludzie, którzy ją mijali, nie zwracali na nią uwagi, z wyjątkiem jakiegoś licealisty, który się do niej szeroko uśmiechnął.

Jane ruszyła w stronę wyjścia, w rękę trzymała torbę, w której najprawdopodobniej znajdowały się jej stare rzeczy. Zanim jednak wyszła z centrum, zajrzała do torby, a potem wrzuciła ją do kosza na śmieci przy drzwiach. Nagranie skończyło się chwilę po tym, kiedy dziewczyna opuściła Wal-Mart.

– Chwała twojemu kuzynowi, że ją wypatrzył – rzekł Mark. – Nie pomyślałbym nawet, że to była ta sama dziewczyna.

– Ja nie wiem, czy udałoby mi się ją rozpoznać – powiedziała Stella. – Jak więc rozpoznał ją zabójca?

– Musiał ją bardzo dobrze znać.

– A co z innymi zwłokami?

– Norcomb podejrzewa, że mogła być zamieszana w narkotyki – powiedział Mark.

– A handlarze narkotyków mają wielu wrogów. Choć muszę przyznać, że Allen-ville nie wydaje się miejscem aktywności tego typu, nawet z dużym miastem w pobliżu.

Stella przewinęła kasetę do momentu, w którym Jane wychodzi z łazienki.

– Wygląda na znacznie młodszą. Zmienił się nawet język jej ciała.

Przedtem wyglądała na pewną siebie, a teraz jest prawie nieśmiała.

– Czy jest to część przebrania?

– Może. – Stella obejrzała kasetę do końca i wyłączyła ją. – Robię się głodna – oznajmiła.

Stwierdzili, że nie będą ryzykować powrotu nad jezioro, gdzie byli wczorajszej nocy, więc wybrali się do parku rozrywki, który o tej porze tętnił życiem. Po tym jak Mark wygrał pluszową wersję Hrabiego z *Ulicy Sezamkowej*, rzucając piłką w butelki, zaczęli szukać ofiary.

– Tam – powiedziała Stella, trącając Marka łokciem.

Grupa dziewcząt, wyglądających na studentki z college'u, dyskutowała, gdzie teraz powinny pójść. Gdy wybrały diabelski młyn, jedna z nich postanowiła zostać i kupić sobie coś do picia. Śmiały się z niej, że ma lęk wysokości, i stanęły w długiej kolejce.

– Idealna – powiedział Mark.

Śledzili dziewczynę przez kilka minut, po czym Stella nawiązała z nią kontakt wzrokowy, niemal natychmiast przejmując nad studentką kontrolę. Tylko kilka chwil zajęło im znalezienie jakiegoś odludnego miejsca pomiędzy przyczepami. Stella pożywiała się, a Mark trzymał wartę. Odprawdzili studentkę na miejsce, z którego ją zabrali. Mark kupił jej colę, a Stella wmówiła jej, że jakiś bardzo atrakcyjny facet z nią flirtował.

Byli w połowie drogi do hotelu, kiedy Stella powiedziała: – To jest to!

– O co ci chodzi?

– Dlaczego wybraliśmy tę dziewczynę, żeby się pożywić?

– Bo była chwilowo sama.

– Bo była bezbronna. A teraz przypomnij sobie, jak wyglądała Jane. Zanim zmieniła ubranie, wyglądała na twardą. Ludzie się na nią patrzyli, ale nikt jej nie zaczepiał. Później wyglądała na bezbronną.

– No dobrze.

– Norcomb twierdził, że zmieniła ubrania, żeby się przebrać. To może być prawda, ale to nie był powód, dla którego została zabita. A jeśli została

zabita, bo była bezbronna? Może ktoś, kto to zobaczył, wybrał ją jako ofiarę?

– Inny wampir?

– Nie. Raport z sekcji zwłok nie mówił, że została pozbawiona krwi. Ale przecież my nie jesteśmy jedynymi myśliwymi.

– Co masz na myśli? – zapytał Mark, myśląc z pewnym niepokojem o istotach, o których wspomniała Stella. – Wilkołaki? Zombie? Ghule?

– Poczulałabym ich zapach przy grobie, gdyby tam były – powiedziała Stella, a Mark nie wiedział, czy żartowała, czy nie. – Mam na myśli ludzkiego potwora.

– Seryjny morderca – powiedział Mark z wyraźną ulgą – który lubuje się w młodych dziewczynach?

Kiwnęła głową.

– Wiemy, że Jane była w Benny's Truck Stop, zanim poszła do Wal-Martu, ale nie wiemy, gdzie poszła potem. Gdyby była przejazdem, czy nie udałaby się do baru, żeby znaleźć jakiś transport? A gdybyś mieszkał w Allenville, czy najlepszym miejscem na znalezienie ofiar nie byłoby kręcenie się w okolicy Benny's Truck Stop?

– I chciałbym zaznaczyć, że bar znajduje się niedaleko miejsca, gdzie znaleziono ciało Jane i gdzie znajdują się inne zwłoki.

– Otóż to, Ned.

– Kim jest Ned?

– Ned Nickeson. Chłopak Nancy Drew.

– Co w takim razie zrobiliby Nancy i Ned?

– Zastawiliby pułapkę.

– Pułapka wymaga przynęty.

– Kto wygląda znacznie młodziej i bardziej bezbrinnie, niż faktycznie jest? – powiedziała Stella, trzepocząc rzęsami.

Pomimo jego wcześniejszych uwag Stella wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Mark nie wiedział, jak to się dzieje, ale coś w sposobie chodzenia albo ubierania się sprawiało, że wyglądała jak kobieta, a nie

dziewczyna. Przynajmniej tak wyglądała, zanim udała się do łazienki z torbą pełną ciuchów, które zakupili w drodze do hotelu.

Mark oglądał CNN, kiedy usłyszał: – Przepraszam – wypowiedziane nieśmiałym głosem.

Spojrzał do góry i zobaczył dziewczynę w spodniach koloru khaki i niebieskim sweterku, który nie za bardzo zakrywał ani ramiączek jej różowego stanika, ani wspaniałych piersi. Delikatne brązowe włosy podtrzymywała opaska, a oczy pomalowane były pastelowymi cieniami. Na szyi miała łańcuszek z napisem *Księżniczka*, a nad literą „i” migotało serduszko.

– Stella?

– Jak wyglądam? – zapytała, okręcając się dookoła.

– Jak przynęta, która ma za zadanie wsadzić kogoś do więzienia. Gdybyś była moją córką, otoczyłbym płot drutem kolczastym i kazałbym ci nosić pas cnoty.

Uśmiechnęła się tak, że na jej policzkach pojawiły się dołeczki. Nie wiedział, że to potrafiła.

– Czy mógłbyś, no wiesz, pożyczyć mi swoją bryczkę? – powiedziała.

– Dobry Boże, ty nawet mówisz jak nastolatka! Zawiozę cię. Nie wyglądasz na tyle lat, żeby mieć prawo jazdy.

Znowu pojawiły się dołeczki, gdy się uśmiechnęła.

Markowi trochę odebrało odwagę, kiedy w połowie drogi do Allenville Stella położyła swoją rękę na jego udzie i powiedziała: – Chciałbyś może, no wiesz, gdzieś zaparkować, zanim tam wejdziemy?

– Na Boga, nie!

– Że co? – powiedziała swoim normalnym głosem i cofnęła rękę.

– Bez urazy, ale nigdy nie gustowałem w lolitkach, a ty jesteś zbyt przekonywająca.

– Wydawało mi się, że faceci fantazjują o młodych dziewczynach?

– Ja wolę kobiety.

– Rozumiem – powiedziała i słychać było w jej głosie, że nie jest już tak bardzo urażona.

– Też byłaś taka, jak miałaś osiemnaście lat?

– Pewnie gdybym miała wybór, to ubierałabym się w takim stylu, ale po pierwsze nie mieliśmy pieniędzy, a po drugie moja matka nie pozwoliłaby na to.

– I miałaby rację – oznajmił fałszywie Mark. – Może gdybyś mogła się ubrać jak uczennica szkoły koedukacyjnej z połowy lat dwudziestych...

– Zboczeniec – powiedziała uprzejmie Stella.

Zatrzymali się na postoju dla podróżnych jakąś milę przed zjazdem do Allenville i zaparkowali gdzieś z tyłu. Stella wysiadła z samochodu i upewniając się, że nikt jej nie widzi, wślizgnęła się za krzaki i zaczęła iść w stronę baru. Mark wrócił na autostradę, żeby przejechać resztę drogi.

Bar zapchany był turystami, miejscowymi i kierowcami ciężarówek. Mark zajął ostatni wolny stolik i zamówił cheeseburgera bez cebuli, frytki i piwo. Następnie wyjął swój laptop i jakieś papiery, żeby nie wzbudzić podejrzeń zbyt długim przebywaniem w lokalu.

Mark wiedział, że Stella już dotarła. Zawdzięczał to ich wampirzej zależności. Starał się jednak nie patrzeć na nią, kiedy znalazła miejsce przy barze i zaczęła swoje przedstawienie, udając, że liczy resztkę pieniędzy. Zamówiła hamburgera i małą colę. Kiedy wreszcie zaryzykowała spojrzenie w jego kierunku, zauważył, że podczas swojego spaceru przez las trochę się ubrudziła i sprawiła, że jej przebranie uciekinierki z domu było jeszcze bardziej przekonywające.

Przez najbliższe półtorej godziny Mark jadł i sącył piwo. Zawalony papierami obserwował, jak ludzie mijają Stellę. Nawiązywała kontakt wzrokowy z każdym samotnym mężczyzną i z częścią kobiet, ale pomimo iż wywoływała reakcje zachwytu, obrzydzenia i pożądania, nikt nie zareagował jak myśliwy, którego szukali. Spytała nawet kilku facetów, czyby jej nie podwieźli, ale żaden z nich się nie zgodził.

Tłum przerzedzał się, Mark nie bardzo już miał co robić w lokalu, a Stella piła ostatnie kilka łyków coli przez pół godziny, kiedy Mark zdecydował, że ich ofiara nie przyszła. Być może będą musieli obserwować to miejsce tygodniami, zwłaszcza jeśli zabójca był kierowcą ciężarówki albo przyjezdny. Ciągła obecność Stelli na pewno została by zauważona, nawet jeśli zmieniałaby wygląd. Mark zaczął się już zastanawiać, które inne młodo wyglądające wampiry mogliby zaprosić do zabawy w kotka i myszkę, kiedy zauważył, że z zaplecza wychodzi kucharz.

Facet wyglądał na około trzydzieści pięć lat, był krępej budowy i miał tłuste włosy. Mark miał nadzieję, że wynikało to ze złego funkcjonowania skóry głowy i nie miało żadnego związku z jedzeniem serwowanym w barze. Podsunął Stelli pod nos porcję frytek razem ze szklanką coli.

Próbowała mu podziękować, ale facet zabrał tylko pustą szklankę i zniknął, zanim jakaś kelnerka mogła go zauważyć.

Stella, nadal grając rolę głodnej uciekinierki z domu, pochłonęła porcję frytek. Mark był pod wrażeniem. Nadal była w stanie jeść normalne jedzenie, chociaż nie dostarczało ciała żadnych wartości odżywczych. Biorąc pod uwagę, że miała bardzo wyostrzone zmysły, rzadko cokolwiek jej smakowało. Już hamburger musiał być nie lada wyzwaniem, więc to, że zjadła jeszcze frytki, dowodziło, jak poważnie podchodziła do ich małego śledztwa.

Minęło kolejne pół godziny. Mark miał już zamiar zebrać swoje rzeczy i dać Stelli sygnał, że na dziś koniec, kiedy z kuchni znów wyszedł kucharz i postawił przed nią kolejną szklankę coli. Ponownie nie spojrzął jej w oczy, kiedy próbowała mu podziękować.

Włosy zjeżyły się na karku Marka. Bezinteresowność okazywana od czasu do czasu nie była niczym niezwykłym, ale Marka zaniepokoiło to zachowanie. Poza tym ten człowiek powinien być w kuchni, a nie przyglądać się klientom.

Kiedy Mark próbował to wszystko rozgryźć, Stella wypła colę i zostawiła

wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pokryć swój rachunek. Potem wstała i zachwiała się, jakby straciła równowagę. Mark zmrużył oczy. Wampiry, a przynajmniej wampiry tak stare jak Stella, nigdy nie traciły równowagi.

Ich plan przewidywał, że wyjdą oddzielnie, przynajmniej w pięciominutowych odstępach. Mark został więc na miejscu, pomimo przerażenia. W jaką grę Stella zaczęła grać, starając się wyglądać na bardziej dostępną, jakby była pijana, pomimo że wypijała tylko colę? Trzy cole, jeśli mamy być dokładni, z czego dwie dostała za darmo od faceta, który się dziwnie zachowywał.

– Chryste! – wyszeptał Mark. – Ten gnój musiał coś jej dosypać.

Zgarnął rzeczy do walizki, położył pieniądze na stole i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się przy samochodzie, mając nadzieję, że Stella użyła swojego kluczyka, żeby do niego wsiąść, ale nie było jej tam. Wrzucił rzeczy do bagażnika i wziął łyżkę do opon.

Wywabili drapieznika i w normalnych warunkach nie martwiłby się o bezpieczeństwo Stelli, ale niepokoiło go, że chwiała się lekko, kiedy szła w kierunku drzwi. Nie mógł być zbyt daleko za nimi. Poruszał się najszybciej jak młody wampir potrafi, ale i tak stracił ich zapach.

Czyżby zwiódł go nos? Czyżby ten typ załadował Stellę do samochodu albo przekazał współnikowi? Gdzie oni byli? Mark stał sam w szczerym polu, za plecami miał bar, a na wprost cuchnącą hodowlę kurczaków. Wtedy zrozumiał, gdzie się podziiali. Pobiegnął w kierunku farmy.

Kiedy się zbliżył, usłyszał rozmowę i rozpoznał głos Stelli, pomimo że mówiła niewyraźnie.

– Gdzie jesteśmy? Kim mówisz, że jesteś?

– Jestem po prostu przyjacielem – powiedział mężczyzna i Mark domyślił się, że był to kucharz. – Pomyślałem, że będziesz potrzebować miejsca, żeby się przespać. Widzisz, tutaj jest łóżko.

– Ono dziwnie pachnie.

– To tylko zapach kurczaków. Jeśli się położysz, szybko zaśniesz i nie

będzie ci już przeszkadzać. Pozwól, że pomogę ci zdjąć buty.

Mark stanął na palcach i zajrzał przez okno do środka. Nawet z zewnątrz czuł, że zapach w tym pokoju nie miał nic wspólnego z kurczakami. Zobaczył, że oczy Stelli zamykają się i że opadła nagle na podłogę.

– Dobra dziewczynka – powiedział kucharz, wyciągając do niej rękę.

Mark widział już wystarczająco dużo. Obiegł budynek, aż wreszcie znalazł drzwi. Były zamknięte, więc zaczął uderzać w nie ramieniem. Ogromne stado kurczaków latało szaleńczo i piszczało, kiedy wpadł w nie, żeby dotrzeć do następnych drzwi, za którymi znajdowała się Stella. Mężczyzna w środku oczywiście usłyszał, że ktoś się zbliża, i Mark uchylił się w ostatniej chwili. Unik sprawił, że nóż, zamiast ugodzić go w plecy, wbił się w ramię.

Niestety, była to ta ręka, w której trzymał łyżkę do opon. Wysunęła się z jego dłoni, w chwili gdy Mark stanął twarzą w twarz z napastnikiem.

Ułamek sekundy zajęło Markowi zorientowanie się w całej sytuacji. Kucharz stał przed łóżkiem, na którym leżała Stella, kiedy znikąd dokładnie pomiędzy nogami mordercy pojawiła się błyskawicznie ręka, która ścisnęła jego genitalia.

Dźwięk, jaki rozległ się w pomieszczeniu, mógłby być krzykiem, gdyby złoczyńca miał wystarczająco dużo powietrza w płucach.

Stella upadła razem z nim, ale nie zwolniła uścisku. Wyraz jej twarzy nie miał już nic wspólnego z małą nimfetką, którą udawała. Wyglądała teraz jak typowy drapieżca.

– No dobra, sukinsynu – powiedziała. – Gadaj, kim jest Jane Doe, zanim urwę ci jaja.

– Nie wiem – wycharczał.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz pojęcia, iż jedna z twoich ofiar pochowana jest na cmentarzu rodziny Spiveyów?

– Wiem, że jest, ale nie znam jej imienia. Nie wiem, jak się nazywała żadna z moich ofiar.

– Ty kłamliwa kanalio! – powiedziała Stella, zaciskając mocniej dłoń. – Zatrzymałeś jej rzeczy, zgadza się? Założę się, że masturbowałeś się w nich. Musiały zawierać jakieś dokumenty!

– Przysięgam, że nic w nich nie było. Tylko trochę pieniędzy.

– Powiedz mi!

Twarz mężczyzny zaczęła zmieniać barwę.

– Nie wydaje mi się, żeby on cokolwiek wiedział – powiedział Mark.

Stella nie zwolniła uścisku.

– Stella, on nie wie. Zaufaj mi. Żaden facet by tego nie wytrzymał, gdyby wiedział, wyśpiewałby wszystko.

Przez długą chwilę nie reagowała, a potem zwolniła uścisk. Mężczyzna zwinął się w kłębek i zaczął szlochać.

– Nic ci nie jest? – zapytał Mark.

– Oczywiście. Przecież wiesz, że narkotyki na mnie nie działają.

– Nie byłem pewien – odrzekł Mark. – Jesteś bardzo dobrą aktorką.

– A co z tobą? Ten drań cię dźgnął – powiedziała Stella i Mark zdał sobie sprawę, że jego ramię krwawi. – Boli cię?

– Nawet bardzo.

Stella przeszła nad zabójcą, dotknęła krwi na ramieniu jednym palcem i polizała go. Potem tak pocałowała Marka, że prawie zapomniał o bólu.

– Nie ma za co – powiedział prawie bez tchu. – Co teraz robimy?

– Najpierw zajmijmy się twoim ramieniem – powiedziała i zaczęła lizać jego ranę. Nie tylko zatrzymało to krwawienie, ale było też cholernie przyjemne.

Kiedy skończyła, podniosła zabójcę z podłogi, sprawiła, że spojrzał jej prosto w oczy i wpłynęła na niego tak mocno, że zapewne pozwoliłby jej jeszcze raz ścisnąć genitalia, gdyby go o to poprosiła. Stella powiedziała mu dokładnie, co ma pamiętać z tej nocy. Jak nafaszerował dziewczynę narkotykami i zaprowadził do swojej nory, jak chciał ją zgwałcić i zabić w taki sam sposób, w jaki zrobił to z innymi. Jednak mu się nie udało.

Dziewczyna walnęła go tak, że stracił przytomność. W tym samym czasie Mark przygotowywał scenografię. Porozrzucił po całym pokoju fragmenty ubrań Stelli i zostawił naszyjnik z napisem *Księżniczka* na podłodze. Potem zabrali łyżkę do opon i ruszyli do wyjścia przez nadal wzburzone morze kurczaków.

Ich następnym przystankiem była budka telefoniczna przy barze, z której Stella zadzwoniła na policję. Powiedziała im, kto ją zaatakował i gdzie to się stało. Kiedy zapytali ją, jak się nazywa, odłożyła słuchawkę.

Samochód, w którym czekał Mark, miał włączony silnik, więc ruszyli spod baru dokładnie wtedy, kiedy na parking wjechał samochód policyjny na sygnale.

Pomimo bólu w ramieniu Mark był z siebie zadowolony.

– No i widzisz, rozwiązaliśmy zagadkę.

– Nie do końca. Nadal nie wiemy, kim jest Jane Doe.

– Ale złapaliśmy seryjnego mordercę. Założę się, że Nancy Drew nigdy tego nie dokonała. Nie tylko nie będzie już więcej zabijał, ale znajdą też wszystkie jego ofiary. Czy to się nie liczy?

– Oczywiście, że się liczy. Myślałam o tych wszystkich matkach, które zastanawiały się, co się stało z ich córkami. To sprawiło, że mój powrót do domu się opłacił. Chciałabym tylko, żebyśmy byli w stanie się dowiedzieć, kim jest Jane. Jej matka też powinna wiedzieć.

Przez kilka mil jechali w ciszy. Potem Mark rzekł: – A propos powrotu do domu. Dlaczego teraz się na to zdecydowałaś?

– Powiedziałam ci. Ze względu na moje urodziny.

– Nigdy wcześniej nie przyjeżdżałaś na swoje urodziny, a osiemdziesiąte drugie nie mają jakiegoś szczególnego znaczenia.

– Nie, ale ten rok dużo dla mnie znaczy. Ze względu na ciebie.

– Nie rozumiem.

– Jesteś pierwszym wampirem, którego stworzyłam. Albo przeklęłam. Jesteś moim dzieckiem.

– Nie jestem dzieckiem.

– Nie, ale jesteś czymś w rodzaju dziecka, jedynym, jakie mogę mieć. Czy jest w tym coś dziwnego, że zastanawiałam się nad swoim ludzkim rodowodem?

– I myślałaś o swojej matce? – zapytał. Kiwnęła głową.

– Biorąc pod uwagę, że moje uczucie do ciebie nie ma za wiele wspólnego z matczyną miłością...

– I dzięki Bogu!

– Ale sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać nad tym, jaką bym była matką i co bym czuła, jeśli cokolwiek by się ci przydarzyło. Jak moja mama musiała się okropnie czuć, kiedy umarłam. Mark! Ja byłam straszną córką!

– Dlaczego tak mówisz?

– Powiedziałam ci przecież. Kiedy Vilmos zaproponował mi wybór, nigdy nie obejrzałam się za siebie. Wiodłam życie w wyższych sferach Europy przez dziesięciolecia i nawet nie pomyślałam o tym, żeby sprawdzić, co słychać u mojej mamy. Zapomniałam, że ona w ogóle istniała. I, jak przypuszczam, ona też zapomniała o mnie.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. W żaden sposób nie mógł jej pocieszyć, więc nawet nie próbował.

Kiedy byli w łóżku, zapytał ją: – Skoro jestem twoim dzieckiem, czy to oznacza, że muszę ci dawać prezent na Dzień Matki?

Jej uśmiech był dla niego nagrodą.

– Oczywiście, że tak. Chcę śniadanie do łóżka, kwiaty i butelkę perfum.

– Zgoda.

Mark spędził cały ranek, śledząc wiadomości telewizyjne. Nadal oglądał telewizję, kiedy obudziła się Stella.

– Zdziałało? – zapytała.

W odpowiedzi Mark wskazał na ekran. W lokalnych wiadomościach omawiano właśnie sprawę. Pokazano też posterunkowego Norcomba, który prowadził skutego kajdankami zabójcę.

– Już znaleźli dwa ciała. Facet pracował w barze przez kilka lat, więc dokładnie nie wiadomo, ile może być ofiar.

– Czy coś mówią o Jane?

– Tylko tyle, że ją zabił, ale spłoszyli go myśliwi, zanim zdążył ją zakopać, i że znaleźli ją, zanim miał kolejną szansę, żeby to zrobić. Nic jednak na temat tego, kim była.

– Och.

– Dobrze się spisaliśmy, Stello. Ty się dobrze spisałaś.

– Wiem.

– Poza tym biorąc pod uwagę nagłośnienie tej sprawy, może ktoś znajdzie jakieś nowe informacje. Wiesz, że Norcomb się nie podda. A nawet jeśli, to zawsze możesz na niego wpłynąć, żeby zmienił zdanie.

– Prawda. Jesteś głodny?

– Tak. I wiesz co? Nie jadłem dziś żadnego jedzenia i nawet o nim nie pomyślałem.

– Mój mały chłopiec dorasta.

Dał jej całkowicie niewinnego buziaka i powiedział: – Dziś wieczór rozgrywają mecz na uniwersytecie stanowym. To powinno być dobre miejsce, żeby coś przekąsić. Wskoczę pod prysznic. Masz ochotę się do mnie przyłączyć?

– Nie, dzięki. Chcę tym razem zjeść kolację przed północą.

– Smutas.

Kiedy Mark wyszedł z łazienki, zobaczył, że Stella ogląda telewizję. Zamiast wiadomości w telewizorze leciała kasetka ochrony, na której widać było Jane.

– Stella...

– Nie przesadzam. Po prostu coś mi nie pasuje w tej całej historii o Jane. A dokładnie w opowieści Norcomba o tym, co robiła w Allenville.

– Co masz na myśli?

– On doszedł do wniosku, że miała coś wspólnego ze sprzedażą

narkotyków, ale wszystko, co wiemy na jej temat, to to, że była dziewczyną, która uciekła z domu i kupiła nowe ciuchy w Wal-Marcie. Jeżeli nie chciała się przed kimś ukryć, to po co ta cała przemiana?

Mark zastanowił się nad tym.

– Czy ona mogła robić dokładnie to, co ty?

Podniosła głowę.

– Co masz na myśli?

– Ty też byłaś jakąś dziewczyną, co uciekła z domu, ale w końcu chciałaś wrócić do siebie. Zgadza się?

– Tak, ale...

– Wysłuchaj mnie do końca. Kiedy wróciłaś do Allenville, nagle zaczęłaś mówić z wiejskim akcentem. W jakiś sposób odwoływałaś się do tego, kim byłaś. Jane też chciała wrócić do siebie. Była gotem, osobą, która lubiła noc, ale teraz, skoro miała wrócić do domu, chciała znów stać się sobą. Zatrzymała się więc w Wal-Marcie, kupiła ciuchy, jakie poprzednio nosiła, i wyrzuciła całe to przebranie gota. Ona po prostu chciała wrócić do domu.

Stella patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś geniuszem!

Mark starał się wyglądać skromnie i stwierdził: – To i tak nam nie pomoże w ustaleniu, kim była.

– Może jednak. Jane kupiła tylko jeden zestaw ubrań i od razu je założyła. To znaczy, że spodziewała się, że dotrze do domu tego samego wieczora lub następnego dnia. W przeciwnym razie ubrania by się zabrudziły. Może nie pochodziła z Allenville, ale mieszkała gdzieś w pobliżu. To mogłoby zawęzić poszukiwania Norcomba na tyle, żeby mógł ją znaleźć.

– To musi być chyba dziedziczne. Ty też jesteś geniuszem! Czy powinniśmy wykonać kolejny anonimowy telefon?

– Mam lepszy pomysł.

Stella wyszykowała się w rekordowym tempie i ponownie pojechali do Allenville. Trochę czasu zajęło im znalezienie Norcomba, jako że pracował

nad największą sprawą w swojej karierze. Kiedy go jednak znaleźli, nie zajęło Stelli dużo czasu podsuniecie mu pomysłu o Jane i sprawienie, żeby uwierzył, że sam na to wpadł. Jak stwierdziła, to było minimum tego, co mogła zrobić dla swojej rodziny.

Przebywali jeszcze w Raleigh przez jakiś czas, gdy policja odnajdywała kolejne ciała, i cieszyli się, kiedy udawało się je zidentyfikować. Największa radość przyszła jednak, kiedy Norcomb ogłosił, że Jane nazywa się Lea i że jej rodzina mieszka w pobliskim Cary. Słyszeli o Jane Doe, ale ze względu na słabą jakość kasety z Wal-Martu i zmiany, jakie zaszły w wyglądzie Lei przez cztery lata, kiedy jej nie było, nie poznali w niej swojej córki.

Następnego dnia gazety doniosły, że jakiś anonimowy darczyńca zapłacił za przeniesienie ciała Lei bliżej jej rodziny i że wystawi również granitową płytę nagrobną. Mark był jednym z wielu, którzy brali udział w pogrzebie, upewniając się, że Lea trafiła do domu.

Stella była już gotowa wrócić do Bostonu, może po drodze zatrzymując się w Nowym Jorku, żeby zobaczyć jakieś przedstawienia, ale Mark powiedział jej, że park rozrywki jest nadal otwarty, a oni jeszcze nie skorzystali z żadnej atrakcji. Czuła, że to podstęp, ale dała się wciągnąć w grę.

Następnej nocy Mark zawiózł ją do Allenville i zaparkował obok cmentarza Spiveyów.

– No dobra. Po co tu jesteśmy? – zapytała Stella.

– Chcę ci coś pokazać.

Poprowadził ją przez bramę do miejsca, gdzie leżeli jej rodzice, a ona nie mogła się powstrzymać, żeby nie patrzeć w stronę, gdzie wcześniej znajdował się grób Jane, czyli Lei.

– Dlaczego zostawiłeś płytę nagrobną?

– Sama spójrz.

Odwróciła się do niego.

– Kupiłeś mi nagrobek?

– Miałem taki zamiar – przyznał się. – Ale ktoś mnie uprzedził.

– Nie rozumiem.

– Poszedłem, żeby spotkać się z Bobem Henrym. To on był tą anonimową osobą, która ufundowała pomnik dla Jane. Stwierdziłem, że czas odpłacić mu za dobroć, i chciałem zamówić u niego twoją płytę nagrobną. Kiedy mu powiedziałem, gdzie ma się znajdować, wspomniał, że jego rodzina jest w tym interesie od kilku pokoleń i że robiła wszystkie pomniki na tym cmentarzu. Kiedy powiedziałem mu, jakie imię ma być umieszczone na kamieniu, opowiedział mi historię.

– Jaką historię?

– Pamiętasz to drzewo, które było nad twoim grobem? Piorun w nie uderzył wiele lat po tym, jak zostałeś tam pochowany.

– I co?

– Upadło na nagrobek, który wystawiła ci matka, i uszkodziło go.

– Czyli zrobiła to dla mnie?

Kiwnął głową.

– Poprosiła Boba Henry’ego seniora, żeby go zabrał do naprawy, ale była już chora i umarła, zanim uzbierała na należność. Płyta cały czas była w magazynie. Zapłaciłem brakującą kwotę i za to, żeby pomnik ustawiono do wieczora.

– A więc mama mi go kupiła?

– To był jej ostatni prezent dla ciebie.

Stella uklęknęła i przejechała palcami po napisie. Nie po imieniu, dacie urodzin czy śmierci, ale pod słowami, które znajdowały się poniżej:
Ukochana córka.



Przypisy

[1] W jednym z odcinków kreskówki *Peanuts* występuje Linus van Pelt, który każdego roku czeka na pojawienie się Wielkiej Dyni w Halloween. Dynia ta nigdy się nie pojawia i za każdym razem Linus czuje się upokorzony, ale niezłomnie sobie obiecuje, że za rok znów będzie czekał.

[2] Teoria praw obywatelskich – obowiązkowy przedmiot w amerykańskich szkołach, który można porównać do wiedzy o społeczeństwie (WOS).

[3] Rip Van Winkle – bohater opowiadania Washingtona Irvinga. Amerykańskie potoczne określenie kogoś niezorientowanego w aktualnych stosunkach.

[4] Gatunek nietoperzy (*Tadarida brasiliensis*).

[5] W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie każdy uczeń pod koniec roku dostaje album, w którym opisane są najważniejsze wydarzenia z danego roku szkolnego (sukcesy sportowe, ważne wydarzenia z życia uczniów itp.) oraz umieszczone są zdjęcia wszystkich osób uczęszczających w danym roku do szkoły. Na końcu albumu znajduje się zawsze kilka pustych stron, na których uczniowie często wypisują sobie dedykacje.

[6] Ritalin – lek o działaniu stymulującym, stosowany między innymi w leczeniu ADHD.

[7] Moral Majority – amerykańska partia konserwatywnych chrześcijan.

[8] Szlak wodny rozciągający się na północ od stanu New Jersey wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego aż do Brownsville w stanie Teksas w Zatoce Meksykańskiej.

[9] Jane Doe jest to imię i nazwisko nadawane niezidentyfikowanym ciałom płci żeńskiej. W przypadku mężczyzn jest to John Doe.